

Tadeusz Cegielski:

Morderstwo w Alei Róż:

Copyright by Wydawnictwo W.A.B, 2010

Wydanie I

Warszawa 2010

W hołdzie wszystkim bezimiennym twórcom powieści kryminalnych, a w szczególności autorowi Tajemnicy pokoju numer 13.

Dzień pierwszy - Niedziela palmowa.

Ryszard Maria Wirski, przed wojną komisarz policji państwowej, mógłby się nazwać szczęśliwcem, ponieważ zachował część swojego mieszkania przy ulicy Flory 3.

Rodzinną kamienicę ocalała, podobnie jak dom sąsiedni, pod numerem pierwszym, uzbitego Flory i Klonowej.

Okazała kamienicę narożną, obecnie jedną z najlepszych w Warszawie, przejęło wojsko.

Swoją własnością Wirski podzielił się z centralą górnictwa naftowego oraz kilkunastoma rodzinami, upchniętymi zarówno w apartamencie na czwartym piętrze, jak i w niezajętych jeszcze przestrzeniach w suterrenach i oficynie.

Był kamienicznikiem tylko pogodził się z tą sytuacją, ale zważywszy na ogrom zniszczeń w stolicy uważał ją za naturalną.

Jeśli nie martwiła go utrata własności, to przecież fakt zachowania jej części nie był dlań źródłem jakiejś szczególnej satysfakcji.

Podobnie jak to, że uratował życie, ba!

że jako jedyny funkcjonariusz Komendy Głównej Policji mógł nadal pracować w swoim zawodzie.

W nowym otoczeniu Wirskiego, jakie tworzył odbudowany Pałac Mostowskich i rezydująca w nim komenda MO miasta stołecznego Warszawy, znaleźli się ludzie, którzy ten sukces uznali za naturalny: Pomyślcie, obywatelu kapitanie!

Rządy się zmieniają, a policja zostaje!

To policja czyni możliwym szybkie oraz skuteczne przejęcie władzy powiedział kiedyś major Rękawek, szef wydziału drugiego i przełożony Wirskiego.

Taki Pudełka, na przykład: przed wojną w randze przodownika w referacie gospodarczym, a za okupacji, proszę!

Od 1940 roku starszy przodownik w Policji Polskiej GG, rok później już podkomisarz.

Skąd tak szybki awans?

Otóż sporowiedział ten nasz Kudelka, naprawdę sporo, gdyż pracował również dla Kripo.

A po wojnie?

Należała mu się, teoretycznie, czapa, ale komisarz, tak, wtedy komisarz, Alfred Kudelka zamiast dać katu cenną głowę, wołał podzielić się z nami swą wiedzą.

A dzielił się nad wyraz hojnie.

to mówiąc, major Rękawek spojrzał bacznie na Wirskiego.

I co powiecie nato, kapitanie Wirski: Kudelka zachował igłową i stopień!

Dziś byłby już majorem!

Coś przecież złego przydarzyło się temu Kudelce?

kapitan nie zareagował na aluzję do własnej kariery.

Tanie układała się równie wspaniale jak kariera Kudelki.

Niestety, kapitanie!

Podziemie wykonało wyrok na nim i jeszcze na dwóch naszych!

westchnął Rękawek.

Dokładnie w sylwestra czterdziestego szóstego!

Cóż, niknie unikniętego, co mu pisane!

skwitował Wirski.

Tak naprawdę nie podzielał tego poglądu.

Głęboko wierzył w przyczynowo-skutkowy, racjonalny charakter losów świata i ludzi.

Kudelka dostało, na co zasłużył.

A za wielce nierozsądny uważał gotowość nowego reżimu do posługiwania się kolaborantami wszelkiej maści.

Ich wymuszona strachem lojalność musiała być cienka jak marcowy lód.

Ani w tej, ani w wielu innych kwestiach przedwojenny policjant nie miał nawet odrobiny racji.

Na szczęście jednak nie dzielił się z nikim swoimi opiniami.

10Z okien obszernego, służbowego pokoju, jaki pozostawiono obecnemu kapitanowi milicji, rozciągał się widok na Łazienki i Belweder oraz na ulicę Klonową; również część Klonowej, która nie była już dostępna: od ulicy Flory odgradzał ją szlaban i strzeżli jej żołnierze.

Dalej, w stronę ulicy Bagatela, ciągnął się wysoki mur, zbudowany przez jeńców niemieckich.

Przy zamkniętej części Klonowej, w dwurodzinnej willi pod piątym, rezydować miał w przekonaniu mieszkańców Flory marszałek Rokossowski.

Vox populi Florentis głosiło także, że na Flory pod pierwszym mieszka prezydent Bierut oczywiście incognito, oraz że Klonową, a więc najkrótszą drogą, zmierza do pracy w Belwederze.

W przeciwnym wypadku twierdzono, musiałby poruszać się Flory i Bagatela: najpierw wzdłuż muru wokół placu powillii Bacciarrellego, potem pod nieistniejącą już cukiernią oraz poselstwem Szwecji pod trójką idopieronaskrzyżowaniuz Alejami skręcać w prawo do Belwederu.

Po drodze nie mógłby więc wstępować do Rokossowskiego, ato stanowiło część jego obowiązków.

Wyobrażenie prezydenta, eleganckiego, w dwurzędowym garniturze w tenis, wędrującego z teczką pod oknami jego kamienicy, bawiło niezmiernie kapitana.

Mały panz wąsikiem uśmiecha się do dzieci grających w klasy; dzieci podbiegają do prezydenta, prosząc o cukierki topowtarzany od lat rytuał.

Prezydent przyjaźnie kiwa głową i otwiera ciężką od akt teczkę.

Jedną z przegródek

Vox populi Florentis łąć.

: głos ludu [z ulicy] Flory.

//.

wypełniają cukierki, tenajlepsze: toffi, krówki i słodkielandrynki.

Wirski przypomniał sobie relację któregoś zeznajomych: żona aresztowanego oficera zdołała wręczyć Bierutowi petycję, właśnie na Flory.

Jak to możliwe, zastanawiał się.

Ulica, przy której z przerwami na wydarzenia wojenne i więzienne mieszkał od 1925 roku, zdawała się nie kryć żadnych tajemnic.

Może poza jedną osobą, na której cześć Niemcy przemianowali Flory na Friederike-Richter-Strasse. Pani lub panny Richter nie znalazł w żadnej niemieckiej encyklopedii; doszedł więc do wniosku, że patronką ulicy została jakaś ważna choć świeżej daty figura w ruchu nazistowskim albo na przykład co nie wykluczało pierwszej możliwości kochanka marszałka Göringa.

Już po wojnie, przesłuchując niemieckiego oficera, dowiedział się, że miał spororacji.

Niewpadłby przecież na to, że według Niemca, Franiem Richter bardziej niż działalności w NSDAP znana była jako.

feministka.

Całkiem niedawno kapitan mógł stwierdzić, że jeśli prezydentnie mieszkał, to przynajmniej był podjedynką.

A to za sprawą swojej kochanki, a może nawet żony jak twierdził dobrze poinformowani Wandy Górskiej.

Oderwał wzrok od nieosłoniętego okna.

Pokój na Flory: niepościelone łóżko, załóżkiem nocny stolik, lampka z diurawym abażurem, taboret, emaliowany dzbanek i takąż miednica.

Dalej niemodny secesyjny kredens, służący teraz jak oszafa na ubrania, stół długi i szeroki, pamiętający lepsze czasy, oraz kilka wytartych tapicerowanych krzeseł.

Na stole, na krzesłach, na podłodze stosy papierów i książek; niektóre z kolorowymi zakładkami.

Czasopisma i oprawione roczniki i rozsypane numery.

Powojenne gazety drukowane na szorstkim, żółtawym papierze.

Pod ścianami piramidy płytek i portretach, a także luzem; niektóre połamane, wszystkie zakurzone i brudne.

Na ścianach jasne prostokąty wspomnień i obrazach.

Została tylko reprodukcja Chrztu Litwy Matejki.

Dlaczego właśnie ona?

Gdzie są rysunki Dunikowskiego?

Gdzie grafiki Skoczylasa?

Uratował je przecież, miał przekazać do muzeum.

Gdzie podział się mały brąz Kuny?

Jest, co prawda, pudło gramofonu, palisandrowe, marki Telefunken, ale trzeba zdobyć skądś igły.

A wtedy.

Beethoven, Szopen.

A może zachowało się coś z Mozarta?

Kwartety Brahmsa?

Mahlera?

Kto wie.

Od powrotu z Rakowieckiej nie miał czasu, by zrobić porządek z płytami.

Dobrze, że Alicja zaopiekowała się jego dobytkiem; całego uratować nie mogła, ale chociaż trochę książek i płyt.

Meble z salonu rozkradziono lub zajął je lokatorzy, został tylko kredens.

Pał licho meble!

Mieszkańskie, pretensjonalne.

Kapitan Wirski odstawia szklankę i ciężko wstaje od ustawionego pod oknem stołu.

Spogląda w dół na ulicę: pusto.

Zimne, choć słoneczne, przedpołudnie.

A możeby tak: koniec z tym wszystkim?

Zimny błysk pistoletu, kaliber 7,3.

Broń w równym stopniu odpycha, co zachęca, by wzięć ją do ręki.

Nie, dzisiaj.

Chowa broń do kabury i odkładana nocny stolik.

Z obtłuczonego dzbanka lewa wodę do miednicy.

Szkoda jednak, że nie zachowała się ta marmurowa 13.

wa toaletka.  
Amoże jest tam, za kredensem w kuchni?  
Trzebaby kiedyśzajrzeć.  
Ale czywarto zaprzatać tymsobie głowę?  
Wystarczy ten taboret.  
Też w końcu przedwojenny.  
Wirskimyje się, wyciera lnianymręcznikiem i ubierapowoli; zakładabiałą koszulę, krawat,  
niedzielny garnitur.  
Nakręca zegarek.  
Wsuwa do kieszonki spodni schaffhausena, którego złotą kopertę zamieniłpo wojniena  
zwyczajną,stalową.  
Taka przynajmniej nie rzuca się w oczy, a werkwart jest na pewno parę groszy.  
Starannie formujerondo kapelusza.  
Szykowny,lekki prostood Cieszkowskiego.  
Odkłada kapelusz na krzesło.  
Wyjmujesz szafy prochowiec: Chodźmy!  
Nikt niewoła!  
W korytarzu mija współlokatorkę, pannę Rohozińską.  
Młoda, wysoka kobieta spogląda zalotnie spod grzywkijasnych, krótko obciętych włosów.  
Tlenionych, co dostrzegł dopiero teraz.  
Samotnie naspacer czy może z tą piękną paniąz ulicyOleandrów?  
Skąd, u diabła, wie oniej,o Tani?  
Zastanawia sięlekkozmieszany.  
Odpowiada jednak spokojnie:Z ulicy Partyzantów, moja panno.  
Teraz Partyzantów.  
Rohozińska śmieje się.  
Nietrudnowyczuć wjej śmiechujakiś fałszywy ton.  
Ja tylko tak, panie kapitanie.  
Bogdyby samotnie,tomoże lepiej.  
kiedyś ze mną.  
kończy po krótkiejpauzie.  
14Teraz kapitan reaguje śmiechem,wypróbowanymnapodobne okazje.  
Nie wiem, czy to wypada.  
Ze starszym panem z milicji?  
Nie wypada,bym tojauwodziła pana kapitana.  
Wypada, by robił to pan kapitan.  
Chowa się za uchylonymidrzwiami pokoju, który dzieliz owdowiałą matką.  
Ten pokójbyłkiedyś pokojem Marii,jegożony.  
Po wyjściuz bramy skręca wprawo, w Klonową.  
To, codziało sięwnajbliższej okolicy, dla jednych było symptomem odradzaniasię miasta, dla  
innych, takich, jak Wirski,zapowiedzią zmian zacierających dawny kształt stolicy.  
Nieopodal, naSkwerze Skolimowskim, nawysokość trzechpięter wznosił się stalowyszzyb wiertniczy  
dowód narodzin stołecznego metra.  
Warszawskie metro wzorować się miało na moskiewskim.  
Nie konieczna tym:od stronyulicy Puławskiej wyrósłgmach kinoteatru "Moskwa".  
Wpływ stolicy światowegoproletariatu uwidaczniał się również po drugiej stronie skweru.  
Jakbyz resztek po budowie Pałacu Kultury powstawał potężny gmach ambasady.  
Budowapożarła jużczęść ulicy oraz końcowy przystanek kolejki skolimowskiej.  
Wirski z żalem odnotował zniknięcie pudłastaregowagonu, które od lat trzydziestych pełniło  
funkcję kasyi poczekalni.  
Podobniemyślało likwidacji drewnianychpłotów wokół przystanku.

Martwił go apetyt budowniczych na relikty tamtej, prawdziwej Warszawy.  
Nawet tak15.

niepozornych, jak płot przy Spacerowej.

W końcu to natymplocie podarła sukienkę Marysia, kiedy była jeszcze harcerką i chodziła na skrót na Flory.

Incydent przesądziło jej losie.

Wirski, czterdziestoletni wdowiec wzruszony zakochanoświadczył się licealistce i został przyjęty.

Po miesiącu wzięli ślub wkościeleśw.

Zbawiciela.

Rok później, 4 września, wolontariuszka Maria Wirska zginęła na Dworcu Wschodnim.

Zastrzelił ją niemiecki lotnik, gdy z rannym żołnierzem na noszach uciekała w stronę schodów dozbawienego przejścia pod peronami.

Biegając druga nie zdążyła.

Przeżył ten ranny i pierwsza sanitariuszka, podobno żona ministra.

Od czasu do czasu miał do dyspozycji nowiuteńką warszawę; jeśli tylko mógł, folgował słabości nabytej jeszcze przed wojną: do jazdy taksówką.

Postój taksówku wylotu Klonowej oblegała zazwyczaj gromadka chętnych: matek z dziećmi, podróżnych z tobołami, bywalców baru. Pod dwójką ale wysłużona skoda z numerem bocznym 031 zdawała się czekać tylko na kapitana.

Pan Ludwik, wąsaty, siwy Lwowianin, słabo znał stolicę, za to nosił w życiu ledczego, choćby i na krótką chwilę, ową miękkość i elegancję właściwą swoim krajanom antidotum na chamstwo i cwaniactwo nowych mieszkańców Warszawy.

Tego świętego, chłodnego, ale słonecznego dnia na postój nie było ani pasażerów, ani taksówek.

Niepracowała inwalidzka trafikaw metalowym okrągłaku przy Unii Lubelskiej.

Kwietniowej niedzieli cel wędrowki Wirskiego znajdował się nieopodal, po nieparzystej stronie Marszałkowskiej.

Kapitan przystanął przed witryną "empiku", obejrzał wydawnictwa czeskie i bułgarskie (radzieckich, które widział wpiątek, już nie było cieszyły się dużym powodzeniem).

Potem przekroczył Szuchai wyminął grupkę pijaków.

Wytoczyli się z baru Poddwójką, lokalu w powszedni odwiedzanego przez dziennikarzy "Życia Warszawy", jednak w niedzielę przez bardziej pospolitą publiczność.

Ci gorsi, niedzielni goście usiłowali coś zaintonować, ale szybko zamilkli, czując karcący wzrok przechodniów.

Odświętnie przyodziani ludzie spieszyli w stronę placu Zbawiciela, zapewne do kościoła.

Po barwnych stroikach, które nosły dzieci, Wirski domyślił się, że idą poświęcić palmy.

A więc dzisiaj jest Niedziela Palmowa!

Pijacy przystanąli w sąsiedniej bramie i nie bez wysiłku, kiwając się zapalili.

Odłączyli się od nich dwaj młodzieńcy w wysokich kaszkietach.

Miotając grubym słowem, chwycili za ręce i pociągnęli za sobą załaną, jaskrawo malowaną dziewczynę.

Przeklinała nie gorzej od swych prześladowców.

W pewnej chwili uwolniła się od nich i szybko pohalsowała ku przystankowi "setki".

Zajebię cię, ty wywłoko!

rzucił rozpaczą młodszymi prześladowców.

Machnął ręką, ale cios zawisł w powietrzu; chwilę łapał równowagę, aż wreszcie osunął się na chodnik.

Drugi z opryszków ominął leżącego i ruszył szparkoza uciekinierką.

Zręcznym manewrem Wirski zagroził drogę pościgowi.

Chłopak zatrzymał się i wymierzył cios kapitanowi.

Ten jednak uchylił się.

Kolejny cios, z przeciwnej strony, 17.



także chybił celu.

Kapitan przeszedł do kontrataku podciął napastnika.

Chłopak zachwiał się i wyłożył nachodniku.

Podczas gdy usiłował się podnieść, Wirski szykował się do dalszej walki.

Tymczasem, jakby spod ziemi, wyrósł mundurowy, a za nim dwóch cywilnych.

Poznał kapitana: mundurowy zsalutował.

Cywile bez pośpiechu zabrali się za kopanie leżących.

Dosyć!

rozkażał kapitan, ale nie odniosło skutku.

Dosyć, powiedziałem!

Cywile porzucili swoje zajęcie.

Jednemu z chłopaków krwawiło mocno ucho, drugi niedawał oznak życia.

Co z nim?

Zemdlał?

zaniepokoił się Wirski.

Zdechł, kurwa powiedział starszy oprawców.

No, to nie chciałem być w waszej skórze odparował Wirski.

Chłopak odzyskał w końcu przytomność.

I po co ci to było?

powiedział z troską kapitan.

Możesz ustać na nogach?

Moogę.

wybełkotał tamten, ale już za moment znów leżał na chodniku.

Na komisariat!

zaordynował kapitan.

A wy tam zwrócił się do tajniaków koniec z tym futbolem!

Tak jest!

zasalutował mundurowy.

Cywile milczeli; czuło się, że chcieliby choć trochę jeszcze.

Odstąpił przecież o krok.

Zapalili.

Pozornie obojętnie przyglądali się leżącym.

Wirski przepuścił tramwaj i przeszedł na drugą stronę Marszałkowskiej.

Udał, że patrzy na pusty basen w sklepierybnym, a potem na sobotni numer "Życia Warszawa 16wy" wystawiony w gablocie.

Stróżę porządku zaprzestali egzekucji.

Kapitan wolał jednak poczekać.

Silny podmuch wiatru ciągnącego od wschodu popchnął go w stronę placu Zbawiciela.

Nie żle się ta niedziela zaczęła podsumował.

Był dopiero południe, więc wiele mogło się jeszcze zdarzyć.

Część Domu Prasy Spółka Akcyjna, tego od "czerwonej" prasy: "Kurierów", porannych i popołudniowych, od "Przeglądu Sportowego", "Kina" oraz innych dochodowych tytułów, a także sąsiedni dom, zastąpiła długa kamienica z piaskową elewacją.

Budowniczym stolicy nie chciało się usuwać resztek przedwojennych domów, toteż pochowały je w przyziemiach nowych.

Schody i ozdobna balustrada tworzyły swoisty nagrobek posesji o numerach 5, 7 i 9.

Pod siódmym, na antresoli wysokiego parteru, ulokowała się restauracja Rarytas.

Oznakowana jako lokal najwyższej, bo "S" kategorii, przyciągała mimo słonych cen tłumy gości.

Warszawiacy spragnieni byli wygodą i elegancją, a przede wszystkim normalnością; Rarytas tę potrzebę wypełniał.

Czynił to pospół z pobliskim Cristalem i kawiarnią przy placu Konstytucji.

W garderobie na dole zostawił podszyty wiatrem prochowiec.

Spojrzał na zegarek: była dwunasta piętnaście, czyli kwadrans napierwszą, jak by sam powiedział jeszcze nie tak dawno.

Kupił u szatniarza gazetę i dwie paczki grunwaldów; powoli ruszył na piętro.

Rutynowo obrzucił wzrokiem bar na dole.

Dwie, trzy dziwki, wszystkie pracują dla milicji; alfonsi w odświętnych garniturach<sup>19</sup>.

chyba też zarejestrowani.

W każdym razie nikogo nowego.

Dobra!

Przynajmniej tu powinno być spokojnie.

Minął gromadkę ludzi czekających na zwolnienie się miejsca niespiesznie poszedł w głąb ostatniej salki.

Tutaj, jakco niedziela od dwunastej, czekały nań pod oknem: stół ze śnieżnobiałym obrusem i takimiserwetkami oraz trzywysokie krzesła.

W wazoniku żółte kwiatki;nie jakieś z bibułki prawdziwe kaczeńce.

Wirski umościł się wygodnieipogrzyżył się w lekturze oprawionego w ceratę jądłospisu.

Potem wziął dorekisirobotni numer "Życia".

Po chwili spojrzął za okno.

Ztego miejsca mógłobdy obserwować rozwój sytuacji Pod dwójką.

Panował tam spokój.

Zapewne w oczekiwaniu na wóz milicyjnyzaciągnięto awanturników dobramy.

Wirski pomyślał niechęcią, że będzie musiał doglądać ich sprawy.

Inaczej posadzą szczeniakówza "czynnąnapaść": banalna,wydawałoby się, burda zakończy siędla nich tragicznie.

Odwróciłwzrok odokna i spojrzął na wypełnionąsalę.

Przy stole obok siedziała para trzydziestolatków z malcemo platynowych, niezbyt równoprzyciętychwłosach.

Wirskiuśmiechnął się na widokchłopca, którego pamiętał z sąsiedztwa naFlory.

Kilka dni wcześniej matka, przystojnaszatynka, wlokła gosiłą do fryzjera na Bagateli.

Posiadaczplatynowejfryzuryopierał się i darł wniebogłosy; wiedziałjuż, że ścięcie włosów to niemal akt kastracji.

Cóż z tego,że tylko symbolicznej.

Szatynka ubrana ze skromną elegancją odwzajemniła się promiennym uśmiechem,odsłaniając przy tym białe,równe zęby.

Jasnowłosa mężczyzna, najpewniej ojciecchłopca, spojrzął nieufnie.

Lat trzydzieści trzy lub cztery,ocenił Wirski.

Zaliczył podchorążówkę AK i powstanie;objęty amnestią, przyczaił się w jakimś urzędzielub redakcji.

Potemjednak zlustrowałłśniąceoficerki, bryczesyz sukna i świeżo odprasowaną kurtkę.

Za elegancki i zaszywny jak na tutejszego, skorygował.

Raczej Lwów lubKraków.

Wielkopolska też w grę nie wchodzi.

Oni tamzawsze udają nędzarzy.

Śpią na dolarach, ale do wyjściazakładają jakieś łachy.

Czy towarzysz kapitanjużwybrał?

kelner wyrwałWirskiego z niedzielnych rozmyślań.

Mamy dziś świeżutki rumsztyk z fryteczkami, no i śledzika, oczywiście.

W oliwie,ze śmietanką oraz po japońsku.

Aten kotletó la Pożerski?

Wirski stuknął wpowieloną naniebiesko kartkę jądłospisu.

Towarzysz kapitan ma na myśli kotlet požarskipoprawił go uprzejmie kelner.

Raczej nie polecam.

Wirskiwestchnął.

Głównie z powodu tego "raczejniepolecam".

Przyzwyczaił sięjuż do podobnych do tej radkelnerskich.

Rad wyłącznie negatywnych.

Nierozumiałjednak, skąd zmiana w nazwie jego ulubionego dania.

Dlaczego Pożerski, restaurator i hotelarz z Marszałkowskiej, zamienił się w "strażackie" danie.  
Klasowazemstaczy zwykła pomyłka?  
Niech będzie tenrumsztyk.  
skapitulował.  
Na przystawkę zaś śledź po japońsku.  
"Śledzik", podobnie jak inne zdrobnienia, nie przechodziłmu przez gardło.  
Szczególnie po trzech latach aresztu, 21.

kiedy klawisze nakazywali mu "trzymać rączki z przodu", zaś śledczy "unosić nóżki wyżej i wyżej".  
Przy sąsiednim stoliku nowa sytuacja.  
Kelner podał przystawki (indyk w galaretkę trzyrazy), dwie lemoniady, a także setkę dla głowy rodziny.  
Wtedy zdarzyła się rzecz dość niezwykła: Jaindyków niejadamoświadczył zgodności amalec.  
Wstał od stołu i ruszył w stronę wyjścia.  
Szatynka parsknęła śmiechem, ale akowcowi dalekobyło do żartów.  
Natychmiast wracaj!  
krzyknął w stronę platynowego chłopca.  
Ten zatrzymał się.  
Co dalej?  
Pobiegł w końcu desperacko przed siebie.  
Zręcznie wyminął gościa w czarnym płaszczu.  
Akowiec, wyraźnie podenerwowany, podążył za zbiegiem.  
W połowie sali zderzył się z krępa, niemal kwadratową postacią w skórzanym okryciu.  
Uważaj, co robisz!  
rzucił kwadratowy, schylając się pokapeluszu.  
Pan też mógłby uważać odparł spokojnie akowiec.  
Niestety, ciągdalszy incydentu pozostał niewidoczny.  
Kwadratowy, nazwiskiem Kowadło, w randze majora bezpieczeństwa, zmierzał prosto do stolika Wirskiego.  
Przysiadł się bez słowa, położył kapeluszu na śnieżnobiałym obrusie, rozpiął płaszcz.  
Kapitan mógł zobaczyć solidny, granatowy garnitur, na wzór prezydenckiego wtenis, a także wypukłość pod marynarką z lewej strony oraz poluźniony krawat, na palcach obu rąk sygnety.  
Wirski wiedział, że 22 w razie potrzeby służyły za szpadrynę".  
Odwrócił wzrok od tych dłoni, ciężkich i niezgrabnych.  
Widział kiedyś, jak łapska Kowadły miażdżyły nosy i obrywały uszy.  
Systematycznie, bez cienia emocji, skutecznie jak ci, którzy przesłuchiwali go w czterdziestym dziewiątym, jak cywilni spod "dwójki", jak oni wszyscy.  
Boże, dlaczego nieporzuciłem munduru?  
, zastanawiał się kapitan.  
Mogłem zostać słuszarzem, mechanikiem samochodowym, uczyć w szkole wuefu lub prowadzić taksówkę.  
Przy odrobinie szczęścia powrócić do poprawniczego fachu, pracować w jakiejś kancelarii, w urzędzie.  
Doczekać spokojnie emerytury.  
Nie odezwaawszy się ani słowem i nie częstując kapitana, Kowadło zapalił dukata.  
Zaczął przeglądać jadłospis.  
Wreszcie wydusił ni to z niechęcią, ni to z triumfem: Kapitanie Wirski, od godziny powinniście być przy alei Róż numer 6A!  
W alei Róż 6A?  
Wirski był nieco zaskoczony, jako że adres ten, a właściwie sąsiedni, ambasady Królestwa Egiptu, kojarzył mu się z najtrudniejszą sprawą jego przedwojennej kariery: morderstwem egipskiego attachemilitaire.  
Tak, rozwikłania tamtej sprawy małonie przypłacił nie tylko życiem, ale i policyjną karierą.  
Sześć A, piętro pierwsze, mieszkanie towarzysza Szczapy Kowadło nadal nie krył niechęci z powodu konieczności objaśniania kapitanowi tak oczywistych faktów.  
A czegoż to towarzysz Szczapa może chcieć odemnie?  
daw. kastet.  
23.  
Ten Szczapa niemoże już niczego chcieć.  
oficerzniżył głos.

Stwierdziwszy, że małżeństwo obok zbierasię do wyjścia, dodał: Bo Szczapa nieżyje od kilku, góra kilkunastu godzin!

W podobnych momentach funkcjonariusz wydziału zabójstw z trzydziestoletnim, głównie przedwojennym stażem, nie okazuje ani zdziwienia, ani zaciekawienia.

Minęła dłuższa chwila, poświęcona przez majora studiowaniu niedzielnej karty dań.

Służąca znalazła dziściało Szczapy.

O dziewiętej rano, w jego salonie Kowadło ściszył głos, jeszcze bardziej przysuwając się do Wirskiego.

Zust śmierdziało muty toniem i wczorajszą wódką.

Szczapa trzymał w ręku tetetkę, służbową, z której strzelił sobie w łeb.

albo z której wystrzelił morderca i upozorował samobójstwo.

Towarzysz Szczapa i samobójstwo.

Rzeczywiście i latwo w to uwierzyć odeszwał się wreszcie Wirskii westchnął.

Trudno było jednak zgadnąć, czy z racji śmierci wybitnego, dobrze znanego towarzysza, czy z powodu śledzika po japońsku oraz setki, które pojawiły się przednim.

Na stoliku obok czekały wciąż trzy porcje indykaw galarecie i lemoniada wraz z wódką dla akowca.

Jeszcze raz śledź i setka dla mojego gościa zaordynował kapitan.

Zanim jednak kelner zdążył się skłonić ruszyć w stronę bufetu, Kowadło bezceremonialnie sięgnął po indyk i wódkę z osieroconego stolika.

24 Chyba im się przejadł skwitował grabież.

Żeby tak zamówić zostawić.

Za dobrze się im, skurwysynom, powodzi.

Zawartość literatki zniknęła w gardle majora, pochwili zaś indyk.

Wtedy w drzwiach sali pojawiło się małżeństwo z odzyskanym chłopcem.

Buntownik miał czerwone ucho, w oczach łzy, ale ogólnie dzielnie się trzymał.

Zuch pomyślał kapitan.

A kowiec w mig ocenił sytuację.

Spoglądał niesmakiem to na Wirskiego, to na Kowadłę.

Panowie pomylili stoliki, jak się domyślą powiedziały ze zjadliwą uprzejmością.

Ten akt odwagi wywołałby niechybnie odzywkę Kowadły, gdyby nie interwencja chłopczyka; Tato, panowie wiedzieli, że ja nie jadę indyka.

Szatynka uśmiechnęła się promiennie.

Wirski podniósł się i powiedział: Przepraszam za to nieporozumienie.

Państwo pozwolą, że będą dziś moimi gośćmi.

Nastąpiła obustronna wymiana uprzejmości, cokolwiek wymuszona ze strony jasnowłosego akowca.

Kelner, świadom powagi sytuacji, dwoił się i troił, toteż już po kwadransie oficerowie mogli zapłacić i wstać od stołu, żegnani z ulgą przez czekających na wolne miejsce gości.

Wyszli na ulicę.

Od strony placu Zbawiciela ciągnęła gromadka dorosłych i dzieci z kolorowymi palmami najpewniej do ogródka jordanowskiego przy Polnej.

Wirski wyłowił wzrokiem rudą piękność.

Smukła jak minaret, trzydziestoletnia Tatiana Rypnis była żoną popularnego 25.

tenora.

Przyciągała uwagę nie tylko urodą, ale też owymyszykiem, który w powojennej Warszawie odradzał się wolno tylko w obrębie nowej klasy wyższej.

Dama prowadziła własną replikę imieniem Antosia, tyle że w wiekulat sześciu lub siedmiu.

Nie bacząc na towarzystwo majora, Wirski przystanął i zagadnął.

Znali się niemal od dzieciństwa Tani.

Była Lwowianką, daleką kuzynką Marii Wirskiej, drugiej żony kapitana.

Rodzina Tani zaginęła na Wschodzie; ocalała tylko ona.

Ponieważ los zatrzymał Wirskiego w okupowanej Warszawie, a przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych spędził w więzieniu, spotkali się dopiero w pięćdziesiątym czwartym.

Tani od pierwszej chwili spodobał się ten elegancki, nieco staroświecki mężczyzna,

którego pamiętała z szczęśliwszych czasów.

Kapitan zaś, powtórnie owdowiały i bezdzietny, tęsknił za towarzystwem kobiet.

Major przystanął również i dotknął krawędzi kapelusza.

Pan major Kowadło, pani Tatiana Rypnis dokonał prezentacji Wirski.

Dama, dziewczynka oraz major lustrowali się wzajemnie.

Antosia ubrana w słomiany kapelusz ze wstążką, spod którego błyskało dwoje zielonych, bystrych oczu mieniły się dziesiątki piegów wywołanych przez wiosenne słońce.

Modny, kraciasty trenz Tani, przewiązany w pasie, ciemna obcisła spódnica i nienagannie napięta na smukłej tydzieci lista nylonowa pończocha.

Głowa nie zakryta zgodzie demokratyczną, powojenną modą i w niezgodzie z pogodą.

26

We włosach, nakońcu, jedwabna wstążka doskonale komponowana z trenzem.

Szczęściarz z naszego kapitana Kowadło komplementował panią Rypnis.

Na sekundę zapanował milczenie.

Przykro mi, ale dziś kapitan nie będzie mógł zaprosić pani na kawę dokończył Kowadło i spojrzał z czepnieną żonę śpiewaka.

Major Kowadło lubuje się w dramatycznych efektach wyjaśnił spokojnie Wirski.

Teraz, na przykład, obmyśla finał aktu pierwszego.

Więc jesteśmy z jednej gliny spuenteowała małżonka tenora.

Teatr to mój żywioł.

Podał do ucałowania dłoń obleczoną w delikatny zamsz.

Kowadło, niezrażony, pochylił się i złożył głośny pocałunek.

Tania poczuła, że zrobił to na nagim kawałku dłoni, między rękawiczką a mankietem trenzu.

Odkrycie to nie było dla niej niemiłe, ale Kowadło zepsuł wszystko nową impertynencją: Z jednej gliny, to prawda!

Wyszło to na jaw w czterdziestym czwartym: piękne panie zdworów sprzedawały się parobkom.

Oddawały się miskę zupy, za życie swoje i swoich mężów.

Miały więcej szczęścia niż ja, majorze powiedziała łagodnie Tania.

Ja byłem tylko córką kolejarza; mieszkałam na nieopalanym poddaszu i umierałam na suchoty. Iżaden parobek nie zaproponował mi zupy w zamian zamoją cnotę.

Nikt też nie zadbał o moje bezpieczeństwo.

Żołnierze sowieccy zabili moją siostrę i ciotkę; ojciec złożył kości na Syberii.

27.

Kowadło mruknął coś pod nosem.

Tania zbiła goz tropu lub najzwyczajniej zaimponowała odwagą.

Zuch dziewczyna!

, pomyślał Wirski.

A co do kawy, to się jeszcze okaże.

Oficerowie pożegnali się i wsiedli do samochodu majora.

Chwilę później zajechał przed elegancką kamienicę przy alei Róż.  
Był to trzeci dom po prawej, licząc od dawnej ambasady Królestwa Egiptu na rogu obu alei.  
Te większe, Ujazdowskie, również ocalały, ale już w 1946 roku musiały, do połowy przynajmniej, użyczyć imienia marszałkowi Stalinowi.  
Obecność czarnych Citroenów nie była czymś nadzwyczajnym, a Wirski natychmiast rozpoznał pojazdy oficerów z pobliskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa.  
W bramie pod numerem szóstym spotkał zastępcę komendanta głównego MO znak, że sprawa Szczapy jest poważna i znajduje się w centrum uwagi władzy.  
Zenon Krochmalski, z generalskim wężykiem na pagonach, przywitał się przyjaźnie, niemal wylewnie.  
Wirski domyślił się natychmiast, że to właśnie jemu, skromnemu kapitanowi milicji, którego nie awansuje się od lat, przypadnie zaszczyt tropienia zabójcy Szczapy.  
Towarzyszu kapitanie zakomunikował generał partii, poniosła niepowetowaną stratę, a wy pomożecie nam ustalić, co było jej przyczyną.  
Krochmalski jako człowiek konkretny, ceniący czas swój i podwładnych, darował sobie komunały na temat ostrzonej walki klasowej, kno wańże strony imperialistów lub porwania podpułkownika Świątły.  
Darował, 26 może jemu darowano, zaś witało w głowie kapitanowi.  
Może właśnie wygasła walka klasowa lub też ogłoszono zawieszenie broni w walce o pokój?  
Generał podążył z nimi napierwszeństwem, do mieszkania Szczapy.  
Do lokalu, w którym sekretarz rozstał się z tym światem, prowadziły dwa wejścia, główne i naprawo od nich kuchenne, ale bardziej już praktycznym zwyczajem nie zbudowano oddzielnych schodów dla służby.  
W eleganckich drzwiach głównych stał znany Wirskiemu podoficer, zasłaniając widok nad dwóch cywilów krzątających się gdzieś w głębi.  
Starszy sierżant Paprotka wyprężył się, oddał honory i przepuścił oficerów.  
Weszli do obszernego westybulu, z którego prowadziły otwarte teraz drzwi do salonu na wprost, sypialni po lewej oraz gabinetu i kuchni po prawej stronie.  
Były jeszcze drzwi do łazienki i ubikacji, także uchylone.  
Jakiś list pożegnalny, prywatne notatki świadczące o samobójczym zamiarze?  
zapytał Wirski funkcjonariuszy, którzy kończyli fotografowanie salonu, a w nim bezwładnego kształtu zwisającego z fotela.  
Naprzeciw stał drugi fotel, pusty.  
Znaleźliśmy list, towarzyszu kapitanie objaśnił przejmie generał.  
Dziwny jakiś i niejednoznaczny.  
Jak zrobią fotokopię, to zaraz wam przekażą.  
Jest za to rozwalona pościel, damska piżama w sypialni i ślady szminki na kieliszku dorzucił jeden z ubeków.  
W ogóle mnóstwo różnych śladów.  
Dobrze zachowane odciski palców na klamkach, futrynach, na lustrze w przedpokoju.  
29.  
Tak jakby sprawca cierpiał na swoisty horror uacui spuentował Wirski.  
Hororco?  
zapytał Kowadło.  
Na twarzy generała pojawił się lekki grymas.  
Strach przed pustką pospieszył wyjaśnieniem Wirski.  
Kategoria estetyczna i psychologiczna zarazem.  
Zajrzał w pierw do sypialni, gdzie rzeczywiście panował spory nieład.  
Skotłowana pościel w podwójnym małżeńskim łożu, porzucona na krześle górna, zaś na podłodze dolna część eleganckiej piżamy z czarnego jedwabiu.  
Produkt włoski, jak wynikało z widocznej już z dala metki.  
Sypialnię wypełniał zapach perfum: piżmo z dyskretnym dodatkiem goździków i koniaku; w ocenie



Wirskiego komponenty eleganckich perfum męskich.  
Kapitan podniósł podłogidolną część bielizny piżama równie dobrze służyć mogła  
średniego wzrostu mężczyźnie, jak i wysokiej kobiecie a potem przybliżył ją nieco do nosa,  
wywołując grymas obrzydzenia u majora Kowadły.  
Poddał też badaniu część górną piżamy i skonstatował, że nie była najpewniej używana.  
To nie produkt z importu stanowił źródło niebanalnych woni.  
Pochylił się nad pościelą, potem nad flakonami i pudełkami wypełniającymi półeczki wielkiej toalety  
z lustrem.  
Obejrzał i obwąchał wszystkie drobiazgi, łącznie z zawartością szufladek.  
Znalazł tu, między innymi drobiazgami, sznur sztucznych pereł, małą fiołkę perfum Chanel,  
modną w Warszawie wodę "Soir de Paris", ale źródła goździków i piżma niewykrył.  
Analizę organoleptyczną zakłócił mu brutalnie Kowadło, zapalając dukata.  
Kto wam pozwolił zapalić, majorze Kowadło?  
wyrwał się Wirskiemu.  
Generał poruszył się i nakazał gestem zgaszenie papierosa.  
Kowadło zaciągnął się raz jeszcze, rzucił papierosa na parkiet i rozdeptał obcasem.  
Widzi pan, generale, mówiło spojrzenie Wirskiego, z kim ja muszę pracować!  
Ten kretyngotów zatrzeć wszystkie ślady!  
Niewspominam już o fachowcach w salonie.  
Jeśli było tam coś interesującego, to roznieśli to dawno nabitach.  
To się już nie powtórzy, towarzyszu generale wyrecytował Kowadło.  
Pałę jednak dukaty, a nie jakieś badziewie dodał w formie usprawiedliwienia.  
Wirski machnął ręką i zapytał, czy towarzyszu Szczapabył żonaty lub zamieszkiwał z jakąś kobietą, na  
co niedwuznacznie wskazywało wyposażenie sypialni.  
On był żonaty, ale od dwóch lat mieszkał samotnie.  
Żona Helena wyjechała, podobno do Palestyny.  
Z tego, co wiemy, nie było w jego życiu innej kobiety wyjaśnił generał.  
Utrzymywał jednak rozległe stosunki towarzyskie: ludzie teatru, filmu, artyści estrady.  
Nie było nikogo aż do chwili, kiedy wprowadziła się właścicielka tych drobiazgów powiedziała  
Wirski.  
Niedodał już, żeraczej do chwili, kiedy pojawił się ktoś, kto chciał sprawić wrażenie, że Szczapa nie  
tylko spotykał się, ale też zamieszkiwał z kobietą.  
Kapitanie wtrącił się major Kowadło Szczapabył pedałem.  
Miał tutaj takiego, Michał mu na imię.  
31.  
Wiemy o nim od dawna.  
Szukamy tej cioty już od rana.  
Jak znajdziemy.  
Który to pedał przebierał się za kobietę, znaczysię, transwestyta?  
zapytał zbulwersowany Wirski.  
Aż tak to chyba nie wybąkał Kowadło, który zrozumiał, że się zagalopował.  
Generał Krochmański przybrał pryncypialny ton: Towarzyszu Kowadło, nic nie tłumaczy waszych  
insynuacji!  
Jeśli nie powściągniecie języka, podam was raportu za rozpuszczanie wrogich pogłosek!  
Tak jest, towarzyszu generale!  
wykrztusił Kowadło.  
Wirski wiedział jednak, że major tak łatwo nie odpuścił że w śledztwie pojawi się obowiązkowo .  
wątek pederasty".  
Wszystko to sprawdzimy oświadczył pojednawczo Wirski, a widząc, że cywile zakończyli  
czynności w salonie, odebrał od nich list denata: niewielką kartkę wyrwaną z notesu, i ruszył do  
miejsca, w którym znajdowały się włoki.  
Widok nie był przyjemny, nawet dla zaprawionych w śledczych bojach.

To, co jeszcze niedawno stanowiło źródło pamięci, wyobraźni i uczuć sekretarza Szczapy, tworzyło przyschniętą już nieco, brunatną maź na białej, gładkiej ścianie.  
Podbutem funkcjonariusza zachrzącał nieprzyjemnie były to odłamki trzewi oczyszczalni denata.  
Ciało Szczapy zwisało, przechylając się w prawą stronę, z klubowego fotela obitego czerwoną skórą najpewniej trofeum z wyprawy na Ziemię Odzyskaną.  
Denata ubrany był w szary garnitur i białą rozpiętą koszulę.  
Na stopach miał 32-miałnowe, eleganckie półbuty.  
W lewej ręce trzymał pistolet, radziecki TT kaliber 7,62, model z 1930 roku.  
Czy był mańkutem?  
zapytał Wirski.  
I ja zwróciłem na to uwagę pochwalił się Kowadło - że denat trzyma tetetkę w lewej dłoni i że strzał oddany został w lewą skroń.  
Jeśli towarzysz Szczapa był eworęczny, trudno oczekiwać, aby właśnie przed śmiercią zmienił przyzwyczajenia.  
A jeśli to ktoś pociągnął za niego za spust, to raczej zadbał, aby i ten szczegół się zgadzał odpowiedział sam sobie Wirski.  
Widzę, kapitanie, że sprawa jest w dobrych rękach.  
Generał zamierzał już opuścić miejsce zdarzenia.  
O postępach śledztwa będziecie meldować tylko mnie.  
no i majorowi Kowadło, oczywiście.  
Major dogląda śledztwa z ramienia UB, ale powtarzam, wy, kapitanie Wirski, jesteście rozgrywającym.  
Decyzje co do aresztowań podejmuję wyłącznie ja zakończył zastępca komendanta głównego i uściśnął dłonie obu oficerów.  
Kiedy już wyszedł, Kowadło rzucił od niechcenia: Spiesz na trzecią, na randkę z Kizią Mizią.  
Wiecie, z taką ślicznotką, co grała córkę kułaka; w filmie znaczysię grała wyjaśnił Kowadło,  
a Wirski nie po raz pierwszy tego dnia zadał sobie pytanie: jak to możliwe, że majorowi nikomu nieuciął jeszcze języka?  
Oficer UB z niewyparzoną gębą, impertynencki wobec przełożonych, wiecznie niedyskretny?  
Na razie nie znalazł przekonującej odpowiedzi.  
Szczęściem dla wszystkich, także i major wyglądał na zmęczonego; a może odczuł zbyt silny głód nikotyny,

aby pozostać dłużej.

Bez pożegnania ruszył do wyjścia, mijając ludzi z noszami.

Nareszcie bez krepującej asysty!

Wirski dał sanitariuszom pół godziny wolnego oraz paczkę grunwaldów z zaleceniem, aby palili tylko na schodach.

Kiedy już wyszli, przystąpił do obdukcji zwłok, a następnie oględzin miejsca; miejsca zbrodni bo coraz więcej przemawiało za tym, że Szczapa nie zginął własną ręką.

W pierwszej, ostrożniejszej wersji, Wirski zakładał, że sekretarz nie poniósł śmierci od kuli z pistoletu TT kaliber 7,62.

Przyczyną zgonu mogła być, na przykład, trucizna.

Wskazywała to silny obrzęk na twarzy i szyję.

Oczywiście, dopiero oględziny i sekcja dokonane przez doktora Kierszmana wyświecą mogły kwestię.

Tak więc, zanim upozorowano samobójczy strzał, Szczapa być może już nie żył.

Otruty przez kogoś, kto starał się zwrócić uwagę śledczemu na prawdziwą lub rzekomą obecność kobiety.

Skierować śledztwo na fałszywy trop lub na ofiarę.

Szczapa mógł też popełnić samobójstwo, ale komuś zależało na tym, by samobójstwo to wydało się morderstwem.

Wystarczająco wiele hipotez jak na pierwsze minuty śledztwa.

Należało zapoznać się z domniemanym listem pożegnalnym.

Wirski zgóry założył, że list niczego nie wyjaśni.

Prędzej wskaże kolejny, zapewne też zwodniczy trop.

Nie mylił się.

Jeśli to Szczapa zapisał tych kilka linijek (na kartce wyrwanej z notesu, autentyczność pisma zweryfikuje dopiero milicyjny grafolog), to w chwili ich pisania pozostawać musiał pod wpływem doznań mistycznych.

34A może władzy narkotyku lub potęgującej swoje działanie trucizny: Gdy otworzę zamkniętą, zobaczę Cię wcześniej.

W ciemnym blasku wylaniającego się z otchłani.

Jesteś Adamem, jesteś tym, który mnie zrodził.

Jesteś wszystkim.

wracam do Ciebie.

iv chwili ostatecznej.

Kolejne wyrazy kreślono coraz bardziej niewyraźnie, aż do całkowitych bazgrołów.

Być może list mówił o nadchodzącej śmierci, ale nie był to list pożegnalny zdradzonego kochanka, tym bardziej testament pisany przez sekretarza KW partii.

A gdzie pióro, którym to napisał?

Aha, zabrane do ekspertyzy daktyloskopijnej.

A gdzie notes denata, z którego wyrwano kartkę?

Gdzie, do cholery, ten notes!

Czy w tych warunkach można prowadzić śledztwo?

Problem listu odłożył na później.

Doświadczenie, choć inni ażaliby to intuicją, mówiło mu, że kartka z notesu należy do kategorii śladów pozornych.

Nawet ubecy, których trudno byłoby posądzić o skłonność do wyrafinowanych hipotez, byli zdania, że znaleźli stanowczo zbyt wiele śladów.

Minął jeszcze kwadrans do mieszkania powrócił sanitariusz.

Zebrałi, także ze ściany, doczesne szczątki tego, który już ujrzał "ciemny blask otchłani".

Starszy sierżant Paprotka usadowiony został na krześle w holu, niedaleko głównych drzwi.

Oględziny pozostałych pomieszczeń kapitan odłożył na później.

Z kieszeni prochowca wyjął nowe pudełko grunwaldów; poczęstował Paprotkę, sam zaś poszedł do gabinetu Szczapy.

Wygodnie ulokował się krzesła potężnym biurkiem.

Szperacze z U B zdążyli35.

tu już dokonać dzieła zniszczenia: stosy papierów piętrzyły się na wolnych krzesłach i podłódze, przemieszane z segregatorami zaopatrzonymi w numery akt oraz z książkami w eleganckich, starych oprawkach.

Wystarczającymi dowodami na to, że denat dzielił aktywność działacza partii z zainteresowaniami filozofią i literaturą piękną.

Także, co odkrył nie bez zaskoczenia, mistyką żydowską.

Znaczenie tej ostatniej dowodził zaczytany egzemplarz Księgi Zoharu wydanej po hebrajsku w Warszawie w 1926 roku.

Wirski pomyślał, że być może w tym tekście szukać należy inspiracji "testamentu" Szczapy. Odsunął nogą zawadzającą stertę książek.

Spod spodu wychynał niepozorny grzbiet zeszytu lub notesu.

Jest i notes, triumfował Wirski.

Z wyrwaną kartką, a nawet trzema!

No to mam was, panowie cichociemni!

Wyrwana kartka z "testamentem" pasowała do kłódki pozostałych w notesie.

Szkopuł jednak w tym, że brakowało także dwóch następnych kartek.

Przewertował zawartość notesu jakieś dwadzieścia pięć stron pokrytych drobnym i równym pismem.

Wyraźnie różniło się od tego, którym zapisano "testament".

Kreślił go ręką znacznie młodszą, gorzej wyrobioną, przywiązaną do zasad szkolnej kaligrafii.

Ręka, jak ocenił Wirski, młodzieńca, który dopiero rozpoczyna dorosłość, a który to zamierza zostać pisarzem.

Tekst stanowił bowiem fragment powieści lub opowiadania.

Ciekawostka lub nawet więcej, przegapiona przez bezpieczeństwo.

Fragment literacki pióra tego, jak mu tam, Michała Brochy!

Wirski, tak jak Kowadło icała bezpieki, wiedział co nieco o słabości sekretarza do wiejskiego chłopca, teraz zaś nie żle rokującego działacza ZMP.

Co ważniejsze członka Koła Młodych Z L P.

Osobiście niewiedział niczego z tego przyjaźni dojrzałego mężczyzny z młodzieńcem, w którym to związku ten pierwszy pełnił rolę mistrza, drugi zaś ucznia.

Sugestia Kowadły, jakoby związek ten miał dwuznaczny, niemoralny charakter, uważał za wyjątkowo obrzydliwe i typowe dla ludzi takich, jak major.

Lekturę notatek zostawił na później, najlepiej do domu po zakończeniu oględzin.

Teraz zaś starał się zapanować nad narastającym chaosem faktów i okoliczności, których znaczenia nie był jeszcze w stanie ustalić.

Jeśli zawiadaniem, zginie, nigdy nie odkryje sprawcy; jeśli stworzy fałszywą hierarchię wartości i zdarzeń, zginie również.

Jeśli wskaże niewinnego, odda go bezpowrotnie w łapy bezpieki.

Tak czy inaczej, wydaję sprawę na łaskę i niełaskę UB, pomyślał.

A tak nie powinno być.

Odłożył książki, zdusił niedopałek w kamiennej popielniczce i powrócił do oględzin sypialni, a następnie kuchni.

Kieliszek z odciskiem szminki zabrany został do ekspertyzy daktyloskopijnej, ale wpachnącej goździkami i piżmem sypialni znalazł coś równie interesującego: płócienny woreczek z odrobiną zielska, porzucony w stercie czystej białej pościelowej.

Wyglądał z pozoru niewinnie i zapewne dlatego uszedł uwadze funkcjonariuszy z UB: ot, zwyczaj dobrych gospodyń, aby włożyć nieco lawendy pomiędzy pościel.

Woreczek nie zawierał jednak ani la-

wendy, ani innego pachnidła. Zielsko okazało się zaprawioną olejem bawełnianym mieszanką konopi indyjskich i kilku jeszcze roślin, z których mieszkańcy Azji Środkowej wyrabiali haszysz. Mocny środek halucynogeny, jeśli tylko świeży. Miejscowi — jak zapamiętał Wirski z wyprawy do pakistańskiej części Indii — żuli go w postaci niewielkich prymek, ale przyjeźdnym zalecali mniej radykalną metodę: należało umieścić szczyptę „małpiego zielska” w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym i niuchać. Wirski poznał zgubne skutki zażywania pakistańskiego haszyszu. Zgubne i znamienne zarazem, bo tylko dzięki niemu był w stanie przebyć dwadzieścia angielskich mil pieszo, bez wody i pożywienia, w niemiłosiernym skwarze...

Szkopuł w tym, że haszysz z płóciennego woreczka był zupełnie zwietrzały i nikomu nie mógł już ani pomóc, ani też zaszkodzić. Pamiątka po żonie denata, obiekt bez jakiegokolwiek znaczenia czy kolejny fałszywy trop? Ale czyż prymka haszyszu, nawet zupełnie zwietrzałego, nie powinna czegoś znaczyć tutaj, w Warszawie, w sercu miasta, dwieście metrów od siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego? Rok i miesiąc po śmierci Ojca Narodów i Przywódcy Światowego Proletariatu?

Niemal z trwogą spojrzął na kalendarz w kuchni. Pokazywał sobotę 6 marca 1954 roku, co oznaczało, że ostatnia zerwana kartka nosiła tę datę: 5 marca. Równo rok po odejściu Stalina. Wirski poczuł silne mrowienie w okolicach pleców. Dlaczego Szczapa nie zrywał kartek już od miesiąca? Dlaczego nie robił tego właśnie od

6 marca tego roku? Dlaczego zginął niemal równo miesiąc po rocznicy śmierci Wodza? Ta zbieżność dat mogła nie być przypadkowa! A jeśli tak, to jaką tajemnicę skrywa? Może jej poznanie będzie kosztować wielu ludzi wiele cierpień, ale pozostawienie w ukryciu okaże się równie tragiczne w skutkach. O co tu chodzi, co mam robić?, myślał gorączkowo.

Przywołany z pamięci, czarno-biały, nieco zamazany obraz z jakiejś kroniki filmowej przyniósł upragniony spokój — sale reprezentacyjne na Kremlu: kolumny, pilastry, sztukaterie, girlandy, dywany, kryształowe pająki, obrazy w złożonych ramach. Weneckie lustra odbijające sylwetki dostojników. Kwiaty, kwiaty, morze kwiatów. Pośrodku wysoki katafalk, a na nim Gospodarz... Ma przymknięte oczy; wydaje się, że tylko drzemie, ba, że widzi wszystko, że nawet lekko się uśmiecha. Dlatego ciasno stłoczeni żałobnicy posuwają się w ciszy, na palcach, tak aby nie zakłócić jego odpoczynku. Tylko niewygodna pozycja śpiącego — na wznak — pozwala się domyślić, że to nie jest zwykła drzemka.

Śpi więc i pewnie się już nie obudzi. Właśnie wtedy w głowie kapitana Wirskiego zakiełkowała buntownicza myśl, że ani komenda stołeczna, ani tym bardziej bezpieka nie muszą znać całej prawdy o wydarzeniach w alei Róż. Przecież ubecy przeszli obojętnie obok kartkowego kalendarza w kuchni. Robili zdjęcia, może nawet sfotografowali tę ścianę z kalendarzem, ale go nie ruszyli. Nie obejrżeli pozostałych kartek, ani tym bardziej ich rewersów, na których — no, proszę — coś zapisano ołówkiem! Zapisano

38

39

i podkreślono: "zostało jeszcze na 12 dni".

To pod datą 11 marca.

Potem zaś na odwrocie kartki z 29 marca: "termin przełożonyo dwa tygodnie od dziś".

No właśnie: termin czego został odłożony?

Musiał być ważny; to, że został zapisany w kuchennym kalendarzu, sugerowało, że miał charakter prywatny, domowy.

Czy tylko osobiste sprawy znalazły tu swoje odbicie?

, zastanawiał się, ujrzawszy kolejny zapissek.

Uwaga!

Pod datą 14 kwietnia (środa): "Więckowski, godz.

16.00, pokój 215", Kim jest Więckowski?

Najpewniej urzędnikiem w dobrze znanej Szczapie instytucji, skoro jej nazwy i adresu nie zapisał.

Ale też nikim dobrze mu znanym, skoro zanotował numer pokoju.

Gdzie?

W Komitecie Wojewódzkim?

W jakimś szpitalu?

A może na uczelni?

W ministerstwie, na przykład Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej 6?

Cóż, znajdziemy tego Więckowskiego, choćby przyszło przekopać się przez wszystkie warszawskie urzędy, szpitale i szkoły.

Skąd jednak wiadomo, że właśnie warszawskie?

A może, na przykład, radomskie?

Pomyślał z nostalgią o warszawskiej książce telefonicznej PAST, rocznik 1938/39.

Pozbawiony okładki egzemplarz poniewierał się po domu.

Kogo tam nie było?

Telefon i adres ministra spraw zagranicznych Józefa Becka przy Szopena 14, Wirskiego na Flory 3, Pani Wirskiej, matki komisarza, przy Częstochowskiej 8.

Telefon do Referatu Zabójstw w Komendzie Głównej.

Z kimś takim, jak Więckowski nie byłoby, najpewniej, problemu.

Sprawdził przy okazji, czy żył wówczas jakiś ważny Więckowski.

Nazwisko popularne, więc ktoś się znajdzie.

40 Szybko przejrzał dokońca kalendarz, a potem go odwiesił; więcej zapisków nie znalazł.

Były jednak krzyżyki na odwrocie niektórych kartek skreślone tym samym ołówkiem.

Po chwili wahania zerwał kartkę z datą 6 marca.

Tak, 7 marca 1954, ta data wyglądała już znacznie lepiej: była prawie niewinna.

Schował zerwaną kartkę do kieszeni.

Znalazł w kredensie czystą szklanę, nalał do połowy wody z kranu i usiadł na pomalowanym nabiałem taborecie.

Pił drobnymi łykami, zaciągając się na przemian papierosem.

Popiół strzepywał starannie do emaliowanego zlewu.

Podniósł się i rozpoczął obchód rozległego mieszkania.

W swoim notatniku naszkicował plan wnętrza; zainteresowało go zwłaszcza drugie, "służbowe" wejście.

Kuchenne drzwi prowadziły do małego alkierza, rodzaju spiżarni magazynu zarazem, wypełnionego gospodarskimi sprzętami, odkurzacz firmy Electrolux nie wyłączając.

Stąd wąskie wejście na lewo do kuchni, na wprost do służbówki, która zmieniła swoje przeznaczenie: wypełniona półkami służyła teraz magazynowi książek.

Również i tutaj panował bałagan, spowodowany przez ludzi z bezpieczeństwa.

Zawartość większości półek spoczywała bezładnie na podłodze, odsłaniając kolorowe okładki przedwojennych czasopism i literatury "kuchennych schodów".

Owe Hintertreppenroman.

e, jak nazywał je Wirski, zachęcały, by po nie sięgnąć; cóż, kiedy nie było na to ani czasu, ani możliwości.

41.

Wybiła już szósta po południu, kiedy zakończył oględziny w mieszkaniu Szczapy.

Zadzwoił do Komendy Stołecznej, by zapytać o sekcję zwłok.

Doktor Kierszman miał być gotów koło dziesiątej, więc kapitan uznał, że ma kilka godzin wolnego.

Poczuł silny głód w końcu oderwano go od obiadu, arumszyk z frytkami przepadł narzecznym gościom Rarytasu.

Zanim jednak zdecydował, co z kolacją, zadzwonił w jeszcze jedno miejsce.

Szczyście mudopisywało, miły głos w słuchawce zapewnił, że dla kapitana ma zawsze czas i zaprosił do domu przy Partyzantów (dawniej Oleandrów) na kawę i coś do kawy.

Tania Rypnis wyglądała równie ośniewająco jak wtedy, gdy spotkał ją z Antosiem i gromadką dzieci powracających z kościoła.

Na cześć kapitana ubrała się w ciemnoczerwoną wieczorową suknię, która podkreślała jeszcze

płomiennosc jej wlosow i urody.

Zielone oczy spoglady filuternie, gdy czestowala utrudzonego stroza prawa koniakiem i napredce przygotowanymi kanapkami.

Mimo pozorow swiatowoscizona wybitnego tenora wiodla zycie raczej samotne, przynajmniej od narodzin Antosi, ktore uniemozliwily jej towarzyszenie malzonkowi w krajowych i zagranicznych koncertach.

Tych ostatnich bylo jednak w ostatnich latach znacznie mniej niz dawniej.

Adam Rypnis musial zadowolic sie wystepami w warszawskiej Romie tylko sporadycznymi wyjazdami na Krym.

Drugi tydzien kwietnia 1954 roku poswiecil nagraniom dlaczeskiego Supraphonu, totez wizyta kapitana Wirskiego stanowila dla Tani mile intermezzo w raczej pozbawionym rozrywki okresie przed swietami Wielkiej Nocy.

42 Mój Boze oswiadczył Wirski gdybym to jabył piętnaście lat młodszy.

Niedałbym pani spokoju, cudowna pani Taniu!

Piętnaście lat temu, Ryszardzie, był pan zajęty pewną czarującą blondynką, a moja kuzynka świeć Panie nad jej duszą, zaś byłam brzydkim, piegowatym podlotkiem, chorym na gruźlicę.

Naprawdę, nie najgłupiej jest urządzony ten świat.

Przepraszam, ten najlepszy ze światów.

Ostatnią kwestię wygłosiła z naciskiem, który nie uszedł uwadze Wirskiego.

Nie wiedział tylko, czy "najlepszy ze światów" odnosi się do znanego twierdzenia Leibniza, czy też raczej do obowiązującej doktryny politycznej.

Tak czy owak, była w tym zachęta dla starzejącego się wielbiciela.

Czyż może być przypadkiem kontynuowała Tania to, że spotkaliśmy się dziś wbrew zapowiedzi tego okropnego majora, jak mutam.

Kowadły.

No cóż, człowiek to raczej szorstki, a leniwy pozbawiony zalet.

Spojrzała uwodzicielsko na kapitana.

Nie musigo pan bronić, Ryszardzie.

Nie atakuję go; przeciwnie, wydał mi się w równym stopniu okropny, co interesujący.

Jako mężczyzna, rzecz jasna.

Widząc, że Wirski spochmurniał, odstawił kieliszki delikatnie ujęła jego dłoń.

Nie musi pan być zazdrosny, Ryszardzie.

Przecież pan doskonale wie, że spośród wszystkich dzielnych i bardzo męskich funkcjonariuszy milicji interesuję mnie tylko jeden.

43.

Silniej teraz ścisnęła rękę kapitana i ku jego wielkiemu zmieszaniu przyłożyła do swoich ust.

Pocałunek pozostawił widoczny, karminowy ślad na opuszkach palców, który Wirskiemu niemożliwe było przypomnieć kieliszka z sypialni Szczapy.

Ten obraz pojawił się tylko na ułamek sekundy, bo wykorzystując przewagę, jaką daje zaskoczenie, Tania z gracją ulokowała się na kolanach kapitana.

A tylko ten jeden jest prawdziwym dżentelmenem i nigdy nie zdradzi sekretu swej wybranki.

Potym wyznaniu objęła ramiona Wirskiego i przytuliła się twarzą do jego twarzy.

Rude włosy uwolniły się spod przepaski i zasłoniły kapitanowi świat.

Ich zapach, skąd znam ten zapach?

Jest tak urzekający, myślał gorączkowo; zdecydował o ostatecznej kapitulacji.

A co z Antosią?

Zapytał tylko, kiedy Tania w prawnym ruchu zsunęła ramiączka sukni, a spod karminowej zasłony wychynęły dwie nagie piersi, by już za chwilę dotknąć koniuszkami jego ust, najpierw jedna, potem druga.

Antosia śpi zmęczona zabawą.

Ale niemy zbyte czasu.

Przywołane przez Tanie dżentelmeńskie zasady nie pozwoliły Wirskiemu nato, aby i dalszy bieg



wypadków pozostawić kobiecie.

Delikatnie podniósł ją z kolan, postawił przed sobą i pomógł zrzucić suknię, a następnie halkę i desusy.

Olśniewająco białą skórą Tani upstrzoną milionem drobnych piegów, czarnorude runo w rozwidleniu udu i delikatne kołysanie piersi, które towarzyszyło jej ruchom, to odkrycia, których mógł się spodziewać, a które jednak porażały swą obecnością.

Pomyślał, że warto byłoby dla tej właśnie chwili, dla odkrycia piękna Tani przeżyć wojnę, znoś więzienie i upokorzenia.

Tak, Ryszardzie, dobrze myślisz, czekałam na ciebie.

Jestem twoją nagrodą i twoim zadośćuczynieniem wyszeptła, przytulając się do niego.

A teraz kolej na ciebie.

Marynarka, koszula, spodnie, nie każ mi czekać!

Wirski był zbyt wzruszony, aby tak po prostu wziąć tę niezwykłą kobietę.

Delektował się jej urodą, pieścił, przemawiał czule, bardziej jak do dziecka niż do kochanki.

Tania była objawieniem, cudem, który zdarza się tylko raz w życiu.

Nie mógł niczego zaprzepaścić, zmarnować.

Delikatne skrobanie w drzwi przerwało ów cud przy ulicy Partyzantów.

O Boże, już ósma.

Antosia się obudziła!

Nic, poza brzydkimi kratami w oknach na fioletowo pomalowanymi oknami, nie sygnalizowało nielicznym przechodniom, jakim celom obecnie służy elegancka niegdyś rezydencja na skraj parku Morskie Oko.

Żadna też tabliczka nie anonsowała prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej, który oficjalnie znajdował się przy ulicy Oczerki.

W istocie, zakład przy ulicy Dworkowej miał charakter tajny.

Władze bezpieczeństwa stworzyły go nie tylko dla swej wygody (było stąd blisko do Komendy Głównej, ale też do wznoszonych od niedawna przy Rakowieckiej gmachów Ministerstwa Bezpieczeństwa), lecz także w celu uniknięcia zbyt licznych konfrontacji zarówno ze studentami, jak i z bliskimi ofiar.

Prosektorium stanowiło ważne

ogniwo w systemie sprawnego, naukowego wykrywania sprawców różnego kalibru.  
Mrocznym przybytkiem Thanatosa władał doktor Kierszman, uczeń sławnego Mariana Franke, anatomopatolog z Uniwersytetu Lwowskiego.  
Po wizycie u Tani Wirski zdążył jeszcze zmienić niedzielny garnitur na milicyjny mundur.  
Silny fetor białej łazurzonej w basenach z fenolem oznaczały nieodwołalny powrót do milicyjnej rzeczywistości.  
Doktor Kierszman był prywatnie partnerem Wirskiego dobrydża i warszawskich plotek.  
Z jego wiedzy i doświadczenia Wirski korzystał już pod koniec lat trzydziestych, kiedy to awansował na wiceszefa referatu kryminalnego.  
Kierszman od razu dostrzegł dyskretną, ale osobliwą zmianę w nastroju kolegi.  
Dolar przeciwko złotówce, kapitanie, że wydarzyło się coś ważnego, wszakże coś, o czym nie będzie tu dziś mowy!  
Dobrze, że nie założyłem się, doktorze, bo przegrałbym złotówkę.  
Zresztą jako lojalny obywatel nie wiem nawet, jak taki dolar wygląda.  
Mówiąc precyzyjniej, już nie pamiętam.  
To dobrze, Ryszardzie, to dobrze, że już zapomniałeś.  
A może ty tylko grubym płaciłeś i naprawdę nie wiesz, jak takie "byle co", one single dolar, możesz przedstawiać?  
Spostrzegłszy, że kapitanowi daleko do żartów z obecnej mizerii, szybko dodał: Uważaj!  
Za moment na próbę wydana zostanie nie tylko twoja lojalność, lecz także inteligencja!  
46 Ani dziś, ani przed wojną nie obstawał przy tym, że oficer śledczy ma być inteligentny.  
Obaj dobrze jednak wiemy, że aby przeżyć, musi być zawsze o krok przed swoimi przełożonymi!  
Kapitanie, proszę przygotować się na mocne wrażenia i podstępne pytania.  
Uwaga, zaczynamy!  
W tym momencie doktor Kierszman bardziej niż adept socjalistycznej kryminologii przypominał preparatora włók z powieści Nasz wspólny przyjaciel Dickensa ulubionej lektury obu panów.  
Za czarnego parawanu jak z zakurty wyjechał wózek z doczesnymi szczątkami Szlomo Grynberga alias Bogusława Szczapy.  
Zwłoki były nagie, tylko głowę przykryto brudnym ręcznikiem.  
Od dobrego kwartału dopraszam się najskromniejszego choćby przydzwiewku dla moich pensjonariuszy.  
Niemuszę dodawać, że bezskutecznie.  
Dla tego tu będę musiał przynieść coś z domu.  
Niemógłbym spojrzeć w oczy wdowie.  
Wirski pomyślał, że o ciążę Szczapy wdowa pomyślała raczej nie będzie, ale tę konstatację zachował dla siebie.  
Jak widać, mężczyzna, lat około czterdziestu, czterdziestu pięciu Kierszman charakteryzował nowego "pensjonariusza" wzrostu średniego, znaki szczególne: szeroka blizna pod prawą łopatką, najpewniej ślad po ranie postrzałowej.  
Przebyte choroby: gruźlica w dzieciństwie, także krzywica.  
Osoba najprawdopodobniej żydowskiego pochodzenia, ale tę kwestię darujmy sobie na razie.  
Ofiarą nacyjnej biedy: w młodości wykonywał ciężką pracę<sup>47</sup>.

fizyczną, zapewne tragarza.

Świadczą tym charakterystyczne zniekształcenia kośćca, o tu i tu.

Charakter wykonywanej ostatnio pracy: umysłowa.

Widać to podłoniach, ale nie tylko.

Jakbyś drogi doktorze wróżył z kart, a nie z człowieka przytaknął mu Wirski.

Człowieka?

Cieszę się, że widzisz w nim wciąż człowieka.

To rzadkie w naszym fachu.

Nieczekając na jakąkolwiek reakcję ze strony Wirskiego, kontynuował: Sytuacja życiowa denata uległa wyraźnej poprawie w ostatnich latach.

Zaleczone zostały różne choroby, choć zapewne nie wszystkie.

Nie wszystkie?

Jakie na przykład?

Mam powody sądzić, że cierpiał na chorobę wieńcową. przebył przynajmniej jeden zawał.

Co gorsza jeszcze, miał zmiany nowotworowe trzustki.

Przypadek raczej beznadziejny.

Ale i o tym później.

To bardzo ważne, co powiedziałaś.

Poczekaj, będą jeszcze ważniejsze.

Denat nadużywała alkoholu.

była też morfina i inne środki odurzające.

Jeśli powiesz mi teraz, że brał także opiaty lub odurzał się haszyszem, nie uwierzę i uznam, że jesteś szarlatanem.

Przecież doskonale wiesz, że jestem uciął Kierszman.

Wiesz również, że połowa z tego, co ci tu powiedziałem, nie znajdzie się w raporcie.

Brak jak wiadomo naukowych podstaw dla wielu hipotez, a więc nie są one hipotezami, tylko efektem wróżenia z fusów.

48 No, raczej z wątroby i jelit.

Kierszman zaśmiał się: W przypadku opium i heroiny czy jak mówisz: "opiatów", mam swoją teorię, której nie znajdziesz w literaturze fachowej.

Narkotyki z tej grupy rujnują, według moich obserwacji, górne drogi oddechowe, powodują częste zapalenia oskrzeli i płuc.

A ten tu miał nie tylko naczyniawieńcowe, trzustkę, ale i płucaw fatalnym stanie.

Jednym słowem żywy trup.

A teraz uważaj!

Kierszman odsłonił to, co zostało z głowy denata.

Zgon nastąpił z soboty na niedzielę, między ósmą wieczorem a piątą nad ranem.

Z większą dokładnością nie da się tego, na razie, ustalić.

Na koniec przyczyna zgonu.

Nagłego zgonu, podpowiem.

Raczej nie to, co widać.

Brawo, kapitanie!

Gdybyś był młodszy, zaproponowałbym ci moje miejsce po rychłym już przejściu na emeryturę.

Jeśli nieta przyczyna, którą widać, to jaka?

Trucizna lub śmierć naturalna.

Ta druga mogła nastąpić o każdej porze.

Nowotwór nie dawał jeszcze znać o sobie, a zegar życia nastawiony był na kilka, co najwyżej na kilkanaście miesięcy.

Tymczasem angina pectoris, czyli dusznica bolesna, mogła zaatakować w każdej chwili.

Wiedziałaś, że chorował na serce?

Skąd mógłbym wiedzieć?

Nie powiesz mi jednak, że zmarł na zawał serca?

Tego przecież nie twierdzę.

Zostaje więc trucizna.

Trucizna, konkretnie cyjankali, kapitanie.

49.

Cyjankali!

Pomyślałem o tym od razu, na miejscuzdarzenia.

Ten charakterystyczny obrzękna szyi, zmianakoloru skóry.

Istnieje więc znaczne prawdopodobieństwo, że ofiaranie żyła w chwili, gdy strzelono jej w skroń i pozbawionowiększej części trzewioczaszki.

Nie wiemy natomiast, czy zmarła w wyniku samobójstwa, czyzabójstwa.

Ja tego nigdy nie będę wiedział, ale ty, Ryszardzie,znasz okoliczności towarzyszące śmierci tegoczłowieka.

Wirski zrelacjonował Kierszmanowiwszystkolub prawie wszystko, czego dowiedział się na miejscu zdarzenia.

Okazało się, że również Kierszman znał plotkę na tematwiązkusekretarza ze studentem uniwersytetu.

Wynikałoz tego, że cała Warszawawiedziała o tejsłabości denata,ale teźnabrała wody w usta, aby otworzyć je dopiero teraz, ponagłej śmierci bohatera skandalu.

Powiedziałbym, że to samobójstwo albo inteligentniezaaranżowane morderstwo komentował Kierszman.

Narzędziem mordu było cyjankali.

Strzał w głowę albobrzypadkowy, albotylko po to, aby wprowadzić nasw błąd.

Doktorze, zmusić dorosłego, sprawnego, mimo chorób, mężczyznę doprzyjęcia trucizny, nie jest łatwo.

Trzeba dotego znacznej siły, sytuacyjnej przewagi.

Stanu narkotykowego odurzenia lub podstępę dokończył doktor.

Prędej to drugie.

Nie mamna to wyraźnych dowodów, ale sądzę, że sprawcąmogła byćosoba sła50ba fizycznie,zato inteligentna,przebiegła, zdeterminowana.

Oo!Najpewniejkobieta!

Narzeczona tego uwiedzionego przez Szczapę.

Łatwość, zjaką osoba postronna, taka jak Kierszman,wskazała potencjalnego sprawcę, zaskoczyła Wirskiego.

Kapitan zdecydował, że drugi dzień śledztwa poświęcony zostanie tajemniczej kobiecie towarzyszącej być możeostatnim chwilomSzczapy.

Zanim pożegnał doktora, zapytał jeszcze: Czy sądzisz, że Szczapazdawał sobie sprawę z zagrażającej muchoroby nowotworowej?

Zapewne nie, tonie było jeszcze stadium finalne, niezwyklebolesne.

Trudno jednak, żebynie odczuwałskutków angina pectoris.

Duszności, bóle klatki piersiowej.

Być może nawet omdlenia.

Zapewnejednaklekceważył je, jak my wszyscy lekceważymy te objawy u siebie.

My wszyscy?

Chcesz powiedzieć, że ja także?

A kiedy to, jeśli wolno mi zapytać, mój sześćdziesięcioletni, przepracowany przyjaciel był u kardiologa?

Zrobił stosowne badania?

Wirskiroześmiał się: O to zadbali jużmoi przełożeni.

Co roku obowiązkowe badania płuca, serce i tak dalej.

Jestem zdrowy, jak mało kto!

Kierszman nie dawał zawygraną: Gdybym nie wiedział, jak wyglądają takie "przeгляdy generalne", byłbym skłonny przyjąć to za dobrą monetę. Za dobrze jednak znamtego waszego konowała, jak mu51.

tam, Letnickiego, żeby wierzyć, że jeszcze zdolny jest wykryć cokolwiek.  
Eter, morfina i zwykły spirytus zrobiły już swoje w jego szarych komórkach!  
Wirski pomyślał, że Kierszman ma rację.  
Doktor Letnicki z komendy stołecznej nie był lekarzem godnym zaufania.  
Przypomniawszy sobie, że on sam miał ostatni problem z wyjściem na czwarte piętro, kiedy zepsuła się winda na Flory.  
Szybko więc pożegnał anatomopatologa, ale nie mógł nie usłyszeć, jak ten woła jeszcze od drzwi sekcji: Pamiętaj, że przyjmuję nie tylko umarłych!  
Zajrzyj do domu zaraz po świętach.  
Zajmiemy się twoim sercem!

Dzień drugi - poniedziałek Wielkiego Tygodnia.

Rankiem 12 kwietnia Wirski tak dalece pochłonięty był myślami nad ostatnimi wydarzeniami, że wbrew wieloletniemu przyzwyczajeniu miast w prawo, w Klonową skręcił w lewo w stronę poczty narożnej Flory i Bagatela.

Urząd pocztowy, przed wojną i teraz "Warszawa II", był jedynym znanym mu w mieście adresem poczty, który nie uległ zmianie.

Pod drzwiami urzędu stał jasnowłoszy chłopiec, bohater incydentów restauracji Rarytas.

Cześć!

powiedziała kapitan.

Spotkaliśmy się wczoraj na obiedzie.

Ty nie chciałeś jeść galaretki z indyka.

Czyż nie tak?

Chłopiec potwierdził i aby zamantestować, że rozmowa z kapitanem nie robi na nim najmniejszego nawet wrażenia, wyjął z kieszeni kredę i zaczął kreślić jakieś znaki na chodniku.

Jak masz na imię?

zapytał jeszcze kapitan.

Włodzio.

Mieszkam pod piątym.

To już zauważyłem.

Masz szkołę po południu?

Nie chodzę do szkoły.

A to czemu?

zdziwił się kapitan.

Jesteś już spory chłop, masz chyba osiem lat.

Tylko sześć wyjaśnił Włodzio.

Chciałem iść w tym roku do szkoły, ale mama powiedziała, że nie ma się spieszyć.

55.

Może i miał rację westchnął Wirski i pożegnał chłopca.

W samą porę, bo z poczty wyszła matka Włodzia i rozpoznawszy kapitana, spojrzała na niego lekko zaskoczona.

Uklonił się i ruszył dalej.

Pewnie myśli, że ja się pieguję.

Boże, co za czasy!

To, że złamał bezwiednie swoją zasadę nieskręcania w lewo, wzbudziło w nim obawę, czy powstałe w ten sposób (coś z tego, że drobne!

) zakłócenie porannego rytuału nie przyniesie jakichś niepożądanych skutków.

Awszystko dlatego, że po wczorajszym powrocie z prosektorium nie miał już możliwości zamówienia warszawy, a nikt z jego kolegów lub przełożonych nie wpadł na pomysł, aby zabrać go rano do komendy.

Powinien teraz trzymać się lewej strony ulicy Bagatela, by jak najkrótszą drogą dotrzeć do placu Unii Lubelskiej, do żelaznego okrągłego z trafiką we wnętrzu.

Tu pan Władysław, kombatant wszystkich wojen XX wieku, trzymał dlań paczkę belwederów wraz z porannym "Życiem Warszawy".

Jednak widok zakurzonych, zionących beznadzieją witryn PPPG OG 3 W-S instytucji, która miała podobno coś wspólnego z dystrybucją gazu w miejscu kolorowej i gwarnej przedwojennej kawiarni niespodzianka był mu tak przykry, że przeszedł na drugą, północną stronę ulicy.

Wirski nie był, na swoje szczęście, zwolennikiem spiskowej teorii dziejów; w przeciwnym wypadku musiałby uznać, że istnieje jakieś tajemne porozumienie między Zjednoczeniem Przemysłu Naftowego, które zajęło dwa piętrowe kamienice na Flory, a tym tajemniczym PPPG OG 3 W-S, które zagarnęło jego ulubioną kafejkę kamienicy Łaskiego przy Bagatela 13.

Postanowił dziś wyjątkowo pojechać trolejbusem 51, który miał tutaj końcowy przystanek.  
Rzadko korzystał z tego nieznanego w dawnej Warszawie środka komunikacji; zaimportowane ze Związku Sowieckiego pojazdy zastąpiły części tramwaje.  
Wirskinię lubił ich, bo poruszały się wolno i utykały na zakrętach z powodu wiecznie spadających pałaków lub nawet bez widocznego powodu.  
Zdarzało się, że ogarniały je płomienie, a wtedy zamykały mechanicznie drzwi, niestosowane w tramwajach, mogły być groźną pułapką.  
Ominięcie miejsca po Niespodziance okazało się błędem.  
Przechodząc w stronę przystanku nad drugą stroną ulicy Bagatela, znalazł się dokładnie naprzeciw modnego w latach trzydziestych Ambasadora.  
Dancing orkiestrą jazzową i pięknymi fordanserkami zajmował wówczas parter wraz z antresolą w domu Wildera pod dziesiątym, na lewo od bramy.  
Po lokalu ślad rzecz jasna nie pozostał.  
Wyparli go "chłopi", ci "z Marszałkowskiej", jak się mówiło na aktywników mikołajczykowskiemu PSL.  
Później, nie bez pewnej racji, miano to przypaść również ZSL.  
Kapitan szybko odpędził atakujące go i z tego miejsca wspomnienia, i kiedy już miał wsiąść do wozu, którego silnik był właśnie uruchamiany, w pustej, ciemnej bramie zobaczył ducha.  
Zatrzymał się na niskim stopniu pojazdu i spojrzał raz jeszcze.  
Zjawą bądź co bądź niewykluczone wytwór przemęczonego umysłu, przybrała postać Tomasza Dankowskiego, właściciela Ambasadora.  
Dankowski, znany kapitanowi 57.



z lepszych czasów, oddać musiał lokal w ręce Niemców jeszcze jesienią 1939 roku. Ambasador stał się, pod nową nazwą, lokalem *nur für Deutsche*, jednym z pierwszych tego rodzaju w okupowanej Warszawie.

Również dawny właściciel otrzymał nowe nazwisko, którym pomógł mu zdegradowany porucznik podkomisarza, ale wciąż jeszcze służący w policji, Wirski.

Zorganizował Dankowskiemu lewe, aryjskie papiery zaraz po konfiskacji pierwszych działaniach okupanta ograniczających wolność i własność Żydów.

Wirski stracił jednak dawnego sąsiada z oczu pod koniec 1941 roku.

Z oficjalnego raportu dowiedział się, że Dankowski alias Nowak zginął od kul *Bahnschutz*a podczas obławy nadwroc w Warszawie Wileńska w grudniu tegoż roku.

Onto właśnie teraz, jak gdyby nigdy nic, a właściwie tak jak kiedyś, w długim trenchu z postawionym kołnierzem palił papierosa.

Twarz zakrywało rondo kapelusza, ale kapitan nie miał wątpliwości był to przybyły z zaświatów Tomasz Dankowski.

Zdumienie byłowalca Ambasadora jeszcze wzrosło, kiedy w ślad za Dankowskim z bramnego półmroku wyłoniła się wysoka, szczupła sylwetka kobieca.

Natychmiast rozpoznał w niej tancerkę Kikę jej prawdziwego nazwiska nigdy nie pamiętał gwiazdę stołecznych kabaretów, kochankę właściciela lokalu i co tu kryć także i Wirskiego.

Kika, uratowana z getta bez pomocy niezawodnego podkomisarza, podzielić jednak miała los Dankowskiego, choć znacznie później, bo w roku 1944, za denuncjowanego przez szmalcowników.

58 Choć rozpoznał ich, zanim oni rozpozнали jego, wstrząs wywołany spotkaniem z przybyszami z zaświatów sprawił, że to w końcu oni odezwali się pierwsi.

Ryszard Maria Wirski!  
uradowała się Kika.  
Pan komisarz Wirski!  
Wielkie nieba!  
zdumiała się Dankowski.  
Nie poznałem pana w pierwszej chwili.  
To przez ten nowy mundur.  
palemka kołnierzu.  
I symboliczną degradację z komisarza policji państwowej na kapitana milicji powiedział Wirski.  
Swoboda, z jaką poruszył kwestię "degradacji" (choć formalnie jego obecny stopień odpowiadał przedwojennemu), nie uszło uwadze tych dwojga.  
Rozmowa potoczyła się teraz warko, choć oni pozostali przecież ostrożni i czujni.  
Zapewne o sprawę nowego munduru Wirskiego.  
Kiedy to straciliśmy się z oczu?  
Pod koniec czterdziestego pierwszego, jakoś tak?  
kapitan bezpośrednio nawiązał do daty domniemanej śmierci pana Tomasza.  
Wówczas udało się nam opuścić Warszawę.  
Musielismy się rozdzielić, bo i mnie, i Kikę szmalcownicy deptali po piętach.  
Ale jak widać, udało się nam obojgu.  
A to dzięki papierom od pana komisarza, a także *Bahnschutz*om z Wileńskiej w świątecznej potrzebie.  
Zapłaciłem złotem za świadectwo zgonu Adama Nowaka, no i za nową tożsamość: tym razem Kazimierza Nowaka.  
Przewrotny los sprawił, że niedługo później Kika została Niemką.  
Tak przynajmniej wynikało z jej nowych papierów.  
Kika Niemką?  
zaśmiał się Wirski.  
Jeśli wolno mi zapytać: jakie nazwisko nosi obecnie?

Nazywam się tak Jak mój mąż, Nowak wyjaśniła.  
Jesteśmy oboje twoimi kreaturami, w dosłownym tego słowa znaczeniu!  
Nie da się ukryć przytaknął.  
Był przecież zażenowany rozmową o swoim wpływie na losy tych dwojga.  
Wyczuli to z łatwością.  
Tomasz zaczął relacjonować wszystko, co przydarzyło się Kicie od chwili, gdy Wirski stracił ją z oczu.  
Aby pokazać, że się nie spieszy i chętnie dowie się czegoś więcej o losach byłej tancerki, kapitan wyciągnął pudełko belwederów i zapalił.  
Przyjrzał się teraz obojgu w świetle słonecznego, kwietniowego dnia.  
Postarzeli się nie mogło być co do tego wątpliwości ale zachowała ładną elegancję sylwetek, ruchu i ubioru.  
I to właśnie było takie niezwykle.  
Tomasz zaprotestowała Kika nie czas i nie miejsce, aby opowiadać panu komisarzowi moje dzieje!  
A pan komisarz, przepraszam, pan kapitan, nadal na Flory, pod trzecim?  
Wistocie!  
Przewrotny, a może tylko ślepy los sprawił, że ocalałem wraz z kamienicą.  
Nie straciłem również mieszkania: zostawionymi dawnymi stołami, choć jawołałbym gabinet.  
Tę widokiem na Klonową?  
zapytała, nie bacząc na konspirację, która towarzyszyła ich przedwojennym kontaktom.  
Wirski potwierdził.  
W końcu romans z Kiką zakończył się na rok przed jego ponownym ożenkiem w trzydziestym szóstym.  
Piękna tancerka związała się w międzyczasie z panem Tomaszem.  
Stare dzieje skwitowała Kika.  
I naprawdę piękne czasy!  
Nie pytam, co robicie "w naszych rodzinnych stronach", ale nie mogę nie zapytać, kiedy będziecie tu ponownie.  
Moglibyśmy umówić się na kawę w Mokotowskiej lub na kieliszek koniaku u mnie w domu.  
Dankowski bąknął coś pod nosem, ale Kika, która wyraźnie przejęła inicjatywę, wyjaśniła, jak przedstawia się sytuacja.  
Do Warszawy przybyli aż ze Szczecina, gdzie osiedlili się zaraz po wojnie.  
Przyjechali w święta; majątu jeszcze znajomych, jak oni cudem ocalałych.  
Chcieli koniecznie, choć balisę tej konfrontacji, odwiedzić ulicę Bagatela, kamienicę Wildera, miejsce, w którym się poznali.  
Chcieli też odnaleźć Ryszarda, co właśnie im się udało już drugiego dnia pobytu w mieście.  
Wirski pomyślał, że w tym ostatnim zadaniu musiałim ktoś pomóc, nie wierzył bowiem w szczęśliwe lub nieszczęśliwe przypadki.  
Nie było też całkiem prawdą to, co powiedziała o pierwszym spotkaniu z Dankowskim.  
Dokonał pamiętała, że poznał Kikę z Tomaszem w jakimś lokalu przy Marszałkowskiej, pragnąc zarekomendować tancerkę do modnego wówczas lokalu.  
Ale faktem było, że Ambasador stał się ich azylem i domem równocześnie.  
To cóż, zapraszam w takim razie w najbliższe dni.  
Adres znacie.  
Mieszkam samotnie, choć wreszcie pojawił się ktoś w moim życiu, od czasu śmierci Marii.  
61.  
Kika uśmiechnęła się blado i podała Ryszardowi dłoń do ucałowania.  
Chyba już więcej się nie zobaczymy, pomyślał, pochylając się ku jej dłoni.  
Ale chwala Najwyższemu, że chociaż tych dwoje ocalało: najpiarza i fordanserkę.  
Będę pamiętać, Ryszardzie powiedziała cicho, lecz wyraźnie Kika.  
Nie wiedział jednak, czy było to przyjęcie zaproszenia, czy też pożegnanie.  
Kolejne zdanie wypowiedziane przez ekstancerkę rozwiało jego wątpliwości: Przyjechaliśmy tu w ważnej sprawie.

Tylko ty możesz nam pomóc, gdyż tylko do ciebie mamy zaufanie.

Trolejbus 51 odjechał, następny, 54, miał ruszyć dopiero za dwadzieścia minut, więc znów zmienił plany i wybiegł na plac Unii, rozglądając się za taksówką.

Postój od strony Klonowej świecił pustkami.

Nigdzie nie było widać wysłużonej skody z numerem 031, nieraz już ratującej go w podobnych wypadkach.

Kupił wokraglaku odłożoną przez kioskarszą paczkę belwederów oraz "Życie Warszawy".

Zapalił, zastanawiając się, co dalej.

Dobrze utrzymana demokratka na prywatnych numerach wybawiła go w końcu z presji.

Kierowca o nic

demokratka żartobliwa nazwałimuzyn marki Chevrolet, pochodzących z darów Stanów Zjednoczonych, którymi w latach 40.

i na początku 50.

posługiwali się komunistyczni dygnitarze; wysłużone wozy przeszły z czasem wręcz prywatne, widoczne były na ulicach Warszawy jeszcze w latach 60.

62.

nie pytał, zawiózł pod komendę i nie przyjął pieniędzy.

Kapitan pomyślał, że o w miły gest strony kogoś z bezpieczeństwa to kolejny dobry omen oraz że skręcanie Flory w lewo może przynieść niespodziewane pozytywne skutki.

O godzinie ósmej trzydzieści rano miał stawić się w pracy; właściwie tylko po to, aby przekazać prowadzone obecnie sprawy.

W pałacu Mostowskich wiedziano już o "wyróżnieniu" Wirskiego, którego mu rzecz jasna nie zazdrozczono.

Realistycznie oceniano jego szanse jak jeden do dziesięciu, ale też wróżono piękne zwieńczenie kariery na wypadek, gdyby udało mu się wynieść całość głowy.

Przywoływano pikantne szczegóły o pożyciu sekretarza z zetempowcem.

Dowiedział się, że milicja intensywnie poszukuje Michała Brochy, ale, jak dotąd, nie znaleziono ani w warszawskim akademiku, ani w rodzinnej wsi, gdzieś tam pod Skierniewicami.

Kim naprawdę był Szczapa?

, zastanawiał się, udając, że słucha tych plotek.

Oddany sprawie proletariatu komunistą, członkiem przedwojennego Bundu, a później PPR-u?

Czy raczej samotnym intelektualistą, skrytym za funkcję sekretarza KW?

A może śmiertelnie chorą osobą, coraz bardziej obojętną wobec świata, pograżającą się w mętnych, kabalistycznych spekulacjach?

Rozczynał w jeż.

jidysz: związek; pełna nazwa: Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji; lewicowa, antysemicka, antyżydowska partia żydowska działająca w kilkudziesięciu państwach europejskich w okresie od lat 90.

XIX wieku do drugiej połowy lat 40.

XX wieku.

63.

rowanym postępowaniem ludzi, których kochał?

Tego ostatniego dowodziłyby odnalezione dowody: rzekomy testament, książki hebrajskie.

Cóż, zanim został towarzyszem Szczapą, nazywał się Grynberg i był zwyczajnym Żydem.

Ale czy ma teraz jakieś znaczenie?

Na pytanie, z kim romansował Szczapa, również nie było jeszcze odpowiedzi.

Z młodym zetempowcem Michałem, o którym mówił Kowadło, czy z kimś jeszcze?

Z kimś, kto używał francuskich perfum i nosił eleganckie, jedwabne piżamy?

A może kimś podsuniętym przez bezpiekę celowi kompromitowania sekretarza?

Kapitan Wirski dobrze znał głęboko skrywane, aprzeciżywotne, antysemickie nastroje w milicji, w partii, również w służbie bezpieczeństwa.

Wzmógł się on wyraźnie po znalezieniu Światły pod koniec 1953 roku i

niedawnymzdymisjonowaniu dwóchnajbardziej wpływowychpostaciw Ministerstwie: Fejginai Różańskiego.

Polecił takżekomendant główny M O, Konarzewski.

W korytarzachkomendy stołecznej szeptano o szykującym się procesiedygnitarzy i rychłej rozprawie z"żydowskąkliką" w bezpieczeństwie.

Jeśli więc mocodawczabójcy Szczapy byłktoś z kręgu władzy, to mogłoby mu zależeć na wyeksponowaniu "hebrajskiego"wątku w okolicznościach śmierci.

Trop najpewniej fałszywy, jednakowożatrakcyjnydlanadzorującychsprawę, takich jak Kowadło, Krochmalskiego nie wyłączając.

Podobnie fałszywy mógł być ówwątek homoseksualny.

Bardziejwyobraźnia niżpolicyjnedoświadczenie podsuwały mu całkiem odmienny portretsprawcy.

Od pierwszych chwil pobytu w alei Róż Wirski

64

sądził, że za morderstwem Szczapy kryje się kobieta.

Kapitanodbył krótką i w gruncie rzeczymałokurtuazyjną rozmowę ze swoim szefem, majoremRękawkiem, bardzo niezadowolonym z faktu, że Komenda Głównazabieramujedynego oficera kompetentnego w sprawachzabójstw.

Wirski telefonicznieporozumiałsię z ZenonemKrochmalskim, który do nowego śledztwa pozwolił muzaangażować dwóch ludzi.

Mając zgodę zwierzchnika,spotkał się z wywiadowcą, starszym sierżantem Paprotką.

Paprotka wyraził się z entuzjazmem omożliwośćipracy z kapitanem, więc ten uczyniłgo swoim zastępcą.

Zapytał,kogo jeszcze sierżant widziałby w ich małymzespolu dochodzeniowym.

Bez namysłu Paprotka zarekomendował kaprala Cegielkę, młodego, ale świetnie zapowiadającego się wywiadowcę z komendy stołecznej.

Wirski spotkał się zCegielką; rozmowa pokazała, że jestto z pewnością właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Poszłowiec piorunem.

Rozdzieliłzadania między obuwywiadowców, którympolecił dyskretne przesłuchaniedozorcy(ten na pewnopracował dla bezpieczeństwa),sąsiadów Szczapy oraz milicjantówpatrolujących zbiegalei Róż i Koszykowej.

Pytać mieli, oczywiście,o odgłoswystrzału w sobotę wieczorem lubw nocy oraz o osobyodwiedzające Szczapę.

Zagadnął jeszcze o wynikibadań daktyloskopijnych zpobranych na miejscuzdarzeniapróbek, ale dowiedział się, że pracownia nie jest jeszczegotowa: Dziwne, mieli na to prawiecałą dobę.

A podobnosprawa Szczapy jest pilna i priorytetowa?

65.

Paprotka spojrział bystro na kapitana i powiedział półgłosem: I właśnie dlatego ta zwłoka.

Majewski i jego ludziezrobilianalizyw trymiga, a majorlub jeszcze ktoś wyżejzastanawiają się teraz, co zrobić z ich wynikami.

Wirski niezareagował na tę sceptycznąocenę.

Pomyślał, że liczne odciskipalców, znalezione nameblach, nakieliszku, i na czym tam jeszcze, nie należałyzapewnedokogokolwiek notowanego w kartotekach, a kieliszeknie zawierałniczego poza śladami koniaku.

Ciekawszamogła byćtylko szminka wzorowo odcisnięta na szkle, noi oczywiście powinny gdzieś się znaleźćślady cyjankali, jeśli otrucie Szczapy miało miejsce w mieszkaniu przyalei Róż.

Tak więc wieleistotnychinformacji pozostawałoniedostępnych dla śledczego.

Jednym słowem, dwa słowa skomentował wreszcie kapitan.

Paprotka znał to powiedzenie przełożonego, któryunikiałw mowie wulgaryzmów izastępował je cytatami z dziełliterackich.

Wiem, toz literatury pięknej, obywatelu kapitanie.

Ale nigdy nie powiedział pan, coznaczy, kto jest autoremi z jakiej książki pochodzi.

Dowiesz się, jak skończymy śledztwo.  
Pożyczę ci tę książkę.  
Dziś rarytas, biały kruk.  
A teraz na kawę!  
Prawdziwą, mocną kawę!  
Już o dziesiątej piętnaście kapitan Wirski pił kawę w Bristolu.

66

Generał Krochmalski dał mudwie doby na zebranie materiału i wstępną prezentację wniosków. Pierwsza konferencja miała się odbyć już w najbliższą środę, to znaczy w środę Wielkiego Tygodnia, 14 kwietnia o godzinie dziewiątej. Dwie doby to rzeczywiście niewiele, tym bardziej że Wirski musiał wyświecić kluczowe kwestie związane ze śmiercią Szczapy: rozstrzygnąć, czy miała ona charakter samobójczy, czy też nie, ustalić motyw, a w tym celu zbadać i ocenić owe zdecydowanie zbyt liczne ślady, pozostawione w apartamencie przy alei Róż. Wpierw jednak należało poczekać na wyniki analiz z laboratorium komendy. Wtedy zaś, przede wszystkim, wyeliminować najbardziej spektakularne, ponieważ mogły mieć charakter intencjonalny. Przeanalizować następnie ślady niepozorne, niewyraźne więc być może "prawdziwsze". Interesującym przykładem, pomyślał, co się stało z butelką alkoholu? Pitego jakoby z zarekwirowanego do ekspertyzy kieliszka. W kredensie w kuchni znalazł kilka nienaruszonych butelek mołdawskiego wina. Brakowało pustych butelek powódce, znajdujących się chyba w każdym warszawskim domu, także w pokoju kapitana Wirskiego. Rozważania przerwał mu kelner, który zaanonsował telefon. Poszedł więc do szatni, aby wysłuchać krótkiego raportu sierżanta Paprotki: "Po przesłuchaniu w tym Urzędzie Bezpieczeństwa, w alei Róż pod szóstym a pojawiła się obywatelka Bryś, gospodyni Szczapy". A więc nareszcie ważny świadek, ale i zagrożenie. Niech broń Boże świadek niczego niedotyka, niczego nie robi! I niech czeka spokojnie moje przybycie!

67..

wykrzyknął kapitan.

Będę u was najpóźniej za półgodziny.

"Świadek Aniela Bryś, lat czterdzieści pięć, panna.

aha, przepraszam, zamężna, urodzona w Młynarzach powiat Skierniewice.

zamieszkała Warszawa, ulica Mokotowska.

wykształcenie podstawowe.

", notował skrupulatnie, zerkając do nowiutkiego dowodu osobistego przedłożonego przez gospozię.

Bryś wyglądała na zmaltretowaną i przestraszoną: wielogodzinne zeznania w

Ministerstwie Bezpieczeństwa zrobiły swoje.

Tknięty współczuciem Wirski postanowił ograniczyć się do ustalenia podstawowych faktów, a resztę inwestygacji pozostawić na później.

Los miał jednak zrzucić inaczej.

Zapytał na początek, o której godzinie zaszła do Szczapy i dlaczego właśnie w niedzielę, kiedy powinna mieć wychodne ("przepraszam świadka, wolne").

Aniela Bryś wyjaśniła, że "świętej pamięci towarzysz Szczapa nie lubił, kiedy się sprzątało".

Żeby nie przeszkadzać, porządkowała w dni powszednie, kiedy był w pracy, a także podczas służbowych wyjazdów Szczapy.

Miała klucz do jego mieszkania, dokładnie odczasu, kiedy nieboszczyka opuściła jego żona Helena.

Wirski zauważył, że nie tłumaczy to jej, Anieli Bryś, niedzielnej wizyty 11 kwietnia, wręcz przeciwnie.

Bryś lekko zakłopotana odparła, że Szczapa nie zażyczył sobie, co prawda, jej obecności w dni świąteczne, ale w ostatnich miesiącach zwykła była, pomimo tego, zachodzić doń także w niedzielę, zaraz po porannym nabożeństwie w kościele św.

Zbawiciela.

66

Kapitan pomyślał, że szczerą wzmianką Anieli Bryś o regularnych praktykach religijnych wystawia dobre świadectwo jej wiarygodności jako świadka.

Pytanie, niezwykle istotne dla sprawy: co sprawiło, że postanowiła odwiedzić Szczapę także w niedzielę, zostawił jednak na później.

Zapytał natomiast, co zrobiła z butelką koniaku zalezioną w sypialni.

Odpowiedziała z prostotą, że wypiłatych kilka łyków, które zostały na dnie, a butelkę wyrzuciła do kubła na śmieci w kuchni.

Było to jeszcze przed makabrycznym odkryciem w salonie, około dziewiętej rano.

Jeśli nie skłamała, a nic nie wskazywało na to, że kłamie, butelka po koniakubiły łąbędz powinna znajdować się w niebieskim kubku na odpadki, wszakżetał jej Wirski nie znalazł.

Nie figurowała także na liście przedmiotów zabranych przez ubeków, być może jednak z winy niechlujstwa tych ostatnich.

Wyświetlenie tej sprawy należało zostawić na później.

Wirski poczęstował świadka papierosem, a sierżant Paprotka zaparzył herbatę i przyniósł dwie szklanki do gabinetu.

Ten drobny gest ze strony śledczego Aniela Bryś przyjęła z wdzięcznością i chociaż postanowił zamknąć już przesłuchanie, powiedziała, że pragnie złożyć ważne wyjaśnienie.

Wirski wyjął więc notes, wziął z biurka zastrugany ołówek i zanotował relację gospodyni.

Na kilka miesięcy przed śmiercią (pytano dokładnie datę) świadek Bryś odpowiedziała, że "tak z początkiem stycznia bieżącego roku") w zachowaniu Szczapy zaszła poważna zmiana.

Spokojny, zrównoważony, dzielący swój

69.

czas pomiędzy pracę i spotkania z młodym "panem Michałem", sekretarz zaczął zachowywać się w sposób niepokojący.

Na pytanie, co konkretnie zaniepokoiło świadka w zachowaniu towarzysza Szczapy, Aniela odpowiedziała, że "choroba i wielkie pomieszanie".

Szczapa zrobił się roztargniony i nieuważny; niemalże nieobecny.

Zapominało ważnych terminach, które notował sobie w kuchennym kalendarzu.

Świadek nie wiedziała, co prawda, jakich to spraw dotyczyły zapiski, ale słyszała raz, jak mówi do siebie: "zapomniałem na śmierć; będą z tego kłopoty".

Już to mówienie do siebie było niepokojące; nigdy wcześniej nie zauważyła, aby mówił sam do siebie.

Ba, zaczął zaniedbywać również swego podopiecznego;

zdarzyło się, że umówiony wieczorem nie przyszedł na spotkanie.

Tego właśnie fatalnego dnia, tuż po święcie Trzech Króli, wrócił dopiero rano, jak Aniela była już na miejscu.

"Nie, Boże uchojaj, był trzeźwy jak raz pan kapitan", a na wymówki gospodyni, że zapomniało Michale, który czekał nadaremno do dziewiątej, burknął coś i zamknął się w gabinecie.

Zasnął tam nad biurkiem, a kiedy wychodziła na palcach, aby go nie obudzić, zauważyła, że na blacie obok otwartej książki leży bukiet kwiatów.

Zabrała więc te biedne kwiatki, włożyła do wazonika z wodą i postawiła w sypialni.

Kiedy Szczapa obudził się, zrobił jej awanturę o fiołki.

Krzyczał, że nie upoważnił jej do zajmowania się jego sprawami prywatnymi.

"Afera fiołkowa" wzmogła czujność służącej (to znaczy gospodyni), która doszła do wniosku, że jej pan (to znaczy pracodawca) musiał się na stare lata

70

zakochać.

Jakby na potwierdzenie tej teorii, tydzień później zastała Szczapę w domu, w towarzystwie "młodej, bardzo eleganckiej pani", chyba jeszcze uczennicy, ale "ubranej po domowemu", w piękną, jak zapamiętała, błękitną sukienkę z niebieskiego jedwabiu w maki, z czerwoną kokardą po lewej stronie.

Wirski z satysfakcją przyjął skłonność świadka do odnotowywania szczegółów ubioru; nie przerywając wszakże, uważnie słuchał i zapisywał.

Chwilę później (było to wieczorem w niedzielę w połowie stycznia) w mieszkaniu przy alei Róż zjawił się pan Michał.

Widok pani kibardzgo wzburzył; krzyczał "Bożenko, przecież obiecałaś mi coś ważnego", a także "Bogusławie, to nielojalne z twojej strony"; potem zaś wybuchnął płaczem.

Pani, nazwana Bożenką, uspokajała najpierw jego, potem zaś Szczapę, który zaczął robić wymówki panu Michałowi.

W dodatku jej pan poczuł się słabo; zabolalo go w piersi i miał kłopoty z oddychaniem.

Zamilkł więc i ciężko usiadł w fotelu.

Tym samym awantura została zażegnana.

A więc stary Kierszman miał rację, pomyślał Wirski.

Angina pectoris lub inna jakaś przypadłość dawała znać sobie i pracodawca Anieli Bryś wiedział, że jest chory.

Jeszcze jedna okoliczność, którą należało wziąć pod uwagę!

Kiedy Szczapa poczuł się już lepiej, relacjonowała gospodyni, wszyscy troje wyszli z domu. Ale nie koniec natym; dwa albo trzy dni później do drzwi przy alei Róż zapukała ("zastukała, proszę pana oficera, a nie zadzwonił")

71.

niła") panienska Bożenka.

Zmartwiła się na wiadomość, że Szczapy nie ma w domu.

Chciała zawrócić; Aniela jednak, bardzo ciekawa tajemniczego gościa, zatrzymała ją i zaprosiła do kuchni na herbatę.

Po chwili wahania panienska zgodziła się zostać.

Podpytywana przez Anielę, kim jest i co łączy ją z panem Michałem (o Szczapę Aniela nie ośmieliła się zapytać), odparła, że jest młodszą siostrą Michała i że zarabia na życie, pracując jako sprzedawczyni w M H D na Woli.

Anieli te wyjaśnienia wydały się fałszywe, bo elegancka panienska nijaknie pasowała do skromnego, chodzącego w wytartym garniturze studenta Michała.

Wieloletnie doświadczenie Anieli z różnymi kategoriami "państwa" podsuwało jej myśl, że panienska musi pochodzić "z bogatego domu", czego nie dało się powiedzieć o panu Michale. Niepozwoliła jednak poznać po sobie, że nie wierzy w wyjaśnienia Bożenki.

Kto wie, jak daleko zaszłoby śledztwo podjęte przez gospodynię, gdyby nie powrót Szczapy. Teraz to on, zastawszy panienskę konwersującą w kuchni z Anielą, okazał niezadowolenie.

Opowiadałam właśnie pani Anieli o mojej pracy w sklepie spożywczym i pospieszyła z wyjaśnieniem Bożenka.

I o tym, jak nasza brygada podjęła uchwałę o przekroczeniu planu sprzedaży mleka i innych produktów.

Szczapa miał lekko unieść brwi w odruchu zdziwienia, ale nie odpowiedział, tylko zaprosił Bożenkę do swojego gabinetu.

Zamknęli się tam na klucz i nie odpowiedzieli na pukanie gospodyni i jej zapytanie o herbatę lub kawę.

72

Po północy Aniela dała za wygraną i poszła do domu (mieszka nieopodal, w oficynie przy Mokotowskiej), ale zanim to zrobiła, podeszła na palcach pod drzwi i nasłuchiwała.

Z gabinetu nie dochodziły ani odgłosy rozmowy, ani żadne inne dźwięki.

Czy to nie dziwne, panie oficerze?

zapytała śledczego.

Wirski mruknął coś pod nosem, co miało oznaczać aprobatę dla wniosków gospodyni. Pomyślał, że jeśli Aniela Bryś pracuje dla U B (co wydało mu się wielce prawdopodobne), to nic nie uratuje tajemniczej Bożenki przed aresztowaniem jeszcze najbliższej nocy.

Zapytał więc, czy opowiedziała wszystko ludziom z bezpieki.

Świadek zaprzeczyła:

Maglowali mnie wciąż o pana Michała, o to, kiedy przychodził i kiedy wychodził; co robili w nocy, a co zadnia.

Nikt nie pytał panienskę Bożenkę, więc też nic nie mówiłam.

To bardzo nierozsądnie ze strony Anieli!

Trzeba zawsze mówić prawdę, całą prawdę!

Teraz jednak może być już zapóźno.

Teraz niech Aniela trzyma raczej buzią kłódkę, bo może narobić sobie biedy.

A dziewczynę jutro odnajdę i zadecyduję, czy miała związek ze sprawą.

Jeśli tak, zostanie aresztowana; jeśli jednak nie, włos niespadnie jej z głowy!

Skończywszy wygłaszać to pouczenie zapytał, czy jej, Anieli Bryś, niedzielne wizyty w alei Róż miały jakiś związek z niepokojącymi zmianami w zachowaniu Szczapy.

A także z nie najlepszym stanem jego zdrowia.

Świadek

73.



potwierdziła.

Dodała, że w lepszych czasach mogła zostawić Szczapę samego na całą niedzielę, zawczasu ugotowawszy mu obiad (w powszednie dni stołował się w komitecie); w ostatnich miesiącach dostrzegła natomiast, że potrafił przez cały boży dzień nie wziąć niczego do ust.

Kapitan zauważył w duchu, że zapewne, prócz troski o posiłki i zdrowie sekretarza, gosposią kierowała ciekawość tego, co dziejesię w domu.

Także obawa, czy niezawładnęło nim "nieodpowiednie towarzystwo".

Z dalszej relacji wynikało bowiem, że w domu Szczapy pojawiły się kolejne osoby "niepasujące nijak do jego otoczenia":

tego, dobrze ubrany pan w średnim wieku w towarzystwie młodej, niezwykle szykownej kobiety; zapach jej perfum pozostawał długo po jej wyjściu.

Na tę parę natknęła się w domu jeszcze dwa razy, raz w lutym, potem w marcu.

Musieli jednak bywać częściej; obecność kobiety zdradzały jej intensywne perfumy.

Na pytanie kapitana, czy wie, kimsą ci ludzie, odpowiedziała, że nie.

Wirski odniósł jednak wrażenie, że mogłaby powiedzieć coś więcej; nie chciał jednak w tym momencie tracić z oczu głównych bohaterów dramatu.

Zapytał więc, czy młodzi ludzie, Michał i Bożena, pojawiali się w alei Róż także w okresie poprzedzającym śmierć Szczapy.

Świadek potwierdziła: z początkiem kwietnia wizytę złożył Michał; nie tylko z Bożenką, lecz także z jej rówieśniczką, która przedstawiła się jako Wandzia.

Ładna, wesoła blondynka z długim warkoczem ubrana była podobnie jak ta pierwsza: elegancko i kolorowo.

Zagraniczne materiały, najpewniej wełna i jedwab, a buty z prawdziwej skóry.

Świadek pomyślała sobie, że

74

jeśli Wandzia pracuje z Bożenką w MHD, to ona, Aniela Bryś, jest chińską cesarzową.

Wirski wyjaśnił, że Chiny nie są już cesarstwem, lecz ludową republiką, a stało się to w rezultacie wojny pomiędzy siłami postępu, reprezentowanymi przez towarzysza Mao Tse-tunga, a grupowaniami burżuazyjnej reakcji, kierowanymi przez Czang Kaj-szeka.

Aniela Bryś przyjęła to spokojnie; dodała, że dziewczęta rozmawiały przez chwilę oszkołe.

Zapytana, czy wie, o jakiej szkole była mowa, zaprzeczyła.

Po chwili namysłu powiedziała jednak, że wspominając dopiero co zakończone zajęcia, Bożenka pokazała koleżance prawą dłoń, przybrudzoną nieco czerwonym atramentem.

"Nawet nie zdążyłam jej domyć, tak się spieszyłam", miała powiedzieć.

Czerwonym atramentem?

zdziwił się kapitan.

Nie czarnym lub niebieskim?

Czerwonym potwierdziła stanowczo Bryś.

Więc dobrze, czerwonym zanotował śledczy, wspominając przy tym swoje czasy szkolne, kiedy to posługiwano się w szkole atramentem o mniej politycznej barwie.

W kwietniowy piątek, kontynuowała świadek, mniej więcej na dobę przed śmiercią Szczapy, w alei Róż ponownie zjawił się Michał w towarzystwie obu dziewcząt, Bożeny i jasnowłosej Wandzi.

Wirski zapytał, czy o tej wizycie zapomniała poinformować organa bezpieczeństwa.

Skonfundowana odpowiedziała twierdząco.

Ujawniła jedynie fakt wizyty Michała.

Nie wspomniała o obecności dziewcząt, ponieważ uznała, że "nie należą do sprawy".

75.

Jeśli to prawda, to i Aniela Bryś grożą poważne kłopoty, pomyślał Wirski.

Wystarczy, że ktoś postronny zezna, że owego piątkowego wieczoru widział Szczapę Michała w towarzystwie dwu młodych pań.

I nie daj Bóg, jeśli świadkiem będzie milicjant patrolujący okolicę.

Zastanawiał się, skąd u tej prostej kobiety solidarność panienkami z "dobrych domów" oraz czy nie ukrywa ona także przed nim jakichś istotnych faktów.

Ale i tę kwestię należało odłożyć na później.

Ostatnie informacje, jakie uzyskał kapitan, były takie, że w piątek około siódmej wieczorem cała czwórka wyszła raczej dobrym nastrojem z domu i że Szczapa powróciła krótko przed północą.

W trakcie wieczoru spędzonego z młodymi musiało zajść coś niedobrego.

Gospodarz wyglądał na załamane nerwowo.

Zataczał się trochę, jak człowiek pijany lub chory.

Nie odezwał się do Anieli ani słowem; wyjął z kredensu butelkę koniaku (tego samego, którego resztkę dopiła w niedzielę) i zamknął się w swoim gabinecie.

Przez drzwi powiedziała mu, że przyjdzie w niedzielę rano, bo w sobotę ma wolne, pierze u siebie w domu.

Szczapa nie odpowiedział.

W sobotę rano przyszło jej namysł, aby zejść do Szczapy i zapytać, jak się czuje.

Chciała zatelefonować, ale aparat przy placu Trzech Krzyży był nieczynny, ktoś ukradł słuchawkę.

Podjęła decyzję, że przejdzie się do Alei Róż; wyszła z domu około siódmej.

Niespodziewanie na rogu Mokotowskiej i Koszykowej natknęła się na Michała.

Młodziwiec maszerował w walizką.

Powiedział, że na Wielki Tydzień wyjeżdża do Wrocławia, gdzie od-

76

będzie się ogólnopolskie spotkanie młodych twórców, i że pożegnał się właśnie ze Szczapą.

Na kąśliwą uwagę Anieli, że wczoraj doprowadził swojego opiekuna do stanu godnego pożalowania, wyjaśnił, że wraz z całą paczką został się jej chlebodawcą około dziesiątej wieczorem, że nie ma najmniejszego pojęcia, co mogło wydarzyć się później.

Dodał, że mało go to zresztą obchodzi i dość chłodno, niemal oficjalnie, pożegnał się ze świadkiem.

Aniela Bryś domyśliła się, że doszło do nowej scysji między nią a Szczapą.

Z jej relacji nie wynikało również, aby związek Szczapa-Brochamiał charakter homoseksualny, ani też aby świadka miała świadomość, że podobny charakter mógłby przybrać.

Wręcz przeciwnie, w zeznaniu Bryś zaakcentowana została możliwość związku pomiędzy Szczapą i Bożenką, rzekomo sprzedawczynią z MH D.

W dziwnym trójkącie Szczapa-Michał-Bożenka istnieć mógłby zarówno związek sekretarza z Bożenką (jak domyślała się Aniela Bryś), którego ujawnienie musiało wzburzyć narzeczonego Bożenki, Michała, jak i związek Szczapy z Michałem (jak insynuował Kowadło i głosiła tuż obok plotka), który to spowodować musiałby reakcję Bożenki.

Z zeznania gospodyni wynikało przecież, że to Michał Brocha zrobił scenę zazdrości Szczapie a nie Bożenka.

Mogło być i tak, pomyślał zmęczony tymi spekulacjami, że Szczapa uwiódł najpierw Michała, a później jego narzeczoną.

Ale to przecież bardzo swobodna i nieco dziwaczna hipoteza.

Z przedwojennej praktyki śledczej wyniósł niejaką wiedzę na temat erotycznych związków pomiędzy mężczyznami i wielkiej drażliwości,

77.

jaka im towarzyszyła, ale wyobrażenie sobie miłosnego trójkąta dwóch mężczyzn i kobiety wykraczało już poza jego doświadczenie.

Przypomniawszy sobie rzuconą do niechcenia uwagę doktora Kierszmana: sprawcą może być "narzeczona tego uwiedzonego przez Szczapę".

Właśnie, winna czy nie, tajemnicza panna Bożenka z powieści Anieli znajduje się w niebezpieczeństwie.

Równie wielkim jak Michał Brocha, a może nawet większym.

Jej los zależał od chęci wypowiedzianej przez gospodynię Szczapy oraz oczywiście od kapitana Wirskiego.

Kapitan odprawił świadka Anielę Bryś i wrócił do gabinetu denata, by tu kontynuować literacki wątek śledztwa.

Zostawił go sobie niejako na deser, w nagrodę za trudy poniesione wczorajszego i bieżącego dnia.

A więc Księga Zoharu z biblioteki zmarłego.

Sięgnął po wydawnictwo noszące ślady intensywnej lektury, upstrzone na marginesach zarówno hebrajskimi, jak i polskimi dopiskami.

Wirski przejrzał je wszystkie, skupiając się na fragmentach zaznaczonych ołówkiem.

Niektóre musiały pochodzić od Szczapy, inne od jego poprzedników.

W młodości Wirski poznał nieco święty język Żydów; było to w czasach, kiedy przyjaźnił się Aaronem Kaufmannem, synem warszawskiego rabina.

Jeszcze raz przeczytał domniemany list poźegnalny Szczapy:

Gdy oczy zamknę, zobaczę Cię wcześniej.

W ciemnym blasku wyłaniającego się z otchłani.

Jesteś Adamem, jesteś tym, który mnie zrodził.

76

Potem zamknął oczy i zaciągnął się papierosem, pierwszym oddłgiej godziny.

W miejsce obrazów z Zoharu wyłonił się zapis początkowych wersów sonetu XLIII

Szekspira:

Chcąc widzieć, oczy zaciskam boleśnie;/ Za dnia tonęły w zwykłej przeciętności, Lecz kiedy usnę, widzę ciebie we śnie,/ Gdy mrocznym blaskiem jaśniejesz w ciemności.

Czyj przekład?

, tego nie pamiętał.

Ważniejsze, że wyrażał fundamentalną myśl Zoharu, "Księgi Blasku": dopiero sen, który jest bratem śmierci, otwiera nam oczy na prawdziwe światło, ów "mroczny blask".

Czy Szekspir był gnostykiem lub kabalistą?

Zapewne tak.

A czy był pederastą?

Być może: adresatem większej części sonetów okazał się młody arystokrata.

Czy ma to związek z domniemaną pederastią Szczapy?

Zapewne nie, ale.

Wirski wiedziony instynktem bibliofila obrócił oczy kupiącej półce po prawej.

Stały tu oryginalne, a także polskie wydania poezji Szekspira.

Odnalazł klasyczny przekład sonetów autorstwa Kasprowicza z 1922 roku.

Odłożył tomik na biurko, a potem sięgnął jeszcze po Sonnette, dwujęzyczne, angielskie i niemieckie wydanie Gustava Wolffa z roku 1939.

Zadowolony ze swego odkrycia, całkowicie zapomniawszy, co sprowadziło go do mieszkaniaw alei Róż, pogrążył się w lekturze.

Kilka naciąganych zegarów w gabinecie Szczapy przypomniałomu, że miał do rozwikłania inną niż szekspirowską kabałę: alibi obojga głównych podejrzanych, Michała Brochy i młodej kobiety nazywanej Bożenką.

Zważywszy, że pierwszy był nieuchwytny, tożsamość drugiej nieustalona,

79.



zadanie wyglądało na wyjątkowo trudne.

Co nieznaczyło, że niewykonalne.

Pożegnał się z Paprotką z mocnym postanowieniem, że niewróci tego dnia do ponurego gmachu komendy stołecznej.

Zadzwoił jednak, aby dowiedzieć się o wyniki analizy daktyloskopijnej.

Kapitan Majewski, szef laboratorium, mitygował się, że nie ma całego materiału, aleo wykonanej już części nie chciał informować, zasłaniając się wyraźnym rozkazem "z góry".

Nie powiecie mi, kapitanie, że to Krochmalski zabronił wam mnie informować!

Po dłuższej chwili, kiedy słychać było jedynie oddech szefa laboratorium, ten wydusił siebie:

To nie był generał Krochmalski!

Ale więcej wam nie powiem.

Domyślam się, kapitanie Majewski, i przepraszam za natarczywość.

Cześć pracy!

Cześć!

nie bez ulgi w głosie zakończył Majewski.

Kapitan nakazał Paprotkę opiekę nad mieszkaniem Szczapy, a także dowiadywanie się o wyniki badań w komendzie.

Miał niejaką nadzieję, że ta forma nacisku skróci choć trochę niepokojącą zwłokę.

Z alei Róż skręcił w prawo w Mokotowską, by zatrzymać się w barze u wylotu ulicy do placu Trzech Krzyży.

Uderzający już od drzwi smród tytoniu i brudnych kurtek towarzystwa wypełniającego pierwszą salkę nie przeszkadzał lokalowi cieszyć się renomą także wśród odzianych w garnitury urzędników z pobliskich gmachów rządowych.

60

Zachęćeni przystępną ceną tutejszych wyrobów wpadałi po pracy na śledzika, sałatkę i setkę.

Przeznaczono dla nich drugie, wewnętrzne pomieszczenie Baru Warszawskiego, gdzie nienagabywani przez podpity plebs mogli kontemplować biust bufetowej Hani, łagodnie kołysząc się nad ladą pełną wyśmienitego garmazu.

Ten widok cenił sobie również kapitan Wirski.

W sytuacjach, kiedy problemy śledcze zdawały się go przerastać, zwykł był wyłączać się na kilka godzin w nadziei, że szczęśliwy los podsunie mu jakieś ważne fakty lub też aktywna nieustannie podświadomość wyrzuci z siebie proste, a wcześniej niedostrzeżone rozwiązanie. Spożywając wyśmienitego szczupaka w galarecie, Wirski kalkulował, że jeśli bieżący dzień nie przyniesie niczego nowego, będzie miał jeszcze dość czasu, aby skonstruować wstępną hipotezę, biorąc pod uwagę liczne, acz nie jednoznaczne ślady znalezione w mieszkaniu.

W odwodzie był jeszcze starszy sierżant Paprotka i ten jego pomagier, kapral Cegielka. Istniała szansa, że przyniosą coś interesującego z nieformalnych jeszcze przesłuchań osób zawierającej kilkanaście nazwisk listy.

Kapitan zapamiętał Paprotkę jako mistrza przebrań i mistyfikacji, zarazem bystrego inwestygatora, sobie tylko wiadomymi sposobami wyciągającego z rozmówców potrzebne informacje.

Tej ostatniej umiejętności Wirski trochę sierżantowi zazdrościł; szkoła policyjna, którą przeszedł, zakładała bardzo formalny, sztywny i raczej prokuratorski sposób przesłuchań co nieznaczy, że życie nie nauczyło go odstępować od tej reguły.

Paprotka jednak potrafił sięgnąć

61.

po środki, na które nie stać już było starzejącego się kapitana: zimą poprzedniego roku prowadził sam rozpoznawanie w środowisku śródmiejskich handlarzy walutą.

Przemienił się w cinkciarza ledwo co zwolnionego z Wronek.

Wirski nie miał na razie zadania godnego nadzwyczajnych talentów sierżanta.

Ważna była świadomość, że ma przysobie zwiadowcę tej klasy.

Tego dnia muzą Wirskiego miała być oczywiście Tania.

Pani Rypnis ucieszyła się niezmiernie z jego telefonu i zapowiedziała gotowość spotkania się już za godzinę, może półtorej.

Mając przed sobą trochę czasu oraz perspektywę rendez-vous pod gladiatorem w parku

Ujazdowskim, ruszył piechotą z Mokotowskiej w stronę Nowego Świata.

Dotarł do skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi.

Tam jednak zmienił nagle decyzję i pod budynkiem z napisem "Cały naród buduje swoją stolicę" wskoczył do nadjeżdżającego autobusu 100 L.

Wysiadł przy Piusa XI, przed kilku jednak laty przemianowanej z powrotem na Piękną, i

postanowił przejść się w stronę Rozbrat i Centralnego Parku Kultury;

do spotkania z Tanią miał jeszcze ponad godzinę.

Podrozie ponownie zmienił plan (nie chciał przyznać przed sobą samym, że z przyzwyczajenia gubi ciągnący się zanim "ogon") i zaszedł do kawiarni w Hotelu Poselskim przy ulicy Pięknej.

Zamówił kawę, wyjął papier i pióro.

CAŁY NARÓD BUDUJE SWOJĄ STOLICĘ wykuty w kamieniu napis umieszczony na fasadzie budynku wzniesionego po wojnie na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata (siedziba Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki akronim EMPiK).

62

Obok położył zeszyt wyniesiony z domu Szczapy, ten sam, z którego wyrwano trzy kartki; zapisany zapewne przez Michała Brochę.

Przerzucił strony wypełnionego do połowy kajetu.

Tekst miał formę opowiadania, wszakże bez tytułu.

Bardziej wypracowane niż opowiadanie, ocenił po przeczytaniu pierwszych kilkudziesięciu wierszy.

Dalejnie było lepiej: autor snuł sztamponową opowieść o dojrzewaniu młodego inteligenta, o kształtowaniu i hartowaniu się komunisty w kontakcie z ludźmi pracy.

Na piątą szóstą stronie uaktywnił się wróg klasowy w osobie przedwojennego inżyniera, który nie rozumiał konieczności socjalistycznego współzawodnictwa pracy.

Kapitan, poważnie już niechęcony, odłożył lekturę i pogrążył się myślach o wydarzeniach ostatnich dwóch dni.

Klasyczne reguły gry, także te wyłożone w popularnym i dość podręcznikowym inspektora Łukomskiego Służba śledcza i taktyka kryminalna, wydany we Lwowie, ale studiowany także w Warszawie (w której w latach dwudziestych obowiązywały inne podstawy prawne działania policji niż w dawnej Galicji), jasno i precyzyjnie wyznaczały czynności, jakie należało podjąć w przypadku zabójstwa takiego, jak to w alei Róż.

Podręcznik, którego treść znał niemal na pamięć, w rozdziale szóstym, zatytułowanym O właściwym czasie do stanowczego działania na podstawie osiągniętych już wyników śledztwa, nakazywał, aby z chwilą "kiedy urzędnik skierował rzeczywiście podejrzenia na jakąś osobę", zgromadzić przede wszystkim materiał do-

83.

wodowy, "by sędzia miał podstawę ujęcia podejrzanego".

Napominał jednak, że "skutku tego nie osiąga się zawsze przez natychmiastowe aresztowanie; przeciwnie, przedwczesne aresztowanie może sprawę popsuć".

Wspomniawszy owe, wydawałoby się oczywiste, zasady postępowania, roześmiał się, gdyż w konfrontacji z rzeczywistością 1954 roku wyglądały blado, wręcz naiwnie.

Subtelna gra, jaka winna toczyć się pomiędzy "wytrawnym zbrodniarzem" a oficerem śledczym? Dobrze sobie!

Czytaki Kowadło był w stanie prowadzić śledztwo inaczej jak tylko za pomocą tortur i prowokacji?

Co więc robi, jeśli nie podsunie się mużadnej ofiary?

Oczywiście, stworzy ją, odpowiedział sobie.

Chwyć się pierwszej z brzegu osoby:

już przecież wysłał listy gończe za Michałem Brochą.

Albo, co gorsza, wymyśli polityczny spiszek i pośle na szafot kogoś z partyjnego otoczenia Szczapy.

Tak więc pytanie, kto będzie ofiarą, zostało jednak źle postawione.

Rozgrywającym jest on i tylko on, Wirski.

Kogo więc Wirski podsunie Kowadło?

Kogo przeznaczy na ofiarę?

Znowu poczuł niemiłe mrowienie.

Podejmował, cóż z tego, że jedynie w myślach, niebezpieczną grę.

W dodatku nie wiedział na pewno, poco, w imię czego?

Czy tylko po to, aby udowodnić samemu sobie, że panuje nad tym ubeckim piekłem, że to on, a nie jacyś Kowadłowie kreują rzeczywistość?

Doświadczenie śledczego podsuwał mu wniosek: dobry policjant nie odkrywa rzeczywistości, nie wyjaśnia zagadek.

On rzeczywistość stwarza, rzecz jasna, nie w sposób dowolny, ale zgodnie z pewnymi regułami.

Regułami prawa, procedur wewnętrznych policji,

1

zasadami psychologii, wreszcie potrzebami społecznymi, żeby nie powiedzieć wymogami racji stanu.

Przecież nawet demiurg, kreując świat, musiał liczyć się z prawami boskimi, ba, jeśli akt stworzenia wyszedł od samego Najwyższego (na co na razie nic nie wskazuje), to nie miał on dowolnego, przypadkowego charakteru.

W tym punkcie rozważań skierował wzrok ku oknu

kawiarni, za którym gromadka młodzieży zmierzała Piękną w stronę biegnącej w dół Myśliwieckiej prawdopodobnie do jednej z pobliskich szkół: liceum Batorego lub liceum plastycznego.

Trzech chłopców w beretach i pięćdziewcąt; wszyscy sztywno ubrani, kolorowi dzięki szalikom i chustom zawiązanym na szyjach; zamiast tornistrów nieśli wielkie tekturowe teczki.

Tak, to niechybnie uczniowie szkoły plastycznej, skonstatował.

Szkoła plastyczna.

nie, raczej akademii sztuk pięknych.

Nowy, obszerny gmach przy Wybrzeżu Kościuszkowskim, zapach kalafonii, oleju lnianego, studenci w poplamionych farbami kitlach.

Musiał odeprzeć wspomnienie z czasów, kiedy zaglądał na akademię niekoniecznie w sprawach służbowych.

Ku teraźniejszości uwagę kapitana skierowała bowiem wysoka i szczupła szatynka w jasnym, przepasanym paskiem trenczu.

Jako jedyna nie dźwigała teczek;

zapewne robił to za nią któryś z kolegów.

Wyglądała poważniej niż pozostałe dziewczęta; w skupieniu tłumaczyła coś koleżance u swego boku, podczas gdy pozostałi głośno perorowali, usiłując przy tym przekrzyczeć się wzajemnie.





Wówczas przypomniał sobie wtrąconą przez gospodynię Szczapy uwagę na temat poplamionej na czerwono dłoni Bożenki, która tak się spieszyła po zajęciach szkolnych, że nie zdążyła domyć rąk. A może to nie był atrament, jak sugerowała Bryś, tylko czerwona farba?

Wielkie nieba, szkoła, o której rozmawiały dziewczęta, mogła być tą szkołą plastyczną nieopodal! A jeśli tak, to szatynka z relacji świadka i ta za oknem mogłaby przecież być jedną tą samą osobą, Bożenką!

Podobnie jak Wandzią idącą obok niej niebrzydka blondynka w niebieskim szaliku!

A terytorialna bliskość mieszkania sekretarza liceum plastycznego przy Łazienkowskiej?

Panienci z dobrego domu (jeśli oczywiście wierzyć intuicji gospodyni) pasowałyby też jak ulał do artystycznej szkoły, do której zmierzała hałaśliwa gromadka.

Pomyślał, że powinien przeprowadzić dyskretny wywiad u dyrektora szkoły, absolwenta ASP, którego znał dobrze z czasów, gdy razem bywali na akademickich balach.

To jednak zrobię dopiero po południu, po spotkaniu z Tanią, pomyślał.

Młodzi zniknęli za zakrętem, a Wirski powrócił do rozważań nad układem, w którym przyszło mu działać.

Niedać się wyprzedzić majorowi, nie oddać mu inicjatywy to popierwsze.

Pozostaje jeszcze generał.

Zenon Krochmalski uchodził za dobrego organizatora; umiał też dobrać sobie ludzi.

Wirski miał już okazję przekonać się, jak skutecznie potrafił nimi manipulować.

Pomyślał, aby przydać kapitanowi anioła stróża w osobie Kowadły, wydawał się dla generała typowy: zestawieć

86

matoła o grubych łapach, półalfabetę ze społecznego awansu z absolwentem Wydziału Prawa UW, rocznik 1925; postawić oprawcę z Rakowieckiej obok pięknoducha, którego bardziej kaprys niż potrzeba przywiódł do służby w gmachu przy Nowym Świecie 67.

Kowadło wstąpił do bezpieki w 1945 roku, równo dwadzieścia lat po tym, jak magister prawa Ryszard Maria Wirski przyjęty został, dzięki rekomendacjom wuja (ówcześnie podsekretarz stanu w MSW), do Policji Państwowej.

Kowadło robiło, co robił, nie tylko z powodubiedy, pustego żołądka i potrzeby awansu, lecz także w co kapitan nie wątpił wskutek ogólniejszego imperatywu: rozprawienia się z takimi jak Wirski.

To, że przedwojenny oficer referatu kryminalnego Komendy Głównej PP (pierwszeństwo, pokój 55, telefon 692 55) ocalał z pogromu zafundowanego przez generałów, a wykonanego skrupulatnie przez majorów Kowadłów (ówcześnie jednak sierżantów, plutonowych i kaprali), tylko pozornie zakrawało na cud.

Była w tym fakcie głębsza, jak rzekłby generał, dialektyczna prawidłowość.

Siły bezpieczeństwa potrzebowały na nowym etapie rozwoju fachowych kryminologów.

Podesłani jeszcze w latach czterdziestych radzieccy specjaliści niewystarczali; zresztą tacy jak Krochmalski nie mieli do nich i słusznie zaufania.

Pracowali dla Moskwy, dla radzieckiej bezpieki;

pozbawieni wyczucia spraw polskich, nie dbali o interes miejscowego aparatu.

O tak, Krochmalski to gracz wielce sprytny, przebiegły, a jeśli trzeba, bezwzględny.

Gdy jednak było to potrzebne

87.

wyrozumiały i koleżeński, wręcz przyjacielski.

Generał lubił pochwały i prezenty, ale nie od podwładnych; byłna to zbyt mądry czy tylko zbyt ostrożny.

Cenił profesjonalizm Wirskiego, jego znajomość ludzi i wyczucie sytuacji.

Wysyłał go wszędzie tam, gdzie należało działać ostrożnie, z wyczuciem, kiedy przed napisaniem raportu trzeba było dobrze przemyśleć sprawę.

Gdy zawodziły metody takich jak Kowadło, kiedy należało podjąć prawdziwe śledztwo.

Czego pragnie generał?

, zastanawiał się Wirski.

Trudno wyrokować na podstawie jednej rozmowy, w dodatku w obecności "osób trzecich", czyli majora Kowadły.

Być może na obecnym, początkowym etapie śledztwa generał życzy sobie jego szybkiego zakończenia.

Ale czy ze wskazaniem na sekretarza jako sprawcę własnej śmierci?

To wydawało się mało prawdopodobne.

Przecież ktoś czy coś musiało stać za samobójczym aktem.

Jakiś sprawca pośredni, sprawca natury, powiedzmy, moralnej, grupa (spiskowa czy szpiegowska?) lub nadzwyczajny splot okoliczności.

Sekretarz wojewódzki, ktoś taki, jak Szczapa, nie popełniał, ot tak sobie, samobójstwa.

Przeprowadzona dedukcja pokazywała, że wersja samobójczej śmierci Szczapy jest "nieekonomiczna", że byłoby lepiej, aby znalazł się konkretny zabójca.

Powiedzmy, sprawca działający w pojedynkę, z przyczyn ściśle osobistych.

Tylko czy bezpieka przełknie podobną wersję?

Czy nie będzie szukać całej grupy przestępczej?

Wszystko zależało jak zawsze od politycznego kontekstu, od

zapotrzebowania lub jego braku na aferę, której można by nadać pewien, przyjmijmy, ściśle wewnętrzny rezonans.

Taki, aby załatwić jednych, a wynagrodzić innych?

Jak więc będzie tym razem?

Kapitan skłaniał się ku ostatniej hipotezie: sekretarz został zamordowany, a sprawca mnożył zagadki w nadziei, że ich rozwikłanie zajmie śledczemu długie tygodnie, jeśli niemiesiące.

To zańnie wchodziło w ogóle w grę.

Należało szybko ujawnić i ująć zabójcę, najlepiej w ciągu najbliższej doby, góra czterdziestu ośmiu godzin.

Tylko wtedy sprawca zalei Róż 6A nie zacznie żyć własnym, nieobliczalnym w skutkach życiem.

Tedy do roboty, kapitanie!

Złożył papiery, zapłacił i ruszył pod pomnik gladiatora, na spotkanie z Tanią.

Przybiegła, nieco spóźniona, tłumacząc z uśmiechem, że w ostatniej chwili przed wyjściem musiała pomóc Antosi w jakimś ważnym dla małej zadaniu.

O dziwo, w drewnianej, pomalowanej na zielono budce mieszczącej antyczną wagę ktoś dyżurował tego dnia.

Nieogolony emeryt zachęcał nawet, aby się zważyli.

Zdecydowali więc, że zrobią to najpierw razem a potem każde oddzielnie.

Zabawę zaproponowała Tania, i to ona przekupiła emeryta dodatkową monetą, aby zgodził się puścić ich oboje na wagę.

Wirski siadł na krzeselku, Wziął Tanię na kolana i przytulił się do niej.

Przez sekundę, dwie delektował się jej ciepłem i zapachem eleganckich perfum, potem jednak dostrzegł uważne spojrzenie wagowego.

Pomyślał, że spotkał już gdzieś na pewno nietutaj, na skraju parku Ujazdowskiego tego niechlujnego indi-

widuum.

Gdyby ogolić go i ostrzyć, pomyślał, wyglądałby dobre dziesięć lat młodziej.

Wcale nie na emeryta.

Z zapisu, jaki na kartoniku wydrukowała waga, wynikało, że razem ważyli ponad sto dziewiętnaście kilo.

Chodźmy już, Taniu powiedział Wirski i nie bacząc na jej protesty, pociągnął ją w głąb parku.

Pozwól, że teraz japosiła Tania.

Odejmiemy ją wagę od naszej łącznej i będziemy wiedzieć, ile naprawdę ważysz.

w ubraniu, rzecz jasna.

Taniu, proszę.

nie podoba mi się ten wagowy.

Już go gdzieś widziałem, nie tutaj.

I co z tego, że go już gdzieś spotkałeś?

oponowała.

Pomyślała jednak, że kapitan jest po prostu na wagę złota i ustąpiła.

Kiedy zniknęli za zakrętem alejki, Wirski obejrzał się.

Nikt jednak nie szedł za nimi, ani podejrzany wagowy, ani nikt inny.

Zaproponował, by na chwilę wstąpił na Partyzantów, na co Tania przystała z radością.

Wirski zapomniało wagowym, zastanawiał się, czy już zakochał się w żonie słynnego tenora, czy też ma to nastąpić dopiero w najbliższej przyszłości.

Dyrektor liceum plastycznego profesor Jan Jędrzej Pawlikowski nie był zachwycony niespodziewanym pojawieniem się kapitana, zaanonsowanego mu przez pedla jak kolega z Akademii Sztuk Pięknych.

Ten mały kamuflaż był niezbędny, zważywszy na delikatny charakter misji Wirskiego, a właśnie prośbą kapitana stała się przyczyną tego nastroju dyrektora.

90

Mamszukać, Ryszardzie, igły w stogu siana, ito właśnie w takim momencie, na trzy tygodnie przed egzaminami maturalnymi zareagował na wiadomość o tym, że jego dawny znajomy chciałby dowiedzieć się, czy pobiera u niego nauki osoba imieniem Bożena.

Zaprzyjaźniona z inną uczennicą o imieniu Wandzia, ładną, zgrabną blondynką z długim warkoczem.

W mojej szkole przynajmniej dziesięć uczennic nazywa się Bożenka lub Wandzia, a co trzecia z całej populacji jest ładną blondynką z długim warkoczem.

A na figurę moich dziewcząt nie patrzę, bo i nie wypada mi patrzeć!

denerwowała się Pawlikowski.

Drogi Janie replikował kapitan.

Dla uproszczenia zadania przyjmijmy, że przynajmniej jedna z nich, Wandzia lub Bożenka, będzie w tym roku robić maturę.

Fakt przyznał dyrektor to by nieco uprościł sprawę.

Ale czy ty naprawdę nie zamierzasz zrobić jakiejś krzywdy tej Wandzi czy Bożence?

Jako funkcjonariusz milicji lub po prostu jako mężczyzna?

Jeśli zachowasz sprawę w całkowitej dyskrecji, o którą cię tu proszę, żadnej z nich nie spadnie nawet włos z głowy.

Żądanie dowie się też nigdy ani o mojej wizycie, ani też o jej celu, którego to jednak wyjawic ci niemożę.

Uwierz mi, że przybyłem tu właśnie po to, aby je chronić, to znaczy móc wykluczyć ze sprawy, którą prowadzę.

Co jednak się stanie, gdy wykluczenie takie nie będzie możliwe?

Cowtedy?

Właściwa odpowiedź na to oczywiste pytanie brzmiała, że wówczas Wirski chronić będzie obie lub tylko jedną



z nich, tym bardziej.

Ale takiej dzielić mu nie było wolno.

Powiedział tylko:

Nawet wtedy nie dowiedzą się o naszej tu rozmowie.

To mogę ci zagwarantować, słowem oficera.

Przedwojennego oficera?

Tak, profesorze, słowem przedwojennego oficera.

Ten argument przekonał Pawlikowskiego.

Dyrektor wstał zza biurka i podszedł do szafy, w której po zakończeniu lekcji spoczywały klasowe dzienniki.

Wyjął ostatni z rzędu, dziennik klasy maturalnej.

Usiadł na krześle, tuż obok Wirskiego, i zaczął przeglądać ów najważniejszy z szkolnych dokumentów.

Jak słyszysz, Ryszardzie, mimo mojej przynależności do partii pełnego oddania sprawie socjalistycznej edukacji, nie zmieniłem zdania co do dawnego oficera i jego etosu.

Tak jak mówiłem, już tylko w klasie maturalnej mamy dwie Bożenki.

Tylko dwie, drogi profesorze.

Dla policjanta tylko dwie.

Niema potrzeby szukania igły w stogu siana skomentował kapitan.

Pierwsza to Bożena Anna Nowakówna, córka kolejarzy z PKP.

Druga zaś nazywa się Brodzka, Bożena Brodzka.

Z tego, co wiem, jest córką profesora warszawskiej politechniki.

Obie bardzo zdolne, choć Brodzka opuściła się ostatnio w nauce.

Widzę tu trójki z polskiego i matematyki, nawet jedną dwóję poprawioną na trzy z plusem.

A jeszcze w semestrze zimowym miała same piątki.

Chyba będziemy musieli porozmawiać z jej matką, choć mógłby to zrobić wychowawca, Walicki.

No więc, która cię bardziej interesuje?

92

Na razie oboje, w równym stopniu, profesorze.

Będę cię prosił o adresy tych dziewcząt.

Pawlikowski wzruszył ramionami:

Nowakówna mieszka w naszym internacie, jako że pochodzi z Zagłębia, z Sosnowca.

Brodzka przebywa z rodzicami, na Śmiałej.

A więc zoliborzanka.

Wirski wyjął notes i zapisał oba adresy.

Dziękuję!

Została jeszcze drobna sprawa: rysopisy dziewcząt.

Oraz jedno, dwa zdania charakterystyki osobowościowej.

Pawlikowski zachnął się, ale prośbę spełnił:

Nowakówna: drobna blondynka, raczej niepozorna i mało mówna.

Zyskuje znacznie przy bliższym poznaniu.

Ma zadatki na prawdziwą artystkę; konsekwentnie skupiona na tym, co robi.

Czego się nieda powiedzieć Brodzkiej.

Przystojna szatynka, wysoka i elegancka, dziewczyna z inteligentnego domu, o silnym charakterze i cechach przywódczych.

Niedoścignyła ideał i wzór do naśladowania dla połowy uczennic z naszej szkoły.

Podziwiają Brodzką, ale boją się do niej zbliżyć, boją się, że zostaną odrzucone.

Podobnie zresztą jak koledzy, z których kilku się w niej podkochuje, jak na razie bez szans.

Bożena Brodzka ma przy tym prawdziwą klasę; nie daje po sobie poznać, że dostrzega całe to zamieszanie, że znajduje się w centrum zainteresowania.

Co się zaś tyczy jej talentów:

    nierówna, kontrowersyjna, nieprzewidywalna.

    Wyśmienicie!

skwitował Wirski.

Miał przecież namyśli nie tyle charakterystykę przedstawioną przez pedagoga, ale fakt, iż uczennica Brodzka odpowiadała z grubo 93.

sza opisowi dziewczyny z alei Róż.

Dyrektor uznał to za komplement, tym samym zachęcając do dalszych opisów.

Kapitan słuchał szybko notował.

Powiedziałem już, że pierwsza, Nowakówna, zyskuje wiele w oczach tych, którzy mieli okazję lepiej ją poznać.

Nowakówna jest ambitna i tak jak Brodzka nie daje tego sobie poznać.

Ale jest też mściwa i nigdy nie daruję tym, którzy się jej narazili.

Pojmuję, profesorze, że dobrze wykonujesz swoją misję pedagoga.

Szkoła jest niewielka, elitarna.

Tylko jednak klasa danym poziomie.

Po czterech latach każdy z nas zna wszystkich wychowanków.

Jesteśmy z sobą prawdziwie zżyli, stąd też moje opory, jeśli idzie o udzielenie ci informacji.

Doceniam to profesorze i szybko staję się sympatykiem szkoły.

Ale czy coś jeszcze na temat obudziewczą?

Mimo wszelkich różnic, w pochodzeniu, wychowaniu i zachowaniu, jest też coś, co je łączy.

Wymagają wiele, bardzo wiele od swojego otoczenia.

Mają silną, wewnętrzną miarę tego, co dobre i sprawiedliwe.

Pomimo młodego wieku są w pełni ukształtowanymi osobowościami; jak powiedziałem: silnymi.

Zapewne, wielka to satysfakcja pracować z taką młodzieżą.

Wartościową, dojrzałą.

W rzeczy samej, Ryszardzie.

Tym bardziej więc niemożę uwierzyć, aby któraś z moich uczennic mogła popełnić jakiś czyn niegodny, przestępczy.

94

Kto powiedział, że spowoduje mnie taka okoliczność?

zachnął się Wirski.

Nie ma mowy o czymkolwiek niegodnym.

lub przestępczym.

Wykonuję rutynowe czynności dochodzeniowe, ustalając tożsamość świadków, alibi i tym podobne.

Powiedziałem już: nic nie grozi twoim podopiecznym!

To uspokoiło Pawlikowskiego, a Wirski pomyślał, że tym razem nie tylko sobie dał słowo, że włos nie spadnie z głowy dziewczynie z alei Róż, rzecz jasna, jeśli młoda Brodzka jest osobą, której szukał.

Słowo to dał właśnie dyrektorowi liceum plastycznego; znakomitemu pedagogowi i człowiekowi uczciwemu.

A to już wiele, o wiele więcej niż te ustalenia z samym sobą czy po prostu z tym "lepszym"

Ryszardem Marią Wirskim.

Została nam jeszcze Wandzia przypomnieć.

Problem w tym, że w klasie maturalnej nie ma nikogo o tym imieniu.

Może rokniżej, w dziesiątej klasie.

Więc jednak nie tylko klasa maturalna zasępił się Pawlikowski.

A jeśli w dziesiątej klasie odkryjemy kolejne Bożeny i liczne Wandy.

Cowtędy?

Pozwolisz mi na spisanie także ich danych.

Przedstawisz znakomite, dla mnie niezwykle ważne, charakterystyki uczennic.

Liczymy jednak na szczęście.

Naprawdę, bardzo chciałbym dotrzymać umowy i nie obliżować cię. Już więcej.

Dyrektor Pawlikowski westchnął i sięgnął po kolejną księgę.

W rzeczywistości dobrze znał odpowiedź na pytanie Wirskiego, ale tak jak poprzednio udawał,

95.

że uważnie wertuje kartki, po czym oświadczył triumfalnie:

Nie ma Wandy, niema też Bożeny!

Same Marie, Teresy, Kazimiery i Hanny.

Więc sprawa zamknięta.

Dzięki, profesorze!

Wielkiedzięki!

Gdyby nie pewność Wirskiego, żenie ma sensu szukać wśród jeszcze młodszych roczników, nie zakończyłyby swej misji i nie przestał naciskać pocziwego dyrektora.

Pawlikowski, któremu udział w śledztwie Wirskiego sprawiał wyraźną przykrość, odetchnął z ulgą.

Toteż pożegnać się mógł z kapitanem o wiele serdeczniej, niż gopowitał.

Opuszczając budynek szkoły, zauważył, że mimo późnej pory minęła właśnie szósta po południu. W salinaparterze pracowała przy sztalugach grupa młodzieży.

W głębi, na podium, młody mężczyzna pozował stroju sportowca, zoszczepem w rękę.

Były także obie uczennice, na które zwrócił wcześniej uwagę teraz ubranewrobocze, szare kitle.

Nikt nie dostrzegł, na szczęście, starszego pana w kapeluszu i prochowcu.

Tylko pedel, ten sam, który wpuścił Wirskiego, powiedział:

Matura za pasem, a oni dopiero kończą prace dyplomowe.

Jak zawsze, robią wszystko na ostatnią chwilę.

Przed nimi jeszcze całe długie życie odparł Wirski i uchylił kapelusza.

Na pewno zdążą!

96

W bezpiecznej odległości od obu szkół, liceum plastycznego i liceum Batorego, u zbiegu Przemysłowej i Rozbrat, parkowała milicyjna pociąg, z sierżantem Paprotką i kapralem Cegielką. Kapitan przedstawił zadania na najbliższe godziny: wywiadowcy zostaną pod szkołą i będą dyskretnie obserwować opisane im dziewczęta: wysoką, elegancką szatynkę w jasnym trenzu i blondynkę z długim warkoczem.

"Odprowadzić" obie do domów, notować adresy itd.

Rano zaś.

Meldować osobiście, broń Boże, przez telefonoznajmił Paprotka, który już znał odwieczną niechęć kapitanado posługiwania się telefonem w podobnych wypadkach.

To właśnie z powodu jednego zdania wypowiedzianego przez telefon więzienne kraty zatrasnęły się za Wirskimna trzy długielata.

Tak, sierżancie Paprotka, tylko osobiście i tylko namoje polecenie.

Rano zaś wywiadowca Cegielka przygotowuje się do lotu do Wrocławia, siódma dziesiąta.

Bilety w kasie dworca lotniczego na hasło "Omłoty".

We Wrocławiu odnaleźć macie Michała Brochęna zjeżdżiemłodych twórców w Teatrze Polskim.

Ustalcie jego alibina ostatnią sobotę od wieczora oraz całą niedzielę.

Do Warszawy macie wrócić wieczornym rejssem!

Chyba że wydarzy się coś nadzwyczajnego; Paprotka poinstruuje was, co robić w podobnym wypadku.

Jeśli relacja gospodyni Szczapy jest zgodna z prawdą, a Wirski miał nadzieję, że tak jest, młody pisarz będzie mógł wykazać się solidnym alibi, zważywszy na odległość

97.



między Wrocławiem i Warszawą.

Tym samym zostaniewyeliminowany ze śledztwa przynajmniej jako bezpośredni sprawca śmierci sekretarza.

Pozostała jeszcze sprawa najtrudniejsza powiadomienie majora Kowadły o poczynionych krokach, zwłaszcza o wrocławskiej misji Cegiełki.

Kowadło od niedzieliszukał Brochy po całej Polsce, ale do głowy mu nieprzyszło, abyszukać w miejscu publicznym, w teatrze, wświetle reflektorów i pod okiem filmowej kamery.

O zjeździe młodych twórców donosiła porannaprasa w tonie entuzjastycznym.

Aby uprzedzić ewentualnedziałania bezpieki we Wrocławiu, Wirski postanowiłzatelefonować do majora dopiero późnym wieczorem.

Istniało niejake prawdopodobieństwo, że Kowadły niebędzie ani w pracy, ani w domu, a wówczas meldunekzłożony zostanie dopiero rano.

Powiedzmy o ósmej lubnawet dziewiątej.

W takiej sytuacjiWirski i jego człowiekzyskają dobrych kilka godzin przewagi nad bezpieczeńą!

Zadowolony z przyjętego planu pożegnał wywiadowców.

Zostawił imsamochód, a sam ruszył w stronę Myśliwieckiej i Agrykoli najkrótszą drogą do domu.

Przewidywania kapitana sprawdziły się: Kowadło był przynajmniej do godziny ósmej trzydzieści wieczorem nieuchwytny.

Aby ugruntować przewagę nad konkurentem, postanowił wyjść z domu i wrócićdopieronocą, kiedyewentualnytelefon od Kowadły nie będziemożliwy lub przynajmniej mało prawdopodobny.

Do

kąd jednak pójść, aby spokojnie rozważyć dalsze kroki?

Oczywiście, na miejsce zbrodni na aleję Róż, pod numer 6A.

Upewniwszy się, że patrolującyulicę milicjant znajdujesię odpowiednio daleko, kapitanprzemknął pod dom Szczapy.

Drzwi wejściowe otworzył wytrychem; pieczęcie, którepozostawił Paprotka, zdjął delikatnie, aby można je byłozłożyć z powrotem.

Świecąc latarką, odnalazł drogę dogabinetu sekretarza.

Tam po chwili wahania zapalił małąlampę nabiurku.

Miał nadzieję, że światło widoczne jedynieod Dolinki Szwajcarskiej nie zwróci niczyjej uwagi.

Jeszcze raz przejrzał książki porzucone na podłodzeprzez agentów U B.

Potem rozpoczął systematyczne badanie obszernej biblioteki i tego, co w niej pozostałopo niedzielnejrewizji.

Sama klasyka literatury polskiej i obcej dlatego nie wzbudziła zainteresowania szukających.

Podobnie z filozofią; co znamiennebrakowało klasykówmarksizmu-leninizmu.

Wirski wyłączył lampę, zapaliłbelwedera i stanął pod oknem wychodzącym na miejscdobrze mu znane z młodości.

Letniespektaklepod gołymniebem dedykowanefrywolnej muzie, zimą lodowisko,przypomniął sobie, że ostatniej zimy powrócili w Dolinkę łyżwiarze.

Słaba, ale przecież pozytywna oznaka coś jednak przetrwało z lepszych czasów.

Wsparł się lekko o parapet.

Poczuł wówczas, żejegolewa ręka trafiła na książkę, której nie zauważył, której nikt wcześniej nie dostrzegł.

Może dlatego, że leżałaprzysłonięta firanką.

W słabym świetledochodzącym odpustej i cichej teraz Dolinki przeczytał tytuł na przed-

99.

wojennym, bez wątpienia, druku: Christian Renard Czarnapyjama.

Wybór nowel sensacyjnych i erotycznych, tom drugi.

Książka niewielkiego formatu, wydana w 1924 roku staraniem oficyny Rój.

Kusiła okładką przedstawiającą długonogą, krótko ostrzyżoną piękność, ubraną w czarną, dwuczęściową piżamę.

Lewe ramię z kodeszabibu opadło drobnie, odsłaniając tę część dziewczęcej piersi, która pozostaje zazwyczaj zakryta.

Także opinające biodra czarne długie spodnie opuściły się natyle, aby odkryć pępek i smagłą skórę.

Wspaniale!

Jest i czarna piżama.

Tylko dlaczego tom drugi?

Jak można się było spodziewać, nie zawierał tytułowej noweli.

Gdzie, w takim razie, podziwiasz tom pierwszy?

zapytał półgłosem i ruszył w stronę biblioteki.

Czyżbygo przeoczył?

Nim zapalił ponownie lampę i rozpoczął poszukiwania, przerwał mu chrzęst zamka obracającego się w drzwiach wejściowych.

Dodiabła!

Któż taki?

Nocą.

Intruzem mógł być, sądząc po ciężkich, choć teraz niepewnych krokach, jedynie major Kowadło.

On to, w istocie, ukazał się w drzwiach gabinetu.

Wirskinie usiłował się kryć boi gdzie?

Wsunął książkę do kieszeni marynarki, zgasił papierosa o parapet.

Odwrócił się i zrobił krok w stronę majora.

Domyślał się, majorze, że nie dodzwoniwszy się domnie lubnie zastawszy w domu, postanowił pan spraw 100

dzie, czy pracuję, czy też, nie daj Boże, marnuję cenny czas gdzieś u boku jakiejś damy.

W głosie Wirskiego zabrzmiała ironiczna nuta.

Kowadło nie zwrócił na nią uwagi, zadowolony, że kapitan zwolnił go z obowiązku tłumaczenia się z nocnej wizyty w mieszkaniu denata.

W rzeczy samej, kapitanie, jakbyście przy tym byli.

Kowadło nie elegancko zaświecił latarką w oczy kapitana.

I jakie rezultaty tej waszej pracy, jeśli można wiedzieć?

Spektakularne, majorze, spektakularne!

wiedział, że Kowadło nie bardzo rozumie znaczenie tego przymiotnika.

Chyba nie jestem przez was przesłuchiwany?

Zgaście, proszę, to gówno.

Konkretnie zaś, jakie rezultaty?

zapytał poirytowany major, ale latarkę skierował w stronę biblioteki Szczapy.

A takie, na przykład, że wiem już coś niecoś na temat Michała Brochy, przyjaciela naszego denata.

Tego tam przydupasa Szczapy, literata o siedmiu boleściach?

Tego właśnie.

Mam wiadomość, że przebywa we Wrocławiu.

Wysłałem już za nim kaprala Cegiełkę.

Madyskretnie wybadali Brochy; dyskretnie, żeby nie spłoszyć ptaszka.

Mimo ciemności Wirski zauważył, że major się skrzywił.

Zgasił teraz latarkę i odłożył; potem gmerał chwilę w kieszeni płaszcza.

Wyjął z niej jasne opakowanie papie-



rosów.

Zapalił, zaciągnął się głęboko i strzepnął popiołem dywan gabinetu.

Sprawa Brochy to, kapitanie, poboczny wątek w naszym śledztwie.

Jednak przymkniemygo, nawet jeśli mażelazne alibi.

Przymkniemy, tak czyowak!

O, to coś nowego!

Jaki jestwięc ten wątek główny?

Wypadałoby, żebyym wiedział.

Od tego towy jesteście, Wirski.

Aby ustalić, kto stoiza Brochą, kto nasłał go na Szczapę.

Jego lub jeszcze kogoś.

Wiemy już, że kręcili się tu różniludzie, jacyś młodzi, jacyś odmieńcy.

A Szczapa niebył bylekim.

Miał dostępdo wielu spraw, do różnych tajemnic.

Musimy dotrzećdo tych, którym mogło zależeć na ich poznaniu.

Wirski zbliżył się do Kowadły tak, że poczuł żar dukata, którego palił major.

Jeślicóż pan wie, majorze, coś istotnego dla sprawy, to i ja muszę o tym wiedzieć!

Inaczej moje śledztwo niema sensu!

Inaczej.

Na przykład to, że niepotrzebnie wysłaliście Cegiełkę do Wrocławia przerwał mu Kowadło.

Mamy pewną wiadomość, że ten Brocha przebywacwały czasw Warszawie, że widziano go dziś na Żoliborzu!

Będziemy go mieli jeszcze tej nocy, najdalej jutro!

Jeśli to prawda, to cały plan wyeliminowania ze śledztwa Brochy spaliłna panewce.

Ale może to i lepiej, pomyślał Wirski, pozostaje otwarty wątek przyjaciela Szczapy.

Podobnie jakinne wątki.

Tyle tylko że młody literat błakając się po Warszawie mógł naprowadzić bezpiekę na trop

102

dziewczyny, Bożeny.

Być może Bożeny Brodzkiej, córki profesora z politechniki.

Jednak więc niedobrze.

Twierdzi pan, że Michał Brocha jest w Warszawie, a nie we Wrocławiu.

A co jeszcze?

Kowadło zaśmiał się:

Nim ja odkryję karty, musicie wpierw zrobić to wy, Wirski.

Niewmówicie mi, że podejrzany jest tylko Brocha!

W rzeczy samej, nietylko on.

Metoda śledcza, majorze Kowadło, polega jednak na stopniowej eliminacji z listy podejrzanych tych, którzy mają alibi, bądź też osób, które nie posiadają motywu, powodu do zbrodni.

Eliminacja, alibi, motywy zachnął się znowu Kowadło.

Te wasze przedwojenne metody!

My, Wirski, nie eliminujemy, my przeciwnie, dodajemy!

Budujemy obraz różnych powiązań, odtwarzamy szeroki układ, w którym działał zabójca!

Inaczej musielibyśmy zwinąć cały interes.

Zatoczył ręką szeroki krąg, wskazując w stronę pobliskiej ulicy Koszykowej.

Zatem, pomyślał kapitan, bezpiece wcale nie zależy na wskazaniu konkretnego sprawcy, lecz natropieniu układu, sieci powiązań.

Jakżeby inaczej.

Głośno zaś odpowiedział:

Nie takie otrzymałem rozkazy!

Mój przełożony w śledztwie, generał Krochmalski, oczekuje ode mnie nazwiska zabójcy Szczapy,

jeśli rzeczywiście zginął z czyjejsięki, a nie popełnił samobójstwa.  
Nazwiska mordercy, rozumiepan, majorze?

103.

Teraz Kowadło zrobił krok w stronę Wirskiego:

Nie bądźcie głupi, kapitanie!

Pracujcie dla nas, niedla tego tam generała milicji.

Dajcie Krochmalskiemu tonazwisko, jeśli tak bardzo go potrzebuje.

Nam zaś cała reszta, która wypłynie w śledztwie.

Całe to stołeczne gówniwo, w którym obracał się sekretarz: literatów, bikiniarzy, dygnitarzy i artystów.

Wrogom naszego państwa, którzy osaczyli Szczapę.

Agentów obcych wywiadów, tych potrzebujemy!

Wszystko jasne.

Jeśli kapitan miałby jakieś wątpliwości co do właściwego charakteru i kierunku śledztwa, to teraz musiałby je stracić.

I stracił, w istocie.

Ale Wirski był też doświadczonym śledczym, niezłym graczem w manewrach przestępcą.

Trudno, żeby o tym zapomniał; trudno, żeby wyrzekł się satysfakcji, jaką niesie wykrycie sprawy.

Poza tym kapitan Wirski był posłuszny i lojalny wobec przełożonych; jeśli ci oczekiwali odeń szybkiego ujęcia mordercy, to tak też musiało się stać.

O tym wszystkim major nie wiedział i wiedzieć nie mógł.

Po udzieleniu lekcji kapitanowi Kowadło rzucił niedopałek na dywan,

zduśił energicznie obcasem i jak to miał w zwyczaju, odwrócił się i wyszedł bez pożegnania.

Niech to wszyscy diabli!

, zaklął kapitan.

I jak ja mam prowadzić śledztwo w tych warunkach!

Swoją drogą ciekawe, co major robił tu o północy?

Przecież nie przyszedł po to, by udzielać mi dobrych rad.

Więc po co przyszedł?

Zacierać jakieś ślady?

Tworzyć nowe?

Jeśli tak, to na pewno się tu jeszcze zjawi.

104

Miał teraz zajrzeć do dawnej służbówki za kuchnią, wypełnionej, jak pamiętał, starymi książkami i gazetami.

Możetam znaleźć siem pierwszy Czarna Pyjama? Brodząc wśród stert, skądinąd bezcennych, egzemplarzy "Bluszcza", "Tygodnika Ilustrowanego", a także dziesiątek starych romansów i powieści kryminalnych, nie znalazł poszukiwanej książki.

Wpadł mu za to do ręki egzemplarz anonimowej, bo sygnowanej jakimś dziwnym pseudonimem Tajemnicy pokoju numer 13.

Na dwukolorowej okładce przestępca, a może policyjny detektyw, skradał się z bronią w rękę.

Snop światła latarki trzymanej w drugiej ręce wydobywał z mroku numer na hotelowych drzwiach feralną trzynastkę.

Ten tytuł i okładka prześladowały Wirskiego od dobrych dwudziestu lat.

Kupił książkę przed wojną i ile razy zaczynał ją czytać, coś ważnego mu w tym przeszkadzało: a to nagły telefon z komendy, a to nadejście kochanki.

I tak zeszło mu aż do wybuchu wojny.

Książkę szlag gdzieś, oczywiście, trafiła oto naderzała się niespodziewana okazja!

Usprawiedliwiając się przed sobą, że Tajemnica pokoju numer 13 może, podobnie jak Czarna pyjama, mieć niejakie znaczenie dla śledztwa, dokonał drugiej już tej nocy rekwizycji.

Oddam, jeśli okażesz się niepotrzebna, przysięgł sobie, uradowany z odkrycia.

Jeszcze dziś zabiorę się do lektury!

Niesprzyjający mu w tej sprawie los dał o sobie znać po raz kolejny.

Kiedy wrócił do domu, znalazł kartkę wsuniętą w szparę między swoimi drzwiami i framugą.



Słowa skreśliła Kika Dankowska, teraz jednak Nowak.

Pisała:

Szanowny i drogi namkapitanie!

Złożyliśmy, przepraszamy, że niezapowiedzianą, wizytę w poważnej i pilnej sprawie, o której już wspomniałam.

W sprawie tej odezwiemy się ponownie.

Kartkę zostawiamy dzięki uprzejmości panny Mirosławy Rokozińskiej, która też zajęła się namiserdecznie podczas oczekiwania na pana kapitana.

Proszę podziękować jej w naszym imieniu.

Kreśląc wyrazy należytego uszanowania,

Kika wraz z Tomaszem N.

Nie był zadowolony z faktu, że panna Rohozińska, choćym razem nie z własnej inicjatywy, uczestniczy w jego prywatnych sprawach.

Swoją drogą, musiało się wydarzyć coś nadzwyczaj ważnego, skoro Dankowscy (teraz jednak Nowakowie) poraz wtóry zaryzykowali bezpośredni kontakt z kapitanem.

Był zły na siebie, że nie wziął adresu, pod którym zatrzymali się w Warszawie.

Wszystko przez pośpiech i to cholerne śledztwo!

Minęła mu ochota na poznanie zdobywcy wyniesionych zalei Róż.

Kładąc się do łóżka, planował, jak odnaleźć niezwykłą parę, uprzedzając jej ponowną i zapewne równie bezskuteczną wizytę na Flory.

A może przyjdą jutro samego rana i nie będę musiał ich szukać?

, pomyślał, zasypiając.

Egzemplarz Tajemnicy pokoju numer 13 pozostał na nocnym stoliku, oczekując stosowniejszej szejchwili.



Dzień trzeci - wtorek Wielkiego tygodnia.

Tego ranka opóźniał wyjście, daremnie wyczekując dzwonka u drzwi i pojawienia się Dankowskich. Cobyło robić?

Musiał zrezygnować z dalszego wyczekiwania i szybko jechać do komendy.

Jak zawsze, skręcił w prawo, udając się w stronę postoju na Klonowej.

Jednak mijając skwer przy Skolimowskiej, przystanął, aby obejrzeć postęp prac przy budowie metra.

Ale postępu nie było.

Pod koniec minionego roku budowa najwyraźniej utknęła.

Na miejscu niekorzystnych warunkach geologicznych, o kurzawach, ruchomych piaskach i podobnych przeszkodach.

W tym też duchu naświetlał problem Józef Sigalin.

Był bratem nieżyjącego już architekta, przed wojną dobrego znajomego Wirskiego.

Młodszy z Sigalinów powiedział, że kiedy w trzydziestym szóstym projektowano metra dla

Warszawy, z powodu piachu i kurzawy wykluczyć musiano wariant podziemnego tunelu.

Towarzysze radzieccy oczekują tymczasem, że wzorować się będziemy na głębokim metrze moskiewskim.

Przy tym wariacie nasze koszty musiałyby być wielokrotnie wyższe od poniesionych w Moskwie tłumaczył Sigalin.

Kapitan przytomnie zauważył, że chyba nikt, łącznie z towarzyszami radzieckimi, nie wie, ile naprawdę kosztowała budowa moskiewskiego metra.

Sigalin, choć planista powojenny i szkolony w Moskwie, machnął tylko ręką.

Problem kosztów warszawskiego metra ujawnił się pewnie 109.

go zimowego poranka.

Kiedy Wirski wychodził ze swegomieszkania, natknął się na jakiegoś wysokiego, chudegotypka odkręcającego mosiężne klamki windy.

Ta winda, cudem ocalała, stanowiła chlubę nie tylkojegovokamienicy, ale też całejulicy Flory.

Niewiele myśląc, Wirskizaszedłłodzieja od tyłu, założył nelsona i tak mocno zacisnął, że ten upuścił łup.

Puść pancharczałszabrownik puść, bo zawołam milicję.

Milicję!

Wirski nie ukrywał uciechy.

Dobrze sięskłada, przyjacielu!

Imaginuj sobie, że jestem z milicji!

Wolną ręką chwycił go w pasie, podniósł dobre półmetra i z siłą niespodziewaną u starszego pana rzuciłna posadzkę.

Upadkowi towarzyszyłgłuchy jęk.

Wtedy z podestu poniżej wybiegł drugi szabrownik łudzácopodobny do pierwszego.

Kręciłwypchanym worem jakmłynkiem, igdyby Wirskinie uskokczył, zabiłby go niechybnie.

Był to wszakże ostatniakt agresji ze strony dziwnejpary.

Druginapastnik wylądowałobok pierwszego.

Wirski wrócił się do mieszkania po kajdanki; drzwi na jegopiętrze, a także na niższych piętrach uchylły się ostrożnie.

Widok kapitanaz kajdankami w ręku spowodował, że zamknęły się natychmiast.

Kiedy bliźniacy bo byli to chyba bliźniacy ogłuszenia przykuci do kaloryfera czekali naprzybyciemilicji, Wirskimiał czas, aby zapalić i spokojnie przeczytać ogłoszenienalepione na ścianie, tuż obok szybu windy.

Wisiało tu, jak teraz sobie uprzytomnił, od dobrych kilku dni:

110

"Obywatele!

Mieszkańcy Warszawy!

Trwa akcja zbierania metalikolorowych nabudowę metra!

Stańw szeregu!

"I dalej po krótkim uzasadnieniu ideowym: "Administracjadomów zostaje zobowiązana dowymiany mosiężnych, aluminiowych bądź stalowych poręczy, klamek, sztyldów, okuć na ich odpowiedniki wykonane z materiałów.

".

Kapitan zaklął.

Ogłoszenie rzuciłna nowe światło na całązajście.

Najwyraźniej brak postępów w budowie metrapostanowiono zrekompensować sobie zbiórką metalikolorowych!

Nie mógł jednak nie odczućsatisfakcji z faktu, że zdrowo dołożył wykonawcom.

Wykonawcom?

Chyba jednak samozwańczym?

Papiery jakieś macie?

zapytał wracającego do przytomności osobnika z lewej.

Znaczy się, że co.

bełkotał.

Bumażka?

Jestu brata.

Papiery, jakie papiery?

zdziwił się ten drugi, kiedy energiczne zabiegi Wirskiego zmusiły go do mówienia.

Oddelegowanie do rekwizycji złomu.

metali kolorowych precyzował.

Aa, bumażka na zbiórkę.  
jest u brata wyjaśnił tendrugi i uciekł w omdlenie.

Dzięki brawurowej akcji Wirskiego kamienic przy Flory 3 jako jedyna w tej części miasta nie zapłaciła metalowej kontrybucji.

Kapitan osobiście dopilnował, aby zrabowane elementy wystroju powróciły na swoje miejsce.

W sąsiednich domach, które dzień, dwa wcześniej padły łupem bliźniaków, uratowane z wojny detale zastąpiłono półrocznym oczekiwaniem i tandetą z żeliwa.

///.

Stołeczna prasa oceniła akcję jako wielki sukces.

Żadnagazeta nie zająknęła się o tym, że część cennego surowcaprzechwycona została przez złodziei.

Bardziej niżmaterialna destrukcja miastabolałoWirskiego, że zostało opanowane przez plebejuszy z przedmieść,przez ciemne typki z Pragi, Powiśla i Czerniakowa.

Warszawa, jaką nosił w sercu stary policjant, była prawdziwametropolią, organizmem, którego ulice, place i podwórkatworzyły niepowtarzalną całość i jak mógł to należycieocenić dopiero teraz, po zamordowaniu tamtego miasta porywającą bogactwem życia.

Bogactwo to Wirski poznałniejako od kulis, odjego ciemnej, bo naznaczonej przestępstwem strony. Prowadził sprawy, których bohaterami byli artyścii dziennikarze, finansiści i kupcy, pięknekobietyi ich brzydcy kochankowie, pospolici bandyci,złodziejei prostytutki, ale też prawdziwiewirtuozi zbrodni.

Nikt z tych ludzynie przeżył wojny; a jeśli nawet,todogorywał gdzieś na obrzeżach miasta lub na emigracji.

Na placu policyjnego boju pozostali jaskiniowcy walącyłomem w ciemnych zaułkach, pijacy tłukący na śmierćswoje żony, zdziczałe dzieci obrabiające na gruzowiskachgości z barów na Marszałkowskiej.

Współczesna zbrodnia straciła indywidualny i ludzki wymiar, stała siętakjak śmierć na minionejwojnie efektemprzypadku,przypadku jednak nieuniknionego w świetle prawstatystyki.

Śmierć zadana w kamienicy przyalei Róż wyłamywałaśięz tej beznadziei.

Była dziełemmordercy finezyjnegoiniewątpliwie zuchwałego.

Kapitan nie miał wciąż żadnego

112

dowodu, ale nadalsądził, że sprawcą jest kobieta.

Kobietamłoda i inteligentna, zdesperowana i działająca w afekcie ale nie tak afektowana, aby zapomnieć o radach, które znaleźć można było w przedwojennych powieściachdetektywistycznych. Może w utworach Agaty Christie,a może jeszcze gdzieś, naprzykładw pierwszym tomieCzarnejpyjamy z 1924 roku.

Poszukiwanie literackiegopierwowzoru zbrodni odłożył na później, teraz delectował się jej okolicznościami.

Jedwabna piżama, porzuconajakoby w miłosnym zapamiętaniu; naprawdę jednak nigdynieużyta, francuskie perfumy i niepokojący zapach goździków lub męskiej wody Old Spice.

Skąd ta erotycznasymfonia w mieszkaniu komunistycznego dygnitarza?

SkądKsięga Zoharu lub oprawny w pólskórek tomik sonetówSzekspira?

Po co ten teatr?

Niedopitykoniak, kieliszek zezbyt wyraźnie odcisniętą szminką, woreczki zpakistańskim haszyszem?

Nocna wizyta tajemniczej Bożenki.

Tak,wświecieprostaków, niedouków i zwykłych kretynówtylko kobieta mogłazdobyć się na zbrodnię okrutną, aleelegancką, równocześnie naiwną, zbrodnię, która dowodziła literackiej kultury sprawcy.

Takie zabójstwa Wirskipamiętał zprzedwojennej Warszawy, choćby sprawęWiery Bezduchowej, aktorki z Morskiego Oka, czyteżzagadkową śmierć Anny Klementyny Karskiej, kochankiarystokratów i bywalców Ziemiańskiej.

Nigdyjednak niedowiedziano, żejej zgon nie był naturalny, więcpo kilkumiesiącach sprawęumorzono.

Jeśli było inaczej cóż,zbrodnia doskonała.

Jak będzieze sprawāmorderstwaw alei Róż?

113.

Zabójca Szczapy zadał sobie wiele trudu, aby upozorować samobójstwo, a na wypadek gdyby doświadczony śledczy odkrył tę mistyfikację, skierować go na jeden z fałszywych tropów.

Tych tropów było kilka: nieobecność żony i dwuznaczna obecność dziewiętnastolatka, rzekomo sprzedawczyni z MHD, elegancka, tajemnicza Bożena, jacyś młodzi, podejrzanie wyglądający ludzie w świetle zeznań milicjanta patrolującego aleję Róż kręcący się w piątek, w przeddzień zabójstwa w pobliżu numeru 6A.

Tak zwani bikiniarze, pomyślał z melancholią Wirski, zapewne, jak sugerował tenże posterunkowy, młodzież z artystycznej kolonii na Latawcu.

O bikiniarzach, ale także dygnitarzach wspominał wczoraj Kowadło w ciemnym mieszkaniu Szczapy.

Wirski wiedział co nieco o osobach ze świeżo zasiedlanych domów na Latawcu w formie tworzonym przez Marszałkowską, aleję Wyzwolenia i plac Na Rozdrożu.

Kamienice powstawały na oczach kapitana wraz z opiewaną w pieśniach i kronikach Marszałkowską Dzielnicą Mieszkaniową "emdeemem".

Nie miały fasad równie bogatych jak te przy placu Konstytucji, co było przecie żałostką.

Artystyczny gust Wirskiego kształtowały przedwojną dokonania "Ładu", "Praesensu" i osobiście muznanego Bohdana Pniewskiego.

W tych nowych kamienicach, pełnych jednak ciemnych korytarzy i zakamarków, mieszkali uznani już artyści: pieśniarz Paulos Raptis, pisarz i scenarzysta Mularczyk, mistrz grafiki i plakatu Groniowski; byli też producenci filmów, Wirth i Hager, oraz nieopodal na Nowowiejskiej fotografik Styczyński.

Tutaj też Wirski

114

spotykał inżyniera Sigalina, który zaferowany wracał z lustracji budowy MDM-u.

Budowniczy stawiał na tyłach Kasyna i zakreślał szeroki łuk ręką.

Tędy pobiegł miejska autostrada mówił zgodnie z planami z 1937 roku.

Za te plany inżynier gotów był sprzedać się samemu diabłu.

Diabeł kusił, obiecywał:

Na razie wykończymy mieszkaniówkę, potem szkołę na Latawcu, potem to.

Aby zachęcić budowniczego, diabeł zakazywał rękawy i sam kreślił plany nowej szkoły.

Diabeł nazywał się Bieruti był prezydentem nowej Polski.

I dobrze, myślał Wirski, że Sigalin paktuje z diabłem;

zajedno, dwa pokolenia nikt nie będzie już pamiętał, ani kto, ani dla czego, zaś szkoły i autostrady pozostaną.

Raporty, które odebrał rano w swym pokoju na drugim piętrze komendy stołecznej, były i dobre, i złe.

Pierwsza wiadomość okazała się tą złą: wciąż brakowało raportu szefa laboratorium, kapitana Majewskiego.

Wirski postanowił, że brak danych na temat śladów z mieszkania Szczapy wytknie jutro podczas odprawy u Krochmalskiego.

Doświadczenie mówiło jednak, że upragnione wyniki badań pojawią się w ostatnim momencie i że nie wniesąc czegoś do sprawy lub przeciwnie: zaciemnią i tak już zatarty horyzont.

Pozostałe wiadomości były raczej z gatunku tych dobrych.

Sierżant Paprotka donosił, że obserwowane przez niego i Cegiełkę uczennice rozdzieliły się zaraz przy Ła-

115.

zienkowskiej.

Wysoka szatynka w jasnym trenczu wsiadła w trolejbus numer 55 i pojechała w stronę Śródmieścia. Przebyła dwa przystanki do rogu Piusa i placu Konstytucji, tam przesiadła się do tramwaju 15 w stronę Żoliborza.

Paprotka śledził ją aż do ulicy Śmiałej 52, gdzie prawdopodobnie mieszkała.

Nazwisko lokatorów:

Brodzcy.

Cegiełka z kolei szedła blondynką z warkoczem, która dotarła pieszo aż do Dziekanki przy Krakowskim Przedmieściu.

We wzniesionym na nowo budynku mieścił się internat szkół artystycznych.

Dziewczyna, jak szybko ustalił wywiadowca, nazywa się Anna Radomska; nie jest więc raczej ową Wandzią towarzyszącą Bożence w domu Szczapy.

Za to tajemnicza Bożenka, co już wiedział kapitan, narzeczona lub tylko przyjaciółka młodego literata, mogłaby być uczennicą liceum plastycznego i nazywać się Brodzka.

Jeśli tak, śledztwo posunęłoby się wyraźnie.

Tylko czy w dobrą stronę?

Paprotka meldował również, że jego kolega punktualnie siódmejdziesiąt odleciał do Wrocławia.

Wie o tym, gdyż odwoził go pobiedą na Okęcie.

O której Cegiełka ma wrócić z Wrocławia?

zapytał jeszcze Wirski.

Dwudziesta pierwsza czterdzieści.

Czy mam odebrać go z lotniska?

Jeśli zdążymy, totak.

Mamy dziś wiele roboty.

Ważne jest jednak, aby Cegiełka nie kontaktował się z nikim po powrocie, aż do spotkania ze mną.

Na przykładu mnie w domu, około dwudziestej dru

giej trzydzieści.

A teraz ruszamy na miasto, sierżancie!

Kiedy opuszczali gmach komendy stołecznej, była godzinapół do jedenastej.

Wirski miał przed sobą niemal cały dzień, dzień, którego tak jak i dwu poprzednich niewolnemu było zmarnować.

Chciał wrócić do domu, aby spokojnie rozważyć dalszy plan działania, ale to nie było możliwe bez wypicia filiżanki prawdziwej kawy.

Sierżant Paprotka podwiózł go pod Świteziankę przy Marszałkowskiej, róg Zoli.

Wirski kazał mu być w pogotowiu odczwartej po południu.

W ostatniej chwili wydał jeszcze jedną dyspozycję:

Paprotka, wrócić teraz do komendy.

Tam w kantynie oficerskiej odbierzecie od Jadzi mój przydział świąteczny: kiełbasę podsuszaną i salceson.

Razem trzy kilogramy.

Jeśli znajdzie się coś jeszcze, koniecznie weźcie.

A tumacie pieniądze.

Paprotka wziął dwa banknoty stu złotych i odmeldował się.

Nagle zainteresowanie Wirskiego zakupami świątecznymi, tak nieprzystające do jego dotychczasowej abnegacji w sprawach bytowych, nie uszło uwadze starszego sierżanta.

Zapach świeżo palonej kawy rozchodzący się po kawiarni sprawił, że kapitan ożywił się; w jego głowie szybko zarysował się szkic projektu, który zrealizować zamierzał najbliższego popołudnia.

A świąteczne smakołyki stanowiły Jego integralną część.

Z telefonu w szatni zadzwonił do Tani Rypnis.

Oddomu kochanki dzieliło go kilkasetmetrów, ale Wirski  
117.

wolał zawczasu upewnić się, czy Tatiana jest już w posiadaniu wspaniałej szynki z kością, o której wspomniała poprzedniego dnia.

Pani Rypnis przywykła już, że telefonując do niej, Wirski rozpoczynał rozmowę od jakichś błażych spraw, maskującą wypadek podsłuchu prawdziwej miłości.

Tania potwierdziła fakt odebrania szynki wielkanocnej i wyraziła gotowość dostarczenia jej kapitanowi.

Umówili się w Świteziance.

I niech paninie zapomni o tomie pierwszym dziele branych Żeromskiego zakończył rozmowę, gdyż przypomniał sobie, że to książki, a nie szynka, stanowić miały umówione hasło. Hasło kochanka, który przyzywa ją namilose rendez-vous.

Zjawiła się po półgodzinie, rozsiewając woń perfum pomieszana z zapachem olbrzymiej szynki zawiniętej w szary papier i mocno obwiązanej sznurkiem.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej z podziwem i zazdrością, potem zaś przeniosły się na Wirskiego. Tania wręczyła mu z gracją smakowitą pakunek wraz z tomem pierwszym w granatowej oprawie, przedwojennej edycji Żeromskiego.

Wirski zaś poprosił, by usiadła blisko niego, ujął jej dłoń, ustanachylił do ucha:

Przepraszam za moją natarczywość.

Kieruje mnie wyższa konieczność, której przyczynę wyjawię ci kiedy indziej.

Szeptając jej te zakłęcia, nie zauważył, kiedy od stolika w głębi drugiej, większej sali oderwał się ciemny, kwadratowy cień i szybko przemknął obok nich.

Majora Kowadłę spostrzegła jednak Tania, ale nie zareagowała.

Również później nie wspomniała o tym Wirskiemu.

To spotkanie mogło przesądzić o życiu lub śmierci Bożenki Brodzkiej, a także o losach śledczego, toteż kapitan przygotował się do niego najstaranniej, jak tylko potrafił.

Los, przez niewtajemniczonych zwany przypadkiem, decydował, być może, o sprawach zwykłych ludzi, ale biegiem śledztwa, tak jak biegiem historii, kierował przedewszystkim wola.

Wirski wiedział o tym równie dobrze, jak jego szefowie z UB, oczekując na satysfakcjonujących wynik śledztwa.

Najtrudniejsza część zadania nie polegała na tym, aby zdobyć dowody przesądzające o winie Bożenki lub jej braku tutaj kapitan pewien był swoich umiejętności śledczych, lecz na tym, aby dziewczyna nie domyśliła się, że jest obiektem inwestycji.

Jeśli się nie uda i kapitan zdekonspiruje się wobec państwa z Żoliborza, będzie to równoznaczne z katastrofą misji.

Wirski wolał nie myśleć o fatalnych dla Bożenki następstwach takiego obrotu sprawy.

Miał niejaki podstawy, aby sądzić, że to ona jest sprawczynią morderstwa lub że przynajmniej miała w nim przykład wspólnie z Brochą istotny udział.

Sens jego misji sprowadzał się do dyskretnego sprawdzenia, czy ma jakieś alibi czy Wirski zdoła ją, w razie czego, obronić przed majorem Kowadłą.

W najgorszym dla sprawcy przypadku braku dostatecznego alibi zamierzał rozważyć sposoby jego stworzenia.

Rzecz jasna, bez świadomego udziału podejrzanej.

Zadanie dość



niezwykle jak na oficera śledczego o nieskazitelnej, jakdotąd, reputacji.

No cóż, uspokajał policyjne sumienie, czasy są dalekie od normalności, a i okoliczności sprawy niecodzienne.

Naswojeszcie Bożena Brodzka nie miała ani wiedzy, ani doświadczenia Wirskiego w materii tak zwanych przypadków.

Uprzejme pytanie, zadane przez nieznanego podążającego ulicą Śmiałą, przyjęła całkiem naturalnie.

Spostrzegła od razu, że starszy pan przybył z prowincji, sądząc po podniszczonym kapeluszu i niemodnym płaszczu oraz po tym, że słabo sobie radzi w obcym miejscu.

Mierosławskiego?

O, to niedaleko.

Wystarczy pójść prosto, a potem na lewo.

lub na prawo.

Wirski zajrzał do pomiętej karteczki trzymanej w lewej dłoni, w prawej bowiem dźwigał sporą, wypchaną teczkę.

Dziewczyna, która dopiero teraz spostrzegła bagaż, domyśliła się jego smakowitej, a zawsze deficytowej w stolicy zawartości.

Przecież już za kilka dni święta wielkanocne.

"138" przeczytał z karteczki.

To nalewo będzie czy na prawo?

Dziewczyna zmarszczyła odrobinę czoło, a mały, kształtny nos wydał się kapitanowi jeszcze ładniejszy:

Wydaje mi się, że nie ma takiego numeru.

A mieszkam tu od dzieciństwa.

Może i 13.a?

Może odpowiedział bez przekonania.

To ma być obszerny, przedwojenny dom z ogrodem.

120

Tu niemal wszyskiesą takie zaśmiała się żoliborzanka.

A kto konkretnie tam mieszka?

Wirski wymienił nazwisko, akcentując jego końcówkę, "bylski".

Chyba nie znam.

Naprawdę żałowała, że nie może pomóc przybyszowi, toteż zaproponowała, że skreśli razem z nim w Mierosławskiego.

Spieszyła się trochę.

Szła do sklepiku przy Czarnieckiego, a już za chwilę miała nadejść Tosia, a razem nią ten nowychłopak, którego poznały na potańcówce w liceum plastycznym.

Starszy pan z prowincji wyglądał wszakże na strapionego.

Ujęła go więc lekko pod wolneramię i poprowadziła ku wylotowi ulicy.

Spontaniczność tego gestu, ufność, z jaką potraktowała nieznanego, Wirski chętnie zaliczyłby na korzyść Bożenki, co nie znaczy, że uznałby za dowód lub choćby poszlakę niewinności.

Młoda, niedojrzała emocjonalnie osoba może zamordować w szczególnie okrutny sposób, a potem spokojnie pójść potańczyć na fajfie.

Wirski znał takie przypadki, ale "casus Bożenka" był wyjątkowy, jeśli idzie o procedurę cel śledztwa. Zasadał się przecież tylko na tym, aby dowieść winy lub niewinności podejrzanego, lecz gdyby okazała się winną szukać dla niej mocnego alibi.

Przez minutę, dwie delektował się jej bliskością, lekkim chodem i stukotem obcasików.

Była szcuple i delikatna, jasny obszerny trenz, najwyraźniej z ciuchów lub zagranicznych paczek, postawiony kołnierz i jedwabny

121.



szal kryły jednak tę kruchość wyczuwalną dopiero przydotknięciu jej ramienia.

Panz daleka?

zapytała najwyraźniej po to, by wypełnić ostatnie metry dzielące ich od skrzyżowania.

Takie pytanie, pozornie bez znaczenia, musiało jednak paść.

Stanowiło część planu kapitana, toteż nie zwlekał z odpowiedzią:

Spod Radomia, panienko.

Wyjeżdżając dziś rano do Warszawy, myślałem, że to tylko sto kilometrów.

Ale stolica okazała się tak daleka od mojego miasteczka.

Toinny świat, trudny i nieodgadniony dla przybysza.

Sentencjonalne zdanie nie wzbudziło żywszego zainteresowania, dlatego też ciągnął:

To już drugi adres, z którym mam problem.

Podpierwszym zastałem drzwi zamknięte.

Mało tego, odniosłem wrażenie, że mój krewniak wyjechał; w każdym razie, że jest od pewnego czasu nieobecny.

Nie uprzedził go pan o swojej wizycie?

zapytała Bożenka raczej obojętnie niż uprzejmie.

Nie odpowiadał ostatnio na listy.

Właśnie dlatego postanowiłem sprawdzić na miejscu.

Ale, ale co ja panię głowę zawracam moimi sprawami.

Nie zareagowała.

Skręcili ze Śmiałej w prawo.

To tutaj powiedziała przewodniczka Wirskiego.

Jest niestety tak, jak panu powiedziałam, nie ma numeru 138.

Pusty plac, zniszczone ogrodzenie.

Trzyście A również nie ma, ale był zapewne przed wojną skomentował fałszywy prowincjusz.

122

Jest za to A oraz B zauważyła Bożenka.

Możeto tutaj?

Zrozumiał, że chce się pożegnać.

Nadszedł więc decydujący moment.

Konieczniew musiał zyskać na czasie.

Postawił teczkę nachodniku i skierował uwolnioną dłoń do brzegowi wyszarzałego kapelusza.

Zanim jednak zdecydował, co dalej, z pomocą przyszedł mu przypadek.

A jednak trudno go wykluczyć ze śledztwa, pomyślał z ulgą, kiedy Bożenka pomachała dwojgu młodym, nadchodzącym od strony Mickiewicza.

Tośka!

Tu jestem!

Przepraszam pana.

na moment zwróciła się do Wirskiego.

Przywitał się z przyjaciółką.

Prawie pewien, że ofiara mu już nie umknie, obserwował scenę powitania dwóch młodych kobiet oraz wyraźnie onieśmiałego jasnowłosego chłopca w odświętnym ubraniu.

Kiedy Bożenka zostawiła tamtą parę na przeciwległym rogu i podbiegła do Wirskiego, ten grzecznie podziękował za pomoc i dobre chęci.

Nastrój Bożenki i stosunek do kłopotów starszego pana z okolic Radomia uległy wyraźnej poprawie.

Sprawiło to nadejście Tosy lub, co bardziej jeszcze prawdopodobne, Jasnowłosego chłopca.

Ależ proszę pana, nie zostawię tak pana na środku ulicy!

Podbiegła dookolonej płotem posesji pod jedenastym.

Obok furtki umieszczono kilka dzwonek wraz z nazwiskami lokatorów.

Jaki się nazywa ten pański znajomy?  
123.

Przybylski powiedział, tym razem wyraźnie.

Ruszył ślad za dziewczyną.

Przybylski, Przybylski.

nie widzę takiego.

Jest Chmura, Pędzikowski i.

urwała.

Kto?

Bożenka nie odpowiedziała.

Zobaczył, jak wiotka sylwetka sztywnieje pod jasnym trenczem.

Więc?

Brak odpowiedzi.

Ofiara Wirskiego wykonała powoli, jakby z trudem, przeczący ruch głową.

Szczapa odpowiedziała wreszcie i zwróciła ku Wirskiemu buzię, która nagle straciła kolory.

Szczapa powtórzyła.

A więc to nie tutaj zasmucił się Wirski.

Fortelz wizytówką powiódł się pełni.

Wyblakła karteczka, wsunięta przed kwadrans w miejscę wizytówki jakiegoś Malinowskiego, niczym nie wyróżniała się spośród innych.

Spełniła znakomicie swą rolę, dzięki niej kapitan wiedział już, że dziewczyna знаła Szczapę, że Bożena Brodzka i Bożenka, narzeczona Michała, to jedna i ta sama osoba.

Śledztwo Wirskiego zaczynało się teraz na dobre.

Nie patrzył na Bożenkę.

Udawał, że nie dostrzega jej poruszenia.

Sam sprawiał wrażenie zakłopotanego.

To ja już pożegnam panienkę.

Przyjaciele panienki czekają.

Tak, czekają.

Przepraszam pana!

Nie zdobyła się już na pożegnanie.

Postawiła kołnierzy przebiegła na drugą stronę ulicy.

Proszę panienki!

zawołał, ale nie zareagowała.

124

Wtedy po raz wtóry przyszedł mu w sukurs przypadek ciągu dalszego samego szczęśliwego trafu: pojawienia się przyjaciół Brodzkiej.

Ci bowiem najwyraźniej zainteresowali się starszym panem z prowincji, stojącym bezradnie obok sfatygowanej, dobrze wypchanej teczki.

Podeszli do Wirskiego, ku zaskoczeniu, a może nawet niezadowoleniu Bożenki.

Pan przyjezdny, nieprawdaż?

nagabnęła Tosia.

Jak widać, panienko Wirski nieśmiałym gestem wskazał pozostawiony na trotuarze bagaż.

Tosia, dość ładna brunetka, wyglądająca na starszą od Brodzkiej, również wskazała na teczkę przyjezdnego.

Teczka zawierała przekonujące alibi kapitana, zarazem tajną broń, które jużycie umożliwiła mu właśnie rezolutna dziewczyna.

Idą święta, nieprawdaż?

Zapewne szanowny pan przywiózł coś smacznego: swojską kielbasę, salceson, a może nawet szynkę?

Twarz nieznanego rozpromieniła się.

Jakby panienka widziała to wszystko, co zapakowała mi żona!

Jest nawet szynka z kością!

Dla krewnych w Warszawie dociekała Tosia.

I to prawda, panienko!

Tosiu, nie wypada tak pytać!

wtrącała się Bożenka.

Twarz licealistki odzyskała dawny kolor, ale oczy stały się czujne.

Cieś sympatii, jaką okazałaz początku Wirskiemu, zniknął.

Idziemy, Tosiu!

Najpierw do sklepiku za rogiem, a potem do mnie.

A ty, Bronku, oczywiście z nami!

Ułameksekundy dzielił reżysera tej sceny od niespodziewanego opuszczenia kurtyny i odejścia aktorów.

W tym

125.

okrucchu czasu zmieścił się milczący dotąd czwarty uczestnik, naziwany Bronkiem.

Ciotkaby mnie ozłociła, gdybym przyniósł do domutaką szynkę.

Miałbym odpuszczone wszystkie ubytki w kredensie, ze sławetną żołądkówką włącznie!

Była to aluzja do jakiejś wspólnej zabawy, zakrapianej najwyraźniej alkoholem.

Tosia zachichotała, a kurtyna przeznaczenia zatrzymała się dobre dwa metry nad sceną.

A może to nie przypadek przywiódł pana na wygłodzony Żoliborz?

Bronek zaczynał nabierać śmiałości.

Postawmy sprawę jasno zaszarżował, jak przystało nakogoś, kto na codzień jest mało pewny siebie damy dobrą cenę za to wszystko, co nie trafi do pańskich krewnych.

Bronku, jak możesz!

mitygowała go Bożenka, coraz bardziej zła na kolegę, na Tosię i nanieporadnego gościa spod Radomia.

Wirski zaś z ulgą przyjął sygnał, że nieufność dziewczyny ustąpiła zwykłym urozdrażnieniu.

Po prawdzie odezwał się nieśmiały właściciel teczki to niewiele im się dostanie, ponieważ jedynym nie zastałem w domu, a drudzy dali mi zły adres.

A widzisz, Bożenko triumfowała Tosia.

Miałam rację, pytając o zawartość teczki!

Nieprawdaż?

Bożenka nie odpowiedziała.

Nastrój dziewczyny pogarszał się z minuty na minutę.

Nie będziemy tak stali na środku ulicy zaordynowała Tosia.

Bożenko, zaproś nas do siebie.

A jeśli nie.

zawahała się, ponieważ nie mieszkała na Żoliborzu inie

126

mogła nikogo zaprosić do przeludnionego mieszkania rodziców.

Wtedy pójdziemy do mnie!

wyręczył ją Bronek.

To za ledwie pięć minut stąd.

Niechęć Bożenki do przedłużania rozmowy z nieznanym przemieniła się w irytację.

Jeśli wolicie handlować kielbasą, niż spotkać się z mną, droga wolna!

Odwróciła się i ruszyła w stronę ulicy Czarnieckiego.

Musiała jeszcze zrobić zakupy, o które prosiła ją matka.

Po kilku krokach zatrzymała się jednak i rzuciła w stronę Tosi:

Aty przestań wreszcie mówić "nieprawdaż", bobo cię znenawidzę!

Ależ Bożenko!

Chcemy jednego i drugiego!

I kielbasy, i twojego towarzystwa!

Nieprawdaż, Bronku?

Po ostatnim "nieprawdaż" Tosi cała trójka wybuchła śmiechem.

Bożenka, odreagowując stres ostatnich minut, śmiała się najgłośniej.

I tak już jest z tą naszą Tosią powiedział Bronek do nieznanego.

Uparta, przebiegła, zawsze potrafi postawić na swoim.

A ty nie bądź taki mądraliński Tosia zbesztaj chłopaka.

Bożenko, zabieramy pana ze sobą!

Wirski spojrzął z sympatią na ciemnowłosą, a ta odwzajemniła mu się promiennym uśmiechem.

Karol (Kociubę) przedstawił się Tosi z nieco przesadną, zdradzającą przedwojenne wychowanie rewerencją.

127.

Antonina Praludzie odwzajemniła się Tosia.  
Chwileczkę, jak panpowiedział?  
Kociubej?

Kociubej potwierdził skromnie Wirski.  
Emerytowany księgowy spod Radomia.

To doprawdy niezwykle!  
Moja mama jest z domu Kociubej.  
No dobrze, ruszajmy już, bo Bożenka naprawdę nas znienawidzi.  
Nieprawdaż?

Po kwadransie, potrzebnym, aby Bożenka kupiła chleba w pobliskim sklepie, spotkali się wszyscy przed domem Brodzkich i tu nastąpiła dalsza prezentacja.

Bronisław Cichy przedstawił się jasnowłosy młodzieniec student Uniwersytetu Warszawskiego.

O! To brzmi zachęcająco pochwalił Wirski.  
A jaki wydział, można zapytać?

Polonistyka.  
Pierwszy rok.

Pakt, że Cichy studiuje razem z zaginionym od kilku dni Michałem Brochą, mógł być istotny, ale stanowił, na razie, wątek poboczny.

Niemniej kapitan zapytał jeszcze:

Kolega pragnie zostać literatem?  
Twarz studenta polonisty pokryła się rumieńcem.  
Próbuję trochę.

To nic wielkiego.

liryki, dwa, trzy opowiadania.

Bronek napisał wiersz liryczny na temat miłości ojczyzny.

Czytano go na ostatniej wieczornicy dorzuciła szybko Tosia.

Nieprawdaż, Bronku?

Milcząca Bożenka z bochenkiem chleba pod pachą, wsparta o furtkę swojego domu, wtrąciła się nagle.

Ton był zjadliwy:

126

Tosiu, to nie był wiersz liryczny, tylko panegiryczny!

Pokazywałaś mi goprzecież.

Przesłódzony.

Wydumany.

Afektowany!

Pchnięcie było precyzyjne, a szermierz odważny, pomyślał z podziwem Wirski.

Rozmowa przybierała jednak niebezpieczny obrót, więc odezwał się pojednawczo:

Nie każdy jest od razu Broniewskim.

Siła wyrażonego poezjibierze się z głębi życiowego doświadczenia, szczerości i odwagi.

Poeta musi być uczciwy względem siebie.

Odważny wobec świata.

Tuszę, że z tych ostatnich cech nie brakuje młodemu panu Bronisławowi.

Pierwsze zaś doświadczenie, cóż!

Przyjdzie w sposób nieunikniony.

Całkiem niepospolity komentarz jak na emerytowanego księgowego spod Radomia.

Wirski wiedział, co robi, ujawniając swoje obeznanie z literaturą.

Salceson i szynkawystarczały, aby zainteresować Tosię i nawet szukającego rozgrzeszenia u swojej ciotki polonisty, ale w oczach Bożenkinie znalazł przecież dzięki temu uznania.

Gapowaty prowincjusz musiał użyć innego klucza do serca żoliborzanki.



Pan też pisywał w młodości?  
zapytał poeta Bronisław.

W jego głosie zabrzmiał smutek spowodowany brakiem zrozumienia dla jego muzy,  
pomieszany zdziwieniem, że skromny prowincjusz może mieć tak trafny; pogląd na temat poezji.

Cóż, stare dzieje, kolego.

Wszelako pociąg do książki pozostał.

A teraz, na emeryturze.

129.

Przerwał, ponieważ drzwi piętrowej willi otworzyły się i na schodkach pojawiła się szykowna kobieta kołoczterdziestki:

Bożenko!

Tosiu!

zawołała.

Czemu tak stoicie pod bramą jak służące ze strażakami?

Wejdźcie, proszę, do środka.

Zachwycająca kobieta, skonstatował Wirski i pierwszyraz tego popołudnia pożałował, że musi grać rolę pocziwca z prowincji.

W dodatku podstarzałego.

Ważniejsze było przecież, że sprawy przybierały najkorzystniejszy z możliwych obrót. Weszli do świeżo otynkowanej willi; ta świeżość wyróżniała ją spośród innych domów przy Śmiałej, kiedyś eleganckich, teraz przyszarzałych, ze zniszczonymi ogrodzeniami i dziczejacymi ogrodami.

Pani Klementyna Brodzka, matka Bożenki i małżonka słynnego konstruktora bo to ona w własnej osobie zaprosiła ich do domu była mocno zaskoczona, widząc w towarzystwie młodych nieznajomego starszego pana.

Wirski przedstawił się nieśmiało, a zarazem szarmancko.

Ze znawcy poezji przemienił się na powrót w staroświeckiego gościa z prowincji.

Dokonano teraz prezentacji studenta polonisty, Bronisława Cichego.

Brodzka przywitała się uprzejmie i natychmiast obróciła wzrok ku tajemniczemu przybyszowi.

Bożenka milczała i może to właśnie wzbudziło niepokój panidomu.

Z niezręcznej sytuacji wyratowała wszystkich Tosia.

Poprosiła Brodzką o zgodę na przejście do kuchni prezentację zawartości teczek przybysza.

130

Pozostawili okrycia w niewielkim przedpokoju, z którego podobnie jak w domu denata przy alei Róż wychodziły drzwi napokojei wyłożoną białymi kafłami kuchnię.

Wirski postawił teczkę na lakierowanym taborecie i niespiesznie ją otworzył.

Przyprawiające o zawrót głowy aromaty świeżej wieprzowiny, wędzonego boczku, a także czosnku, kminku i kolendry wypełniły pomieszczenie.

Wielki Boże westchnęła Tosia i łzy napłyły jej do oczu.

Nawet małżonka słynnego konstruktora wydawała się poruszona.

Bożenka stała pod oknem, udając, że nie dotyczy jej wcale to rozgrywające się w kuchni misterium.

Ale i ona poczuła silne ssanie w żołądku.

Przełknęła ślinę i obróciła się ku oknu.

Patrzyła na spokojną jak zawsze ulicę Śmiałą i rozmyślała.

Wirski, którego uwadze nie uszło, rzecz jasna, zachowanie dziewczyny, dałby wiele, aby wiedzieć, ku czemu lub raczej ku komu podążają jej myśli.

Czy przypomniały się jej sceny zazdrości w innym mieszkaniu, mieszkaniu Szczapy?

Czy rozważała niepokojący przypadek z nazwiskiem Szczapy na bramie pobliskiego domu?

Czy raczej zastanawiała się, co się stało z Michałem Brochą, który przecież od kilku już dni nie dawał znaku życia?

A może wiedziała, gdzie ukrywał się jej dawny chłopak?

Chyba że zapomniiała o tamtej miłości i interesował ją Broniek Cichy, też w końcu poeta i student polonistyki?

Teraz jednak musiał skupić się na nowej roli.

Z miną prestidigitatora wyjmującego królika z cylindra zaczął opróżniać swój bagaż.

Na czystej, prawie nowej ceracie pokrywającej stół kuchenny pojawiły się kolejno: dwa

131.

kilogramy salcesonu pierwszej świeżości, podsuszona swojska kielbasa w ilości ośmiu pęt, kawał wędzonego, chudziutkiego boczku i wreszcie, po dłuższej pauzie potrzebnej na przecięcie sznurka i rozwinięcie papieru o lbryzmich rozmiarów, przerośnięta delikatnym tłuszczem szynka wielkanocna.

Rzeczywiście, z kością!

wykrzyknęła Tosia.

Jadłam raz taką.

Mam jeszcze coś powiedział skromnie nieznajomy coś na przystawkę.

Z wnętrza bezdennej, magicznej teczki wychyły zgrabne słoiczki zwieńczone kapturkami w czerwona kratkę.

Rydze, kurki, znowu rydze, Boże, a tu korniszony, domowe, nieprawdaż?

Prawda, panienko, korniszony domowe, wszystkie produkcji mojej żony Anieli, siostry Marianny i szwagra Leopolda powiedział nie bez dumy przybyły.

Nie byłoby jednak prawdą.

Zawartość czarodziejskiej teczki pochodziła głównie z kantyny komendy stołecznej, z specjalnego, świątecznego przydziału dla oficerów.

Szynkę z kością, prawdziwy dar serca, zawdzięczał Tani Rypnis.

Grzybki i korniszony przywędrowały zaś z domowych zapasów kapitana, który kolekcjonował wykwiłtne zakąski dowódek.

Toż toiste skarby, panie.

powiedziała Brodzka.

Kociubej, Karol Kociubej.

Fałszywy emeryt spod Radomia dostrzegł kątem oka, że Bożenka wymyka się z kuchni.

Trzasnęły drzwi gdzieś

132

w głębi mieszkania.

Nikt, poza Wirskim, nie zauważył

jej wyjścia.

Próbnej degustacji towarzyszyły okrzyki stosowne do jakości produktów.

Przystąpiono do wstępnego podziału smaków i pertraktacji cenowych.

Wirski przerzucił naklientów delikatny problem wyceny, po czym zapytał, czy mógłby skorzystać z łazienki.

Na odchodnym powiedział tylko, że kielbasa swojska ma być podarunkiem dla obupai Brodzkich, dla Tosi i poety Bronka, a za pozostałą dobrą nie życzy sobie zbyt wysokiej ceny.

Idąc za wskazówkami pani domu, odnalazł przybytek zaopatrzony w niezawodny, przedwojenny przyrząd marki The Best Niagara, taki sam, który służył lokatorom kamienicy przy Flory.

Kapitan miał okazję do szybkiej lustracji domu profesora Brodzkiego.

Dwa przestronne, widne pokoje: salon i zarazem jadalny z wielkim kredensem oraz rodzaj gabinetu, zabudowanego półkami bibliotecznymi.

Książki, jeszcze raz książki, obrazy, grafiki i fotografie.

Ciekawe, jak się uchowały przez wojnę?

Profesor Brodzki jak już wiedział spędził okupację w Warszawie, rozpracowując, między innymi, przyrządy sterujące niemieckimi raketami V1 i V2.

Czwarte drzwi były zamknięte, zapewne sypialnia lub pokój Bożenki.

Chyba ten ostatni, bo za szklanymi drzwiami mignęła sylwetka dziewczyny.

Na drzwiach zaś widniała kartka z napisem: "Przed Wejściem zapukać!"

Domokrądcami nudziarzom wstęp surowo wzbroniony!

"

Starannie wykaligrafowany tekst dawał niejaki pojęcie o nadzwyczajnej pozycji Bożenki w domu rodziców.



Zapach oleju lnianego i kalafonii wydobywał się zza drzwi, mieszając się teraz z wielkanocnymi woniami z kuchni.

Pokój stanowią więc zarazem pracownię młodej artystki.

Trzeba było wracać.

Zajrzał ponownie do salonu.

Teraz jego uwagę przykuł nie stary kredens, ale wielka skrzynia z licznymi gałkami.

Wyglądała na odbiornik radiowy, ale nim nie była!

Eleganckie, pokryte złocistym fornirempudło zaopatrzone bowiem w niewielki, zaokrąglony narogach szklany ekran.

Telewizor!

Narada w kuchni trwała; powstał szlachetny spór o to, kto ma zabrać najwspanialsze trofeum szynkę z kością.

W końcu postanowiono podzielić produkt, przy czym większą część, ta z kością, miała przypaść Tosi.

Proszę się nie spieszyć z zapłatą oświadczył Wirski.

Przyjdę po pieniądze jutro lub pojutrze.

Muszę do piątku zostać w Warszawie.

Uklonił się pani domu, pożegnał pospiesznie z młodzieżą, zabrał teczkę i ruszył do przedpokoju.

Ależ, panie Kociubej!

zawołała Brodzka.

Tak niemoże być!

Zapłacę zaraz za wszystkich!

Później, szanowna pani, później odparł Wirski, ponieważ w jego głowie zrodził się już nowy, ważny plan.

Naprawdę się spieszył.

Proszę wziąć chociaż numer telefonu.

Brodzka zapisała numer na skrawku papieru śniadaniowego, który znajdował się akurat pod ręką.

Oczywiście, zatelefonuję, zanim wybiorę się do szanownych państwa.

Kłaniam się, do widzenia!

134

I wyszedł.

Zebrani w kuchni nie mogli już dostrzec, że zamknąwszy drzwi za sobą, postawił na chwilę pustą teczkę na ziemi, otarł czoło chusteczką i całkiem różnym krokiem pomaszerował w stronę przeciwną do Mierosławskiego.

Skreślił uliczkę lewo, chyba Hauke-Bossaka, potem zaś w Czarnieckiego w prawo.

Pod parkiem narogu Krasińskiego czekała na niego niebieska warszawa.

Zapalił papierosa i upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wsiadł do wozu i wolno odjechał.

Nagła zmiana w zachowaniu nieznanego, jego pospieszne odejście zaskoczyły wszystkich, a panią Brodzką wręcz zaniepokoiły.

Boję się, że nie przyjdzie, ani dziś, ani pojutrze.

Obaw profesorcej nie podzieliła Tosia:

Dziwny człowiek, nieprawdaż, ale przyjdzie to przyjdzie pewno.

Winni mu jesteśmy mnóstwo floty, a niewygląda na zbyt zamożnego.

W dodatku to mój krewny.

Coś podobnego, Tosiu!

Dlaczego nam od razu nie powiedziałaś?

zdumiała się pani Brodzka.

Nazywa się Kociubej, a więc tak jak moja matka w czasach panińskich, nieprawdaż, Bronku?

Student polonistyki przytaknął skwapliwie.

Oczywiście, zbieżność nazwisk może być przypadkowa mówiła Tosia ale moja mama

pochozi spooRadomia.

Mieszka tam dwóch jej starszych braci, a jeden z nich pracował jak księgowy.

Jakżeż to, Tosiu!

Nie poznałaś swojego wujka?

Ani on ciebie?

135.

Tosia zmieszała się.

Nigdy nie spotkałam moich wujów.

Znam ich tylko ze słyszenia.

Do kuchni weszła Bożenka, równie niepostrzeżenie jak wyszła.

Poszedł sobie wreszcie?

zapytała.

To odkrycie dokonane w salonie Brodzkich zelektryzowało Wirskiego!

Oczywiście, telewizja!

Jak mógł przeoczyć tak doniosły fakt z życiorysu profesora?

Po krótkim spotkaniu z Tanią i oddaniu jej kluczyków do niebieskiej warszawy powrócił do mieszkania na Flory.

Dochodziła dziewiąta wieczorem.

Miał więc równo dwanaście godzin do odprawy w komendzie głównej.

Wystarczająco dużo czasu, aby ze starych gazet i książek wyszperać coś na temat telewizji, a może isamego Brodzkiego.

Przede wszystkim, aby przemyśleć sprawę i uporządkować powiększający się szybko materiał dowodowy.

Niezastąpiony i tym razem okazał się "Tygodnik Ilustrowany".

W roku 1937 i dwóch latach następnych pisał o polskiej telewizji i jej twórcach.

Wistocie, Kamil Brodzki już przed wojną pracował nad wynalazkiem przesyłania obrazów na odległość.

Wraz z inżynierami Groszkowskim, Kędzierskim i Majewskim budował eksperymentalne studio oraz nadajnik stacji na szczycie Prudentialu przy placu Napoleona.

Pod koniec lat trzydziestych, chyba w trzydziestym ósmym, architekt Pniewski wygrał konkurs na siedzibę Polskiego Radia i Telewizji.

Wysoki na dwadzieścia

136

pięter gmach miał stanąć u zbiegu Puławskiej i Batorego tękat wiadomość dobrze pamiętał, bo mieszkał tuż obok.

Wojna zdruzgotała te plany.

Sprawa uruchomienia telewizji w Warszawie powróciła już dwa lata po okupacji.

Wirski dowiedział się z powojennych gazet, że próbnym program wyemitowany został jesienią 1952 roku z nadajnika na Pradze, przy ulicy Ratuszowej.

Było to tuż przed wyborami do sejmu; w styczniu następnego, 1953 roku kapitan miał możliwość obejrzenia jednego z pierwszych regularnych programów relacji z meczu piłkarskiego.

Kto z kim grał, tego nie zapamiętał.

Prasarozpływała się nad osiągnięciami inżynierów radzieckich oraz pomocą udzieloną przez ZSRR konstruktorom polskim, ale przekorna jak zawsze opinia warszawska wspominała, że prace kontynuowali teraz ci sami, którzy tworzyli telewizję przed wojną: Janusz Groszkowski, Lesław Kędzierski, Kamil Brodzki.

Udział profesora, a może nawet jego kierownictwo nad odbudową telewizji, otwierał nowy, choć też niepewny wątek w sekretnym śledztwie Wirskiego.

A może, zastanawiał się, Bożenka nie ma nic wspólnego z morderstwem Szczapy?

Tylko jakieś ciemne siły, powiedzmy imperialistyczna agentura, postanowiły wpłatać Brodzkich w tę sprawę i przeszkodzić w odbudowie polskiej telewizji?

Nie, to wierutna bzdura w stylu majora Kowadły!

Wirski, w przeciwieństwie do większości współobywateli, doskonale wiedział, że wrogie agentury rodzą się wyłącznie w gmachu przy Koszykowej oraz innych siedzibach socjalistycznej władzy.

Toteż uśmiechnął się jedynie

137.





na myśl o amerykańskich szpiegach wykradających planytelewizji.

Zegar w części mieszkania zajętej przez panie Rohozińskie wybił dziewięć razy. Nadeszła pora na kolejny punkt bogatego w wydarzenia dnia: przyjęcie od Paprotki raportu z wykonania jego żoliborskiej misji.

Ostatnim miało być spotkanie z kapralem Cegielką zaraz po jego powrocie z Wrocławia, jeśli oczywiście nie pozostanie tam dłużej niż jeden zaplanowany dzień.

Knajpy i bary przy Marszałkowskiej zamykały już swoje podwoje, więc umówili się pod redakcją "Życia Warszawy", odstrony Emila Zoli.

Mimo późnej pory panował tutaj spory ruch.

Huczały olbrzymie maszyny rotacyjne.

Drukowały właśnie czwartkową edycję popularnego dziennika.

Gdyby jednak ktoś pytał, co tu robią, Wirski znał przynajmniej kilku redaktorów, do których mogliby mieć nagły, nocny interes.

Idealne miejsce na spotkanie; dwóch spiskowców.

Tak więc, sierżancie?

zwrócił się do zwiadowcy.

Mistrz podstępów i mistyfikacji nie miał zbyt tęgiej miny:

O mało co nie wpadłem.

Panna Brodzka wyszła, co prawda, z domu, by odprowadzić przyjaciół, ale wróciła już po dziesięciu minutach.

Miałem mało czasu na przeszukanie jej pokoju.

Nie twierdziłem, że zadanie będzie łatwe.

Co znalazłeś?

Niewiele, ale może się przyda.

Dwa listy odręczne, adresowane do "kochanej Bożenki", które sfotografowałem.

138

Dotknął poły płaszcza, kryjącego nie tylko służbowy pistolet, lecz także małoobrazkowy aparat fotograficzny z obiektywem Zeiss'a o wielkiej jasności.

Umożliwiał przy pewnych umiejętnościach fotografowanie bezflesza, nawet w bardzo złych warunkach.

To cacko sztuki fotooptycznej stanowiło osobistą własność Wirskiego.

Wypożyczył je Paprotce, jako że komenda stołeczna nie dysponowała odpowiednim sprzętem.

Kapitanowi zależało przy tym, aby część śledztwa dotycząca ulicy Śmiałej pozostała przynajmniej na razie w tajemnicy.

Działali nieformalnie, a w momencie włamania się do domu Brodzkich łamali też prawo.

Ryzykowali, najwięcej rzecz jasna kapitan.

Paprotka ufał mu, gotów był przyjąć każdą polecaną mu większą odpowiedzialność spadała na przełożonego.

Bardzo dobrze.

Zdjęcia wywołał sam.

Odebrał aparat od Paprotki.

Zapalili i ruszyli wolną stroną Polnej, gdzie parkowała służbowa pociągowa.

Czy to wszystko, Paprotka?

Starszy sierżant uśmiechnął się tajemniczo.

Wyjął

z kieszeni prochowca papierową paczuszkę i podał ją

Wirskiemu.

Znalazłem w pojemniku na śmieci pod domem Brodzkich.

Po namyśle zabrałem.

Wrzeczy samej, zawartość paczuszki zaskoczyła kapitana.

Zawierała sporych rozmiarów fiołkę, w rodzaju tych, jakie używane są w szpitalnych laboratoriach,

a w których przechowuje się leki lub materiał pobrany do badań.

Fiolka była pusta, choć szczelnie zamknięta.

Napis na etykiecie

139.

głosił: "HGN kujas cyjanowodorowy".

Paprotka nie miał wykształcenia w dziedzinie chemii, ale w działaniu tzw. kwasu pruskiego był doskonale zorientowany.

Kiedy więc w papierowej torebce odkrył fiolkę, uznał, że jej obecność wśród pospolitych śmieci państwa Brodzkich jest co najmniej zaskakująca.

Rzeczywiście, niezwykle odkrycie, sierżancie.

Gdyby fiolka była pełna, można by nią wytruć połowę miasta.

Po co Brodzkim taka ilość trucizny?

Jak na środek naszczury, to stanowczo za wiele!

Założył rękawiczkę i delikatnie otworzył fiolkę.

Przybliżył nos do jej krawędzi.

Nie mogło być wątpliwości:

z fiolki dobywał się przysłowiowy już "zapach gorzkich migdałów".

Gdyby nie to, że według doktora Kierszmana Szczapa faktycznie zmarł wskutek otrucia którymś z cyjankali cyjanowodorem, cyjankiem wapnia lub dwucyjanem zażartowałby zapewne, że to dowód jak z powieści kryminalnej.

Sprawa była przecież poważna, bo dowód obciążał bezpośrednio Bożenkę Brodzką, oczywiście jeśli to ona, a nie ktoś, kto chciał ją obciążyć, wyrzuciła śmiertelnie fiolkę.

Ale jako osoba inteligentna lub co najmniej jako czytelniczka powieści kryminalnych wiedzieć musiała doskonale, że nie wyrzuca się dowodów zbrodni do pojemnika na śmieci pod własnymi drzwiami!

Co więc, do diabła, miało toznaczyć?

Ktoś chciał zrobić Bożenkę, profesora, jego żonę?

Na koniec pomyślał, że może ktoś chciał zrobić także tego samego, kapitana Wirskiego.

140

Zastanawiał się, jak to wszystko komentować, tak aby Paprotka nie pomyślał, że oto mają już sprawę lub że przeciwnie, nieznanymi przeciwnikami wodzi ich za nos.

Naszczyście, sierżant nic o diagnozie doktora Kierszmana nie wiedział.

Z kłopotu wybawił go niespodziewanie sam Paprotka, który zauważył:

Nie wszystkie cyjankali służą do zabijania.

Używa się ich także do wyrobu farb i galwanizacji.

Wiem, bo w czasie okupacji pracowałem przy produkcji błękitu pruskiego.

A cyjanokobalamina to po prostu witamina B.

Wirski chciał pokazać, że ostatnie słowo należy do niego, ale Paprotka roześmiał się:

Rozumiem, że sprawiłem trochę zamieszania tym odkryciem i że nie znaczy ono bynajmniej tego, co ma oznaczać.

Z ust mi to wyjęliście, Paprotka!

Jesteście najbardziej domyślnym sierżantem nie tylko w całej komendzie stołecznej, ale i w całej Polsce.

Może analiza daktyloskopijna wskaże jakiś trop?

A teraz w drogę!

Jest zakwadransdziesiąta.

Chyba zdążymy jeszcze odebrać z lotniska Cegielkę?

Wsiedli do pobedy i ruszyli ostro w stronę portu lotniczego.

Dotarli tam w ostatniej chwili, jako że Cegielka rozglądał się już za taksówką.

Minę miał nietęgą, gdyż jak szybko zaraportował, nie znalazł Brochy na zjeździe młodych literatów.

Nazwisko studenta polonistyki figurowało na liście uczestników, ale jak poinformował kierownictwo imprezy, Michał Brocha nie zjawił się ani

141.

w hotelu Polonia, ani w Teatrze Polskim.

Jednym słowem:

fiasko!

Prawdę mówił Kowadło, że Brocha nie ma we Wrocławiu, pomyślał Wirski.

Czy znaczy to jednak, że jest w Warszawie?

A może gdzieś indziej?

Iskąd pewność, że bezpieka aresztuje go tej właśnie nocy?

Aresztuje, a może wielkienieba!

a może już dawno aresztowała!

Myśl, że Brocha przynajmniej od niedzieli może znajdować się w łapach bezpiek, poraziła kapitana.

Bo jeśli tak, to wszystkie jego wysiłki biorą w łeb!

Osaczony, przestraszony, może nawet torturowany Michał Brocha wyśpiewa wszystko Kowadło.

Winny czynie, stanowi śmiertelne zagrożenie dla Bożenki, dla jej rodziców.

Panowie powiedziała do zwiadowców spraw najwyższej wagi jest teraz ustalić, czy Michał Brocha przebywa na wolności, czy też nie.

Musimy rozpoznać sytuację na Rakowieckiej.

A także we wszystkich innych miejscach, w których bezpieczeństwo przetrzymuje ludzi.

Czy macie

jakiś pomysł, jak to zrobić?

Teraznie tylko Cegiełka, lecz także Paprotka przybrał

strapiiony wyraz twarzy:

Ciężka sprawa, kapitanie, bardzo ciężka.

To wiem i bez ciebie.

Paprotka, any idea?

Że niby co, kapitanie?

zapytał Paprotka.

Jego bezgraniczna sympatia i oddanie Wirskiemu kończyły się bowiem w momencie, kiedy ten, raczej z dawnego nawyku niż z nagannego snobizmu, odzywał się doń w obcych językach.

Najczęściej była to łacina, czasami jednak językinowożytny: francuski, rosyjski lub angielski.

To znaczy: czy masz jakiś pomysł, jak to zrobić wyjaśnił uprzejmie Wirski.

Jamam pomysł, kapitanie oznajmił niespodziewanie Cegiełka.

Będę coś wiedział jutro wieczorem, może już po południu.

Zuch zwiadowca pochwalił kapitan.

Nie pytam jak, bo to nie należy do tematu.

Rozstali się pół godziny później przy Klonowej.

Stanowczo za wiele jak na jeden dzień.

Czas spać!

skonstatował Wirski, kiedy już znalazł się w wyzębionym pokoju przy Flory.

Trzeba było jeszcze uporządkować myśli w związku z jutrzejszym spotkaniem u Krochmalskiego.

Naszkicować plan raportu.

Wyjął z szuflady kredensu dwukolorowe ołówki kopiowe i zabrał się do pracy.

Była już druga, kiedy zgasił światło i naciągnął kołdrę.

Nie mógł zasnąć; sprawa Michała Brochy nie dawała mu spokoju.

Denerwował go również brak informacji w badaniach daktyloskopijnych i innych, jakie wykonywał kapitan Majewski.

Martwiło odkrycie dokonane przez Paprotkę w śmieciach państwa Brodzkich.

Ponieważ błogosławiony sen wciąż nie nadchodził, postanowił zaaplikować sobie najbardziej klasyczny ze wszystkich środków nasennych: czytanie.

Do tego znakomicie nadawało się niedokończone opowiadanie Brochy.

Wstał z łóżka, odnalazł kajet zarekwirowany walei Róż, zapalił papierosa i ponowił

lekturę porzuconą w sejmowej kawiarni.

No dobrze, zobaczymy teraz, co na to wszystko młodu Brocha!

143.

Lektura wciąż rozczarowywała.

W zakładzie pracy narratora wznagała się walka o plany: roczny i sześćioletni.

Hartowała się stali charaktery; słabsi duchem, niepewniklasowo odpadali.

Tragedia!

, pomyślał kapitan.

Jeślito ma być literatura, to ja jestem.

Czego ich ucząna tejpolonistycy?

Ale, uwaga!

Jestnareszcie coś ciekawego!

wykrzyknął.

Wopowieści pojawiłsię mentor bohatera, sekretarzGozdawa, opromieniony sławą żołnierza międzynarodowych brygad w Hiszpanii.

Gdy młodego narratora ogarnąwątpliwości co do metod prowadzonej w zakładzie walkio plan, Gozdawa pospieszy zradą i wyjaśnieniami.

Przekartkował kilka, wreszcie kilkanaście stron.

Otóż i kolejnysuspens: bohater rozczarowany jest postawą Gozdawy,ba!

, nieakceptując jego sposobu działania, zaczyna musię przeciwstawiać.

Nieźle!

Narrator zarzuca Gozdawie oportunizm iwygodnictwo, ten zaś tłumaczy się partyjnym obowiązkiem przerzucił kolejnekartki a tu narrator zrywa z Gozdawą!

W dodatku pojawia się jeszcze jedna postać, jakiśtajemniczy Halicki.

Zły duch obu i narratora, i Gozdawy!

Ciekawe, kto kryje się za postacią Halickiego?

Nie ma rady,będę musiał dokładniej zapoznać się z tym dziełkiem,mimo wszystko!

Zgasił światło, by po raz wtóry zmierzyć sięz bezsennością.

Kiedyzaterkotał telefon spoczywający gdzieś napodłodze pod łóżkiem, poderwał się natychmiast i sięgnąłposłuchawkę:

144

Wirski, słuchamzameldował.

Co to, kapitanie, nie śpicie?

zdziwił się znajomygłos.

A ja tu pełen niepokoju, że was obudzę.

Majorze, mówcie, proszę,co się stało?

Sprawy są na swoim miejscu, możecie się nieobawiać.

Pomyślałem jednak, że powinniście poznaćwynikibadań daktyloskopijnych, o które tak zabiegaliście.

Poznaćjeszcze przed poranną odprawą u Krochmalskiego.

Kowadło zawiesił głos.

Teraz, odrugiej wnocy?

Nie można było wcześniej?

Na przykład dwie godziny temu, kiedyzacząłem układaćraport?

Nie ułatwiacie mi pracy, majorze!

Niedoceniacie, Wirski, mojej dobrej woli.

Mógłbymzachować je dojutra,na przykład.

Wtedy złożyłbymna was skargę,majorze!

Wszystko ma swojegranice, nawet w Ministerstwie Bezpieczeństwa!

Zabrzmiało to groźnie.

Major Kowadło doszedł do wniosku, że przeholował:

Już dobrze, Wirski.

Nie musicie się tak pieklić.

Lepiejposłuchajcie, co mam tu w papierach.

No to walcie!

powiedział pojednawczo, więc major, uspokojony już, zaczął czytać.

Dukał z kartek dostarczonych przez Majewskiego:

Odkryto odciski pa.

papilarnie pięciu osób, z których trzy udało się z.

identyfikować jako odciski: pierwsze, denata, Bogusława Szczapy; odciski te znajdowały się między innymi na kolbie pistoletu tetetka; drugiego gospodyni Anieli Bryś; trzecie Michała Brochy.

Pozostałe, widoczne między

145.

innymi: na kieliszku, na krawędzi biurka w gabinecie, także na meblach w sypialni i kuchni, należały do nie.

z... identyfikowanych osób.

W kieliszku znaleziono ślady alkoholu wyprodukowanego z winnego grona; na jego krawędzi odcisk szminki produkcji zagranicznej.

Prawdopodobnie ślady szminki i linii

pilarnych pozostawiła sama osoba płci żeńskiej, nienotowana w kartotekach, podobnie jak ta druga niezidentyfikowana.

Czegoś tu nie rozumiem, majorze!

Skąd wiadomo, że znaleziono odciski palców Michała Brochy?

Czyżby był już notowany albowiem udało się go zatrzymać, tak jak obcy walczyliście, w ciągu doby?

O to pytacie Majewskiego.

Ja tylko przekazuję, co ustaliła jego grupaw komendzie stołecznej.

A Brochę będziemy mieli, tak, czy owak!

A co z odciskami na butelce po koniaku?

Według zeznań gospodyni została z resztką alkoholu w sypialni;

potem Bryś opróżniła ją i wyrzuciła do kosza.

Nie ma tunic o butelce.

Niema jej w wykazie obiektów zabezpieczonych przez nasze służby.

To znaczy, że jej w ogóle nie było, a gospodyni łże, kapitanie!

Jeśli tak uważacie, to rzeczywiście było flaszki po koniaku.

A gospodyni kłamie.

A teraz najważniejsze:

co ze śladami cyjankali?

Jakich znów cyjankali?

O co wam chodzi, Wirski?

Mówcie jaśniej, do kurwy nędzy!

Majorze, możecie robić ze mnie durnia, jeśli tak awasza wola, ale przecież znacie wyniki autopsji dokonanej przez doktora Kierszmana!

Szczapa nie zginął prawdopodobnie

dobnie od kuli, lecz został otruty!

Otruty kwasem pruskim lub czymś podobnym!

Więc gdzieś mogły, choć nie musiały, pozostać ślady po truciznie!

Wirski, to raczej wy macie umysł zatruty, alkoholem, bezsensownością lub miłością do tej lali z Partyzantów przez pięć!

Nie było mowy o truciznie w raporcie Kierszmana!

Szczapa został zastrzelony z tetetki.

I kropka!

Jawam to mówię, ja, major Kowadło!

Wirskiego zatkało.

A więc to tak!

Wszystko już zostało ustalone!

Ustalił Kowadło i jego przełożeni z bezpieki; to co ja tu jeszcze robię?

Do słuchawki zaś powiedział:

Dziękuję za troskę oraz wyniki.

Idę spać, majorze.

Mam jutro, to znaczy dziś, trudny dzień.

Nie wątpię!

Do zobaczenia w Komendzie Głównej MO, kapitanie zarechotał Kowadło i odłożył słuchawkę.

Niech to wszyscy diabli!

Podaję się do dymisji!



Powzięta decyzja uspokoiła Wirskiego.  
Zasnął teraz natychmiast.

Dzień czwarty - środa Wielkiego Tygodnia.

Na środę, 14 kwietnia, godzinę dziewiątą rano, generał Zenon Krochmalski zwołał odprawę, podczas której Wirski przedstawić miał stan śledztwa na niecałe trzy doby po odkryciu zabójstwa w alei Róż.

Trzy dni to zbyt mało czasu, aby wyciągnąć konkretne, precyzyjne wnioski, ale to wystarczająco wiele, żeby móc wytyczyć kierunek lub kierunki śledztwa.

Pomimo utrudnień, matactw i intryg ze strony Kowadły!

W świetle dnia nocna rozmowa majoremnie wydała mu się już tak dramatyczna.

Major chciał gowyrzącić z równowagi to nie ulegał wątpliwości.

Pokazać, że to on, a nie Wirski rozgrywa całą partię.

Zgoda!

Ale to nie major trzymał wszystkie sznurki w ręku.

Trzymał je Wirski, a Kowadło starało się je tylko zaplątać.

Ot, cała tajemnica.

Nie będzie podania się do dymisji, kapitanie Wirski.

Nie będzie łatwego triumfującego troglodyty z bezpieki!

Z tym mocnym postanowieniem zabrał się zaporanną toaletę, a potem za śniadanie.

Maczając suchą bułkę w zbożowej kawie (wczoraj zapomniało zakupach), pomyślnie bez satysfakcji, że udało mu się prawdopodobnie odkryć sprawcę, konkretnie zaś sprawczynię, w niespełnaczydziestu osiem godzin po mszczęciu śledztwa.

Oczywiście, wiele elementów sprawy pozostawało niejasnych, wręcz ciemnych; wyjaśnienia wymagały wszystkie prawdziwe i fałszywe tropy pozostawione przez Bożenę, Michała i szereginnych osób związanych z mieszkaniem Szczapy.

Obraz zbrodni doskonałej popełnionej przez licealistkę ma cię, co prawda, fakt znalezienia fiolki po cyjankali w pojemniku na śmieci pod domem Brodzkich.

Ale mogła onanie mieć związku ze sprawą, mogła też stanowić dowódna to, że sprawczynię zawiodły w końcu nerwy, opuściły zdrowy rozsądek i czujność.

Znalazł jednak zabójczynię co równie ważne, motyw jej działania.

Wiedział też, jak ewentualnie zapewnić alibi Michałowi, poszukiwanemu teraz przez milicję i służby bezpieczeństwa.

Czy naprawdę, czy tylko rzekomo poszukiwanemu?

Myśl, że Brocha znajduje się w rękach bezpieki, nie dawała mu od wczoraj spokoju.

Może Krochmalski, a może Kowadło puszcza dziś farbę na temat Brochy?

Nie mógł sobie wyobrazić sytuacji, w której prowadziłby śledztwo, nie wiedząc, co się dzieje z jednym z głównych podejrzanych.

Czy ukrywa się, czy spokojnie siedzi w domu, czy też zeznaje w podziemiach Rakowieckiej?

W nocnych rewelacjach Kowadły naprawdę jeden szczegół był niepokojący: identyfikacja odcisków papilarnych Michała Brochy.

Niepokojący ale pod warunkiem że prawdziwy.

Przecież Kowadło mógł zmyślać lub kapitan Majewski fałszować wyniki narozkaz bezpieki.

Zapewnienie alibi oznaczało równocześnie możliwość pozbawienia Brochy tegoż alibi a więc Wirski stawał się panem życia i śmierci obojga, tak Bożenki, jak i Michała.

Słowem, wiedział znacznie więcej, niż spodziewać się mogli jego zwierzchnicy.

Pytanie, co zamierzał uczynić ze swoją wiedzą?

Zadał jej sobie jeszcze wczoraj, zaraz porozmowie z Bożenką Brodzką.

Zadawał i teraz, przelatykając kawalki podeschniętego pieczywa.

152

Odprawa miała odbyć się w gabinecie Krochmalskiego.

Świeżo wzniesiony budynek Komendy Głównej M O przy ulicy Puławskiej przyciągał wzrok czerwona, nieotylną fasadą.

Wszystko tu było świeże, wokół rozchodziły się bynajmniej nie policyjne zapachy wapna, farby i lakieru.

Duża część gmachu, który identycznie jak ten przy Rakowieckiej krył swą przepastność przed wzrokiem przechodniów, pozostawała jeszcze nie wykończona.

Oficer dyżurny prowadził Wirskiego przez labirynt rusztowań, pomieszczeń wypełnionych krzątającymi tynkarzy i malarzy, bacznie obserwowanych przez uzbrojonych strażników.

Żaden z robotników nie pracował tu dobrowolnie.

Sfatygowane drewno nosiły numery nie tylko stołecznych, ale też znacznie oddalonych od miasta zakładów karnych.

Widać ogłoszono w resorcie pospolite ruszenie.

Kiedy Wirski zameldował się u Krochmalskiego, Kowadło oraz jeszcze ktoś z UB byli już na miejscu.

Siwy obłok unoszący się nad ich głowami oraz sterty niedopałków w popielniczkach dowodziły, że odprawa (a raczej narada) zaczęła się na dobrą godzinę przed przybyciem Wirskiego.

Nieznany mu wcześniej ubek z Wydziału Śledczego nazywał się Kłysiński i był w randze pułkownika.

Major zwracał się do niego po imieniu, per Marian, ale robił to z wyrazem pewnego szacunku rzecz raczej niespotykaną u Kowadły.

Krochmalski, sztywny i czujny, co dowodziło rangą spotkania, nie krył, że ma ono dwa główne przedmioty, przy czym tylko pierwszy o charakterze ścisłepolicyjnym, czyli jak się wyraził generał, "kryminologicznym".

nym".

Wirski domyślił się od razu, jaki będzie ten drugi przedmiot, ale teraz musiał skoncentrować się na swoim odcińku zadania.

A więc?

zagaił generał, a wszystkie oczy zwróciły się ku kapitanowi.

Tak więc wiemy już, że przyczyną śmierci towarzysza Bogusława Szczapy nie musiała być kula z tetetki, ale szybko działająca trucizna z grupy cyjankali.

Wskazujena to wynik sekcji, dokonanej jeszcze w niedzielę przez doktora Kierszmana.

Tu Wirski spojrzał zaczepnie na Kowadłę.

Ten przerwał kapitanowi:

Kapitan Wirski wie o czymś, czego nie ma w aktach.

Jak mam to rozumieć?

zapytał surowo generał.

W aktach, w raporcie Kierszmana nie ma słowa o jakiejś truciznie!

Kowadło machnęła szarą teczką, którą brała przed nim.

To dziwne, obywatelu majorze zripostował generał bo w oryginale raportu, który poznałem dziś rano, stojak wół, że Szczapę otruto, najprawdopodobniej.

Macie widocznie niepełny odpis albo co gorsza nie przeczytaliście go dokładnie!

Zapadła wymowna cisza.

Wszyscy zrozumieli, że tegodnia racja miała być po stronie Wirskiego i całej Milicji Obywatelskiej.

Kontynuujcie, kapitanie Wirski.

I umówmy się, panowie, co do jednego: przerywam tylko ja.

Apytania i uwagi po złożeniu raportu!

154

Strzał w głowę mówił kapitan upozorowany na samobójczy, oddany został najprawdopodobniej tuż po zgonie towarzysza Szczapy.

Rysują się tu tylko dwie możliwości: albo towarzysz Szczapa popełnił samobójstwo, połykając truciznę, albo został otruty.

Na rzecz pierwszej hipotezy przemawia to, że ani w kieliszku, z którego pito alkohol, najpewniej koniak, ani w żadnym innym naczyniu czy pojemniku nie odnaleźliśmy śladu owych cyjankali.

Oczywiście, może się tak zdarzyć, że jeszcze znajdziemy.

Kolejna poszlaka to domniemany testament denata: nie dowodzi, co prawda, samobójczych zamiarów, ale wskazuje na kiepski stan psychiczny towarzysza Szczapy.

Trąci szaleństwem lub jak kto woli: klasową zdradą: jakieś mistycyzmy żydowskie, poezja Szekspira.

Towarzyszu kapitanie, czy zdrada klasowa, czy zaćmienie umysłu, to my tu jesteśmy od oceny wyrwało się, mimo zakazu, pułkownikowi Kłysińskiemu Co dalej?

zapytał nieco już grzeczniej.

Dalej rysują się cztery różne możliwości, ciągnął pozornie niewzruszony Wirski.

Tylko on wiedział, jak bardzo wkurzył go Kłysiński.

Wkurzyłowym protekcyjnie potraktowanym "towarzyszem".

W tym punkcie relacji Wirski wyjął z teczki arkusz papieru, na którym wyrysował schemat możliwych dróg procedur śledczych.

Schemat wykonany został za pomocą kolorowych ołówków; metoda graficzna, którą przyswoił sobie jeszcze w latach dwudziestych.

155.

General i ubecy spojrzeli z zainteresowaniem na dzieło  
Wirskiego.

Pierwsza z nich ciągnął kapitan to taka, że Bogusław Szczapa został otruty.  
Wskazał końcem ołówka na zapisaną na czerniono część schematu.  
Sprawca, oznaczmy go tym czerwonym prostokątem i nazwijmy go dla większej precyzji  
egzekutorem, wiedział, że Szczapanie żyje.  
Sądził też lub wiedziałto dobrze, że sekretarz został zamordowany.  
Strzał w głowę, zadany martwą już ręką sekretarza, miałby dowodzić śmierci samobójczej.  
W tej wersji zabójca truciciel i egzekutor pociągający zaspust to jedna i ta sama osoba.  
Raczej naiwna i niedoświadczona, skoro mogła przypuszczać, że fakt otrucia cyjankaliu gdzie  
uwadze prowadzących śledztwo.

Wirski raz jeszcze wskazał stosowną część wykresu i przeszedł do omówienia punktu  
drugiego:

W wersji drugiej towarzysz Szczapa został otruty, mamy tu znów kolor czerwony, ale  
egzekutor, czyli pociągający zaspust, to już inna osoba.

Osoba, która nic nie wiedziała o otruciu.

To oznaczone kolorem niebieskim część schematu.

Mamy tym samym dwuróżnych, działających niezależnie od siebie sprawców.

Oznaczyliśmy ich kolorami czerwonym i niebieskim.

Dwóch sprawców?

Niezależnych od siebie?

To jeszcze mniej prawdopodobne niż pierwsza hipoteza zauważył generał.

Zapewne zgodził się Wirski.

Przejdźmy do wersji trzeciej: ciemnofioletowa część schematu, która

156

zawiera przecież istotny element wersji drugiej: usiłowanie zabójstwa.

Towarzysz Szczapa popełnił samobójstwo, zażywając cyjanek.

Być może tym desperackim czynem przedził mordercę, osobę pragnącą zemsty lub usilnie dążącą  
do usunięcia sekretarza.

A może tylko przedził ciężką, i jak miał prawo sądzić, nieuleczalną chorobę.

Wirski zawiesił głos, aby wzmocnić efekt dramatyczny.

Hipoteza śmierci samobójczej na tle nieuleczalnej choroby była jeszcze wątpliwa, tak samo zresztą jak  
wszystkie pozostałe.

Z raportu doktora Kierszmana wynika jasno, że ogólny stan Szczapy był fatalny.

Cierpiał, po pierwsze, na chorobę wieńcową.

Angina pectoris nie musiała być chorobą śmiertelną, ale pod warunkiem leczenia i radykalnej  
zmiany trybu życia.

A tu od lat, od czasu wyjazdu żony do Palestyny, alkohol, potem haszysz i jaksię jeszcze  
przekonamy, morfina i opium.

Wszystko, co mógł zdobyć legalnie lub nie.

Po drugie zaś, prócz wspomnianej tu anginy pectoris, miał nowotwór, wyjątkowo paskudnego  
rakatrzutki.

Choroba, obie choroby postępowały, zaś dawki narkotyków, taka jest logika uzależnienia, musiały  
być coraz silniejsze.

Szczapa miał więc kłopoty z ich zdobyciem, rosące z dnia na dzień problemy.

a bóle nasilały się!

Ustalimy, skąd brał te wszystkie świństwa oświadczył pryncypialnie generał.

Morfina, wiadomo, od lekarzy, ale te egzotyczne specyfiki?

W głowie się nie mieści, że w naszym socjalistycznym mieście można zdobyć haszysza i opium.

157.

Haszysz pochodził z jakichś starych, choć zapewne już powojennych zapasów.  
Wedle mojej wiedzy przywędrował do nas gdzieś z Azji Środkowej.  
To, co znalazłem w sypialni denata, było zwiędziałe i bez wartości.  
A codoopium, wystarczy nabyć zapas niedojrzałego makulekarskiego.

Ico?

zainteresował się Kowadło, wyraźnie zaskoczony rewelacjami kapitana.

Kupić zielony mak i codalej?

O tym może później, majorze!

Odbiegamy od głównego wątku upomniał Krochmalski.

Kiedy egzekutor, trzymając się tego określenia i koloru czerwonego, zorientował się, co się stało, niemógł odmówić sobie przyjemności przyłożenia tetetki do skroni ofiary i pociągnięcia za spust.

Potem jednak, zreflektowawszy się, że symboliczne zabójstwo jest także w świetle prawa zabójstwem, upozorował śmierć ręki denata, pamiętając przy tym, że był on mańkutem.

Wiedzieliście, towarzysze, że Szczapa był leworęczny?

generał zwrócił się do zebranych.

Oczywiście pospieszył z wyjaśnieniem Kowadło.

Piłem z nim kiedyś wódkę i od razu zauważyłem, że jakoś tak dziwnie się do niej zabiera.

Tak jakby z bokutrochę.

Zebrani uśmiechnęli się bezwiednie.

Na moment zapadła cisza.

Nie wiedziałem, że znaleźcie denata przerwał milczenie pułkownik Kłysiński.

158

Jakże to, Marian zdziwił się Kowadło przecież sam kazałeś mi go prześwietlić!

Na okoliczność tego tam.

osiem, dwa rzymskie, cztery.

Przepraszam cię Mikołaju, zapomniałem już łagodził teraz pułkownik.

Było to ponad dwa lata temu.

Asprawę zamknęliśmy definitywnie w pięćdziesiątym trzecim.

"Prześwietlaniem" Szczapy zainteresował się z kolei Krochmalski:

Bezpieczeństwo prowadziło dochodzenie w sprawie Szczapy.

Dlaczego nie wiedzieliśmy o tym wcześniej?

zapytał surowo.

Towarzyszu generale, ot, zwykłe rutynowe sprawdzanie naszych ludzi.

Przeciwko Szczapie nie toczyło się żadne postępowanie.

"Przeciwko" być może nie, ale "w sprawie", tak?

ton generała stawał się coraz bardziej oschły.

Powiedziałem, rutynowe sprawdzanie teraz Kłysiński dawał wyraz niezadowoleniu z przebiegu rozmowy ani "przeciwko", ani "w sprawie".

Raporty tu obecnego majora Kowadły oraz inne materiały pozostają, rzecz jasna, dowglądu towarzysza generała.

Oraz prowadzącego śledztwo oficera dodał Krochmalski.

Tegonie mogę w tej chwili obiecać.

Rzecz jest w gestii ministra Romkowskiego.

I jakmy mamy w tych warunkach prowadzić śledztwo?

zachnął się generał.

Jeśli istnieją ważne materiały dotyczące ofiary, musimy je znać.

Musi je poznać kapitan

159.

Wirski, inaczej możecie zabrać sobie tę sprawę!

I niemyślcie, że Ministerstwozadowoli się byle czym, jakimiśwymuszonymi zeznaniami. te czasy już sięskończyły!

Zapanowało nieprzyjemne milczenie.

Kapitanie, kontynuujcie poprosił generał.

A mozesą pytania odnośnie punktutrzeciego?

Ponieważ nikt się nie odezwał, Wirski przystąpił doomawiania ostatniego wariantu:

Równieżczwarta wersja: kolor czarny na naszymschemacie, zakłada, że Szczapa usiłował popełnić samobójstwo, zażywając cyjanek, ale zginął od samobójczegostrzału w głowę.

To wariant wersji trzeciej: trucizna długoprzechowywana, najprawdopodobniejod czasówokupacji,zadziałała, ale słabo iz wielkimopóźnieniem.

Znam podobny wypadek z 1942roku, kiedy ofiara cyjanku zmarładopiero następnego dnia.

Szczapa, sądząc, że trucizna gozawiodła, sięgnął po bardziej radykalny środek.

Jako cywil zaczął od trucizny; kulka w głowę to była dla niegoostateczność.

Zapadła cisza.

Wirskiwiedział, że żadna z jego wersjinie olśniła nadzorujących śledztwo; fakty nie pozwalały przecież na nic więcej.

Hipotezy, jakieprzedstawiłzwierzchnikom, miały wszakże tak z jego własnego, jaki śledczego punktu widzenia wielką zaletę.

Niczego niewykluczały: ani samobójstwa, ani morderstwa.

Mało tego,harmonijnie łączyły, żywił taką nadzieję, obie możliwości.

Miałoto swoją wagę wobec okolicznościujawnionychprzed chwilą: Szczapa był "prześwietlany" i na pewnoobserwowany przez bezpieczeństwo.

160

A teraz motywy, kapitanie, motywy: samobójstwabądź morderstwa polecił pułkownik Kłysiński.

Lub obujednocześnie dorzucił generał.

Na obecnym etapie śledztwa brak dowodów, abywydarzenia w aleiRóż miałycharakter inny niż ściśleprywatny.

Major Kowadło jużpierwszego dnia postawiłhipotezę, że śmierć Szczapy mogła miećjakiśzwiązekz jego, nazwijmy to, romansem z pewnym młodzieńcem,studentem pierwszego roku polonistyki na UniwersytecieWarszawskim.

Ów student, Michał Brocha, zniknął nagle.

To on mógł być mordercą lubprzynajmniej egzekutorem.

Przyznam tu samokrytycznie ciągnął kapitan, że początkowo sugestię majora uznałem za błędną.

Wiele dowodów wskazuje jednak na słuszność jego koncepcji:

po pierwsze zeznania świadków, gosposi Anieli Bryś, następnie sąsiadów z drugiego i trzeciego piętra.

Dlaczego jednak Szczapa miałby popełnić samobójstwo?

zastanawiał się generał.

Czy tylko z powodunieuleczalnej choroby, fizycznego cierpienia?

To był kiedyśtwardy facet, wiemcoś o tym!

Z zawiedzionej miłości, choć może w tym miejscui w tym gronie nie brzmio przekonywająco!

Z zazdrością młodzieńca,któryzwiązany był równocześnie z kimśinnym.

Z kim konkretnie?

Jestem w trakcie ustaleń, alejuż teraz mogę powiedzieć, że przyczyną rozterek Szczapymogła być jedna z przyjaciółek Michała, mógł też być jakiśmężczyzna, którym interesował się Brocha.

Na Grochowie,na przykład,spotykano Brochę zjakimś mundurowym.

Było to w lutym i marcu bieżącego roku.

161.





Major Kowadło kręcił z niedowierzaniem głową.

Zastanawiał się widocznie, skąd cała ta wiedza u kapitana, którego nie tylko lekcewał, ale w miarę swych możliwości odgradzał od potrzebnych mu informacji.

Jeśli tyle sensacji ujawniło wasze śledztwo w ciągu niecałych trzech dni, to pytanie, co przyniosą dni następne?

Sugerujecie samobójstwo Szczapy, aleniemy więc, kim był ów wasz egzekutor, który przyłożył pistolet do skroni nienastępnego i tym samym upozorował morderstwo.

Wszystko może się jeszcze wydarzyć oświadczył sentencjonalnie generał, któremu widać spodobało się to, że sprawie daleko jeszcze do zamknięcia.

Towarzysz Szczapa miał wielu znajomych, rozległe kontakty, nie tylko w środowisku partyjnym.

Z racji swych obowiązków spotykał się z przedstawicielami nauki i techniki, kultury i sztuki.

Miał szerokie zainteresowania, na co wskazuje choćby zawartość jego biblioteki.

zawieszając głowę, Krochmalski spojrzał wymownie na Wirskiego.

Tak, czy inaczej, dziękuję, kapitanowi Wirskiemu, a majora Kowadłę zachęcam, aby bardziej przykładną się do pracy, uważnie czytał raporty.

Wirski odetchnął z ulgą.

Dobrze wiedział, jaki był koszt tej zwycięskiej dlań rundy: wyeksponował, być może nadmiernie, chorobę narkomanię Szczapy, obciążył też wyraźnie podopiecznego ofiary, choć w nadziei, że znajdzie dla niego dobre alibi.

Przedewszystkiem zaś zataił obecność w sprawie Bożeny Brodzkiej, uczennicy liceum plastycznego przy ulicy Łazienkowskiej.

Sytuacja była więc złożona, a zwycięstwo nad majorem tymczasowe i kruche.

Wirski musiał wciąż chronić Bożenkę, chronić do

162

momentu, kiedy znajdzie dobrego kandydata na sprawcę.

Ściślej na nowego, lepszego niż dziewczyną zabójcę.

Mogło się też zdarzyć, że śledztwo podaży nieoczekiwanie w nowym kierunku.

Na przykład tym związanym z telewizją.

O podobnej możliwości przypomniał mu właśnie Krochmalski, a Wirski dobrze wiedział, że

przedstawione przez niego wersje wydarzeń traktowane są w Komendzie Głównej z dużym dystansem.

Należało mieć na podorędziu taki wariant, który umożliwiłby poprowadzenie śledztwa w sprawom interesującym jego mocodawców; wariant bezpieczny zarazem dla Bożenki.

Następna, w domyśle ostatnia, odprawa wyznaczona została na Wielką Sobotę, 17 kwietnia, również na dziewiątą rano.

Mam nadzieję powiedział na odchodnym generał że w sobotę złożymy sobie życzenia świąteczne i rozejdziemy się do domów z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Ponowne pojawienie się Wirskiego na Śmiałej już w środe po południu zaskoczyło panią domu.

Zaskoczyło, ale ucieszyło, bo gotowa była się założyć, że dziwny człowiek przyjdzie po swoją zapłatę.

Tak jak poprzednio, zasiedliw kuchni państwa Brodzkich.

Nie było jednak młodych:

Bożenka musiała zostać dłużej w szkole, zaś Tosia i Bronek już rano przesłali pieniądze.

Profesorowa zaproponowała gościowi herbatę.

Grzecznie odmówił, więc Brodzka spoglądała teraz z nadzieją na niebieską kopertę wypchaną banknotami.

Tylko ona

163.

uwolnić ją mogła od wyrzutów sumienia, jakie miała wobec przybysza z prowincji.

I oczywiście odniego samego.

Wzięła wreszcie kopertę do ręki, ale rzekomyksięgowypowstrzymał ją powiedział stanowczo:

Są dobra cenniejsze odpieniędzy, a nawet od wielkanocnej szynki.

Brodzka uśmiechnęła się blado.

Cóż takiego?

Dzieła sztuki?

A możeksiążki?

O, otóż to, szanowna pani!

Książki!

Ale nie wszystkieksiążki.

Niewszystkie.

Mam tu na myśli księgi specjalne, niezwykłe.

Księgi, łaskawapani, potępione, ale nie przez cenzora!

O nie!

To księgi, na które wyrok wydali czytelnicy, księgi skazane przez czas, skazane na zapomnienie.

Księgi z nieprawego łoża, bękartyliteratury.

Księgi jednorazowego użytku.

Brodzka zamarszczyła ładne, ciemne brwi i oświadczyła:

Skoro zapomniane, to i pozbawione wartości materialnej.

Ale nie dla konesera!

Niedla takich jak ja!

niemałwykrzyknąłWirski alias Kociubej i przypadł do dłoni profesorowej.

Jestem namiętnym czytelnikiem przedwojennych kryminałów.

Czytelnikiem i kolekcjonerem.

Wybuchła śmiechem.

Opadło z niej całe napięcie, jakiewywołała inwokacja do ksiąg zakazanych.

Ach, otopanu chodzi!

A skąd pan wie, że znajdzie pan w naszej bibliotece?

Oczywiście, tego wiedzieć niemogę.

Ale przechodząc wczoraj obok otwartych drzwi, nie mogłem nie spostrzec

164

wspaniałego księgozbioru i wielu rzeczy, że tak powiem, przedwojennych.

Pomyślałem, że może są wśród nich moje ukochane "księgi zapomniane".

Pańskie księgi jednorazowego użytku dawno powędrowały na makulaturę albo do pieca na rozpałkę.

Widząc oczarowanie Wirskiego, dorzuciła szybko: Nie wszystkie jednak; ostatnio nasza Bożenka zaczęła rozczytywać się w tych głupotach.

Naściagała ich dobrych parę tuzinów.

Skąd?

Pojęcia nie mam.

Całą zimę zmarnowała: jak nie na amory z tym Michałem, to na lekturę Tajemnicy pokoju, numer 13 lub Morderstwem z

miłości.

Gdyby to były utwory Conan Doyle'a lub Agaty Christie, słowa bym nie powiedziała.

Ale to powieści brukowe, prymitywne, przesiąknięte niezdrowym erotyzmem.

Niemcy nazywają je "powieściami kuchennych schodów", Francuzi "literaturą wagonową".

Anglicy zaś yellow bachs dodała fachowo Brodzka.

Niech pan chwilę zaczeka.

A więc sukces!

,pomyślał Wirski i czekał niecierpliwie na powrót gospodyni.

W istocie, zjawiała się znaręczem mocno zaczytanych książek.

Kapitan okiem bibliofila dostrzegł, że prócz polskich wydawnictw przedwojennych znalazły się książki francuskie i angielskie.

A nawet jedna niemiecka, to bardziej powieść erotyczna niż kryminalna.

Chyba marację Brodzka z zastrzeżeniami do kanonu lektur bądź co bądź uczniom.

Przynajmniej państwa córka ćwiczy znajomość języków obcych.

A ja tu widzę kilka prawdziwych perełek.

165.

Wirski sięgnął po tytuł, który w rzeczywistości najmniej go interesował.  
Dyskretnie przy tym odsunął na bok książeczkę zatytułowaną Czarna pyjama.  
Zbiór opowiadań kryminalnych i erotycznych, tom pierwszy, autorstwa niejakiego Christiana Renarda, a także bardzo stare, oryginalne wydanie The Dead Secret Wilkie Collinsa.  
Tęgo akurat autora kapitan dobrze pamiętał.  
Napisał Kobieta w białym i Kamień księżycowy, prawdziwe bestsellery epoki wiktoriańskiej.  
Chętnie bym pozbyła się tej makulatury oświadczyła profesorowa.  
Ale bez zgody córki nie mogę tego zrobić.  
Ma się rozumieć, szanowna pani przytaknęła i wsunęła dyskretnie Czarną pyjamę do kieszeni płaszcza.  
A ja wcale bym dał za Zatrute róże z Malagily lub Komnatę grozy.  
Nie znam tych utworów.  
Gdyby nie młody wiek czytelniczki i słuszne zastrzeżenia jej rodzicielki, mógłbym zaproponować wymianę.  
Na przykład, tęto Prawdę, która zabita na moje dublety: fenomenalne Tajemnice grobowca indyjskiego oraz niezapomniany Nawiedzony hotel Collinsa.  
Spojrzał na zegarek, przeprosił za pośpiech i zanim profesorowa zdążyła podać mu kopertę, wyszedł z kuchni.  
Porwał kapelusz z przedpokoju i już był na ulicy.  
Minął się tu z Bożenką Brodzką.  
Zamyślona, nie zauważyła Wirskiego, zresztą ten uczynił wszystko, aby stać się niewidzialnym.  
Profesorowa zaś spostrzegłszy przez okno nadchodzącą córkę, szybko odniosła książki do jej pokoju.  
Braku jednego tytułu nie zauważyła; nie zauważyła  
166  
tego również czytelniczka owoych "ksiąg potępionych".  
Ku zaskoczeniu matki jeszcze tego samego wieczoru oddała wszystkie do spalania w piecu.  
Profesorowa ukryła niebieską kopertę w cukiernicy; miała tam czekać na ponowne pojawienie się pana spod Radomia.  
Życzenia córki wypełniła niezwłocznie.  
Radość z sukcesu, jakim okazało się zdobycie pierwszego tomu Czarna pyjamy, przesłaniała śledczemu świadomość, że to zaledwie jedna z kilku lub nawet kilkunastu literackich inspiracji morderstwa w alei Róż.  
Oczywiście, swoją wagę miała okoliczność, że to drugi znaleziony został na straganie bukinisty, ale na parapecie okna w mieszkaniu Szczapy.  
Istnienia kilku innych utworów twórczo interpretowanych i wykorzystanych przez zabójcę (lub zabójców) Wirski domyślał się od początku śledztwa, a lenie miał na to równie mocnych dowodów jak ów zbiór opowiadań.  
Powrót czarnej pyjamy na stołeczną scenę, okupiony niepozbawionym niecodziennych podtekstów zabójstwem w alei Róż, stał się faktem.  
Jadąc tramwajem do domu, rozważał sprawę wywołania małoobrazkowego filmu, spoczywającego wciąż w jego aparacie fotograficznym.  
Oddanie go do laboratorium w komendzie nie wchodziło w rachubę.  
Kiedyś podobne materiały obrabiał sam w domu przy Flory, gdzie posiadał dobrze wyposażoną ciemnię.  
Postanowił w końcu oddać film do wywołania w zaprzyjaźnionym, mieszczącym się przy Skolimowskiej, a więc pobliskim zakładzie fotograficznym.  
Aby ukryć prawdziwe znaczenie tych kilku kadrów  
167.

wykonanych przez Paprotkę, sfotografował w domu jakiś stary rękopis i zaniósł kasety do wywołania.

Do kieszeni płaszcza włożył oprócz tego zdobyczny tomik opowiadań kryminalnych i erotycznych. Już w progę zawrócił do swego pokoju i wykręcił numer Tani.

Telefon na Partyzantównie odpowiadał.

W pokoju pan Rohoziński hodezwał się zegar: była za kwadrans szósta po południu.

Fotograf obiecał wykonać zlecenie ciągu godziny.

Zamykał zakład oszóstaj, ale dla starego klienta miał zrobić wyjątek.

Wracając spacerem na Flory, Wirski nieomieszkał przyjrzeć się okolicom dziury, wywierconej przed rokiem przez budowniczych metra na Skwerze Skolimowskim.

Odnosił wrażenie, że coś zaczęło się dziać na porzuconym placu budowy.

Brama metalowego ogrodzenia została uchylona; jakaś postać w drelichu usiłowała chwilowo bez skutku uruchomić windę obsługującą sztolnię.

Na ten widok Wirski, zawsze ciekaw lokalnych spraw i wydarzeń, pokręcił z niedowierzaniem głową.

Usiadł na pobliskiej ławce, zapalił belwedera i nie przestając kątem oka obserwować akcji na budowie, zabrał się do lektury pierwszego tomu Czarnej Pyjamy.

Tytułowe opowiadanie pana Renarda tłumaczyło sporo dziwnych koincydencji związanych z czarnym dezabilem.

Nocny strój stanowił ekskluzywny prezent wręczony kochance, niewiernej i przewrotnej kobiecie imieniem Emanuela.

Ofiarodawcą był Willibald Richard Fox, starzejący się właściciel pól naftowych w Ameryce, gdzieś na południu Teksasu.

Wbrew intencji Foxa, aby podczas upojnych nocy czarna pizama zdobyła ciało Emanuela,

166

ta ofiarowała strój komuś innemu Robertowi.

Robert, młody i piękny, delikatnej budowy i wzrostu Emanuela, dar chętnie przyjął, uznając go słusznie za znak miłości dany mu przez kobietę.

Kiedy wieczorem starszy pan odkrył brak prezentu, wpadł we wściekłość; groził, że zabije kochankę, jeśli ta nie odnajdzie do jutra i nie założy ofiarowanej jej pizamy.

Emanuela, widząc, jak wielki błąd popełniła, posłała zaufaną służącą do magazynu mód, aby nabyła dla niej identyczną pizamę.

Już następnej nocy powitać mogła Foxa w seksownym czarnym dezabilu.

Ten jednak poznał się na oszustwie kupiona w magazynie pizama nie mogła mieć tajemnego znaku, w jakże opatrzył ją ofiarodawca.

Kiedy Fox, złożony w wizytę kolejnego wieczoru, spostrzegł postać w czarnym, jedwabnym ubiorze, wymykającą się sypialni kochanki, wyciągnął colta i bez namysłu wystrzelił myśląc, że toów ktoś obdarowany przez Emanuela.

Kiedy zbliżył się do trupa ofiary, spostrzegł białe ciało kochanki, stygnące pod czarnym jedwabiem.

Zdesperowany Fox przyłożył rewolwer do skroni, aby pozbawić się życia.

Wówczas wydarzyło się coś niezwykłego.

Lekturę, w rzeczy samej inspirującą, przerwał Wirskiemu dochodzący z budowy odgłos silnika.

A więc z metrem się udało!

,pomyślał.

Spojrzał na zegarek.

Minęło zaledwie dwadzieścia pięć minut odchwili opuszczenia zakładu na Skolimowskiej.

Zamierzał wrócić do lektury, kiedy z zapleców usłyszał groźne:

169.

Służba bezpieczeństwa!

Dokumenty!

Obrócił głowę bardziej zdziwiony niż zaskoczony.

Byłoich dwóch, "umundurowanych" w ciemne płaszcze i także kapelusze.

Nie wstając, sięgnął do kieszeni marynarki, w której nosił zazwyczaj dowód osobisty.

Na szczęście dokument spoczywał na swoim miejscu.

Legitymację służbową pozostawił w mundurze.

Podał dowód stojącemu bliżej, nadalnie podnosząc się z ławki.

Co jest?

Powstać!

Natychmiast!

A jeśli nie, to co?

zapytał rozbawiony sytuacją.

Stawiacie opór?

No ładnie!

triumfował ten pierwszy, wyraźnie szukając pretekstu, aby użyć siły.

A gdzieżbym śmiał!

odparł Wirski, nadal nieruszając się z ławki.

Chciałem tylko zapytać.

Zapytać?

O co zapytać?

Okurwa, to oficer milicji!

wykrzyknął ten, któremu podał dowód.

Najmocniej przepraszamy.

kapitanie Wirski.

Wtedy zerwał się z ławki, zabrał im bezceremonialnie.

dowódi zapytał:

A skąd to, towarzysze, wiecie, że jestem kapitanem?

Tego nie ma w moim dowodzie!

Sprawdzający dowód wbił wzrok w ziemię, jaksztuba przyłapany na jakimś paskudnym uczynku.

Tak tylko powiedziałem, wnosząc z postawy oraz wieku obywatela kapitana.

Dalsza indagacja nie miała sensu.

Mielina niego zamiar, ale w pierwszej chwili nie poznali go.

No więc to tak!

Nie tylko Kowadło, ale cała bezpieka uwzięła się, aby obrzydzać mu życie.

Strach pomyśleć, co będzie, jak zakończy

170

się śledztwo, a Krochmalski zamknie nad nim parasol ochronny.

Powiedział więc pojednawczo:

Rozumiem, towarzysze, wypełniacie swój obowiązek.

Jaki?

Mnie nic do tego!

Nie było sprawy.

Wracam i ja do moich zadań.

Cześć pracy!

Do widzenia, towarzyszu kapitanie.

Jeszcze raz przepraszamy!

Włożył książkę do kieszeni i ruszył w stronę zakładu fotograficznego.

Zostało, co prawda, jeszcze do dobrych trzydzieści minut do umówionego terminu, ale w zaistniałej sytuacji postanowił przyspieszyć nieco bieg sprawy.

Drzwi były zamknięte, więc zapukał.

Po dłuższym oczekiwaniu w uchylonych drzwiach ujrzał głowę fotografa.

Właściciel, starszy pan, wyglądał naprzestraszony:

Ach, to pan, panie Wirski.

Bałem się, że to tamci wrócili.

Jacy tamci?

Wpuścił go do środka i dopiero wówczas wskazał stronę skweru.

Przyszło tu dwóch, dobry kwadrans po pańskiej wizycie.

Machnęli jakimiś legitymacjami i powiedzieli, że szukają nielegalnych prac fotograficznych.

Oczywiście, odpowiedziałem, że wszystko tu umnie odbywa się legalnie i każde zlecenie jest ewidencjonowane.

A moje zlecenie zdążył pan zaewidencjonować?

Nie zdążyłem.

Spieszyłem się z tym pańskim zleceniem.

Ale dobrze się stało, bo w ewidencji nie znaleźli ani nazwiska, ani numeru zlecenia.

A pański negatyw, jak by

171

L.

tu powiedzieć, na wszelki wypadek oznaczyłem sygnaturą innego zlecenia.

Na wszelki wypadek?

Przeczuwał pan, że ktoś będzie go szukał?

Panie Wirski, wiem przecież, że jest pan oficerem milicji.

I że, być może, wołałby pan, aby pańskie zlecenia pozostały, powiedzmy, anonimowe.

Dobrze pan, w zasadzie, pomyślał.

Ale gdzie jest teraz mój negatyw?

U nich czy u pana?

Pozostał umnie.

tyle tylko że.

na wszelki wypadek spowodowałem.

jego prześwietlenie.

Maszci los!

Cała robota na nic!

wykrzyknął Wirski.

Skąd przyszło panu do głowy, że szukają tego właśnie negatywu?

Pytali o mnie, o moje zlecenie?

Skądżeżnowu!

Oglądali wszystkie negatywy w ciemni, a kiedy stwierdzili, że moja skrzynka do wywoływania negatywów małoobrazkowych została dopiero co załadowana, kazali ją otworzyć.

Pospieszyli się, bo nie zdążyłem pańskiego filmu ani wywołać, ani tym bardziej utrwalić.

Skorzystałem z ich nieznajomości fachu i skrzynkę otworzyłem tak aby film prześwietlić.

Ot i cała historia.

Strachu się pan najadł, a ja straciłem ważny osobisty dokument.

Ale proszę się nie martwić.

Da się go sfotografować po raz drugi skłamał, też na wszelki wypadek.

Cosie należy za pańską pracę?

Nic, panie Wirski.

Przepraszam i zapraszam ponownie.

Zabrał ledwo obeschnięty, prześwietlony negatyw, na kotensam, który oddał.

Ale pewności mieć nie mógł.

172

Wychodząc, pomyślał, że oto popełnił pierwszy poważny błąd od momentu rozpoczęcia śledztwa.

Utracił cenny, być może, dowód w postaci kopii listów do Bożeny Brodzkiej.

Co gorsza, nie miał najmniejszej nawet pewności, czy rzeczywiście dowód uległ zniszczeniu, czy też został przechwycony przez przeciwnika.

Przeciwnik, jak wynikało z nocnych wizyt i telefonów Kowadły, z obecności dziwnej postaci przy wadze w parku Ujazdowskim, z incydentu przed chwilą na skwerku, śledził go nieustannie, i jak tylko mógł, utrudniał śledztwo.

Najważniejsze pytanie, dlaczego tak czynił, pozostawało przecież bez odpowiedzi.

Czy jeszcze inaczej: możliwych odpowiedzi było wciąż zbyt wiele.

Kiedy wracał do domu, skonstatował, że prace przy metrze ustały, choć nie zapalono żadnych świateł przy szybko już zapadającym zmroku.

Nie było też śladu po dwóch tajniakach, zapewne tych samych, którzy przeszukali zakład fotograficzny.

Rzadko kiedy zaglądał do przestronnej kuchni w swoim mieszkaniu na Flory.

Nie tylko dlatego, że denerwowała go nieustanna w niej obecność kilkorga obcych ludzi, pretensjonalnych pań Rohozińskich nie wyłączając.

Z tą kuchnią, ocalałymi tu sprzętami wiązało się stanowczo zbyt wiele wspomnień!

Jeśli tego wieczoru uczynił wyjątek od zasady, to z przyczyny głodu.



Nie próbował zjeść czegośnamieście,ponieważ czekałwciąż na telefon od Tani.  
Przypomniał sobie, że w obszernych szufladach kredensuukryłnie tak dawno dwie puszki szprotek,  
mleko w tubie

i nieco sucharów.

Poszedł więc do kuchni, by sprawdzić swój stan posiadania.

Niestety, popuszkach i tubce nie było śladu, po sucharach, owszem, nieco okruszków.

To skandal!

, pomyślał.

Trzeba skończyć z tym raz nazawsze.

Zrobić wreszcie porządną awanturę!

Nie wiadomo tylko komu?

Był przeciwnikiem odpowiedzialności zbiorowej.

Wyglądało na to, że będzie musiał przeprowadzić dochodzenie i wyłonić kandydata na sprawcę.

Przez uchylone drzwi sunęła się jasna główka panny Rohozińskiej, w ślad za nią reszta postaci.

Mimowcześnie jeszcze pory współlokatorka z dawnego pokoju Marii Wirskiej ubrana byław nocny strój, na który narzuciła długopłaszcz, przerobiony z wojskowego szynela.

Kiedy weszła do kuchni, wydała obowiązkowy radosny okrzyk na widok kapitana, dygnęła, rozchylając przy okazji poły płaszcza, i przysiadła z gracją na taborecie.

Uczyła to tak, aby jej nagie, i trzeba przyznać, całkiem zgrabne nogi wychynęły ponownie spod płaszcza.

Wirski, teoretycznie przynajmniej nie czuł na wdzięki panny Rohozińskiej, przeniósł wzrok na kredens i zapytał, czy nie wie przypadkiem, co się stało z jego żelazną rezerwą żywnościową.

Czyżby okradli kapitana, ci tam?

wskazała w stronę niedysiejszego salonu, obecnie zajmowanego przez starsze małżeństwo z synem, o nazwisku Miączyńscy.

Nikogo, panno Mirosłavo za rękę nie złapałem!

Domyślam się, że niezręcznie byłoby panu kapitanowi prowadzić dochodzenie w tej sprawie.

Otóż to, otóż to.

174

Proponuję więc odłożyć sprawę do jutra.

A ja zapraszam pana kapitana do siebie na kolację.

Do siebie?

Jakże to tak?

Ależ pan kapitan pruderyjny!

I cóż z tego, że do mnie?

A mam dziś naprawdę coś dobrego!

Na pewno znacznie lepszego od tych tam. szprotek.

Panno Mirosłavo, naprawdę niegodzisz się!

Poza tym, muszę pozostać w moim pokoju, ponieważ spodziewam się telefonu.

Miał nadzieję, że tym razem wścibska Rohozińska nie będzie pytać o Tanie.

Szczęśliwie niemylił się.

Cóż, w podobnej sytuacji możemy zostać tutaj, w kuchni.

Gdyby nie ci Miączyńscy, od razu zaproponowałabym, aby usiąść w kuchni i zjeść wspólnie żurek i cielęcinę nazimno.

Z grzybkami i korniszonami, rzecz jasna.

Głód potęgowała się zbyt szybko, a propozycja była zbyt nęcąca, aby ją, ot tak, zwyczajnie odrzucić.

Powiedział, że przyniesie coś do popicia i zniknął w swoim pokoju.

Wówczas zadzwonił telefon i była to długo wyczekiwana Tania.

Powiedziała, że dzwoni z miasta, jest zajęta i odezwie się za godzinę.

"Dzwonię z miasta" stanowiło przyjęte przez oboje hasło, oznaczające "znajduję się w towarzystwie postronnych osób i niemożę swobodnie rozmawiać".

Nie byłoby rady musiał czekać.

Kiedy powrócił do kuchni z butelką winiaku, zastał niejnie tylko pannę Rohozińską w wypełnionej pobrzegi tacą, lecz także panią Miączyńską, w szlafroku, w papilotach, demonstracyjnie odwróconą plecami i głośno szczękającą rądlami.

Czuło się narastające napięcie.

175.

Widzę, że przeszkadzamy pani Miączyńskiej.

W tej sytuacji zapraszam do siebie, panno Mirosłavo zaproponował niezłomny jeszcze przed chwilą strażnik moralności.

"Zgodziła się entuzjastycznie, a kapitanowi wydało się, że pani Miączyńska wyszczała coś w rodzaju: "A to zdzira!

A z pana też niezłe ziółko!

"

Przeszłido pokoju kapitana.

Sytuacja, a zwłaszcza wściekłość Miączyńskiej rozbawiła Wirskiego.

Dlatego głośno przekreślił klucz w zamku, w nadziei, że usłyszy go nieprzyjaciel w kuchni.

To tak na wszelki wypadek, panno Mirosłavo!

Nie będę panny tu więził!

Spuściła oczy, bynajmniej nie skromnie, i powiedziała:

A szkoda, kapitanie!

Mówiłem już, że panna żartuje sobie ze starego policjanta droczył się z gościem, sprzątając tęczę stołu, która służyła mu zazwyczaj za biurko.

Tego wieczoru stół powrócić miał, częściowo, do swej pierwotnej roli.

Zabrał się ochoczo do spożywania świeżego, niemal ciepłego jeszcze pieczywa, obłożonego grubymi plasterkami cielęciny na zimno.

Do tego kurki, korniszony i kilkakrajków cebulki.

Cebulka, mon dieu!

W podobnej uczciwie uczestniczył od lat.

Panna Rohozińska przyglądała mu się z nieskrywanym uczuciem.

Pan kapitan je z takim apetytem!

A ja bym mogła codziennie panu kapitanowi gotować!

Nawet śniadanie do łóżka przynosić!

176

Roześmiał się jak zawsze w chwilach niepewności.

Panno Mirosłavo miła!

Proszę ważyć słowa!

Co by było, gdybym przyjął tę propozycję?

Przekomarzali się, jedli (jadł głównie kapitan), pili winiak (równo oboje), wreszcie Wirski jako dwukrotnie starszy, jak zauważył, od fundatorki kolacji, zaproponował bruderszaft.

Ta i inne oznaki poufałości, do których świadomie dopuścił, miały jednak zrekompensować młodej kobiecie odmowę w sprawie dla niej najważniejszej.

Panno Mirosława, teraz po prostu Mirka, nie od razu rozpoznała się w tej taktyce.

Kiedy zjedli, przestała żartować i na chwilę zapadła wypełniona napięciem ciszą, zapytała:

A co sądzisz, Ryszardzie, o karcianych wróżbach?

Odpowiedział coś niewyraźnie.

Niezrażona tym Mirka

poderwała się od stołu, tak że połę jej płaszczka rozsunęły się, odsłaniając niemal całe uda.

Przyniosę karty!

Wymknęła się z pokoju, ale już za załomem korytarza natknęła się na Miączyńską.

Wstydziła się pani!

Podłuchiwać pana kapitana!

Czy to nie jest przypadkiem karalne?

Wirski, który słyszał wszystko, parsknął śmiechem.

Wówczas odezwał się telefon.

Tania była już w domu;

nikogo, jeśli pominąć Tosię, nie było w pobliżu, a mimoto jej głos brzmiał jakoś niepewnie.

Powiedziała, że jest zmęczona i że jutro popołudniu będzie oczekiwać jego telefonu.  
W tym momencie do pokoju wbiegła Mirka.

177.

Czułe "dobranoc" wypowiedziane do słuchawki ostudziło natychmiast jej entuzjazm.

Czy chcesz spędzić ze mną resztę wieczoru?

I czy pragniesz posłuchać moich wróżb?

Ponieważ miał wyrzuty sumienia z jej powodu, przytaknął.

Posłuchaj zatem!

Zaskoczyło to, że wróżby nie zezwykłych kart pasjansowych, ale z prawdziwej talii tarota.

Tarota marsylskiego jak wyjaśniła.

Takimi kartami posługiwały się niekiedy warszawskie wróżki, oczywiście przedwojną.

Tarotowych kart nie widział też od tamtych czasów.

Pomyśl sobie o czymś ważnym, na przykład o problemie, który przyszło ci rozwiązać, choć niekoniecznie musi mieć to związek z dochodzeniem, które teraz prowadzisz.

Pomyślał, zgodnie z jej życzeniem, o swym rodzącym się uczuciu do pani Tani Rypnis, żony sławnego tenora zamieszkałej przy Partyzantów trzyprzez pięć.

A potem, pomimo że nie chciał tej myśli, że ją odpędzał, pojawiła się para młodych ludzi, o których wiedział, że byli w mieszkaniu Szczapy na krótko przed śmiercią sekretarza: Bożenka i Michał. Z kolei ukazał się obraz majora Kowadły, aby ustąpić bardziej ponętnej wizji wysokiej, szczupłej kobiety z tlenionych włosów, w wojskowym szynelu narzuconym na skąpy strój nocny.

Mirka Rohozińska przyjrzała się uważnie i poprosiła, aby zechciał zredukować swoje myśli do tej jednej

176

zasadniczej i przewodniej.

A następnie, aby przetasował

i przełożył karty.

W przedwojennej Warszawie działały setki najróżniejszych wróżbiarzy, magów i hipnotyzerów środowiskowo brane pod policyjną lupę.

Raz nawet, było to w roku 1935, Wirski uczestniczył w seansie spirytystycznym.

Kiedy indziej znany jasnowidz odczytał komisarzowi tekst niedostępnego, zamkniętego w sejfie listu, stanowiącego ważną wskazówkę w sprawie o gwałt i zabójstwo.

Nawet ten sukces, rozgłoszony zarówno przez "czerwoną", jak i nawet nieco poważniejszą prasę, nie wpłynął na sceptyczny stosunek Wirskiego do podobnych praktyk.

Kwietniowego wieczoru 1954 roku, zapewne dzięki osobie wróżki, sprawy ułożyć się miały zgoła inaczej.

Wróżby w wykonaniu Mirki Rohozińskiej okazały się, ku zaskoczeniu kapitana, narracją prostą, czytelną i w miarę konkretną.

Osobę Wirskiego reprezentować miała karta Cesarza, a kabalistka pochylała się nie tylko nad jego bogatą osobowością, lecz także nad złożoną sytuacją życiową, zwłaszcza przeszłymi i obecnymi relacjami z kobietami.

Spokojnie przyjął zaserwowanemu na początek listę komplementów, w rodzaju "mężczyzna prawy, honorowy, lojalny, przedsiębiorczy, zdystansowany wobec siebie i ludzi, indywidualista i esteta", oczekując w zamian miagodzącej krytyki swego życia intymnego.

Delikatną tę sferę opisywać miały karty takie, jak Kochankowie z Wielkich Arkanów z męską postacią pomiędzy dwiema kobietami, jak wyjaśniła Rohozińska, dwoma odmiennymi ideałami życia.

Dwie kobiety oznaczać też mogły dwa kolejne

179.

związki małżeńskie, oba, sądząc z kontekstu, gwałtownie przerwane.

Ostatnia wiadomość prawdziwa, ale przecieźnie skrywana; Wirski nigdy nie czynił tajemnicy z faktu, iż był dwukrotnie żonaty i że dwukrotnie owdowiał.

Ale nie koniec na tym: dwie kobiety pojawiły się jeszcze raz, tym razem oddzielnie, jako projekcja niedalekiej przyszłości:

Papieżyca, inaczej Kapłanka, oraz odwrócona Królowa Pucharów, obok niej zaś Zamek Plutona, inaczej Wieża.

Zestawienie wszystkich trzech kart oznaczało, zdaniem kabalistki, że u boku Wirskiego znajdują się dwie kobiety, obie atrakcyjne: pierwsza to wymarzona dla niego partnerka, niemalże druga połowa owej kulistej i doskonałej istoty, opisaney w Uczcie Platona.

Wirski długo jednak nie będzie dostrzegał jej obecności, a kiedy już uczyni, nie uzna jej swojej "partnerki".

Niesprzyjający obojgu, kobiecie i mężczyźnie, los sprawi, że nigdy nie będą razem.

W tym momencie wróżby Wirski spojrział dyskretnie na kabalistkę, ale jej twarz nie wyrażała niczego poza najwyższym skupieniem na układzie kart.

Drugą z tych kobiet, kontynuowała, która też mocno zawróci mu w głowie, to osoba wysoko postawiona, majątna i wpływowa, jednakże fałszywa, mściwa i przewrotna.

Związek z kapitanem traktować będzie po trosze jako zabawę, potrosze jako narzędzie swych perfidnych planów.

Wieża obok odwróconej Królowej Pucharów stanowić jednak miała zapowiedź katastrofy planów niegodziwej kobiety.

Wniosek końcowy był więc oczywisty: kapitan zostanie sam oświadczyła wróżbiarka.

Chyba że.

Roz 160

ważenie ewentualnych szans na uratowanie pierwszego układu postanowiła zostawić na sam koniec kabały.

Wirski, wciąż sceptyczny wobec wszelkich wróżb, bardziej dla zabawy niż z przekonania zastanawiał się, jak masię ta bajka o dwóch królowych, dobrej i złej, do realiów jego życia i czy ta dobra to Rohozińska, zła zaś Tania, czy też może na odwrót?

Tymczasem wróżka poprosiła go o ponowne przetasowanie kart.

Ta część kabały dotyczyć miała innych niż "sercowe" jak się wyraził problemów kapitana.

Ten przez chwilę się wahał, czy nadal brać udział w zabawie, zgodził się, ostatecznie.

Już po chwili wiedział, że popełnił błąd: interpretacje zbliżyły się zbyt blisko rzeczywistości.

Pojawiły się dramatis personae z alei Róż:

na początek trup zamordowanego w postaci karty Śmierci Kiedy wróżbiarka scharakteryzowała kartę Powieszony, kapitan pomyślał, że pasować by mogła doniej postać młodego Brochy, wbrew swej woli zamieszanego w jakąś paskudną sprawę, symbolizowaną przez Diabła.

Młodziutki i niedoświadczona Bożena Brodzka, z kolei, przybrała postać Głupca, karty potwierdzającej jej kluczową, ale przecież nieświadomą rolę w zagadce Śmierci!

Lista nie byłaby, rzecz jasna, pełna bez majora Kowadły.

Tego zaś Wirski rozpoznał natychmiast w karcie Diabeł.

Nadalszym planie, chociaż w oczywistej relacji.

Cesarzem Wirskim, pojawiły się inne jeszcze postacie, ale ich charakterystyki okazały się zbyt enigmatyczne, aby kapitan mógł przyporządkować je znany sobie osobom.

Może

poza jednym doktorem Kierszmanem, którego rad miał się bezwzględnie słuchać.

Ten ostatni to taki lekarz, mój przyjaciel, który co jakiś czas każe mi zrobić badania i zgłosić się doń na konsultację.

Rozpoznaję jeszcze kilka postaci, ale pozostałe to istna kabała! zażartował Wirski.

To był właściwy moment, aby rzec żartem zakończyć.

Zanim jednak zdążył cokolwiek postanowić, wróżbiarka, zachęcona słowami, które wzięła za komplement, rozłożyła karty po raz trzeci.

Niebezpieczeństwa, które ci zagrażają! oznajmiła z powagą.

Paź Miecz, szóstka Pucharów, odwrócony król Miecz i wreszcie, wreszcie, siódemka Miecz.

Niecodzienny, osobliwy układ, jak wszystko, co się wiąże z twoją osobą, Ryszardzie!

Mamy tu dwóch mężczyzn, prowadzących działalność wrogą, zarazem niejawną; nazwijmy ją szpiegowską!

Starszy z nich to osoba o złym charakterze, agresywna, bezpardonowa.

Znowu ten Kowadło, przemknęło mu przez głowę.

Myślała bardziej rozbawiła go, niż przestraszyła.

Na wszelki wypadek zapalił belwedera.

Mirka, która jak mu się wydawało, również paliła, odmówiła ruchem głowy.

...Drugi, młodszy, bardziej wyrobiony, ogładzony dyplomatycznie, przez to jednak bardziej niebezpieczny ciągnęła.

Niezwykłe jest to, że tych dwóch łączy coś więcej niż demoniczny cel.

Łączą ich wspólne wspomnienia, wspólnie spędzone chwile.

Czyżby przyjaciele z dzieciństwa?

Nie, oni mieli wspólny dom; łączą ich więzy pokrewieństwa.

Oni, Ryszardzie, są braćmi.

Braćmi bliźniakami!

Ryszardzie, strzeż się bliźniaków!

182

Ostatnie zdania wypowiedziała niemal wtransie.

Zamilkła, podciągnęła połę płaszcza i skuliła się na krześle.

Wirski zgasił papierosa, podniósł się z stołu; położył obie dłonie na rozłożonych kartach.

Mirko, już dosyć!

Na dzisiaj dosyć!

Zapadło milczenie.

Dorzucił szybko:

Dziękuję za wspaniałą kolację!

A wieczór z kabałą będzie długo pamiętał.

W pośpiechu zebrała karty, zawinęła połę płaszcza, które znów zdążył się rozsunąć, ukazując kolejne partięciała.

Miała już wybiec z pokoju, kiedy przytrzymał jej rękę i powiedział:

O tym, co zostało tu powiedziane lub nie powiedziane, wiemy tylko my dwoje.

Zgoda?

Zgoda odparła.

Pocałowała go w policzek i zniknęła na dobre.

To, że Rohozińska pracuje dla bezpieki i jedynie kobieca ambicja lub może nawet tego nie wykluczała jakaś forma afektu, okazała jej ostrzeżenie, prawda, że w zawołany sposób, przyszło mu do głowy już w chwili, gdy przedstawiła pierwszy ze swych konceptów.

Ciekawe, zastanawiał się, które spośród karcianych idei przypisać można zdolnościom wróżbiarki, a



które musiały mieć bardziej konkretne źródło?

Na przykład w postaci policyjnych akt lub instrukcji przełożonych.

I szkoda, że kabalistka nie zechciała mi powiedzieć, kto zabił Szczapę i co się stało z Michałem Brochą, pomyślał.

Następnym razem będę bardziej wymagający zapytam wprost!

DZIEŃ PIĄTY

Wielki czwartek.

Czy "telewizyjny" wątek śledztwa nie jest fałszywym tropem?

A jeśli nie, to czy mógłby być wątkiem efektywnym, a więc jak się zaczęło mówić po wojnie rozwojowym?

Problem nurtował kapitana odczasu rozpoznania w willi przy ulicy Śmiałej.

Wirski zgromadził już nieco lektur o początkach telewizji przed wojną w Polsce.

Aby przybliżyć sobie aktualną jej sytuację, jak również związane z nią perspektywy, umówił się na czwartek rano w siedzibie nowej, jedenastej już muzy.

Przypadkiem lubnie ulokowana została tuż obok siedziby przedwojennej.

Był nią od 1937 roku gmach Towarzystwa Ubezpieczeniowego Prudential przy dawnym placu Napoleona, obecnie Wareckim.

Zanim tak zwany drapacz chmur zdeponowany został przez dwukrotnie wyższy

Pałac Kultury, zdążył podnieść się i wyprostować po zniszczeniach 1944 roku.

Wyprostować w dosłownym tego słowa znaczeniu, jako że potężne eksplozje znacznie odchyliły go od pionu.

Reaktywacja wieżowca dokonała się kosztem utraty pierwotnej elewacji, a także zmiany przeznaczenia i nazwy na prozaiczny hotel Warszawa, służący odwiedzającym stolicę przedstawicielom władzy.

Dzieła "upiększenia" budynku w duchu socrealizmu dokonał o ironio!

tensam architekt, który w latach trzydziestych zaprojektował jego elegancką, modernistyczną bryłę. Studio oraz głośnię telewizyjną pomieścić miał teraz sąsiadujący z Prudentialem gmach banku pod numerem siódmym

odbudowany u nowej, bardziej okazałej niż dotądformie.

Przy dobrze strzeżonym wejściu na rogu placu Wareckiego i ulicy Moniuszki czekał inżynier Jasiński, przed wojną, jak się kapitan dowiedział, pracownik stacji, zastępca Władysława Cetnara pierwszego szefa warszawskiego ośrodka.

Jasiński zdumą wspomniawszy pierwsze transmisje telewizyjne: zaczęły się jeszcze przed szumnie reklamowanymi przez Niemców relacjami z olimpiady w Berlinie!

Z telekina własnej konstrukcji dokonano o tym Wirski czytał już w "Tygodniku Ilustrowanym" emisji filmu Barbara Radziwiłówna ze Smosarską w tytułowej roli.

Na sam koniec tej pionierskiej ery, 26 sierpnia 1939 roku, transmitowano recital Mieczysława Fogga do kilkudziesięciu odbiorników działających w Warszawie.

Wirski nie interesował się przedtem telewizją; nie miał odbiornika ani nie znał nikogo, kto przed wojną lub obecnie posiadałby go.

Zauważył więc tylko, nie chcąc, aby Jasiński przyłapał go na jakimś błędzie, że pamięta niemal trzydziestometrowy maszt nadajnika na dachu Prudentialu jeszcze jesienią 1940 roku.

Jasiński przytaknął: maszt, podziemny generator i studio na szesnastym piętrze, ocalałe w wrześniu 1939 roku, rozebrane zostały i wywiezione do Niemiec gdzieś pod koniec roku następnego.

Prowadząc do studia, Jasiński zarzucił gościa lawiną informacji na temat parametrów technicznych przedwojennej i obecnej telewizji warszawskiej.

Wyrzucając te dane szybko z pamięci, Wirski zanotował jednak z satysfakcją, że dzięki wysiłkom polskich techników uda się zapewne

166

niedługo osiągnąć poziom przedwojenny.

W tej sytuacji nie było już sensu pytać o rozgłaszany przez propagandę wkład naukowców radzieckich.

Wirski mógł przystąpić do rzeczy, czyli napomknąć o profesorze Brodzkim i jego roli w dziele odbudowy polskiej telewizji.

Jasiński zawahał się;

powiedział, że udział profesora trudno przecenić, podobnie jak rolę Janusza Groszkowskiego i Lesława Kędzierskiego kierujących zarówno przed wojną, jak i po niej pracami w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym.

Wirski domyślił się, że istnieje pewien konflikt wśród luminarzy rodzimej nauki, ale nie chcąc spłoszyć rozmówcy, zmienił temat i zapytał ze śmiertelną powagą o możliwość przechwycenia wyników prac przez obce agentury, na przykład amerykańską.

Pan kapitan żartujesz sobie chyba z naszych skromnych wysiłków!

Amerykanie mają już telewizję kolorową i kilka milionów odbiorników w domach! obruszył się inżynier.

Problem, jeśli już o problemach mówimy, raczej w tym, czyścić nas nawłasne oryginalne inżynierstwo tylko prototypowe rozwiązania, czy też musimy będziemy zaimportować gotowe linie produkcyjne od Rosjan.

Spojrzał badawczo na kapitana i dodał:

Pytał pan o rolę profesora Brodzkiego.

Otóż należy on, w przeciwieństwie do romantyków, takich jak ja, dotychczas, którzy stawiają na współpracę z Rosjanami, a dzięki niej oczekują szybkich, spektakularnych rezultatów.

Mawiam tym wyraźne poparcie władzy, która sceptycznie patrzy na nasze tu wysiłki.

Szczególnie, jeśli idzie o produkcję odbiorników.

169.

Domyślał się, że dopóki nie będziemy dysponować prostym i tanim odbiornikiem, tak jak jest to w przypadku radia, trudno będzie osiągnąć masowy udział społeczeństwa w tym wynalazku powiedział Wirski.

Tak właśnie!

Technologia, czyli efekt przemysłowy, to największe wyzwanie dla nowej dziedziny.

Problem z produkcją odbiorników mieliśmy także przed wojną;

wtedy postawiliśmy na współpracę z brytyjską firmą Marconi.

Z kolei wóz transmisyjny wzięliśmy od Philipsa.

Dzisiaj używamy wozu wyposażonego przez techników radzieckich.

Zapewne widział go pan na filmie Sprawado załatwienia.

Wirski przytaknął.

Komedia filmowa grana od ubiegłego roku cieszyła się niezmiennym powodzeniem, a to za sprawą Dodka Dymyzy, który wystąpił w niej aż w ośmiu różnych rolach.

Kapitan uzmysłowił sobie, że niezależnie od intencji ośmieszenia biurokratów, bumelantów i spekulantów, film ten stanowił apologię polskiej telewizji, którą w chwili gdy film powstawał, stawała dopiero pierwszą kroki po wojennej klęsce.

Wybaczy pan moją ignorancję, ale czy możliwe jest to, co zobaczyliśmy na filmie: bezpośrednia transmisja z terenu, z fabryki, ze sklepu?

Jasiński roześmiał się:

Ależ tak!

To jest właśnie najważniejsze w tym wynalazku!

Bezpośrednie uczestnictwo w jakimś wydarzeniu.

Na razie ograniczone zasięgiem sprzętu do kilkunastu kilometrów.

Możemy jednak pokazać wszystko, co dzieje się na obszarze naszego miasta!

190

Niebywałe!

wykrzyknął kapitan.

Pomyślał, że skorzysta z tego wszystkiego, to także to, czego oglądać nie chcielibyśmy lub nie powinniśmy.

I że władza może mieć tym niejakie problemy.

Uprzedzając te wątpliwości, Jasiński dorzucił:

Realizatorzy programu mają przy tym pełną kontrolę nad obrazem, jaki transmitowany jest do studia, a stąd nadawany do odbiorców.

Zapoznam pana z osobami, które się tym zajmują.

One pokażą panu, jak działa taki wóz transmisyjny.

Zgodził się niemal bez zastępczy.

Wciągnęła go przygoda z telewizją.

Z rozmowy z uprzejmym inżynierem dowiedział się już jednej ważnej rzeczy: profesor reprezentował program rozwoju telewizji ciesząc się poparciem władz.

Tym samym jakaś, hipotetyczna narazie, próba zamachuna jego dobre imię i pozycję musiałaby prowadzić do konfliktu politycznym czynnikiem, stawiającym własni Brodzkiego.

A więc różni Kowadłowie z bezpieczeństwem mogli bezkarnie hasać po terenie związanym z osobą profesora.

Wniosek ważny z punktu widzenia śledztwa, jakie prowadził.

Stanęli przed drzwiami do studia, zwieńczonymi jak w radiu podświetlanym napisem

CISZA.

Kapitan przypomniał sobie głosny felieton Wiecha zatytułowany Radio z lufcikiem, w którym kronikarz życia i folkloru warszawskiego przekonywał czytelników, że dzięki telewizji nadejdzie nieuchronny koniec radiowych oszustw.

Facet, który dotąd leżąc w cieplej pościeli, aplikował nam poranną gimnastykę, będzie musiał wyjść z łóżka!



ka, założyć sportowy kostium i pocić się razem z telewidzami.

Napis był wyłączony, studio jak się dowiedziało działo się raz w tygodniu, emitując program dla nielicznych na razie odbiorców, ale próby prowadzone były codziennie.

Podobnie jak próby z wozem transmisyjnym.

Reportera telewizyjnego Wiśniewskiego poznał w reżyserce za szklaną ścianą, oddzielającą ich od pustego tej chwili studia.

Wiśniewski okazał się osobą rozmowną zaangażowaną w to, co robi.

Na użytek gościa ściągnął techników, którzy uruchomili światła, dwie kamery oraz mikrofon, sam zaś zasiadł w studiu.

Tu zaś Wirski mógł podziwiać na monitorach zmieniające się kadry oraz zobaczyć, jak reżyserujący program inżynier Jasiński wybiera ujęcia, decydując tym, co widz obejrzy na ekranie swojego odbiornika.

Mówiąc do kamery, dziennikarz zwracał się bezpośrednio do kapitana:

Marzy mi się, towarzyszu kapitanie, program o pracy naszej milicji.

Poszlibyśmy do komendy, porozmawiali z oficerem dyżurnym, potem ruszyli wozem transmisyjnym za waszą ekipą interwencyjną.

Albo jeszcze lepiej:

umówilibyśmy się na miejscu jakiegoś zdarzenia i pokazali, jak funkcjonariusze MO ujmują sprawcę.

Wirski powiedział do swojego mikrofonu:

Ale jak sobie to wyobrażacie, redaktorze?

Sprawca, powiedzmy złodziej czy zabójca, daje znać milicji lub telewizji, gdzie i kiedy zamierza popełnić przestępstwo?

192.

Faktycznie, trudno liczyć na współpracę z elementem przestępczym.

Ale, towarzyszu kapitanie, szczęściu trzeba pomóc.

Na pewno coś wymyślimy.

Z tym akurat Wirski skłonny był się zgodzić.

Zapytał więc, na czym, zdaniem Wiśniewskiego, polegać ma ową wspomaganą szczęścia.

Mogę sobie wyobrazić wyjaśnił entuzjasta telewizji że ktoś taki jak towarzysz kapitan, oficer dysponujący doświadczeniem w ściganiu przestępców, organizując w końcowej fazie śledztwa jakąś prowokację, powiedzmy pułapkę, w którą wpadnie przestępca.

Telewizja towarzyszy mu dyskretnie i widzą żywo ogląda całe zdarzenie.

Jasiński roześmiał się i powiedział do mikrofonu:

Fantazjujecie, kolego, i nabieracie pana kapitana.

Dyskretnie towarzyszyć oficerowi w jego akcji?

Jak to możliwe z tym naszym majdanem?

Kamerami, mikrofonem, światłem, łączami, antenami?

Kamerzysta dokonał zbliżenia, na którym ujrzeli wyraźnie kłamanego zawodu na twarzy redaktora:

Wiem, wiem, na razie musimy się zadowolić przedświąteczną transmisją na temat służby gazowniczej.

Zakończyli pokaz.

Jasiński pożegnał się już z kapitanem, zostawiając go z dziennikarzem.

Ten zaprosił gościa na kawę do bufetu i niezrażony niczym roztaczał przed nim perspektywę atrakcyjnych relacji na temat pracy Milicji Obywatelskiej.

Nagle zmienił temat, by zapytać, czy kapitanie ma przypadkiem znajomości w PPPG OG3W-S?

PPPG OG3W-S?

zdziwił się Wirski, choć skrótnie wydał się mu znajomy.

193.

Kryje się pod nim Państwowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Gazowniczego, Okręg Gazowniczy nr 3, Warszawa Śródmieście.

Wyjątkowaklika biurokratów i popaprańcówz ulicy Bagatela 13.

Przeciwnicy postępu, nierozumiejącydziejowej roli telewizji!

Od tygodni mnożą trudności, jeśli idzie o udział ich ekip w programie Na miejscu z ludźmi pracy.

Interweniowałem już w komitecie dzielnicowym, rozmawiałem z ich sekretarzem POP.

I nic.

Mgliste obietnice, a czas płynie.

Ja muszę zrobić program już jutro, w piątek 16 kwietnia.

Jestem sąsiadem tych z PPPG OG 3 W-S.

Mieszkamna Flory, więc tuż za rogiem.

Przechodziłem niedawno obok ich biura.

Była ósma rano; nie widziałem tam jakichkolwiek oznak życia, jak zawsze, zresztą.

Sądzę, że to PPPG OG nr 3 to jakiś fantom, zjawa, a nie instytucja służąca społeczeństwu.

A więc towarzysz kapitan ma to samo wrażenie, co i ja!

Tymczasem kierownictwo telewizji uparło się, żeby zrobić program właśnie o nich.

Jak to rozumieć?

Niemnie osądzać politykę waszej instytucji odparł kapitan.

Pomyślał zaś, że może właśnie dlatego, iż PPPG OG 3 W-S istnieje tylko na papierze, Wiśniewski ma pokazać jego dokonania.

Nie mogę też obiecać interwencji w tym PPPG OG 3 W-S.

W każdym razie nie dziś i nie jutro.

Ale powiedzcie mi coś więcej o waszym programie.

Możemy wspólnie coś wymyślić.

Wirski daleki był od zamiaru bezinteresownego wspierania młodego reportera.

Przyszło mu jednak do głowy, że Wiśniewski wraz z kamerami mógłby okazać się kie 194

dyś przydatny w jego pracy.

Przyjął więc zaproszenie dziennikarza, by obejrzeć wóz transmisyjny.

Grzecznie też wysłuchał, na czym polegać miałyby telewizyjny reportaż o pracy interwencyjnej ekipy gazowniczej.

Pomyślał, że na miejscu redaktoromachnąłby ręką na to całe PPPG OG 3 W-S, zaangażował paru ludzi znających się na robocie i pokazał telewizjom wzorową akcję usuwania awarii sieci gazowniczej.

Koło południa dotarł do komendy stołecznej.

Wysiadając z taksówki, starej skody z numerem bocznym 031, zauważył dwie charakterystyczne postacie gdzieś w okolicach kina powstającego przy skrzyżowaniu Trasy W-Zi Nowotki: za daleko, aby dostrzec rysy twarzy, ale wystarczająco blisko, aby rozpoznać sylwetki Kiki i Tomasza Dankowskich, teraz jednak Nowaków.

Chwała Bogu, że się znaleźli!

Dlaczego jednak tutaj i dlaczego właśnie teraz, kiedy nie będę miał dla nich nawet minuty?

, myślał zdesperowany.

Kazał kierowcy dryndy podwieźć się kawałek z powrotem.

Niecodzienne zachowanie jego przyjaciół dowodziło, że byłoby nie fair i nierozsądnie odesłać ich z kwitkiem.

Zatrzymawszy wóz, podbiegł do Nowaków.

Czekałem na was wczoraj, a także dziś rano.

Niestety, o ósmej musiałem ruszyć do moich obowiązków tłumaczył i już miał na końcu języka propozycję, aby umówić się wieczorem, kiedy Kika, bardziej od swego męża zaprzyjaźniona z kapitanem, oświadczyła:

Rozumiemy doskonale, w jakim pośpiechu żyjesz, drogi Ryszardzie.

I jak poważne są twoje obowiązki.



Jed-  
195.

nak sprawa, z którą przyjechaliśmy tu ze Szczecina, jest niezwykle pilna, a my sami znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie!

Znał zbyt dobrze tych dwoje, aby nie wiedzieć, że beznaprawdę ważnego powodu nie czyniliby alarmu i nie obciążali zapracowanego kapitana.

Powrócił więc dotaksówki, zapłacił za kurs i wskazał Nowakom najbliższą ławkę naskwerze przed wykańczanym właśnie kinem.

Tak jak cała nowa dzielnica nazywać miało się Muranów.

Zanim zaproszę was do siebie, do komendy, wolałbym z pewnych względów porozmawiać tutaj wyjaśnić.

Rozumieli to doskonale.

Usiedli, kapitan zapalił belwedera, a Kika podjęła swoją historię.

Chodziło o szantażystę, prawdopodobnie o Bcera Bezpieki, który od pewnego czasu groził obecnym Nowakom, że ujawni ich prawdziwą tożsamość i jak sugerował, niechlubną sanacyjną przeszłość.

W zamian za milczenie oczekiwał nie tylko "lojalnej współpracy" na gruncie szczecińskim, lecz także pieniędzy oraz kosztowności, które rzekomo zgromadził podczas okupacji, no i oczywiście określonych świadczeń ze strony wciąż atrakcyjnej ekstancerki.

Ustalenie tożsamości szantażysty nie było wszak łatwe, gdyż do kontaktów z Nowakami używał różnych pośredników.

Jedynie treść i forma informacji mogłyby wskazywać, zemaję swe źródło przy ulicy Koszykowej w Warszawie.

Wirski gotów był zgodzić się z podobną sugestią; zastanawiał się przy tym, czy szantaż w równym stopniu co

196

Nowaków nie dotyczy jego samego.

W końcu to on był twórcą nowej tożsamości obojga.

Spóźniony już dobrą godzinę, wysłuchał w komendzie raportu Cegiełki na temat bezskutecznych, jak dotąd, poszukiwań Michała Brochy.

Potem zapoznał się z wynikami analizy chemicznej i daktyloskopijnej fiolki odkrytej na Śmiałej.

Fiolka zawierała resztki aktywnej substancji o właściwościach paraliżujących system nerwowy.

Odcisków palców nie znaleziono.

Teoretycznie fiolka mogła mieć znaczenie w sprawie, teoretycznie tylko, gdyż

brakowało jakichkolwiek dowodów na to, że została wykorzystana do otrucia Szczapy, później zaś lekkomyślnie porzucona w pojemniku na śmieci.

Z kolei na poddanych badaniom fragmentach czarnej tkaniny (były to próbki pobrane na prośbę Wirskiego z piżamy znalezionej w mieszkaniu Szczapy) nie odnaleziono śladów cyjankali ani żadnej innej substancji chemicznej jeśli pominąć substancje zapachowe, czyli perfumy.

Zastanawiający okazał się za to plon trwających od poniedziałku przesłuchań dozorczy oraz sąsiadów Szczapy; tak z góry, z dołu, jak i sąsiedniej kamienicy, podósmym.

Sąsiedzi, osoby piastujące wysokie stanowiska w partii, rządzie i wojsku, a także ich służba,

zazwyczaj proste kobiety przybyłe do Warszawy gdzieś z odległych wiosek i miasteczek, niemal jednogłośnie utrzymywali, że w sobotę wieczorem, w nocy lub nad ranem w Niedzielę Palmową żadnego wystrzału nie słyszeli.

Te wypowiedzi-

197.

dzi, dobrze utrwalone w zapiskach starszego sierżanta Paprotki, sugerowały, że nie słyszeli, ponieważ nikt imnie powiedział, że słyszeć powinni. Ze zgodnego chóru głuchych wyłamał się jedynie stary pułkownik, bohater bitwy pod Lenino i zdobywca Berlina, który pomimo znacznej utraty słuchu wystrzał ów usłyszał i zaniepokojony postanowił zadzwonić na milicję.

Przeszkodziła mu tym jednak żona, osoba młodsza odeń o dwadzieścia lat, która wyłączyła telefon, a potem pilnowała, by niewyszedł z domu.

Ten i inne materiały postanowił spokojnie przeanalizować, popijając kawę w zaciszu domowym przy Flory 3.

Porabiał sam raz, jako że wszyscy współlokatorzy, z atrakcyjną Mirką Rohozińską włącznie, przebywali jeszcze w pracy.

Zaparzył w dzbanku kawę, którą zakupił w ramach świątecznych przydziałów w kantine komendy stołecznej.

Dołożył kilka podsuszonych ciasteczek, które znalazł w kuchni.

Zamknął drzwi od swojego pokoju, następnie ułożył wszystkie notatki na stole pod oknem, wyciągnął czysty notes i zaostriął ołówki.

Opróżnił wreszcie popielniczkę, rozpieczętował paczkę belwederów, zapalił i zabrał się do pracy.

"Wątek telewizyjny" uznał za chwilowo zamknięty.

Zamierzał go wykorzystać, budując ostateczną wersję wydarzeń, szkicując ich tło i ukryte sprężyny działań bohaterów.

Teraz zaś postanowił uporządkować zgromadzony już materiał śledczy, szczególnie ten dotyczący córki profesora Brodzkiego.

Niezależnie od tego, czy ktoś stał za zabójstwem Szczapy i czerpał korzyści z jego śmierci (kwestia

196

ta rysowała się na razie dość mgliście), sprawcami mogliby być: albo działająca w pojedynkę Bożena Brodzka, albo też występujący wspólnie Bożenka i Michał Brochalub sam Michał.

Lost but not least, jak mawiał Wirski, ktoś trzeci.

Istnienie tego "trzeciego" było narazie czysto hipotetyczne.

Kapitan zakładał przy tym, że "trzeci" to raczej sprawca moralny: inspirator z kręgów władzy, ktoś, kto posłużył się zapalczywymi i naiwnymi młodymi ludźmi.

Gros ujawnionych faktów (choć poszlak jedynie, a niedowodów) dotyczących zabójstwa wskazuje, niestety, na aktywny w nim udział Bożenki, skonstatował ze smutkiem Wirski.

Namiętą czytelniczkę powieści kryminalnych obciążał szczególnie malowniczy sztafaż wykreowany w sypialni denata, a zaczerpnięty z Czarnej pyjamy Christiana Renarda oraz kilku podobnych jej tekstów.

Nadokładniejszą analizę owych "arcydzieł" nie miał jeszcze czasu, ale pamiętał z dawnych lektur, że rozwiązanie zagadki Grobowca indyjskiego na przykład, znajdowało się w sanskryckim tekście, ukrytym w bibliotece zamordowanego.

Kilka linijek skreślonych ręką ofiary na moment przed śmiercią nie było jej testamentem, jak sądził z początku detektyw bohater powieści, ale wskazówka, jak w starożytnym tekście odnaleźć zaszyfrowane tam nazwisko zabójcy.

Te i inne inspiracje literackie, czytelne dla Wirskiego, który pochłoniął w młodości kilkadziesiąt podobnych utworów, nie miałyby większego znaczenia, gdyby nie problem motywu.

Z dwojga podejrzanych młoda żoliborzanka miała szczególne powody, aby pozbyć się człowieka, który w pierw

199.

zakłócił, w końcu zaś zburzył jej świat.

Uwiódł i odebrał ukochanego chłopca, a czyniąc jej samej niewdużnacneawanse, zamierzał odebrać także i wolność.

Jak wynikało z relacji dyrektora szkoły, Bożenka to osoba dumna, niezależna, przewodząca innym. Ktoś, kto niepotrafi przyglądać się bezczynnie złu.

Wrażenia ze spotkania w domu Brodzkich na Śmiałej, zaaranżowanego przez kapitana, potwierdzały taką opinię.

Feralnej nocy z soboty na niedzielę 11 kwietnia dziewczyna podsunęła Szczapie cyjanek wraz porcją morfiny lub innego narkotyku, od którego uzależniony był schorowany mężczyzna.

Mimowolnym świadkiem zabójstwa lub pierwszą osobą, która dowiedziała się o nim, mógł być Michał Brocha.

Ten, chcąc ratować narzeczoną, upozorował samobójstwo Szczapy, wkładając pistolet w dłoń nieżyjącego już mężczyzny.

Wspólnie z Bożeną sfabrykował w mieszkaniu denata owe zbyt liczne, prowadząca manowce ślady.

Następstwem tych działań, mających na celu odwrócenie uwagi od osoby sprawczyni, było także niekniecie Brochy: nieuchwytny młodzieniec skupiał na sobie zainteresowanie śledczych, takich jak major Kowadło.

Sprawą największej wagi było więc ustalenie, czy Brocha ukrywa się nadal przed wymiarem sprawiedliwości, czy też czego nie sposób wykluczyć został aresztowany wkrótce po zabójstwie Szczapy.

Ta druga możliwość, połączona z faktem, że do tej pory Bożena Brodzka pozostawała w wolności, sugerowałaby, że Brocha albo jest zabójcą, albo też wytypowany został na niego przez bezpiekę.

Istniały wszak okoliczności, które zakłócały koncepcję aktywnego i świadomego czynu panny Brodzkiej.

Zasta 200

nawiać musiało odkrycie dokonane przez Paprotkę: fiolek z resztkami trucizny w śmietniku willi przy Śmiałej.

Trudno przypuszczać, żeby zabójczyni pozwoliła sobie

na podobną nonszalancję: wyrzucenie narzędzia zbrodni ot tak, dośmiec, w rodzinnym domu.

Również powieściowe akcenty, jak czarna piżama, szminka do ust odcisnięta na kieliszku sugerująca obecność kobiety, wskazywałyby na to, że sprawca starał się skierować podejrzenia śledczego na czytaną w kryminałach Bożenę Brodzką.

Jeśli zabójcą nie jest Bożena Brodzka, to w takim razie, kto?

Michał Brocha?

Ktoś, kogo nie brał dotąd pod uwagę, na przykład gospodyni Szczapy?

Czy wreszcie ktoś ze służby bezpieczeństwa?

, notował Wirski.

Zostańmy, na razie, przynajmniej najbardziej prawdopodobnej wersji, że zabójczynią lub inicjatorką zabójstwa jest Bożena Brodzka.

Są motywy, są dowody, powiedzmy liczne poszlaki.

W tej sytuacji aresztowanie uczennicy jest kwestią godzin mimooporów, jakie wywoła wplątanie w to osoby jej ojca, konstruktora telewizji.

I co się dzieje dalej?

, zastanawiał się śledczy.

Sprawa traci już wymiar czysto kryminalny i staje się aferą natury politycznej.

Dajmy na to: sygnałem do kolejnych już, po lutowej dymisji i usunięciu z partii Anatola Fejgina, zmian w aparacie bezpieczeństwa.

A może nawet wyżej, gdzieś w rejonach Białego Domu?

Przecież dopiero miesiąc upłynął od ponownej nominacji Cyrankiewicza na stanowisko premiera.

Fakt, zmiana raczej kosmetyczna, ale kto wie, co się jeszcze za nią kryje?

Osiemnastoletnia zabójczyni, przyznajmy, okrutna, pozbawiona moralnego hamulca,  
zasługiwała bez wątpienia  
201.

na karę.

Ale jaka to może być kara?

, zapytywał.

W normalnym świecie, w świecie kodeksów i bezstronnych procedur, wzięto by pod uwagę jej wiek, jej emocjonalne zaangażowanie, lęk przed utratą przyjaciela, zazdrość nieuczciwego rywala nieuczciwego w jej, Bożenki, i w każdym ludzkim pojęciu.

Rywal okazał się przytym mężczyzną to pierwsze pogwałcenie reguł rządzących światem płci uczuć. Po wtóre, posiadał kolosalną przewagę nad młodą niedoświadczoną kobietą: był wykształcony, miał władzę i rozległe wpływy, był także jak na

powojenne stosunki bogaty.

Morderstwo mogło zostać popełnione w afekcie.

Wirski nie znał wszystkich okoliczności zbrodni, ujawnić je mogło dalsze śledztwo, ewentualnie zeznania sprawcy.

Późniejsze, zapewne o kilka godzin, próby zacierania i mnożenia śladów nie wykluczają pierwszej możliwości zabójstwa w afekcie.

W tej materii główna rola przypadłaby nie sędziemu, ale obrońcy, dobremu adwokatowi rzecz jasna.

Wobec powszechnej jak sądził kapitan dezaprobaty dla związków homoseksualnych, wobec oczywistego, niepodważalnego faktu uwiedzenia Michała, sędziowie przychyliby się ku opinii obrońcy, że tonie Bożena Brodzka, ale Bogusław Szczapa alias Szłoma Grynberg winien jest tragedii przy alei Róż.

Ranga publiczna i społeczna pozycja denata nie miałyby w tej sprawie znaczenia; jeśli już to świadczyłyby nie przeciwko

sprawcy, lecz jej ofierze.

Doszedłszy do tego zasadniczego punktu swojego rozumowania, Wirski podniósł się z fotela, aby wyjąć z kre-

202

densu butelkę gruzińskiego koniaku, zarezerwowaną na specjalne, takie jak dzisiejsza, okazje.

Nalał do literatki solidną miarkę i opróżnił, wbrew regułom sztuki swoim

swyczajom, jednym haustem.

Za Temidę, patronkę sprawiedliwości!

Noi za ciebie, mała morderczynie ze Starego Żoliborza!

Za twoje

uniewinnienie!

Uniewinnienie?

Raczej pięć lat więzienia z możliwością

późniejszego skrócenia kary do lat trzech.

Tak stałoby się w każdym niezawisłym sądzie: po drugiej stronie żelaznej kurtyny, w Indiach i w przedwojennej, sanacyjnej Polsce.

W tej obecnej czekał Bożenę stryczek.

Najpierw jednak upokorzenia związane z aresztowaniem, potem z przyjęciem do aresztu śledczego.

Nie chciał tego, stało się to wbrew jego woli, ale obraz "zatrzymanej Bożeny Brodzkiej", krok po kroku odzieranego z prywatności i z ubrania, na koniec postawionego w jasnym świetle żarówki bezradnie siłującego ukryć swą nagość, wdarł się na chwilę w jego świadomość.

Wirski wiedział o podobnych praktykach, choć nigdy w nich nie uczestniczył.

Kiedy ofiara była młodą atrakcyjną, przyjmowanie do aresztu oraz towarzyszącemu badaniu odbywały się niewątpliwie wbrew regulaminowi w asyście mężczyzn.

Podobne sceny rodziły patrzyjących pożądanie pomieszane z wrogością.

Bez tej drugiej pożądanie nie byłoby możliwe: kobiety zmuszone do publicznego obnażenia się i poddaniu szczegółowym oglądzinom mogły budzić jedynie litość.

Wirski oparł się dzielnie obu pokusom, zarówno pożądanemu, jak i wrogości, uwolnił od

wspomnienia żoliborskiej  
203.

uczennicy.

Ostateczny rezultat intelektualnego eksperymentu został już przesądzony.

Odetchnął i opuścił głowę na oparcie fotela jak ktoś, kto wykonał olbrzymią pracę.

Napełnił kolejny kieliszek, zagryzł starawym ciasteczkami, zapalił belwedera i sięgnął po ebonitową słuchawkę.

Głos Tani stanowił nagrodę za trudy ostatnich dni oraz wydany przed chwilą wyrok niewinniający.

Pragnął oznajmić swej przyjaciółce: "ułaskawiłem właśnie Bożenkę", ale mógł jedynie, uśmiechając się do swoich myśli, oznajmić:

Czarująca pani Taniu, skończyłem lekturę tomu pierwszego i proszę o następny.

Było to umówione hasło, zgodnie z którym Tatiana miała stawić się przy północnym wejściu do Łazienek, nawszelki wypadek dzwigając pod pachą tom drugi przedwojennej edycji Dzieł zebranych Żeromskiego.

Stąd miał przejść niewielki odcinek ulicy Szwoleżerów, opustoszały przed południem, i zniknąć w mroku pokancerowanej kamienicy.

Na drugim piętrze znajdowała się mieszkanie dalekiej kuzynki, Alicji, z którego to kapitan korzystał podczas jej podróży służbowych.

Alicja była po wojnie kochanką Wirskiego; uwięzienie kapitana i jego ponadtrzyletnia nieobecność zniszczyły romans, ale pozostała obustronna przyjaźń.

Kiedy na Rakowieckiej oczekiwał procesu który przecież nigdy nie nastąpił opiekowała się trochę jego mieszkaniem na Flory.

A gdy już wyszedł na wolność, była mu wdzięczna za to, że spokojnie zaakceptował jej związek z pewnym artystą dyrektorem teatru lalkowego.

Uwite przez kobietę gniazdko, skromne, ale też

204

niepozbawione gustu, miało dla kapitana nieodparty urok.

Zanim poznał Tanie, zachodził tu niekiedy, aby podlać kwiaty i w samotności wspominać zarówno obieniężające żony, jak iniewierną, ale nadal bliską mu Alicję.

Założył prochowiec i rękawiczki; do skórzanej, mocno już sfatygowanej teczki włożył tom Żeromskiego, a także nierozpieczętowaną butelkę armeńskiego koniaku.

Dołożył puszkę sardynek, dwie bułki musiał jednak wyrzucić dokosza.

W małym, ale dobrze zaopatrzonym sklepiku przy Bagatela bo (sklepy "za złotymi firankami" przy Belwederskiej nie były dlań dostępne) kupił jeszcze pół chleba oraz puszkę skumbrii w tomacie.

Zadowolony, ruszył w kierunku Alei Ujazdowskich.

Chwilę przystanął przy budowie murku po lewej stronie, obserwując krzątanie spędzonych tu do pracy niemieckich jeńców wojennych.

Ci, pomimo ścisłego nadzoru, sprawiali tylko wrażenie, że coś robią.

Pozoranctwo wiedziało o tym również Wirski to tajemna broń wszystkich niewolników.

Przekroczył Aleje i maszerował w stronę Agrykoli.

Dopiero tu, na rogu obu ulic, jego dobrzy nastrój zmąciła świadomość, że jest obserwowany.

Przystanął i zapalił papierosa.

Od strony Ogrodu Botanicznego szedł wolnostarszy pan z pieskiem.

Plac na Rozdrożu przebiegły dwie dziewczynki w granatowych paltach i z tornistrami.

Odstrony kasyna tylko milicjant obserwujący wylot alei Szucha.

Czarna limuzyna skręcająca w Koszykową.

Pusto, jak zwykle o tej porze.

Czyżby więc pan z pieskiem?

Nie przywykło tak wyrefinowanych działań ze strony bezpieczeństwa!

Stał przez chwilę, czekając aż minie

205.



go domniemany wywiadowca.

Ten jednak zatrzymał się,  
ponieważ wcześniej uczynił: to jego pies.  
Wydawałomi się.

Mam obsesję!

Ruszył szybkim krokiem w dół Agrykoli, nasłuchując jednak, czy nikt za nim nie podąża.

Na dole, przy barierze mostku nad kanałem, obejrzał się dyskretnie.

Starszy pan zniknął, ale środkiem jezdni maszerował krępy mężczyzna w czarnym płaszczu.

Natychmiast rozpoznał w nim majora Kowadłę.

Czego ten skurwiol chce ode mnie?

, zastanawiał się gorączkowo.

Jak mnie tu znalazł?

A więc kazał mnie  
śledzić!

Ale po co?

Zastanawiacie się pewnie, po co?

usłyszał rechot

prześladowcy.

Kowadło szybko, szybciej, niż się kapitan

spodziewał, go dogonił.

Właśnie, majorze!

Czyżbyście mnie śledzili?

Uchowaj Boże, kapitanie.

O śledzeniu nie ma mowy.

Nasze spotkanie jest zupełnie przypadkowe.

Wychodziłem właśnie z Ministerstwa, kiedy zobaczyłem, jak stoiciele tamnarogu, palicie i  
zastanawiacie się, co dalej.

Oho, pomyślałem, kapitan Wirski kombinuje, jak tu pozbyć się ogona.

W celu wyklarowania sytuacji pobiegłem z awami.

Ot, i cała historia!

Więc jednak wiecie coś o obserwowaniu mnie.

Kowadło przysunął się do Wirskiego.

Jak zawsze w podobnej sytuacji, kapitan poczuł odór tytoniu i wczorajszego  
już alkoholu.

Nie bądźcie dziecko, kapitanie!

Zbyt poważne otrzymaliście zadanie, aby was puścić samopas.

Ot tak, sam nasam z własnymi myślami!

Tobyłoby niebezpieczne.

Dla

206

nas i dla was, kapitanie.

Dlatego macie mnie, Kowadłę, człowieka, któremu bezpieczeństwoufa bardziej niż wam.

Ale nie ufa bezwzględnie, kapitanie.

Nie ufa!

Ponieważ nikt nikomu nie powinien bezwzględnie ufać.

Dlatego i wy, i ja mamy swojego anioła stróża.

Ten zaś swojego.

Nie przesadzacie, majorze z tymi aniołami?

Za chwilę

okaże się, że wszyscy obywatele tego kraju zaangażowani  
są w stróżowanie!

Otóż to, kapitanie, otóż to!  
Jeśli tak jeszcze nie  
jest, to niedługo będzie!  
A tak całkowicie już prywatnie, dokąd to, kapitanie?  
Spacerek czy coś jeszcze?  
Piękna  
kobieta, na ten przykład?  
Zgadł pan, majorze.  
Spacerek i coś jeszcze.  
Piękna  
kobieta, masię rozumieć.  
Wirski uznał, że rozsądnie będzie nie zaprzeczać, ale też nie zdradzać niczego.  
Modlił się wdychu, aby gdzieś wylotu Łazienkowskiej nie pojawiła się Tania.  
Dlatego przedłużał przystanek na moście wis-a-wis Pałacu.  
Zapalili.  
W końcu jednak musiał ruszyć.  
Odprowadzicie mnie, majorze?  
Dla mego bezpieczeństwa, rzecz jasna.  
Z przyjemnością, kapitanie.  
Na Szwoleżerów, jak  
zawsze?  
Wirski nie dał po sobie poznać, jak bardzo dotknęło go  
to, że major znał jego tajemnicę.  
A to skurwiele, wszystkowiedzą.  
Ale dlaczego Kowadło demaskuje się?  
Głupota?  
Chęć popisania się czy raczej nowa intryga?  
Boże, o cotu chodzi?  
207.

Widzicie sami, Wirski.

Nie ma niczego, czego byśmynie wiedzieli.

Alegramy z wamiuczciwie.

Wy też wiecie, że my wiemy!

Dobrze już, chodźmy, majorze!

ruszył energiczniew stronę Szwoleżerów.

Minęli północną bramę Łazienek, w dzień powszedni ledwo uchyloną.

Po lewej stronieulicyruiny i bujna, dzika zieleń.

W tej zieleni zabłysłybiałkakilku par oczu, ale na widok dwóch mężczyzno policyjnym wyglądzie znikły.

Cichyświst, jaki przeszyłzarośla, dowodził, że niewidoczny przeciwnik zarządziłnatychmiastowy odwrót.

Kiedy już dochodzili do celu, wyprzedziła ich szybkojadącataksówka.

PonieważKowadło obrócił się na odglossilnika, Wirski mógł uczynić to samo.

W wozie od stronyjezdnipojawiła się sylwetka kobietyw chuście na głowie.

Oczywiście, mogła to być Tania, ale samochód przejechałzbyt szybko, aby mógł zyskać co do tego pewność.

Niezadowolenie na twarzy Kowadły dowodziło, żei on miał kłopot z rozpoznaniem pasażerki.

Przystanęli

w bramie.

Wybaczy pan, majorze, że tym razem nie będę go

prosił do środka.

Major mruknął coś i jak to miał w zwyczaju, odszedł bez pożegnania.

Tania zjawiała siępóźnionaponadgodzinę.

Półowa czasu, jaki mieli dla siebie!

Była zdenerwowana, więcWirski niechciał dokładać jej jeszczeleż wiadomości.

Wiadomościotym, że ich miejsce u Alicji jest spalone.

Ale Tania do206

myślała się już wszystkiego.

Rzecz jasna, to ona jechałataksówką, a widzącRyszarda w towarzystwie majora, zmieniła kurs.

Pojechała na Czerniaków do swej koleżanki, u której odsiedzieć musiaładobłą chwilę.

Potem pobiegłaz powrotem na Szwoleżerów.

Ryszardzie powiedziała, tuląc się do jego piersi.

Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć.

Chodzio Kowadłę.

Poczuła, że ciało Wirskiegostrywnieje, a ten odsuwasię od niej.

Co on może miećdo ciebie, Taniu?

Tobrutali prostak.

Zaśmiała się:

O, chcieć to on może bardzo wiele, jak się okazuje.

Nieznaczy to, że ja mam coś do niego.

Więc, Taniu?

Widzisz, kochany, od czasunaszego niedzielnegospotkania wszędzie go pełno.

Śledzi mnie i narzuca sięze swymi usługami!

Taniu, na litość boską!

Z jakimiusługami?

Bądź ostrożna, proszę!

To niebezpieczny człowiek!

Wiem to aż nadto dobrze!

Dlatego ciękam przednim.

Tak jak dzisiaj.

Boję się jednak, że w końcu niedopadnie!

Wielkie nieba, Taniu.

Co on chce ci zrobić?

Zaśmiała się, a Wirski po raz pierwszy usłyszał w jej śmiechu coś nieprzyjemnie obcego, wręcz wulgarnego.

No, zapewne nic takiego, czego my byśmy tu nierobili.

To także mężczyzna, nie tylko ubek.

209.

Wirski poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.  
Odepchnął Tanię i usiadł w fotelu.  
Tania przywarła doń już sekundę później.  
    Nie bądź głupi i niedobry!  
Niewolnoci tak myśleć.  
On po prostu zaleca się do mnie, ale robi to we właściwym sobie sposób.  
    Mogę to sobie wyobrazić!  
Szantażował cię, groził ci?  
    Coś w tym rodzaju.  
Jest przecież za sprytny, aby robić to wprost.  
Raczej zachęcał; mówił o nagrodach i awansach, jakie cię spotkają.  
    Za szybkie ujęcie sprawcy?  
Zawykrzyłeś pisk?  
Znow ten nieprzyjemny śmiech Tani.  
    Nie bądź naiwny, Ryszardzie.  
O twoim śledztwie nawet się nie zająknął.  
W pewnym momencie dał do zrozumienia, że Szczapa był już na wylocie, więc to, że ktoś go  
załatwił, było nawet partii na rękę.  
    Wirski nie był przecież naiwny.  
To, co powiedziała Tania, pokrywałeś różnymi aluzjami i insynuacjami ze strony Kowadły.  
W przeciwieństwie do milicji, bezpiecznie była zainteresowana szukaniem sprawcy.  
Amoże jest on już znany?  
A może tobie bezpieka kazała usunąć niewygodnego towarzysza?  
Ostatniej możliwości niewziąłeś wcale pod uwagę.  
    Rzeczywiście, głupiec ze mnie!  
wyszeptał doucha Tani.  
    Zachichotała.  
    Tego bym nie powiedziała o moim dzielnym kapitanie.  
A jeśli jest trochę naiwny, to dodaje mu to tylko  
210  
uroku, a jeśli też trochę zazdrosny, to spisuję to na swoją  
korzyść.  
    Poczuł, po raz pierwszy tego trudnego dnia, przypląw pożądaną.  
Kochali się w fotelu, potem na podłodze.  
Kiedy już wrócili do rzeczywistości, nie było czasu, aby porozmawiać o zakusach majora.  
Zdażyła mu tylko powiedzieć, że Kowadło gotów jest dać dobrą cenę za to, że Wirskinię będzie  
przeszkadzał mu w jego romansie z Tanią.  
Innymi słowy, zgodzi się na odstępne za swą kochankę.  
Na przykład, awans na majora, co major Kowadło, oczekujący właśnie na szarżę  
podpułkownika, łatwo może załatwić.

Dzień szósty - Wielki Piątek.

Kiedy stojąc rano w bramie swojej kamienicy, zastanawiał się, czy obrać kierunek w prawo, w Klonową, czy też jak niedawno w lewo, w stronę Bagateli, dylemat rozstrzygnął niespodziewanie kapral Cegiełka.

Z piskiem opon zajechał pobiedą na Flory od ulicy Bagatela i gwałtownie zahamował pod numerem trzy.

Mamy go, obywatelu kapitanie!

Mamy Michała Brochę!

zameldował posłaniec, ale jego twarz zdawała się mówić, że nie jest to jednak dobra nowina.

Tak, kapralu?

Gdzie go macie?

Twarz Cegiełki nie traciła niepokojącego wyrazu.

Znaleźli go wczoraj wieczorem pod Pałacem Kultury.

Pod Pałacem Kultury?

Co to znaczy?

Najprawdopodobniej wypadł z okna lub z rusztowania.

Co Brocha robił na budowie Pałacu?

Jak tam się dostał?

Przecież to prawdziwa forteca!

Pytania kapitan były czysto retoryczne.

Podtrzymywały wątłą nadzieję, że nie zdarzyło się to najgorsze.

Więc co z nim?

Kapral zwiesił głowę.

W końcu wydusił:

Jest teraz u doktora Kierszmana.

Na Dworkowej.

Wirski sprawiał wrażenie, że nie zrozumiał sensu komunikatu.

Dopiero po dłuższej chwili, jakby już pogodzony

z tym, co usłyszał, zaordynował:

Jedźmy więc na Dworkową!

215.

Cegielka włączył sygnał i po chwili parkowali przedtajnym przybytkiem Thanatosa.

Inaczej niż w ostatnią niedzielę, doktor Kierszman niebyłskłonny do wrózenia z jelit lub wątroby denatów.

Równie dalekodo żartówbyło kapitanowi, który przezkrótką drogę na Dworkową zastanawiał się gorączkowo, co śmierć Michała Brochy znaczy dla jego śledztwa.

Wpierwjednak należało się dowiedzieć, co to była zaśmierć.

I kto ją zadał.

Naprawdęchcesz go obejrzyć?

upewniał się doktor.

Niewiele z niego zostało.

Spadł z bardzo dużejwysokości.

Może stu, a może dwustu metrów!

Podszedł do wózkaprzykrytego poplamionymprześcieradłem.

Jednak Kierszman ma jakiś przydzwiewek dla swych"pacjentów", pomyślał Wirski.

Zarazpóźniej przymknąłoczy, bo widok potrzaskanego i powykręcane go ciała niebył, w istocie, przyjemny.

Zwłoki mężczyzny przy odzianebyły w coś, co niegdyś stanowić mogłoniebieski garnitur,teraz ubiór równie żalonyjak one same.

Wirskizanotował jeszcze, że prawastopa denata obutabyła w mocnoznoszony, czarny półbut, lewa jedynie w brązową, pocerowaną skarpetkę.

W istocie, niewiele!

Skąd jednak wiadomo, że to on,Michał Brocha, za życia student Wydziału Polonistyki?

Ramiona doktora Kierszmana uniosły się i opadły.

Miało to znaczyć: a skąd ja mogę wiedzieć, kim był denat?

Identyfikacja zmarłych toniemoja robota!

Potem jednakoświadczył pojednawczo:

216

Moim zadaniem jest dostarczyć dane, dziękiktórymktoś inny dokona identyfikacji.

Spójrz na tego tutaj: twarzniemal wstwu procentach zmasakrowana, prawie nie widaćoczu i nosa,czaszkę mazłamaną itak dalej.

A jednakzasadnicze cechy jego wyglądu,poczynając od kształtugłowy, na kolorze oczu kończąc, można zdłużym prawdopodobieństwem odtworzyć.

To tylko kwestia czasu, trzeba wykonać trochę zdjęć,modeli, analiz.

W ostatecznymrozrachunku sprawa pieniędzy westchnął.

Powiedziałbym, że to sprawa politycznej woli i takiejteż decyzji.

Jest wola, są pieniądze.

A propos tegoostatniego, toznaczy polityki, kapitanie.

Pokażę ci dokumenty, dokumenty ostatniej drogi tegonieszczęśnika odwrócił się i poszedł dokantorku.

Mamy tu raport spisany przez patrol milicyjny:"w dniuczternastegokwietnia be-er o godzinie dwudziestej trzydzieści władze administracyjnePałacu Kultury i Naukiw budowie powiadomiły tutejszą komendę o niezidentyfikowanych zwłokach.

odnalezionych o godzinie dziewiętnastej piętnaście na dachu nad głównym wejściemdo Pałacu".

I tak dalej, i tak dalej, kapitanie, rutynowyraport do twojego wglądu.

Jak na pewnowiesz,pełnajurysdykcję na terenie budowy posiadająRosjanie.

Mystrzeżemy ogrodzenia, ale o wszystkim, co się dzieje wewnątrz placu, decyduje NKWD.

Słyszałem otym i dlatego zdziwiłem się, że tak łatwooddali nam tego trupa.

Najwyraźniej umyli ręce,kiedy spostrzegli,że tonie ich nieboszczyk.

Tak więc czytamy w milicyjnym

217.

w raporcie, co następuje: "mężczyzna, lat dwadzieścia dwadzieścia pięć.

Blondyn, średniego wzrostu.

Śmierć nastąpiła około godziny dziewiętnastej", najprawdopodobniej wskutek upadku z dużej wysokości, na przykład z okna lub balkonu obiektu, pod którym znajdowało się ciało.

Przy zmarłym w kieszeni marynarki znaleziono legitymację Z M P na nazwisko Michał Brocha.

Oprócz niej kartę Biblioteki Uniwersyteckiej, numer taki, również wystawioną na nazwisko Brocha.

A także kartkę na obiady w stołówce studenckiejnu

mer..

Wystarczy, doktorze!

Przyjmijmy, choć tylko warunkowo, że to rzeczywiście Michał Brocha.

Jakiś list pożegnalny?

Coś, co miałyby związek z naszym śledztwem?

Niczego podobnego nie znaleziono.

Gdyby był list, pomyślelibyśmy, że to zabójstwo pozorowane na akt samobójczy.

A tak: nadwoje babkawróżyła.

Jak w przypadku śmierci Szczapy zauważył kapitan.

Domyślam się także, że nie znalazłeś w jego krwi śladów trucizny, narkotyków lub alkoholu?

Alkohol akurat tak.

Był na niezdolny, jak skakał albo go wyrzucono.

Prawie trzy promile.

Czy rzeczywiście, kapitanie, pił tak dużo?

Czy raczej ktoś zadbał, aby podczas podroży niewidział i nie rozumiał zbyt wiele?

Pierwsza z możliwości raczej wykluczona.

Drugą natomiast więcej niż prawdopodobną!

potwierdził kapitan.

Ale też niewiele mogę o nim powiedzieć.

Niewiem, jakim był człowiekiem, jakie miał przyzwyczajenie-

216

nia, słabości.

Obok tajemniczej dziewczyny, wspomnianej przez świadka, stał się głównym podejrzanym w sprawie Szczapy.

Bezpieka polowała na niego od ostatniej niedzieli; rozesłała za nim listy gończe.

Ja też go szukałem;

sądziłem, że wyjechał do Wrocławia na zjazd młodych literatów.

Wszystko na próżno.

Zacząłem się obawiać, że owe starania bezpieczeństwa, ciągle bezowocne, to za słona dymna.

Młody człowiek mógł wiedzieć coś o śmierci Szczapy oraz jego śmierci.

Może dlatego ukrywał się przed obławą, a może po prostu już od niedzieli znajdował się w rękach bezpieki.

Lub inaczej jeszcze: został schwytany i zamordowany.

Tsss.

kapitanie!

Za wiele tych hipotez!

Zawiele oskarżeń!

Choć Wirski świadomie nie wymienił żadnych nazwisk, w tym nazwiska Bożenki, zrozumiał, że się zagalopował.

Pierwszy raz od chwili podjęcia śledztwa poniosły go emocje.

Przyjazny mu, wypróbowany w trudnych chwilach Kierszman ostrzegął.

Poszedł za taradą i zmienił temat:

Zastanawiam się, doktorze, jakim sposobem dostał się na plac budowy?



To najlepiej strzeżone miejsce w Polsce.

Zapewne tak.

Weź jednak pod uwagę, że również najbardziej ruchliwe.

Pracują tam tysiące ludzi.

Jeśli już przedostaniesz się za ogrodzony teren, możesz łatwo zgubić się w tłumie zarówno robotników, jak i nadzorujących ich inżynierów, urzędników, bezpiekniaków i Bóg raczy wiedzieć, kogo jeszcze!

Mówisz tak, jakbyś tam był.

219.

Bo byłem i to aż trzy razy.

Wzywano mnie do oceny śmiertelnych wypadków, które miały tam miejsce.

W istocie, szeptano w Warszawie o robotnikach radzieckich i polskich, którzy zginąć mieli zasypani ziemią, przywaleni elementami konstrukcji lub tak jak Brocha poszybowali z pnących się do nieba dźwigów i rusztowań.

Opowiadano również o więźniach zabetonowanych żywcem w fundamentach wieżowca, o pracownikach skazywanych na Sybir za najdrobniejsze choćby uchybienia.

Kierszman dementował teraz teplotki, informując Wirskiego, że jak dotąd budowa pałacu pochłonęła kilkanaście ofiar, przy czym niektóre zgony miały charakter naturalny.

Mówił, że zmarli Rosjanie zostali pochowani na warszawskim cmentarzu prawosławnym; po cichu, skromnie, ale godnie.

Wirski słuchał, potakiwał w milczeniu, jednak doktor miał wrażenie, że nie do końca daje mu wiarę.

Kierszman uznała stosownie, aby zamknąć na tym temat.

Teraz on zmienił raptownie przedmiot rozmowy.

Co jak co, ale nie zazdroszczę ci, Ryszardzie, tego dochodzenia.

Zwłaszcza dziś, po śmierci tego młodego człowieka.

Śmierć Brochy, jeśli to jego szczątki leżą tu przed nami, pokazuje, jak poważna jest "sprawa towarzysza Szczapy" odezwał się oficer.

Ale też, mam taką nadzieję, przybliżasz do rozwiązania zagadki.

Weź, doktorze, choćby taką okoliczność: odpodanej tu godziny znalezienia ciała, godziny dziewiętnastej minut.

220

Która jest również przybliżoną godziną śmierci przypomniawszy Kierszman.

Od dziewiętnastej z minutami do chwili kiedy kapral Cegiełka dowiedział się dziś w komendzie, przypadkiem, o znalezieniu ciała Brochy, minęło ponad dwanaście godzin.

A gdyby nie czujność Cegiełki, upłynęłaby jeszcze doba lub nawet dwie, zanim prowadzący śledztwo, stojący tu przed tobą Ryszard Maria Wirski, dowiedziałby się o zdarzeniu.

Io czym mogło by to świadczyć, doktorze?

Doktor spochmurniał jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe.

Równie dobrze jak kapitan domyślał się, co, właściwie kto, mógł stać za tą opieszałością w informowaniu śledczego.

Nikogo, Ryszardzie, nie złapałeś w tej sprawie zarękę.

Ale też, na szczęście, nie trzeba nikogo nakrywać nagorącym uczynku.

Ta sprawa ma i do końca będzie miała charakter poszlakowy!

Ostatnie zdanie zabrzmiało tak dwuznacznie, że Kierszman spojrzął z niepokojem na Wirskiego:

Chyba nie zamierzasz popełnić jakiegoś głupstwa, kapitanie!

Wirski śmiechnął się tajemniczo.

Dowiesz się w stosownym momencie.

Na pewno nie będzie to żadne głupstwo!

Teraz zaś pojedę pod Pałac Kultury i Nauki.

Zapytam więc tylko tak, na wszelki wypadek: czy masz coś jeszcze dla mnie?

Oczywiście, że mam!

Zniknął poraz wtóry w kantorku, z którego powrócił z butelką jarzębiaku.

Nie było

221.

czasu na znalezienie szklanek, toteż wypili po dużym łyku wprost z butelki.

Legitymacja milicyjna nie wystarczała, aby dostać się nateren budowy Pomnika Wiecznotrwalej Przyjaźni, jak propaganda ochrzciła ponaddwustumetrowy wieżowiec centrum miasta.

Aby załatwić stosowne zezwolenia, Wirski musiał udać się do komendy stołecznej, skąd jego zwierzchnicy podjęli bez entuzjazmu rokowania ze stroną radziecką.

Ostatecznie zgodę na obejrzenie Pałacu z zewnątrz, jak i od wewnątrz wydał zaprzyjaźniony pułkownik NKWD nie bez widoków na butelkę lub dwie wyborowej z zakąską.

Czas, jaki upłynął, kapitan Wirski poświęcił na porządkowanie szybko rozrastającego się materiału operacyjnego.

Do sobotniej odprawy u Krochmalskiego pozostało niewiele czasu; piątek był więc ostatnim dniem, w którym wytypować należało kandydata na zabójcę Bogusława Szczapy.

Zadania znalezienia "nowego, lepszego mordercy" nie wolno było pod groźbą katastrofy całego planu ani zostawić na ostatnią chwilę, ani też pozostawić ślepemu losowi.

Szczęście, które odwróciło się najwyraźniej od młodego Brochy, otwierało przed kapitanem nowe tropy oraz nowe możliwości interpretacyjne.

Odsuwały też osobę Bożeny Brodzkiej na dalszy plan śledztwa.

Spodziewając się telefonów z "góry", od Kowadły, może nawet od Krochmalskiego, zostawił Paprotkę w swym biurze w komendzie, prosząc, by poszukujący go odezwali się ponownie za jakieś trzy godziny, kiedy już powróci

222

z wizji lokalnej w Pałacu Kultury.

Ze sobą zabrał Cegielkę, uznając że należy mu się premia za odkrycie śmierci studenta.

Na sygnale, choć po porannym szczycie komunikacyjnym ulice były raczej pustawe, zajęchali pod obiekt, przez warszawiaków ochrzczony już "pekinem".

Ktoś ze znajomych Wirskiego zauważył, że "pekin" to nie tylko akronim oficjalnej nazwy: tak nazywano, z pewnym lekceważeniem, czynszówkę na rogu Złotej Żelaznej, siedlisko pokątnych domów wrospusty.

Kapitan, dobrze obeznany z obyczajową topografią przedwojennego miasta, potwierdził to.

Dodał, że również inne miejsca o marnej reputacji, wielkie i przepełnione czynszówki, otrzymały mianostolicy Chin.

Zajechali pod Pałac od strony Emilii Plater.

Na wartowniczek już na nich przewodnik, niepozorny, niski mężczyzna w nieokreślonym wieku.

Jak wielu w tamtych czasach wolał pozostać anonimowy.

Mimo wyraźnej zachęty ze strony kapitana, który na przywitanie podał nazwisko i funkcję, swoją i kaprała, ich opiekun nie przedstawił się.

Wyjaśnił natomiast, że jest inżynierem i należy do zespołu naukowców z Polskiej Akademii Nauk, którzy śledzą przebieg budowy wszech czasów.

Po jej zakończeniu mieli opublikować szczegółową kronikę wraz z raportem o zastosowanych nowoczesnych technikach budowlanych.

Gigantyczna budowa weszła po dwóch latach wytężonej i trzeba przyznać, niezwykle efektywnej pracy w ostatnią, wykończeniową już fazę.

Całość wraz z placem, który dosłownie pożarł dawne handlowe centrum

rum miasta, miała być gotowa na 22 lipca następnego roku.

Pozostał jeszcze konkurs na pomnik Wodza Proletariatu i Postępowej Ludzkości wyjaśnił ich przewodnik, "zaciągając" w sposób właściwy dla kresowian.

Inżynier mówił rzeczowo, bez emfazy, ale nieturystyczny cel wizyty Wirskiego i Cegiełki powodował, że mało słuchali, zato uważnie przyglądali się wszystkiemu dookoła.

Zastanawiał się, którądy mogła prowadzić ostatnia droga Michała Brochy i czy pokonał ją dobrowolnie.

Na placu i wewnątrz gmachu pracowały tysiące ludzi, obsługujących taką ilość sprzętu budowlanego, jakiej nie widziano od czasu budowy wieży Babel.

Jedna, dwie, trzy lub więcej osób, jeśli przedostały się przez ogrodzenie, mogły przebywać tutaj całymi tygodniami, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Pod jednym wszakże warunkiem: że sprawiała by wrażeń równie zajętych jak wszyscy pozostali.

Konkurs na pomnik Stalina?

O, to ciekawe!

ożywił się nagle Wirski.

Co z nim?

Kiedy zostanie rozstrzygnięty?

Pytanie stanowiło test na rzetelność przekazywanych informacji; kapitan był nieźle zorientowany w materii wspomnianego konkursu.

Wpłynęło wiele wartościowych projektów, ale żaden nie wydaje się jeszcze godzien tematu.

wyjaśnił konfidencjonalnie ich opiekun.

Była to prawda.

Wysokina kilka pięter posąg darczyńcy, zarazem patrona Pałacu, zwieńczyć miał plac przeznaczony na defilady.

Z zadaniem zaprojektowania pomnika

224

zmagął się sam Xawery Dunikowski, ale od inżyniera Sigalina Wirski dowiedział się, że ani mistrz, ani władze nie są zadowoleni z rezultatów.

Podobno na widok projektu Dunikowskiego wicepremier Cyrankiewicz miał parsknąć śmiechem z powodu wielkich buciorów i wydętych policzków Stalina.

Na szerokim dziedzińcu przed wejściem głównym, doktóręgo wiodły monumentalne schody, kłębiło się od zaferowanych, biegnących we wszystkich kierunkach ludzi.

Ich tylko pozornie chaotycznej aktywności przeciwstawiała się majestatyczna bryła fasady głównej, w kwietniowym słońcu oślepiająca bielą świeżego kamienia.

Całkiem niedawno wyjaśnił przewodnik tuż przed ostatnią niedzielą zdjęto rusztowania zwiększej części Pałacu.

Tak, aby w Dzień Zmartwychwstania ogłosić dobrą nowinę mruknął Wirski do ucha Cegiełki. Nowinę o mieście, które powstało do nowego życia.

Jedenastego kwietnia w hali Gwardii odbył się uroczysty koncert z okazji drugiej rocznicy podpisania umowy polsko-radzieckiej dowiedzieli się teraz.

Jakiej znowu umowy?

zapytał nieuprzejmie kapitan.

W sprawie budowy PKiN, ma się rozumieć.

Towarzyszu inżynierze, nie zapominajcie, po co tu przybyliśmy!

Przecież nie po to, aby podziwiać Pałac!

Nie jesteśmy ani inżynierami, ani też działaczami TPPR!

Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci człowieka!

Zginął tutaj, na tej budowie!

225.

Przewodnik, dotąd grzeczny i poprawny, nadał się jaków posąg zaprojektowany przez Dunikowskiego:

Niejeden zbudowniczych gotów byłby oddać życie za pomyślność tego dzieła.  
Ktoś już to uczynił, choć nie był budowniczym!

Miał za ledwie dwadzieścia jeden lat.

Przyszliśmy tu, żeby ustalić, jak to się stało, że musiał poświęcić swoje młode życie.

A wy, inżynierze, macie nam w tym pomóc!

Omijając liczne przeszkody i korzystając z pomostów przerzuconych przez wykopy, dotarli do podnóża Pałacu.

Zanim zaczęli wstępować na monumentalne schody, prowadzące do głównego wejścia, wszyscy trzej zadarli głowy, aby spojrzeć na złocącą się w słońcu iglicę, umieszczoną na wysokości czterdziestego drugiego piętra, a więc ponad dwieście metrów nad ziemią.

Potem Wirski, zaopatrzony w kilka fotografii przedstawiających zwłoki Brochy roztrzaskane na dachu przykrywającym środkowy portyk, zaczął liczyć stopnie.

Uzmysłowił sobie wówczas, że właśnie te schody pojawiły się w jego śnie.

Było to ostatnie niedzieli nad ranem.

Schody, a na nich jakieś strzępy ubrania, które zmaterializowały się później w kostnicy i tutaj na fotografii, jako krwawy strzęp, pozostałość po człowieku.

Obraz zesnu, który przywołała pamięć, różnił się od tego, który można było zobaczyć, kiedy stało się u podnóża wielkiego gmachu.

Jeśli wierzyć milicyjnym materiałom, Brocha zginął nie na schodach, lecz na dachu wysuniętej części parteru.

Wirski zadarł głowę: gdyby młody człowiek roztrzaskał się schodami, po których teraz weszli, to

226

miejsce, gdzie upadłoby ciało, wskazywałaby na olbrzymią siłę początkową.

Nie wystrzelono go z procy lub z katapuły!

powiedział ścisłym głosem Wirski.

Wyleciał raczej z niższych kondygnacji.

Spadając w linii prostej, zabił się tutaj, na dachu wskazał na element fasady, zwany fachowo ryzalitem.

Potem jednak przyszło mu na myśl, że mogło być inaczej: stopień deformacji ciała, na który zwrócił mu uwagę Kierszman, sugerowałby upadek z wysokości większej niż kilka lub nawet kilkanaście pięter.

W istocie, jeśli ktoś zadał sobie trud, aby dotrzeć do Pałacu, to nie po to, aby zadowolić się jakimś tępym piątym czy siódmym piętrem.

Bez względu na to, czy przybywał jako przysły samobójca czy też oprawca.

W takim więc razie, skąd zaczął się tragiczny skok?

Z którego piętra, z którego okna?

Dwuoskrzydłowe okna były szeroko otwarte: korzystano z cieplejszych dni, aby wywietrzyć ukończone już pomieszczenia.

Kiedy milicjanci oglądali miejsce, w którym zginął Brocha, inżynier cofnął się dyskretnie o kilkakroki; teraz odzyskał mógł inicjatywę.

Wirski nie miał konkretnego planu, dlatego postanowił zdać się na łut szczęścia, czyli na przewodnika.

Wszystko, co mógł uczynić w tym momencie, to mieć oczy szeroko otwarte.

W sercu przybytku stalinowskich muz, w rozległym, dwupoziomym holu, stały jeszcze rusztowania i trwały prace wykończeniowe.

Elektrycy montowali tu oprawy mosiężne kinkiety; w stronę windy usytuowanych poni-

227.

żej marmurowych schodów sunął niekończący się wążtragarzy dźwigających skrzynie z wyposażeniem pałacu.

Przewodnik wyjaśnił, że w korpusie głównymmieścić siębędzie siedziba Polskiej Akademii Nauk z licznymi aulamioraz lokalami biurowymi.

Na podeście u szczytu schodówzawieszono dwujęzyczny transparent zachwalający przyjaźń polsko-radziecką.

W niedalekiejprzyszłości stanie tu Družba, rzeźbaAliny Szapocznikow, przedstawiająca dwóch robotnikówdzierzących jeden sztandar powiedział inżynier.

Wirskiwidział już jej projekt.

Spodobała mu się,bo przypominała obraz z jednej sal Zamku Królewskiego.

Alegoryczne malowidło autorstwa Bacciarellego poświęcone uniipolsko-litewskiej przedstawiało dwóch rycerzy dzierzącychwspólnie drzewce sztandaru z herbami Korony i Wielkiego Księstwa.

Z podestu skręcili w lewo, by obejrzeć gotowe jużprawie sale reprezentacyjne.

Wnętrza o parkietach z wielobarwnej intarsjiwypełniałobiałeświatło, bijące z siłatysięcy watów ze stropowych kinkietów.

Inżynier pokazałim żarówkę; białą, wypełnioną gazem rurkę.

Nawet sceptycznego kapitana zafascynowało to, co zobaczyli.

Terazna chwilę zapomniał ocelu ich bytności tutaj i wsłuchałsię w słowa przewodnika:

Budowniczo wie zastosowali rewolucyjne rozwiązania techniczne, takie jak wibrator elektryczny służący do ubijania betonu albo "centralneoziebianie",z myślą o człowiekupracy wynalezione przez Instytut Higieny Pracy i ChoróbZawodowych ZSRR.

228

Wirskiemu jeszcze bardziejdziwne niż "wibrator" wydało się to"centralneoziebianie".

Długo szukał w pamięci,zanim przypomniał sobieurządzenie,z którym zetknąłsię w Indiach: aircondition.

Ale ion nie wiedział, jaksensownie przełożyć ten termin napolski.

Przeszliprzez ciąg reprezentacyjnych sal na drugim, wysokim parterze, a właściwie na tejkondygnacji, którą nazywano ongiś piano nobile.

Terminologiarodemz baroku,ocenił Wirski, pasowałaby tu jakulał.

Choć dekoracjewnętrz miały eklektyczny ibardziej dziewiętnastowieczny niż współczesny charakter, to rozmach, jaki towarzyszylinwestycji, jakość użytych materiałów znajdowały analogię jedynie w rzymskiej i francuskiej architekturze XVIIwieku.

Jedna z sal, skromniejsza niż inne i korzystnieodróżniająca się od reszty wnętrz, nosiła imię głównegoarchitekta pałacu, profesora Lwa Rudniewa.

Zastrzeżeńkapitana, wiernego estetyce art deco, nie podzielał kapralCegiełka, który każdą nową salę, kolumnadę czy drogocenny kandelabr witał okrzykami zdumieniai entuzjazmu.

Niestety, na Sali imienia Rudniewa musielizakończyć tęwyprawę w krainę baśni.

I co teraz?

zapytał Wirski.

Dokąd pójdziemy

teraz?

Obejrzymy panoramę Warszawy z trzydziestego piętraoznajmił ichprzewodnik.

Przy okazji zwiedzimySalę Gotycką na tejżekondygnacji.

piano nobile w jeź.

wł.: kondygnacja mieszcząca pomieszczenia o charakterze reprezentacyjnym na pierwszympiętrze (drugakondygnacja) warchitekturze XVI-XVIII m.

229.

Pomysł został przyjęty jako najlepszy z możliwych.

Wrócili do holu głównego i stąd zeszli ID dół, do poziomu, z którego odchodziły windy.

Niemalwszystkiebyły w ruchu.

Obsługiwały je kobietyLU nowiużeńkichgranatowychdrelachach.

Wirski zapytał opiekuna, od kiedy winda przewozi pasażerów na trzydzieste piętro, a właściwie dwudziestedziwiąte, jak wyjaśnił inżynier, bo potem trzeba byłowspiąć się jeszcze schodami.

Opiekun nie był pewnydokładnej daty; stosownej informacjudzieliła operatorkawindy, która zjechała właśnie na poziom "zero".

Kobieta,zapytana przez kapitana po rosyjsku, odezwała się najczystszą polszczyzną.

Miła odmiana wobec rozbrzmiewającegozewsąd języka sojuszników!

Od ostatniejniedzieli.

Takie dostaliśmy zarządzeniez dyrekcji: uruchomić taras w niedzielę 11 kwietnia.

Doodwołania.

Otworzyć taras icały ten gmach przed ukończeniembudowy?

dopytywał sięzaskoczonykapitan.

Windziarka roześmiała się:

Taras widokowy, jak i wszystko tutaj, zamknięty jestdla publiczności, ale nie zawsze.

Byli tu już różni: delegacjeradzieckie, zagraniczne, towarzysze z Warszawy, zterenu.

No i wy,panowie, też jesteście.

Właśnie, a możebył ktoś z milicji, tak jak my?

naciskał.

Windziarka zlustrowała ichobu.

Takich jak wy, w mundurach, nie widziałam.

Możekoleżanka kogoś wiozła.

Zapytam.

230

Pani Zosiu!

PaniZosiu!

zawołała w chwili,gdyzjechała jedna z wind i otwarły się drzwi, wyrzucającz wnętrza grupkę robotników.

Zanim jednak kobieta zdążyła zareagować, drzwi zamknęły się i winda pomknęław górę.

Dowiemy się później zdecydował Wirski.

A terazw górę, towarzyszu inżynierze!

Windziarkauśmiechnęła się tajemniczo.

Przekreśliakorbę na metalowym panelu, a potem wcisnęła jeden podrugim kolorowe guziki.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie,winda ruszyła z przyspieszeniem wstrzymującymdech w piersiach i przyprawiającym o silny ucisk w uszach.

Tempo,z jakim się posuwali, pokazywał wskaźnik umieszczony nad drzwiami:

Dziewiąte, dziesiąte, jedenaste.

liczył kapral Cegielka.

Dwunaste.

chyba zwalniamy.

Na dwunastym winda zwolniła, na trzynastym zatrzymała się.

Drzwi rozsunęły się i do windywszedł jegomośćw szarym garniturze, koło czterdziestki.

Kapitan Wirski,czyżnie?

zwrócił się do starszego rangą milicjanta.

Pozwolicie, że się przedstawię:

Jan Chryzostom Pospieszynski, wicedyrektor do sprawtechnicznych.

Mam zaszczyt reprezentować polską administrację Pałacu!

Nacisk, jaki położył na polskość administracji, nie uszedłuwadze przybyłych.

Po krótkiej prezentacji obecnych ichnowy, niewątpliwie wyższy od poprzedniego rangą opiekun nakazał windziarce, aby kontynuowała jazdę.

Znowu wstrzymali oddech, a Pospiezyński powiedział:

231.



Po zwiedzeniu tarasu widokowego udamy się z wizytą do pułkownika Łopuchina, oficera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo gmachu.

Czeka na nas w gabinecie nadwudziestym piętrze.

Pułkownik Aleksander Andriejewicz Łopuchin byłym oficerem NKWD, który wyraził zgodę na ich wizytę w Pałacu.

Rozmowa z enkawudziwą niewątpliwą zaszczyt dla skromnego oficera milicji mogła też okazać się ważna dla śledztwa.

Ale mogła również stanowić zagrożenie.

Kiedy wychodzili z windy, Wirski zdążył coś szepnąć na ucho urodziwej windziarce.

Wyglądało to namęską zaczepkę, bo kobieta uśmiechnęła się po sekundach utrzymywania rozmówcy w niepewności kiwnęła głową.

Dłuższą chwilę podziwiali prawdziwie gotyckie, bo gwiazdziste sklepienie sali na ostatnim poziomie.

Jak wyjaśnił ich nowy opiekun, była ona przedmiotem dumy profesora Rudniewa, który studiował wnętrza gotyckich świątyń w Polsce.

Potem wyszli na taras i od razu przeszli do wschodniej jego części.

Wiało tu silniej niż w innych miejscach platformy.

Inżynier zapiął płaszcz i zaczął opowiadać, tym razem o panoramie miasta.

Wizytujący musieli poświęcić jej stosowną uwagę, ale kiedy już nasycili oczy widokiem odbudowującej się stolicy, Wirski mógł wychylić się za wysoką balustradę.

Zrobił to w tym miejscu, z którego prawdopodobnie wypadł lub został wypchnięty Brocha.

Nawet te pobieżne oględziny wskazywały, że ani samodzielne pokonanie bariery, ani też wypchnięcie siłą kogoś, kto mógł się bronić, nie było zadaniem łatwym.

232

Balustradę skonstruowano tak, aby możliwie utrudnić podobne działania, choć.

Czy nie warto jednak byłoby zabezpieczyć dodatkowo to miejsce za barierą?

Jakąś siatką, na przykład?

zapytał kapitan.

Zapewne trzeba będzie tak zrobić.

Po tym, co się tu wydarzyło wicedyrektor dospraw technicznych krył kontuzji.

Czyżby ten młody człowiek był pierwszym, który targnął się tu na życie?

dopytywał się Wirski.

Bez wątpienia pierwszym i mam nadzieję, że ostatnim!

I ja mam taką nadzieję!

Trzeba doprawdy wielkiej determinacji, aby rzucić się w taką przepaść.

Spada się do dobrych parę sekund.

A wtedy?

Łatwo sobie wyobrazić, co czuje ktoś, kto tak spada przez długie, trwające wieczność sekundy.

Dyrektor otrząsnął się i postawił kołnierz płaszcza.

Był naprawdę zimno, dojmujący chłód potęgował wiatr odpólnocnego wschodu.

Już niedługo przeszkodzono by mu w tym, towarzyszu kapitanie.

Na tarasie będzie zawsze ktoś, kto dopilnuje, aby zwiedzającym niestrzeliło coś do głowy.

Nowłásnie!

Czy wczoraj, kiedy na tarasie przebywała duża grupa inżynierów bułgarskich, za wiedzą i zgodą dyrekcji Pałacu, był już z nimi ten ktoś, kto pilnuje?

Twarz dyrektora wyraziła po raz wtóry zmieszanie:

Nie byliśmy przygotowani.

Grupom zwiedzającym Pałac towarzyszy zazwyczaj jeden lub nawet dwóch naszych

233.

strażników w cywilu.

Kiedy dostaliśmy telefon w sprawie Bułgarów, nie było nikogo pod ręką.

Funkcjonariusz, który organizował ich pobyt, powiedział mi, że gwarantuje bezpieczeństwo turystów i żadna dodatkowa ochrona nie jest potrzebna.

Oczywiście!

Kolejna kwestia, dyrektorze.

Kto konkretnie idokładnie kiedy telefonował do was w sprawietych bułgarskich inżynierów?

Zanim gospodarz obiektu zdołał coś powiedzieć, Cegiełka rozglądający się dotąd po tarasie i chroniącej go balustradzie, odciągnął kapitana na bok i pokazał palcem ciemny przedmiot leżący tuż pod balustradą na odcinku od strony południowej.

Wirski podszedł i zobaczył męski but.

Był to czarny lewy półbut, taki, jak zakładają się do garnituru jednak zniszczeni przydeptany.

Jakiś mały.

Najwyżej ósemka ocenił Cegiełka, pochylając się nad domniemanym dowodem.

Oznaczcie to miejsce kredą i zabezpieczcie.

I zróbcie zdjęcie.

Wyjął z kieszeni milicyjnego płaszcza miniaturową kamerę, z którą się nie rozstawał.

Dyskretnie podała kapralowi.

Wirski był pewien wagi odkrycia dokonanej przez Cegiełkę.

Szczątki ludzkie, które oglądał przed godziną, ubrane w garnitur, nie miały przecież lewego buta.

Nie nadzwyczajnego przypadku śmiertelnego lotu z trzydziestego piętra, ale but porzucony pod balustradą znaczyło coś innego, niż gdyby spadł z nogi upadającego na bruk.

Tu, na platformie widokowej, stanowił być może za 234

losny ślad oporu, jaki młody, zdrowy mężczyzna stawiał swym oprawcom.

Na myśl o tym, że śmierć Brochy nie była naco wiele wskazywało rezultatem samobójczej determinacji, lecz okrutnego morderstwa, obojętny dotąd na pogodę Wirski otrząsnął się z zimna.

Zachowanie kapitana odwróciło na moment uwagę przewodników od jego asystenta, który niezauważony mógł wykonać swoje zadanie.

Po chwili odnaleziony fragment ubioru bezpiecznie zniknął w raportówce kaprała.

W tej sytuacji proponuję wizytę u pułkownika Łopuchina.

Na pewno znajdzie coś narozgrzewkę powiedział Pospieszyński.

Dostęp do szefa bezpieczeństwa Pałacu bronił, poza żołnierzem z pepeszą, młody enkawudzista w cywilu, który szybko zlustrowawszy przybyłych, nakazał inżynierowi, i kapralowi pozostanie w przedpokoju.

Przyjaźnie jednak ofiarował im herbatę z samowarą, co przyjęte zostało bez zbędnych ceregieli.

Cielawieku nas wsiegdą mnoga znacit, bromie skromnoj rangi wyjaśnił, a następnie podsunął otwarte pudełko papierosów.

W oszczędnie wyposażonym gabinecie Łopuchin częstował, zgodnie z przewidywaniem Pospieszyńskiego, wie Czetawiek u nas wsiegdą mnoga znacit, kromie skromna) rangi ros.

: Człowiek u nas zawsze wiele znaczy, pomimoniskiej rangi.

235.

wielogwiazdkowym koniakiem.

Małe szklaneczki wypełnił niemal po brzegi.

Za naszu.

drużbu!

zaordynował.

Wypili do dna.

Bez dalszych już wstępom zwrócił się do Wirskiego.

Zrobił to łamaną nieco polszczyzną, na co ten zaproponował, aby rozmawiali w języku gospodarza.

Choroszoje u.

was udarzenie pochwalił kapitana i zapytał, czy to u boku Armii Czerwonej zdobył znajomość języka Puszkina i Lermontowa.

Odpowiedź Wirskiego zaskoczyła pułkownika: kapitan nauczył się rosyjskiego

'w Warszawie, jeszcze w latach szkolnych.

; W przedwojennej Warszawie tradycje języka i kultury rosyjskiej były bardzo żywe.

Starsze pokolenie znało dobrze literaturę rosyjską, nie tylko z przekładów.

A w kinach wyświetlano nam więcej filmów radzieckich niż obecnie!

Tak, więcej niż dzisiaj!

Na filmie *Wiosny rebiata*, u nas granym pod tytułem *Świat się śmieje*, byłem kilka razy, a to dzięki mojemu młodemu żoniu.

Nie może to być!

pułkownik kręcił głową z niedowierzaniem.

Wszystko zepsuła wojna.

i polityka dokończył Wirski enigmatycznie.

Był to najwyższy poziom poufałości, na jaki odważył się wobec oficera NKWD.

Nu da, polityka zasępiła Łopuchin.

Idzisiaj może wiele krwi zepsuć.

A niepotrzebnie, niepotrzebnie.

! Za naszu, drużbu!

roś.

: Za naszą przyjaźń!

Choroszoje u was udarzenie roś.

: Dobry ma pan akcent.

236

Kapitani milczący dotąd Pospieszyński czuli, że powietrze coś ważnego.

Nie mylili się.

Nierozumiem polityki waszego bezpieczeństwa.

Co chce ono udowodnić, podkładając nam trupa tego tam, młodego człowieka?

Wykorzystując naszą gościnność i zaufanie, aby podrzucić ciało grupie bułgarskich przyjaciół?

Pozwalając, aby cień podejrzenia padł także; na polski towarzyszy z administracji, na obecnego tu Pospieszyńskiego, na jego przełożonych?

Co to za polityka?

Słowa te rzucił gniewnie, wruszając szerokimi ramionami, powiększonymi jeszcze krojem munduru zwielkimi pagonami.

Ciekawe, skąd wie, że to dzieło naszej bezpieki?

, zastanawiał się Wirski.

Widać ma swoje źródła.

Wieleby mdał, żeby móc do nich dotrzeć.

Na pewno jacyś świadkowie.

Ale kto?

Obsługa wind, ochrona?

Na pewno też jakieś przecieki, donosy z Ministerstwa, z Koszykowej.

No, ale nic to!  
Mówiłem tej sprawie z kim trzeba.  
U was i umnie.  
Winni zostaną ukarani, a naszej przyjaźninicy już nie zakłóci.  
Ostatnia informacja wprost bezcenna!  
"Nasi", kimkolwiek by byli, wiedzą o intrydze bezpieczeństwa!  
Szukaj już winnych!  
Tym samym otwiera się pole dla manewrów, o jakich nie śniło się nikomu, przynajmniej odczasu domniemanego porwania w Berlinie Józefa Światły.  
Pułkownik spojrzał baczenie na Wirskiego.  
Uśmiechnął się domyślnie i nalał nową kolejkę.  
237.

Za prawdziwą przyjaźń!  
po raz pierwszy odezwał się Pospieszyński, najwyraźniej uspokojony poparciem ze strony radzieckiego bezpieczeństwa.

Za prawdziwą przyjaźń!  
zgodził się Łopuchin.

Audjencja była skończona.

Kiedy wychodzili, odezwał się jeden z telefonów nabiurku pułkownika.  
Usłyszeli gniewne sapanie enkawudzisty i rzucone na koniec zdanie:

A pewnie, że im pozwolę!  
Niech robią, co do nich należy!

Zjechali w dół z tą samą windziarką, która ich tu przywiozła.  
Kiedy znaleźli się na parterze, powiedziała Wirskiemu, że spełniła jego prośbę.  
Koleżanka, a zarazem przełożona brygady, Zofia Chętna zgodziła się rozmawiać z kapitanem.

Pospieszyński przekonany już, że Wirski otrzymał od pułkownika wyraźne przyzwolenie na prowadzenie śledztwa na terenie obiektu, pożegnał się z gośćmi.  
Wyraził jednak gotowość udzielenia Wirskiemu potrzebnych mu informacji, zapraszając go do biura na siódmym piętrze.

Zaproszenie zostało przyjęte.

Także inżynier zapytał, czy będzie jeszcze potrzebny.

Dowiedziawszy się, że trafią bez problemu do wyjścia, on opuścił milicjantów.

Zostali sami ze świadkiem potencjalnym świadkiem.

Usiedli wygodnie na szerokiej, dębowej ławie pod ścianą.

Wyciągnęli papierosy; brygadzistka Chętna poczęstowała milicjantów mazurami.  
Zapalili.

238

Windziarka wypuściła nosem kłęb gryzący dym i oświadczyła, że w istocie wczoraj, a więc w czwartek, wiozła na dwudzieste dziewiąte piętro delegację inżynierów bułgarskich.

Wraz z Bułgarami także pałacowego przewodnika, chyba Rosjanina, oraz trzech mężczyzn wyglądających na tutejszych; młodych, żaden z nich nie nosił munduru.

Grupa miała, rzecz jasna, zezwolenie od dyrektora administracyjnego.

Wszystko to działo się późnym popołudniem, około osiemnastej.

Zauważyła pani coś szczególnego w wyglądzie lub zachowaniu tej trójki "tutejszych"?  
Brygadzistka Zofia odparła po głębszym namyśle:

Faktycznie, dziwni jacyś.

Jakby nie mieli nic wspólnego z tą grupą.

Chyba ani razu nie odezwali się do Bułgarów.

Potem, po wyjściu z windy, poszli z nimi na górę, więc nie wiem, co tam robili.

Pani Zofio!

Zadam pani bardzo ważne pytanie!

Czy cała trójka powróciła z Bułgarami?

Twarz windziarki wyrażała najwyższe skupienie.

Spoglądała trochę w bok, trochę pod nogi kapitana.

Sygnal, że faktycznie szperała w pamięci.

Trudno mi sobie przypomnieć wszystkich trzech.

Dwóch z nich zauważyłam; rozpoznałam ich, bo byli bardzo do siebie podobni.

Jak bracia, prawie jak bliźniacy.

Tylko różnie ubrani.

Tego trzeciego, niższego i młodszego, chybanie było.

Poprawiła się: Nie spostrzegłam go.

Pani Zofio, chyba czy raczej napewno?  
głos kapitana był cichy i łagodny.



Panie kapitanie, dopiero teraz, kiedy odpowiadam na pana pytanie, pomyślałam sobie, że wróciło tylko dwóch z tej trójki.

Czyżby ten trzeci został na platformie?

I wrócił oddzielnie?

Mógł przecież pojechać inną windą, z inną obsługą.

Oczywiście, że mógł zgodził się Wirski.

Postaramy się ustalić.

A teraz niech nam pani opiszcie dokładnie trzech mężczyzn.

O dwóch ładnych podobnych do siebie, wysokich, około trzydziestki, wiele już powiedziec nie mogła, poza tym, że jeden miał jasny prochowiec i kapelusz, a drugi ciemniejszy, szarzielony i taki sam kapelusz.

Za to opis młodszego, tego, który mógł zawieźć się na trzydziestym piętrze, odpowiadał z grubsza wyglądem Michała Brochy w dniu śmierci.

Ubrany był, mimo chłodu, jedynie w garnitur.

Zwróciła na to uwagę, ponieważ na platformie widokowej silnie wieje, szczególnie o takiej porze roku jak teraz, i wielu zwiedzających wraca mocno zziębniętych.

Inaczej mówiąc, pani Zofio, tamci dwaj byli odpowiednio ubrani na okoliczność zwiedzania, a trzeci już nie.

Czy można tak powiedziec?

dopytywał się kapitan.

Z całą pewnością.

Dziękuję za pomoc w dochodzeniu!

Zwolniony windziarkę do jej obowiązków, poprosił tę, z którą rozmawiali na początku, aby zawiozła ich na ósme piętro do Pospieszyńskiego.

Nakazał grzecznie Cegiełkę, aby zechciała poczekać nań w sekretariacie:

Takie mamy czasy, kapralu, że im mniej wiemy, tym lepiej.

240

Cegiełka zgodził się z przełożonym, ale jego oczy mówiły, że nie do końca.

Domyślając się wątpliwości ze strony kaprala, Wirski powiedział:

Aha!

Że niby dlaczego ja się narażam?

Wy tłumaczę wam to kiedyś, Cegiełko.

Na spokojnie, przy wódce.

Ruszył w stronę obitych skórą drzwi.

Towarzyszu dyrektorze w gabinecie Pospieszyńskiego kapitan przybrał najbardziej oficjalny ton, jakim dysponował powiedziec mi jednak, kto kazał wam udostępnić taras dla zwiedzających?

I z jakiego to powodu?

Wice dyrektor wydawał się zaskoczony pytaniem:

Jak to, towarzyszu kapitanie, przecież to od was dostałem nakaz przyjęcia Bułgarów.

Co to znaczy "od nas"?

Ode mnie?

Od kogoś z komendy stołecznej?

To znaczy.

nie od wasz milicji.

Chciałem powiedziec, że.

Wirski nie mógł nie domyśleć się, co dyrektor chciał powiedziec, ale czekał, aż sam wydusi owe budzące lęskłowa.

To znaczy z Urzędu Bezpieczeństwa.

Szybko poprawił się:

Z Ministerstwa Bezpieczeństwa.

Z departamentu.

departamentu.

dziesiątego?

Na piśmie, towarzyszu dyrektorze?

indagował kapitan.

Nie na piśmie.

Telefonicznie jęknął wicedyrektor.

A wiecie chociaż, kto wam dał taki nakaz?

Tylko spokojnie, bez paniki, dyrektorze!

Ja chcę tylko wiedzieć

241.



kto. Rozmowa zostanie, ma się rozumieć, między nami uspokajał Wirski.

Dzwoniono do mnie w tej sprawie dwukrotnie.

Zapierwyszym razem łączyli jacyś adiutanci; nazwisk nie podali.

Potem odezwał się ich szef.

Przedstawił się jak pułkownik Kłysiński.

Czy coś pomyliłem, przekreśliłem nazwisko?

Skądże, dyrektorze głos Wirskiego zmiękł przycichł, podobnie jak podczas rozmowy z windziarką.

Kłysiński był tym ubekiem, do którego Kowadło zwracał się per Marianie i który, jak wynikało z przebiegu narady u Krochmalskiego, nakazał inwigilację Szczapy.

Czy pułkownik podał powód?

Ujął to jakoś bardzo ogólnie: "wizyta inżynierów bułgarskich ma dla nas szczególne znaczenie; nasi goście wyrazili gorącą prośbę, aby móc zapoznać się postęпами prac na budowie.", czy coś w tym rodzaju.

Jednym słowem, nic konkretnego?

Tak, właśnie.

Dziękuję, dyrektorze.

Tak w moim, jak i w pańskim interesie jest, aby to, co zostało tu powiedziane, niewyszło poza ściany pańskiego gabinetu!

Pospieszyński kiwnął głową i już nie couspokojony zaproponował kieliszek koniaku.

Wyjął z szafy dwie koniakówki, a potem, ku zaskoczeniu gościa, produkt renomowanej firmy francuskiej.

Wirski przyglądając się marce alkoholu powiedział:

242

W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak wypić za przyjaźń z pracującym ludem Francji, twórcą tego szlachetnego trunku!

Vive (a France)!

Rozprowadził aromatyczny, złocisty płyn po wnętrzu kieliszka i umoczył w nim delikatnie usta.

Był wzruszony!

Prawdziwego koniaku nie próbował od 1946 roku.

Umościł się wygodnie w fotelu.

Zza uchylonych okien dochodziły dość odległe odgłosy budowy.

Pojedynczo zlewały się w jedną dudniącą rzekę dźwięków.

Kiedy Pospieszyński spoglądał na kapitana, milczącego i wyraźnie odprężonego, nie mógł przypuszczać, że myśli krążące dotąd chaotycznie w głowie kłopotliwego gościa, informacje zdobyte tego i w czasie poprzednich dni, spokojnie łączą się podobnie jak odgłosy za oknem w jeden strumień, w jasną myśl i równie jasne postanowienie.

Wirski wiedział już, kim będzie "nowy, lepszy morderca".

Jego osobę ujrzał teraz z całą wyrazistością, właściwą zarówno dla faktów materialnych, jak i duchowych, moralnych.

Te ostatnie zaś wniemałym stopniem przyczyniły się do wyboru osoby sprawcy.

Zadaniem śledczego i zapewne także sprawą tak zwanego łutusczeństwa (choć kapitan w szczęście wierzył) pozostało teraz, czy zdobędzie on mocne dowody przeciwko zabójcy; małego: czy znajdzie także kontrdowody na argumenty, które niechybnie przedstawi oskarżony.

Pożegnał się z Pospieszyńskim; kazał Cegielce jechać niezwłocznie do komendy stołecznej, w której pozostawił sierżanta Paprotkę.

243.

Wyrok na Mikołaja Kowadłę, lat czterdzieści pięć, majora, a może już nawet podpułkownika w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, zapadł przecież wcześniej.

Sąd nad majorem zaczął się już w czwartek, 15 kwietnia, kiedy po spotkaniu Wirski z Tanią na rogu Marszałkowskiej i Partyzantów.

Druga i ostatnia sesja sądu nad majorem odbyła się w tajnym prosektorium przy ulicy Dworkowej, gdzie kapitan Wirski oglądał doczesne szczątki studenta Michała Brochy lub kogoś, kto miał być zidentyfikowany jako Michał Brocha, przyjaciel i domniemany kochanek sekretarza wojewódzkiego Bogusława Szczapy.

Jednoosobowy skład sędziowski: Ryszard Maria Wirski,

...; lat sześćdziesiąt, kapitan MO, po wniesieniu oskarżenia

przez obywatelkę Tatianę Rypnis z domu Kazimierczak, latokoło trzydziestu, po zapoznaniu się z bogatym materiałem dowodowym i przesłuchaniu świadków, takich jak Bożena Brodzka, uczennica, doktor Kierszman, anatomopatolog, pułkownik Łopuchin, kontrwywiad radziecki, dyrektor Pospieszynski, administracja Pałacu Kultury oraz wielu innych, a także po kilkukrotnym przesłuchaniu oskarżonego, w dniu 13 kwietnia w mieszkaniu denata przy alei Róż 6A, orzekawinę wyżej wymienionego Kowadły i skazuje go.

Wirski po chwili namysłu uznał, że żywy Kowadło to zbyt wielkie zagrożenie dla wszystkich dramatis personae i postanowił wymierzyć majorowi najwyższy wymiar kary, pozbawić go praw publicznych i honorowych nazawsze, a także uczynić swój wyrok bezapelacyjnym.

Wracając po wizji lokalnej w Pałacu Kultury i Nauki do komendy stołecznej, skonstatował, że tym wyrokiem

244

skompromitował się jako prawnik, ale uratował jako kapitan milicji oraz kochanek Tani.

Problem polegał na tym, że sam musiał wyrok ten wykonać.

Wcześniej zaś osaczył i aresztował skazanego.

Temu zadaniu służyły przygotowania, jakie podjął pospołu z Paprotką.

Plan Wirskiego na piątkowy wieczór, poprzedzający drugą odprawę u generała, sprowadza się do sprowokowania Kowadły do działania i podjęcia próby usunięcia kolejnego niewygodnego świadka.

Po głębszym namyśle kapitan doszedł do wniosku, że jedyną możliwą przynętą może być on sam, Ryszard Wirski.

Wystawienie kogokolwiek innego mogłoby okazać się nieskuteczne, równocześnie zaś niebezpieczne dla osoby, która, świadomie lub nie, podjęłaby się takiej roli.

Kiedy rozważał kwestię prowokacji wymierzonej w majora, przyszedł mu do głowy pomysł, aby do gry zaprosić poszukujących gorących tematów reporterów telewizji.

Do rozpoczęcia zaplanowanej akcji pozostało jeszcze trochę czasu, toteż kapitan umówił się z Tanią na obiad w Cristal przy Marszałkowskiej (Rarytas zarezerwowany był na obiady niedzielne). W końcu już od pierwszych dni jego istnienia panował wielki ścisk, ale dla kapitana milicji znalazło się niezłe miejsce tuż przy oknie, z widokiem na świeżo wzniesiony gmach główny szpitala dziecięcego.

W okamgnieniu pojawiły się na stole dwa kociołki z parującą zupą rybną, specjalite dela maison de Cristal.

Wyglodniały kapitan pochłonął swoją porcję i rozglądał się już za ciągiem dalszym, czyli plackiem po węgiersku.

Tania gmerała łyżką swoim kociołku, a rozmowa nie

245.

kleiła się.

Być może jednak z winy Ryszarda.

Mimo takzawsze pożądanej obecności Tani, jego myśli krążyły już wokół pułapki, jaką zastawił na Kowadłę.

Tania z kolei niemogła nie wyczuć napięcia, jakie mu towarzyszyło tego popołudnia.

Rozumiejąc to dobrze, zaproponowała:

A co byś powiedział na to, żeby na godzinę lub nawet dwie zająć domnie na Partyzantów?

Tosię wysłałam już na święta do Podkowy, domowej ciotecznej babki.

Będziemy więc mieli czas, idom dła siebie!

Świetny pomysł!

Opuścili szybko lokal i skręcili w prawo, w ulicę Partyzantów.

Wirski rozejrzał się dyskretnie, czy nie towarzyszy im cień, który zdawał się nie opuszczać ich od czasu pierwszego, niedzielnego spotkania.

Gdzieś w pobliżu znajdował się sierżant Paprotka, ale jegorola miała się zacząć dopiero około siódmej wieczorem, kiedy kapitan zamierzał pożegnać się z Tanią i ruszyć w stronę alei Róż.

Plan Wirskiego, jak wszystkie przezeń podejmowane, miał otwarty charakter.

Bez względu jednak na wariant planu, który podsunąć miał bieg wydarzeń, kapitan obmyślał wielki finał z udziałem telewizji, konkretnie zaś wozu transmisyjnego oraz młodego redaktora.

Sądząc po drobnych, ale zauważalnych zmianach w wyposażeniu sypialni, Tania najwyraźniej zaplanowała to ich wspólne popołudnie.

Zaskoczyła go wszakże, kiedy napowitanie wręczyła mu sporych rozmiarów pakunek:

Co prawda, niema zwyczaju dawania prezentów na Wielkanoc, ale dła mojego nieustraszonego kapitana

246

'zrobiony zostanie wyjątek.

Objęła zdumionego gościa i poprosiła, aby rozpakował prezent.

Uczyń to niezwłocznie.

Prezenterem niespodzianką okazał się elegancki płaszcz kąpielowy w kolorze ciemnego, prawie czarnego granatu, przetykanego dyskretnie złotą nitką.

Taniu, to królewska wręcz szata!

Gdzież mnie, zwykłemu gliniarzowi, do podobnych cudów!

Nie cuduj, Ryszardzie, tylko przymierz!

A ja przygotuję kąpiel i rozejrzę się za moim płaszczem.

tym białym, pamiętasz?

Wirskiemu natychmiast przypomniała się Czarna pyjama i jej materialny odpowiednik, odnaleziony w domu denata.

Zaskoczony wspaniałością prezentu, odwagą i hojnością ofiarodawczyni stał bezradnie pośrodku sypialni i przyglądał się przygotowaniu w łazience.

Wówczas to zadzwonił telefon, ale Tani ani w głowie było go odebrać.

Święta idą, więc ludzie składają sobie życzenia skomentowała i nadal badała ciepłotę wody, cienkim strumieniem sączącej się spod starego junkersa.

W salonie telefon dzwonił niezwykle wytrwale.

Telefonujący zrezygnował wreszcie, tylko jednak po to, aby ponowić próbę.

Po minucie, dwóch sytuacja miała się powtórzyć.

Taniu, proszę, odbierz!

To jakiś namolny osobnik, który nie da spokoju, póki nie złamiesz się i nie odbierzesz.

Wesoły wyraz twarzy kochanki ustąpił z troskaniem.

Prysnął też frywolny nastrój, jaki zdążył już udzielić się kapitanowi.

247.

Jest taki jeden, jak mówisz, "namolny osobnik", ale

bardzo niechciałabym, aby to był on!

Kiedy telefon odezwał się po raz czwarty, Tania, która podjęła właśnie decyzję, poprosiła Ryszarda, aby zechciał odebrać.

Szybko zrzuciła suknię, bieliznę i wskoczyła do parującej lekko wanny.

A jeśli to, niedaj Boże, ten potwór Kowadło?

Cowtedy?

O mężu, sławnym tenorze przebywającym wciąż w nagraniach w Pradze, nie chciała nawet wspominać.

Tym bardziej odbierz!

prosiła.

Jak cię usłyszy, nie odezwie się i zrezygnuje, przynajmniej na jakiś czas.

Mówisz tak, jakbyś wiedziała, co zamierza Kowadło!

zauważył, podejmując słuchawkę.

Mieszkanie pani Tatiany Rypnis.

Słucham?

zapytałowym poważnym, pełnym godności tonem, już niestosowanym, który charakteryzował przedwojennych lokai.

W słuchawce coś zacharczało, zaszurgotało i połączenie zostało przerwane.

Miałaś rację, Taniu, to była pewno major!

Skoro już zidentyfikowałeś przeciwnika, zapraszam do kąpieli!

Wspólna kąpiel z zachwycającą Tanią!

Równie obiecującej propozycji nie otrzymał chyba od czasu studiów na Sorbonie czterdzieści lat temu!

Wtedy telefon odezwał się po raz piąty.

Do pięciu razy sztuka!

skwitował.

Czy mam odebrać?

Splaw intruza i przyjdź tu do mnie!

246

Wedlerozkazu!

Podniósł słuchawkę.

Tu kapitan Wirski!

zameldował.

Od strony łazienki dobiegł go śmiech Tani.

Za to w telefonie panowała przez moment cisza, aż nagle znajomy głos ryknął:

Wirski, do kurwy nędzy!

Dlaczego nie odbieracie telefonu!

Właśnie odebrałem, obywatelu majorze.

Czym mogę służyć?

Spokojny, w istocie lekko kpiący ton wyprowadził rozmówcę z równowagi:

Wirski, nie pytam, co robicie w godzinach pracy w mieszkaniu tenora i jego żony!

Nie pytam, bo i tak doskonale wiem!

Chcę jedynie, abyście zawołali do telefonu tę.

tę...

major zdławił epitet, który miał na końcu języka tę Tatianę Rypnis!

Bardziej niż zapowiedź łaźiebnych rozkoszy ta krótkawymiana zdań ze śmiertelnym wrogiem, ze skazanym właśnie na najwyższą karę podsądnym, spowodowała, że z kapitana uszło dotychczasowe napięcie.

Pozostał niemal euforyczne uczucie, jak i towarzyszy pokerzyście, kiedy ze stosem żetonów zasiada za zielonym stolikiem, kiedy rozpiecztowywane są nowe talie, tasowane i przekładane karty.

Taniu!

zawołał w stronę otwartej wciąż łazienki.

Pan major Kowadło prosi cię do telefonu!

Odpowiedz panu majorowi, że się kąpię i oddzwonię później!

249.

Chyba nie musiał powtarzać słów Tatiany major słyszał je doskonale.

Wyrzucił siebie kilka soczystych przekleństw.

Kapitan nie chciał jednak zmarnować niezwyklejszansy, jaką przyniosła ta rozmowa.

Dlatego odezwał się najbardziej spokojnym i pojedynawczym tonem, na jakistać go było w tej chwili:

Obywatelu majorze, pani Tatiana nie może rzeczywiście podejść do telefonu.

Mówi, że oddzwoni później, co w zależności od okoliczności, czyli kąpiel, powinno nastąpić w ciągu najbliższych dwudziestu, trzydziestu minut.

W odpowiedzi usłyszał kolejną wiązaną przekleństw, ale kontakt był wciąż podtrzymywany.

Korzystając z tej niespodziewanej okazji ciągnął Wirski chciałbym prosić obywatela majora o chwilę rozmowy, jeszcze przed jutrzejszym spotkaniem u generała.

A co, Wirski!

Strach was obleciał?

Strach przed kompromitacją?

zarechotał Kowadło.

Dlaczego od razu strach, obywatelu majorze?

I dlaczego kompromitacja?

Chciałem zapytać o kilka szczegółów, wyciągnąć od majora nieco potrzebnych mi informacji.

Wyciągnąć nieco informacji?

obruszyłeś rozmówca.

Jakich to informacji pan kapitan potrzebuje?

Na krótko przed zamknięciem śledztwa?

Przecieżnie przez telefon, majorze!

Nie umówię się, jeśli nie powiecie mi teraz, o jakiego informacje wam chodzi!

Wirski zastanawiał się, co powiedzieć.

W końcu zaryzykował:

250

Chodzi o okoliczności nieszczęśliwego wypadku, jakimiałwczoraj miejscena budowie Pałacu

Kultury.

Z wiarygodnego źródła dowiedziałem się, że macie na ten temat istotną wiedzę, jaką ja jednak nie dysponuję.

Kowadło zamilkła dłużej.

Obywatelu majorze!

Czy słyszeliście, co powiedziałem?

Chodzi o okoliczności śmierci Michała Brochy.

Wyglądano, że uciekł wam jednak.

w ramiona Thanatosa!

Wczyje, kurwa, ramiona?

Zapewniam was, że szczeniak nigdzie nie uciekł!

To chciałem właśnie usłyszeć.

Ale nie tylko to.

Więc jak, znajdziecie dla mnie trochę czasu?

Przynęta chwyciła.

Major zapytał, gdzie i kiedy chciałby się z nim spotkać.

Nie narzucał konkretnego terminu i Wirski wyczuł w tym jakiś podstęp.

Planuję wizytę u pani Tani nie dłużej niż dośmej.

Potem zajdę raz jeszcze do mieszkania Szczapy.

Wieczorem zaś wrócę do domu, żeby przejrzeć cały materiał i przygotować się do jutrzejszej odprawy.

Ale każdy punkt tego planu mogę odłożyć dla spotkania z wami, majorze!

Kowadło najwyraźniej odzyskał pewność siebie, którą utracił na wzmiankę o śmierci

Brochy:

Skoro tak, to zaraz po ósmej w mieszkaniu Szczapy.

To dobre miejsce na taką konfrontację.

Tak więc do po ósmej, przy alei Róż, majorze!

Zakończyli rozmowę.

Łatwość, z jaką uzyskał zgodę Kowadły, obudziła w nim nowe podejrzenia, ale też nadzieję skuteczną weryfikację planu.

Chce mieć pewność, że do ósmej nie opuści mieszkania Tatiany!

, zawyrokował.

251.

Nie wiem, co kombinuje, ale na pewno coś, co ma mnie pogrozić.  
Pogroź jako prowadzącego śledztwo, a może także w oczach Tani.  
Trzeba więc działać!

Zadzwoił pod umówiony numer do Paprotki.

Sierżant odebrał już po pierwszym dzwonku:

Melduję się, kapitanie!

Paprotka, zwołaj szybko ludzi i zabierz ich na Partyzantów trzy przez pięć.

Powiadom ekipę telewizyjną, by była gdzieś w pobliżu.

Najlepiej na Polnej, pod drukarnią "Życia Warszawy".

W tym miejscu obecność telewizji nie powinna wzbudzić nadmiernej sensacji: może robić reportaże o pracy drukarzy czy coś w tym rodzaju.

Niech ekipa czeka na umówiony sygnał; podjedźcie wówczas na Partyzantów i rozstawi się z tym całym kramem wydawał rozkaz spokojnie, choć serce mu łomotało.

Także i dlatego żęjrział naga Tatianę, która z sypialni dawała mu zachęcające znaki.

I jeszcze jedno!

Tylko trzech ludzi w mundurach!

Wy, Paprotka, i kapral Cegielka w drelichach monterkich.

Musicie być tu, na Partyzantów w ciągu dwudziestu, góra trzydziestu minut.

Ukryjcie dobrze mundurowych, bo kołosiódmej, w każdym razie przed ósmą zjawią się tu agenci z bezpieczeństwa.

Oraz major Kowadło osobiście.

Jaka miał szansę, że powiedzie się jego starannie opracowany, teraz zaś w trybie alarmowym modyfikowany plan?

Wszystko zależało od tego, czy dobrze rozpoznał intencje i zamiary przeciwnika.

Jeśli tak, to zmuszał go do przyjęcia walki na własnym terenie, w czasie przez siebie wyznaczonym.

Zmuszał też do improwizacji, do

252

której on sam był lepiej przygotowany.

Słabością kapitanabyło z kolei to, że wciąż nie wiedział, na czym konkretnie polegał plan Kowadły.

I jeszcze jedno, okoliczność bodaj najważniejsza: pierwotny projekt wykluczał jakąkolwiek obecność czy udział Tatiany.

W powstałej przed chwilą awersji finałny pojedynek stoczyć mieli w pobliżu jej kamienicy, być może także w jej mieszkaniu.

Tak czy inaczej, wóz, wóz telewizyjny, albo przewóz, kapitanie powiedziała Tatiana, która słyszała znaczącą część rozkazów wydanych Paprotce.

Ale wolę ten hazard niż stałą obecność majora.

Przecież w końcu musiałabym mu ulec, czyż nie tak?

Nie miał już ani ochoty, ani czasu, by zastanowić się nad źródłem determinacji swojej kochanki.

Szybko wykonał jej polecenia i wylądował w pachnącej kąpieli.

Kochał się potem z taką zawziętością, jakby sprzyjający im dotąd los miał się definitywnie odwrócić.

Jakby miało to być ostatni już raz.

Wirski przyodziany w swój prezent wielkanocny popijał gruziński koniak, czekając, aż Tatiana powróci do sypialni, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Dwa krótkie sygnały, jeden dłuższy, zapowiadały jednak swoich, a nie przeciwnika.

Wybacz, to pewnie do mnie!

rzucił w stronę łazienki i ruszył otworzyć.

Nie mylił się, na szczęście.

W drzwiach stali Paprotka i Cegielka, przebrani w piękne, świeżo wyprane i wyprasowane drelichy monterów gazowych.



Wirski pomyślał, że poraz pierwszy tajemnicze  
253.

i nieprzyjazne mu PPPG OG ma szansę pojawić się w jegożyciu w roli sojusznika.

Mieliśmy wezwanie w sprawienieszczelnych instalacji zgodnie z instrukcją oświadczył Paprotka.

Czyto nie tu, obywatelu?

Tutaj, Paprotka, tutaj!

Zakasujcie rękawy i bierzcie się do roboty.

Te wasze nieskazitelnie czyste drelichy namilę pachną przebieranką i teatrem.

Musicie szybko jedybrudzić.

Jakżeż to, kapitanie zdziwił się Cegiełka.

Mamy wystąpić w telewizji.

Ci z ekipy reporterskiej zapowiedzieli, że musimy prezentować się czysto i schludnie, jak przystała przodująca ekipę interwencyjną.

Faceci z telewizji to idioci.

Falszują rzeczywistość nadziei, że ciemnywidz tokupi.

Przerwał mu śmiech Tani, która usłyszała ostatnią część ich rozmowy.

To niedociągnięcie da się szybko naprawić powiedziała.

A teraz zapraszam do łazienki.

Mój stary junkersnaprawdę wymaga szybkiej naprawy, ja zaś od dwóch tygodni nie mogę się doprosić tychz Bagatela trzynaście.

Zwodzą mnie i zwodzą, obiecują, a gaz ulatnia się coraz bardziej.

No todo roboty, Cegiełka!

zaordynował sierżant.

Gdzie masz te klucze?

Szweda, francuza i tego tam, siódemkę płaską!

Zniknęli wewnątrz łazienki.

Po chwili do Tani Ryszarda doleciał charakterystyczny łoskot rozbieranej instalacji.

254

Żeby mi tylko domu nie wysadzili w powietrze zaniepokoiła się Tania.

Nie martw się, serce.

Oni znają się in tym fachu.

Potrafią wszystko naprawić.

Usłyszeli mocne przekleństwo chyba głos Cegiełki.

Kapral wychynął wewnątrz łazienki wusmarowanym już na czarno uniformie.

Sadzę miał także na twarzy i narękach.

Otwórz wentylacyjny przewód w stu procentach niedrożny oświadczył ponuro.

Wiedziała pani o tym?

To groziło zaccadzeniem lub eksplozją gazu!

Przyszliśmy naprawdę w ostatnim momencie!

A ten piecyk to kompletny szmelc dorzucił Paprotka zgłębi łazienki.

Jeśli to prawda, to łazienkowe igraszki sprzed godziny mogły zakończyć się tragicznie.

Niechęć Wirskiego doprzedsiębiorstwagazowniczego znalazła potwierdzenie konkretnych faktach.

Panowie zaapelował Wirski róbci ten piecyk, ale nie zapominajcie o głównym celu waszej wizyty.

Brońcie się w pogotowiu!

Oczy i uszy otwarte.

Tak jest, kapitanie!

Pracowali jeszcze dobry kwadrans.

Kolejny dzwonek był równie filuterny jak pierwszy: dwa długie, dwa krótkie.

A to kto?

zdziwił się kapitan, który zdążył w międzyczasie przywdziać mundur i przypasać kaburę pistoletu.

Twarz gospodyni oblała się rumieńcem.

Myślę, że to major Kowadło.  
powiedziała wyraźnie speszona.  
255.

Więc to tak!

Więc jednak stały gość na Partyzantów!

,przemknęło mu przez głowę.

Nie było przecież czasu nadalsze dywagacje.

Jużidę, majorze!

krzyknęła i pobiegła otworzyć.

Wdrzwiach stał Kowadło, w cywilnym płaszczu i pięknym nowym kapeluszu.

W ustachtrzymał papierosa, pod pachą jakieśzawiniątko.

Przywitał się szarmancko zTanią,powiesił kapelusz na wieszaku, a zawiniątko położył naszafce pod lustrem.

Tania wyciągnęła rękę pojego płaszcz.

Kowadło zawahał się, ale w końcu płaszcz powędrowałśladem kapelusza.

Zawisłtuż obokpłaszcz kapitananamacalnego dowodu obecności przeciwnika.

Kowadłospojrzał na zegarek: dochodziło wpół do ósmej.

Westchnął głęboko,zabrał zawiniątko z szafki ienergicznym krokiem wszedł dosalonikuTatiany.

Ubrany byłw niedzielny prążkowany garnitur inowe, czarne półbuty.

Spostrzegłszy gotowego do wyjścia kapitana (jegomundur silnie kontrastował z dezabilem Tatiany), powiedział:

Czyżby kapitan Wirskiopuszczał już przybytek rozkoszy?

Nie było to eleganckie, ale zanim kapitan zdążył stanąćw obronie czci swejwybranki, Kowadło dorzucił:

Dospotkania ze mną zostałajeszcze kupa czasu.

Możesię napijemy?

rozwinął pakunek,z którego wychynęła butelka koniaku Biały łabędź, takiego samego,który pojawiłsię, a potem zniknął z mieszkania Szczapy.

256

Mamy swoje napitki odpowiedział Wirski równie mało grzecznie, jak Kowadło zaczął.

Toć widzę,kapitanie.

Alemój jest szczególnego rodzaju.

Zaraz się otym przekonacie!

Zabrzmiałoto dwuznacznie była w tym jakaś groźba.

a może żart tylko.

Wówczas z łazienki, w której dwaj monterzywstrzymali oddech po wejściu Kowadły, rozległ się przeraźliwy łoskot.

Usłyszeli przekleństwa, a zpomieszczenia wydobyłsię kłęb czarnego dymu.

Kowadło wyjął pistolet zzapoty marynarki,odbezpieczył i ruszył w stronę łazienki.

W tym momencie z jejwnętrza wychynęli ludzie Wirskiegoatak umorusani, żenie tylko Kowadło, ale nawet Wirski nie byłby w stanieichrozpoznać.

Wyższy, czyli Cegielka, trzymał w rękupokaźnych rozmiarówfrancuza; niższy,Paprotka, w lewymręku dzierżył szweda, w prawym skrywając za plecamijakąś inną broń.

Co się tu dzieje!

ryknął Kowadło.

Co to za ludzie?

Monterzy z gazowni powiedziałaspokojnie Tania.

Naprawiająpiecyk.

A wy, co za jeden?

zapytałbuńczucznieCegielka,wolną ręką wskazując na pistolet Kowadły.

No właśnie, z bronią do ludzi pracy!

dorzuciłPaprotka i zrobił krok do przodu.

Wirski domyślił się, że sierżanttrzyma za plecaminagana, więc martwił się już, czy niezechce zrobić z niego użytku.

Paprotka nie stracił  
257.

jednak przytomności i wsunął dyskretnie broń do tylnej kieszeni drelichu.

Obywatelko oznajmił Cegiełka, wciąż celując palcem w Kowadłę trzeba będzie wezwać milicję!

Nie trzeba!

odezwał się Wirski.

Wystarczy, że ja tu jestem!

O, faktycznie!

Nie dostrzeżliśmy pana kapitana!

powiedzieli niemal chórem monterzy.

Kowadło szybko schował broń do kabury pod lewapołamarynarki.

Panowie!

Wirski zwrócił się do monterów.

Tuzaszło nieporozumienie!

Ten obywatel wskazał na Kowadłę jest oficerem bezpieczeństwa.

Przyszedł tuprywatnie, z wizytą do tej pani, a broń wyciągnął w jej obronie, sądząc, że zagraża jej niebezpieczeństwo.

Kowadło nie mógł nie wyczuć ironii w głosie kapitana.

Warknął groźnie, ale nie wiedział, co powiedzieć.

Jeśli tak, to co innego!

Wracamy, Maniuś, do roboty oznajmił Paprotka i zaczął tyłem wycofywać się do łazienki.

Panowie, co z moim piecykiem?

odezwała się Tania.

Co z łazienką?

Zrobi się, szanowna pani!

Zrobido przyjazdu telewizji!

dorzucił Cegiełka.

Jakiej znowu telewizji?

Do kurwy nędzy!

ryknął Kowadło i rzucił się w stronę Tani i Wirskiego.

To był fałszywy strach Cegiełki.

Telewizja miała pojawić się w finale zjścia, w momencie gdy mundurowi wyprowadzać będą Kowadłę.

A to dopiero podnalezieniu

256

kompromitujących go dowodów, odnalezieniu czegoś, co mogło mieć związek z mołdawskim koniakiem bądź zawartością płaszcza majora, pozostawionego w przedpokoju tuż obok okrycia Wirskiego.

Telewizja państwowa, obywatelu majorze wyjaśnił kapitan i podszedł do Tani, aby na pożegnanie ucałować jej dłoń.

Robią reportaż na żywo.

Na temat pracy gazowników, którzy nie bacząc na zbliżające się święta, niosą pomoc obywatelom, jak tych dwóch tutaj.

Jakby dla potwierdzenia słów kapitana z łazienki dobiegł kolejny łoskot, buchnęła sadza i posypały się przekleństwa.

Moja łazienka, Ryszardzie!

Zrób coś, proszę!

jęknęła gospodyni.

Im naprawdę zależy, aby dobrze wypaść przed telewizzami uspokajał Tanie.

Zobaczysz, że do przyjscia reporterów wszystko będzie jak nowe!

Znam tę ekipę, jest naprawdę świetna!

Wybacz,na mniejjuż czas.

Towarzystwa dotrzyma ci major.

Aha, proszę, jednak,niepij jużwięcej koniaku.

Nawet tego od majora.

Idź, Ryszardzie, skoro rzeczywiście musisz!  
westchnęła.

Do zobaczenia w alei Róż, majorze rzucił na odchodnym.

Spojrzał na zegarek:Ma pan jeszczepółgodziny.

Już w przedpokoju stanął tyłem do wnętrza mieszkania,tak aby zasłonić okolice wieszaka.

Założył rękawiczki,płaszcz, potem szybko sprawdził zawartośćobu kieszenipozostawionego tu okrycia majora.

W prawej wyczuł nie259.

wielki przedmiot w kształcie walca.

Fiolka?

Pocisk sporego  
kalibru?

Nie, raczej fiolka.

Dobra nasza!

Obrócił się i już w drzwiach uchylił kapelusza.

Jeszcze domknął drzwi, kiedy Kowadło ruszył do  
telefonu.

Akcja odwołana!

komenderował.

Jak to zaczęła?

Kto wamkazał?

Jak to ja?

A która jest godzina?

Która?

O, kur.

Wirski, który przystanął jeszcze pod drzwiami i słuchał, uśmiechnął się.

Druga runda wygrana!

Może nawet całabitwa!

Ale daleko jeszcze do szczęśliwego końca wojny!

Wychodząc z bramy, rutynowo obejrzał się na obie strony.

Jego ludzie byli dobrze pochowani, a jeśli był tam ktoś z Kowadły, to również pozostawał  
niewidoczny.

Tak więc, pozornie nikogo.

W ciągu trzech minut doszedł pod drukarnię "Życia Warszawy".

Parkował tu wóz transmisyjny z dumnie sterzącą anteną i napisem "Telewizja Polska", wóz  
identyczny z tym, który cała Polska oglądała na filmie z Dymszą.

Ekipą była i grała w karty, dziennikarz Wiśniewski, poznany kilkadziesiąt dni wcześniej, rozmawiał z jakąś  
cizią, pewnie sekretarką z gazety.

Dziewczyna mizdrzyła się do reportera, a ten nadymał się i puszył, robiąc jej pewne nadzieje na pracę  
w telewizji.

Redaktorze Wiśniewski!

Koniec amorów!

przerwałim kapitan.

Zaczynamy akcję "Monter"!

Wskoczyli do wozu i podjechali na Partyzantów.

Turozstawili sprzęt: olbrzymią kamerę, wózek, reflektory, aparat  
raturę dźwiękową, całą górę kabli.

Na ten widok nielicznie tej porze przechodnie zatrzymywały się z ciekawości.

Zanim jednak ktokolwiek z ekipy zdażył zainterweniować, z bramy spod dwójki wychynął facet w  
ciemnym płaszczu i nakazał:

Nie gromadzić się, obywatele!

Proszę rozejść się do domów.

Już późno, pora spać!

Nie był to na pewno nikt z ekipy Wirskiego.

A więc warowali tu już ludzie Kowadły!

Dziennikarz Wiśniewski spojrzał konfidencjonalnie na kapitana i powiedział:

Dobre zabezpieczenie, kapitanie, bardzo skuteczne.

Normalnie nie można opędzić się od gapiów!

A co, dziwicie się?



Taka atrakcja:telewizja!  
Nie radio,nie kino, tylko polska telewizja!  
skwitował kapitan.  
    Wiśniewski nadął się tak jak podczas rozmowy z dziewczyną:  
    Ma się rozumieć!  
Zwrócił się do ekipy:  
    Gotowe?  
    Jeszcze chwila, szefie!  
Coś namdźwięk nawala!  
oznajmił któryś z jego ludzi.  
    A może dać by teraz tych monterów?  
zapropnowałkamerzysta.  
Ustawimy sobie kadr.  
    Co pan na to?  
Wiśniewski spojrział na kapitana.  
Ten sprawdził czas.  
Była równo ósma.  
Transmisjao dwudziestej trzydzieści.  
Czy nie za wcześnie?  
    Nigdy nie jest za wcześnie.  
Tydzień temu, w NowejHucie, wszystko było dopięte na ostatniguzik.  
I wyobraźcie  
    261.

sobie, kapitanie, na minutę przed transmisją czyjeś krowyweszły na plan!

Zanimje przepędziliśmy, mieliśmy pięć minut spóźnienia.

A i tak jedna wlaźła nampotem w kadr.

Ludzie musieli ją zasłonić transparentem.

Niestety, krowiogon pokazał się na momentna ekranie.

Faktycznie.

Niełatwa praca!

Ale chyba ciekawa?

To na pewno!

I z ludźmi pracy jest kontakt.

Jakby na potwierdzenie słów Wiśniewskiego w oświetlony już plan przed bramą eleganckiego, przedwojennego budynku wkroczyło niespodziewanie trzech, potem jeszcze jeden, a więc czterech facetów wszyscy w płaszczach kapeluszach.

Co to za jedni?

zapytał Wiśniewski.

Cśśś nakazał milczenie kapitan.

Niemoi, ale jakoś tam wiążą się z moją pracą.

Też bardzo ciekawą, zapewniam!

Przyszli kogoś zwinąć?

domyślił się dziennikarz.

Żeby aż tak to chyba nie, redaktorze!

Zaraz będą wracać, zobaczycie!

A na razie zapalmy!

Nie dopalili jeszcze dukatów kapitana, kiedy z bramy wybiegło tych czterech.

Skręcili w Marszałkowską i tam zniknęli za rogiem.

No i widzicie, redaktorze.

Jak przyszli, tak poszli!

Wirski nie krył satysfakcji z pomyślnego przebiegu akcji.

Dobra!

Dajcie nam tych monterów nakazał Wiśniewski.

Może kierowca po nich pójdzie?

262

Wirski powinien był zareagować i zatrzymać kierowcę, jako że najważniejsza, finalna część przedstawienia miała dopiero nastąpić.

Nie chciał jednak ujawniać swojego planowanego scenariusza.

Dlatego zadowolął się, przynajmniej na razie, rolą obserwatora.

Prawdziwego sprawozdawcę miał tuż obok siebie.

Wezwany członek ekipy wygramolił się z wozu i ruszył w stronę bramy.

Zanim zdążył ją otworzyć, podeszło doń dwóch mundurowych.

Trzeci, stojący za nimi, nakazał:

Usuńcie się, obywatelu!

I wracajcie do wozu transmisyjnego.

Jak będziecie potrzebni, powiemy!

Kierowca zawrócił posłusznie.

Dowódca patrolu spojrziała zegarek, a potem w stronę Wirskiego.

Ten nieznacznie wysunął się do przodu i kiwnął głową.

Wiśniewski stał osłupiały i patrzył na niepokojące manewry sił porządku i bezpieczeństwa.

Nie martwcie się, redaktorze!

Wszystko odbędzie się zgodnie z planem.

Zanim pojawią się tu nasi bohaterowie, dzielni ludzie pracy, wy przygotujcie się do wystąpienia.

Macie przecież jakieś zagajenie przed transmisją, czyżnie tak?

W rzeczy samej, kapitanie!

Panowie, przygotowanie do pierwszego ujęcia!

Powstało nieodłączne w takiej sytuacji zamieszanie.

Pochwili uczesany, zapięty na ostatni guzik i nienaganny redaktor Wiśniewski pojawił się z mikrofonem na planie.

Jeszcze ostatnie poprawki i ktoś zawołał reżyserki w głębi wozu:

263

'UL.

Jest obraz kontrolny!

Zaczynamy próbę!

Akcja!

rozkazał operator.

Znajdujemy się na jednej z warszawskich ulic.

Jest piątek, 16 kwietnia, dwa dni przed Niedzielą Wielkanocną!

Bez tego "dwa dni przed Niedzielą Wielkanocną" powiedział niesłyszany dotąd głos z reżyserki.

Jedziemy ponownie!

Znajdujemy się na jednej z warszawskich ulic.

Jest piątek, 16 kwietnia, dzień pracy, jak każdy inny skorygował redaktor.

Godzina dwudziesta trzydzieści, a wiec dła wielu z nas dzień ten zakończył się już nadszedł czas służonego odpoczynku.

Nie dla wszystkich przecież!

Pracują ludzie przy wielkich piecach, w elektrowniach, gazowniach, lekarze i personel medyczny w szpitalach.

Nastanowiskach pracy stoją drukarze, tramwajarze.

Tramwajarze nie stoją, lecz jeżdżą wtrącił się głos reżyserki.

Trzeba to ująć inaczej.

Jak jest w tekście?

Wiśniewski zajrzał do kartki, którą trzymał w ręce, chybaniewidocznej w kadrze.

Tu nie manic o tramwajarzach!

Tak mi się powiedziało!

Jest za to o milicji.

No więc, redaktorze, teraz o milicji!

Mijały minuty, podczas których ważył się los akcji "Monter", a tym samym samego kapitana.

Czy dadzą sobie radę z Kowadłą?

Czy nie zdoła ich przechytryć, oszukać, nastraszyć?

I czy Tania daruje Wirskiemu, że wciągnął ją

264

w dodatku bez uprzedzenia w rozgrywkę z majorem?

Wydarzenia ostatnich dwóch godzin ujawniły, że Tania o czym nie miała dotąd pojęcia miała już jakiś układ z Kowadłą, że prowadziła swoją, Bóg jeden wie jaką, rozgrywkę z adorującym ją oficerem.

Od kiedy znała Kowadłę?

Czy przypadkiem nie była to znajomość znacznie starsza (i trwalsza!

), niż sądził kapitan?

Z drugiej zaś strony, rozważał Wirski, odważnie i bez wahania włączyła się jego działania.

Zrobiła to, niewiedząc ani jaki jest cel tych działań, ani nawet nieznając ich zasad, a rolę przerażonej bałaganem gospodyni odegrała wręcz popisowo!

Właściwie to Tania zawdzięczała, że Kowadło nie połapał się w zaaranżowanej ad hoc sytuacji.

Uwierzył w autentyczność ekipy gazowniczej, małego, przestraszył się niena żarty

perspektywę transmisji telewizyjnej wprost z mieszkania Tatiany!

Odwołał akcję aresztowania Wirskiego, akcję, której zasadniczym elementem miało być obciążenie go jakimiś kompromitującymi dowodami.

Jakie to dowody i w jaki sposób miały zostać podrzucone?

Tego nie wiedział, choć domyślał się, że musiały mieć związek z koniakiem Biały łabędź tym samym, który znalazł w mieszkaniu Szczapy.

W takim razie, czy miałyby to być trucizna?

Zapewne tak.

Jeśli za trucizna, to najpewniej cyjanek, odnaleziony w śmiertelnej dawce w ciele ofiary.

Ale czy znaczyłoby to, że Kowadło chciał udowodnić, że to właśnie on, Wirski, był tym trucicielem

zalei Róż?

Absurd!

Nawet Kowadło nie wpadłbyna coś równie głupiego.

Więc inaczej!

Spokojnie, niedługodowiemy się,o co tuchodzi.

265.

Rozważania Wirskiego i ogólny stan wyczekiwania w szeregach ekipy telewizyjnej przerwało nagłe pojawienie się dwóch niemiłosiernie umorusanych monterów, dźwigających torby pełne narzędzi. Na ich czarnych twarzach malowała się zmęczenie, ponuro błyskały białka oczu. Byli wściekli na kapitana za to, że wrobił ich w tępobotę, prawdziwą interwencję gazowniczą wymagającą wielkiej sprawności i nie mniejszej siły fizycznej.

Otóż są nasi bohaterowie wykrzyknął radośnie Wiśniewski ale.

ale.

dłaczego tacy ubrudzeni?

Bo jest to, panie dziennikarzu, bardzo brudna robota mało uprzejmie wyjaśnił niższy, czyli Paprotka!

Coście się tak przyczepili do tego brudu?

odezwał się głos z reżyserki.

Ludzie pracy są zmęczeni i brudni po zakończeniu swych zadań!

Kręcimy, Wiśniewski!

Redaktor Wiśniewski był przerażony takim obrotem sprawy.

Wymęczeni i utyłani robotnicy nie przystawali do jego telewizyjnej wizji człowieka pracy.

Może są zmęczeni, i ubrudzeni, ale my to nadajemy dla tysięcy widzów!

Co oni sobie pomyślą?

Żetaki mają wyglądać wzorowo pracownicy?

bronął swego Wiśniewski.

Bez łaski oświadczył Cegiełka idziemy, Maniuś, do domu!

Jest dwudziesta dwadzieścia dziewięć!

Zaczynamy!

niewidoczny reżyser telewizyjnego spektaklu był nieubłagany.

Za minutę wchodzimy na antenę!

Błądy jak kreda redaktor stanął pośrodku kręgu światła.

Po lewej i prawej ręce miał obubohaterskich monterów.

266

Wirski pomyślał, że jednak nie zazdrości mu jego obowiązków.

Zaczynamy!

oświadczył głos reżyserki.

Akcja!

zawołał operator.

Znajdujemy się na jednej z warszawskich ulic.

Jest piątek, 16 kwietnia, dzień pracy jak każdy inny recytował Wiśniewski.

Zapewne wysoki poziom adrenaliny sprawił, że poszło mu znakomicie.

Nawet ponurzy dotąd bohaterowie całego wydarzenia rozchmurzyli się nieco i chętniej opowiadali o naprawie junkersa w łazience Tatiany.

Uspokojony i rozbawiony kapitan wspiął się do wozu i zajął do reżyserki, gdzie na kilku ekranach oglądać można było całe wydarzenie wraz z obrazem kontrolnym ze studia na placu Wareckim.

I wy to tak nadajecie?

Rzeczywiście wprost na całe miasto, na całą Polskę?

zapytał faceta w skórzanej marynarce.

Reżyser spojrzał bacznie na kapitana.

A wy jak myślicie?

Nie wiem, mam wątpliwości.

Przecież to wszystko naciągane!

Pie na wodę i fotomontaż!

Zapanowała kłopotliwa cisza.

Przeholowałem.

Jakzawsze, pomyślał Wirski.

Reżyser nachylił się do uchakapitana.

I macierację, towarzyszu!

Pić na wodę!

I tak ma być!

Ludzie cieszą się z tych żywych obrazów przesyłanych na odległość.

Treść mniej ich obchodzi.

A władza cieszy się, że ma nowe narzędzie, nowy sposób komunikowania się ze społeczeństwem.

267.

To rozumiem stwierdził Wirski.

Dzisiejsza transmisja to jedynie próba!

Próba ludzii sprzętu.

Odbiorcy tego nie oglądają.

Całość rejestrowana jest w studiu, a potem poddawana analizie, dyskutowana.

Kamieńspadł mi więc serca!

Powiedział to szczerze, choć żałował, że tylko wybrani będą mogli zobaczyć się sceną, jaka się właśnie rozgrywała.

Z bramy wyszedł Kowadło, ubrany w swój elegancki płaszcz, nowy kapelusz i wygodne buty.

Już z daleka widać było, że jest wściekły, ale niedoskonałe okokamery rejestrowało raczej godność całej postaci.

Kapitan domyślił się, że pewne nadzwyczajne okoliczności zmusiły Kowadło do opuszczenia mieszkania Tatiany i narażenia się na konfrontację z telewizją.

A wy, obywatelu!

zaczepił go coraz bardziej elokwentny reporter.

Co sądzicie o pracy naszych gazowników?

Wiśniewski sądził, że wszyscy uczestnicy spektaklu umówieni zostali przez zwichliwego mu kapitana.

Obecność wytwornego mężczyzny w średnim wieku wydawała się wspaniale kontrastować z postaciami obu monterów tym samym powodząc całe wydarzenie.

Na zbliżeniu Kowadło nie wyglądał już tak godnie jak w kadrze ogólnym.

Widać było, że długimi ustami przekleństwo, ale ostatecznie, wydusił słowo pochwały.

Sami widzicie, jak to działa!

powiedział reżyser.

Jest w tym magia, której trudności oprzeć.

Zanim trafi

do telewizji, robiłem filmy i to jako asystent samego Buczkowskiego.

Żeby uzyskać na planie zdjęciowym efekt podobny do tego przed chwilą, musielibyśmy pracować pół dnia i to z dobrym aktorem!

A ten tutaj, proszę!

Pokazał a widać, że nawet biurokratyczno-burżuazyjne elementy, takie jak on sam, chylą z pokorą głowę przed człowiekiem pracy!

Najgorsze w kontaktach z ludźmi z pionu propagandy, a do tych należał niewątpliwie reżyser w skórzanej kurtce, było, zdaniem Wirskiego, to, że nigdy nikt nie wiedział, kiedy kpią, a kiedy mówią poważnie.

Tak czy inaczej, major Kowadło jako element biurokratyczno-burżuazyjny okazał się zasłużoną nagrodą za dotychczasowe wysiłki kromnego kapitana milicji!

Dziękuję za naukę oświadczył kapitan.

Czas już na mnie!

A my dziękujemy za pomoc w realizacji programu.

Wiem, że wszyscy ci ludzie to zasługa towarzysza kapitana odpowiedział równie serio reżyser. Spotkam się jeszcze, prawda?

I ja tak myślę odparł i uściśnął dłoń reżysera.

Kowadło zniknął już z planu.

Wiśniewski czekał teraz na milicjantów, ale kapitan wytłumaczył mu, że są jeszcze na służbie.

Światła zgasły; kapitan mógł pójść na pierwsze piętro, do Tatiany i oczekujących go tu ludzi z ekipy dochodzeniowej.

Mieszkanie państwa Rypnis niewyglądało najlepiej przy wybuchowej akcji przeprowadzonej w łazience, ale jak



się dowiedział już na progu przewód wentylacyjny został udrożniony, gaz nie ulatywał, a stary junkers działał

jaknowy!

Wiedziałem, że zdolni są dowszystkiego, ale nie sądziłem, że tak daleceminęli się z powołaniem skwitowali wysiłki Wirski.

Powinni zostać gazownikami!

A żesporo tu nabrudzili?

Nie mielijużczasu na sprzątanie.

Trzech milicjantówz dochodzeniówki siedziałów saloniku pani domu i zabezpieczało liczne ślady pozostawioneprzez Kowadłę.

Strasznie się pieklił, kiedy nie pozwoliliśmy mu zabraćniczego zestołu.

Dzwonił gdzieś do UB, groził, ale zgodniez rozkazem kapitana, byliśmy nieugięci.

Dzwoniłdo Ministerstwa?

I co?

Pytał o pułkownika Kłysińskiego, ale ten był nieuchwytny!

To akurat dobra wiadomość!

Cojeszcze?

Najstarszy szarżą z tej trójki, sierżant Walendziak, pokazał kopertę zzawartością, którą stanowiła fiolka identyczna jak ta, którą Paprotka znalazł w śmieciach naŚmiałej, na posesji profesora Brodzkiego.

Też dobrawiadomość!

Skąd to macie?

Byław płaszczu majora?

I tak, i nie!

oświadczył Walendziak.

Dyskretnieprzeszukałem płaszczmajora, znalazłem fiolkę, alepomyślałem, że jako dowód w sprawie będzie nieużyteczna,dopóki nie znajdzie sięw rękachmajora, z jego odciskamipalców.

270

Brawo, sierżancie!

Zachowaliście się niezwykle profesjonalnie!

Ale jak udało się wam podrzucić majorowitego gorącego kartofla?

Niebyłoto proste, bomajor pilnował się bardzo,aby nie zrobić jakiegoś głupstwa.

Kiedy takdzwonił doprzelożonych i kręcił się kołotelefonu, zerwałem gałkęz wieszaka,zrzuciłem płaszczna podłogę i pozwoliłem,byfiolka wypadła z kieszeni.

Leżała tak obok płaszczu, aż dochwili kiedy major chciał wyjść z mieszkania pani Rypnis.

Gdy spostrzegł, że płaszczupadł na podłogę, podniósł goi odruchowo jakby sięgnął po fiolkę.

Kiedy już włożył jądo kieszeni, zapytałem, czy to jego własność.

Zawahał się, wyjął fiolkę z kieszeni, obejrzałi powiedział, że niejego.

Odłożył na szafkępod lustrem.

Popęłnił błąd, bo nie powinien podnosić jej z podłogi.

A jak jużwsadził ją dokieszeni,powinien dać szybkonogę!

Siłąbyście jej nieodebrali.

I ja tak myślę, kapitanie.

Ale najważniejszy dowódto nie fiolka, a być może koniak.

Z innej torebki wyjął rozpieczętowaną butelkę z koniakiem Biały łabędź.

Odkręcił koreki podsunął butelkę Wirskiemu.

Ten zbliżył delikatnie nozdrza do otworu.

Zawartość miała zapachkoniaku,alewprawny węch koneserawykrzył natychmiast dodatkową, silnie fałszywą nutę.

Cyjankali?

Nie, to niemożliwe!

Raczej pospolity bimber!

Wyczuliście to?

Sierżant roześmiał się i wskazał na Tatianę przysłuchującą się ich rozmowie.

271.

Pani Rypnis zasugerowała, że koniak może być zatruty.

Trudno było w to uwierzyć.

Jeszcze trudniej to, żeby taki elegancki oficer.

Wirski spojrzał pytająco na Walendziaka.

Żeby taki oficer jak major Kowadło przychodził z wizytą z pospolitym bimbrem.

Z czym dokładnie, to się jeszcze okaże.

I co dalej, sierżancie?

Butelkę otworzył pan major, rozlał do dwóch kieliszków.

Stały tu na stole, nietknięte.

Wychodząc, zabroniłeś mi, Ryszardzie, picia alkoholu.

Tego alkoholu!

wyjaśniła Tania.

Brawo, Taniu!

Wszyscy spisaliście się znakomicie!

Myślę, że Kowadło chodziło o uzyskanie naszych odcisków palców.

Zawartość butelki miała tu drugorzędne znaczenie.

Stąd, oszczędnościowo, bimber lub inne świństwo.

A teraz powiedzcie, już na spokojnie, co się tu wydarzyło od mojego wyjścia.

Zaczyna pani Rypnis, ponieważ została sama z majorem oraz monterami w łazience.

Major był wściekły, bo z powodu zamieszania, jakież robili twoi monterzy, nie mógł spokojnie realizować planu, który go tu przywiódł.

To już interpretacja, Taniu, interesująca, ale być może przedwczesna.

Trzymaj się, proszę, faktów.

Nagich faktów.

Więc dobrze!

Był wściekły.

To fakt, a nie interpretacja.

Ledwie zamknął drzwi za sobą, zatelefonował gdzieś do swoich ludzi i powiedział, że odwołuje akcję.

Z jego reakcji wynikało jasno, że spóźnił się z rozkazem.

Akcja rozpoczęła się o wyznaczonej porze.

272

W istocie, tak było!

Słyszałem to jeszcze przez niedomknięte drzwi.

Poszedłem dopiero, gdy skończył.

Potem usiadł w fotel i robił mi wyrzuty.

Z twojego, Ryszardzie, powodu.

Powiedział, że jesteś głupcem, niebezpiecznym dla śledztwa, które prowadzisz.

I że musisz być z tego śledztwa wyeliminowany.

A on tego dokonajutro, podczas odprawy u Krochmalskiego.

I tu mówił prawdę!

Takimiał rzeczywiście zamiar.

Prosiłam go, żeby się uspokoił.

Zaproponowałam koniak.

Od razu powiedziałam, że nie ten, który stoi na stole, lecz mój własny.

I zgodził się.

Tak jakby przyznał, że ten, który przyniósł, nienadając się do picia skomentował Wirski.

Dziwne, prawda?

Były rzeczy jeszcze dziwniejsze.

Jakiś kwadrans, dwadzieścia minut po twoim wyjściu zadzwonił telefon.

Kowadło kazał mi odebrać.

W słuchawce męski głos zapytał o majora.

Podalam mu słuchawkę.

Wiadomość, którą otrzymał, nie była pomyślna.

Kowadło zmieniło się natwarzy.

Wściekłość ustąpiła zmęczeniu i jakby rezygnacji.

Wypił dwa koniaki, które mu podałam.

Kiedy zadzwoniono do drzwi, kazał mi zostać w salonie i sam poszedł otworzyć.

Domyśliłam się, że to jego ludzie, wezwanina akcję.

Major słyszałam to wyraźnie powiedział, że akcja jest odwołana.

Teraz jedyna interpretacja, jaka się tu nasuwa powiedział kapitan.

Przyszli po mnie.

Ale nie po to, żeby mnie aresztować.

Przyszli raczej po to wszystko, co major przyniósł tu ze sobą: koniak, kieliszki z odciskami, fiolkę,

273.

zapewne coś jeszcze.

Po delicta, których obecność w domu Tania miała skompromitować mnie jako śledczego.

W takim razie dlaczego nie zabrali tegowszyskiego?

zdziwiła się Tania.

Sytuacją się zmieniła.

Plan majora stracił wiarygodność.

Mniej było, w łazience szaleli nasi dzielni monterzy, "mimowolni" świadkowie.

W dodatku fiolka, która miała wylądować w moim płaszczu, wciąż tkwiła w płaszczu majora.

Jakiś czas po tamtych zjawili się ci oto panowie z milicji powiedziała Tania.

Kiedy zadzwonili, major wyraźnie przestraszył się.

Kazałam mu otworzyć, gdyż bałam się, że jeśli wyjdę z salonu, on natychmiast uprzątnie wszystko, co stało na stole.

Major odmówił; powiedziała że to mój dom ja mam otworzyć.

Dzwonili coraz bardziej natarczywie, zaczęli łomotać, ale ja nie ruszałam się z miejsca.

Mieliśmy instrukcję kapitana, aby w takiej sytuacji wyważyć drzwi wyjaśnił Walendziak.

Kowadło, wyraźnie przestraszony taką możliwością, poszedł w końcu otworzyć.

Dalszy ciąg znasz, może poza tym, że major zapytał milicjantów, czy mają nakaz wejścia do prywatnego mieszkania.

Pokazano mu ten nakaz.

Proszę!

Jaką praworządną mamy służbę bezpieczeństwa!

No to koniec na dzisiaj!

powiedział Wirski.

Wszystkie trofea natychmiast pójdą do analizy chemicznej i daktyloskopijnej!

Oddacie je, sierżancie, w naszym laborancie i będziecie wolni!

A ja mam coś jeszcze do załatwienia z panią Rypnis.

274

Kiedy już się odmeldowali, kapitan zaczął usprawiedliwiać się ze wszystkich wydarzeń, jakie za jego sprawą miały miejsce w ostatnich dwu godzinach.

Nie tłumacz się i nie przepraszaj.

Fakt, było niekiedy nerwowo, zdarzały się niespodzianki, ale bilans, mój bilans przynajmniej, jest pozytywny.

Pozbyłam się, jak sądzę, tego natrętnego Kowadły i mam wyremontowany piec w łazience.

Całkiem nieźle jak na jeden wieczór, Ryszardzie!

Zadziwiamnie przecież, i trudne wydajesz się do wytłumaczenia, jak udało ci się to wszystko obmyślić i zaaranżować.

Z monterami, telewizją i innymi aktorami?

Uśmiechnął się.

Tego, co wydarzyło się tu dziś u ciebie, nie zaplanowałem.

Miałem inny projekt, pułapkę zastawioną na Kowadłę.

Przynętą miałem być ja, a nie ty, Taniu!

Miejsce akcji dom sekretarza Szczapy, a nie twój.

Mój pierwotny plan się nie powiódł.

Chciałem skompromitować Kowadłę, a wyszło nato, że ledwo uratowałem własną skórę!

Gdybym jednak nie planował ataku, nie miałbym środków do zorganizowania obrony.

Major znalazł się chwilowo w defensywie.

Do jutra rano nie wymyślani nie zorganizujecie nowego.

Jutro zaś, w gabinecie Krochmalskiego, przystąpię do ostatecznego ataku.

Musisz trzymać mocno zamnie kciuki, ale też musisz mi pomóc w jeszcze jednej sprawie.

Zapytam o coś, co ważne jest dla śledztwa, tylko wyłącz niedła śledztwa.

Czy zgodzisz się?

Zgodziła się z pewnym ociąganiem, ponieważ domyślała się już, jakie będzie to pytanie. Bała się go, ale rozumiała, że jest ono tyleż oczywiste, co nieuchronne.

275.

Tak więc Taniu, od kiedy znasz majora Kowadłę?  
I czywiesz o nim coś, o czym ja powinienem wiedzieć?

Jestem w rozterce, Ryszardzie, nie wiem, odczegomam zacząć.

Nie byłam przygotowana na to pytanie.

Zacznę może od tego, że Kowadło jest mi osobą znaną od dobrych dziesięciu lat.

Zaskoczyła go tym stwierdzeniem, zyskując punkt przewagi w nierównej potyczce.

Nierównej, gdyż chcąc nie chcąc, kapitan stawiał się w roli prokuratora, a ona podejrzanego.

Pamiętasz zapewne naszą rozmowę w Niedzielę Palmową, kiedy spotkaliśmy się wszyscy na rogu Marszałkowskiej i Partyzantów.

Fakt, udawałam przed tobą, że rozmawiam z majorem po raz pierwszy w życiu.

On też miał powody, dla których nie chciał zdradzić, że się znamy.

Alenię skłamałam, kiedy powiedziałam, że w 1944 roku umierałam na suchoty, a żaden parobek nie zaoferował mi pomocy w zamian za moją cnotę.

Opowiadałam swoją prawdziwą historię!

Parobkiem był Kowadło, który wstąpił właśnie w szeregi PPR i został sierżantem w milicji.

Wtedy poczuł po raz pierwszy, czym jest władza.

Władza nad życiem i śmiercią nie tylko akowców, obszarników i burżuazji, ale i takich słabeuszy jak ja, córka kolejarza.

Kowadło mógł mi pomóc lub nie.

Wybrał to drugie, bo chorą i wychudzoną niewartą byłam ani uwagi, ani zachodu.

Jakiegokolwiek zachodu z jego strony.

Nawet miłosiernej kuli w łeb, że bym się dłużej nie męczyła!

Rzecz działa się na Lubelszczyźnie, pod Chełmem, gdzie Kowadło zajmował się parcelacją majątku Węgleńskich.

276

Po śmierci starszej siostry, zabitej przez Sowieców we Lwowie, wyniosłam się na zachód, a los rzucił mnie dotychczasowych ludzi.

Węgleńscy przyjęli całą gromadę rozbitków takich jak ja.

Z ich i bożą pomocą dożyliśmy do jesieni 1944 roku, kiedy w majątku pojawił się Kowadło, ongiś najemnik u Węgleńskich.

Przerwała, aby napić się koniaku i zebrać myśli.

Mniejsza o to, co działo się później.

Jak widać, jakoś przeżyłam, a los uśmiechnął się do mnie po raz pierwszy.

Podjęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim, dzięki Bratniakowi lato i zimę spędziłam w sanatorium w Karkonoszach, co uratowało mi życie.

Poznałam mojego przyszłego męża, Adama Rypnisa, znakomicie zapowiadającego się artystę.

Razem graliśmy i śpiewaliśmy w amatorskim zespole teatralnym; Adam kończył

wówczas eksternistyczne studia w akademii muzycznej.

Ten rozdział znasz już z moich relacji.

Niemówiłam ci jednak, bo nie było po temu żadnego powodu, że w 1949 roku spotkałam ponownie Mikołaja Kowadłę.

Wydarzyło się to w Warszawie, na galówce w Teatrze Polskim; dawny parobek Węgleńskich był już kimś niezmiernie ważnym:

pojawił się tam jako jeden z oficjeli.

Poznałam go natychmiast, a on, na moje nieszczęście, rozpoznał mnie także.

Zaskoczyło mnie to tym bardziej, że zmieniłam się od czasu, kiedy widział mnie po raz ostatni w majątku Węgleńskich.

Więc może nie byłam dlań takimśmięciem, jak sądziłam?

To wszystko, co przyszło mi do głowy, kiedy wyrwał moją rękę i pociągnął do góry, aby pocałować.

Skarciłam go za ten niby dżentelmeński





wyczyn, czym dałam, niestety, przyzwolenie dla dalszych awansów.

Po kolejnej przerwie, którą Wirski wykorzystał, aby zapalić belwedera, powiedziała:

Tu muszę dotknąć najtrudniejszej kwestii, jaką był nasz wzajemny stosunek przez następne pięć lat.

Pięć lat, chcesz powiedzieć wtrącił Wirski, czym rozładowała trochę napięcie, jakie towarzyszyło Tani podczas tej spowiedzi.

Nie zrozum mnie źle, jeśli powiem, że po długich podchodach Kowadły, w których nie brakło ani przekupstwa, ani szantażu ze strony obecnego majora, zostałam nakrótka jego kochanką. Tak było, Ryszardzie.

Fakt, którego nie zmienię.

Ale faktem jest również, że było to dość dawno, trzy lata temu.

Ryszard Wirski bardzo chciał w tej chwili wierzyć Tatianie Rypnis.

I wierzył.

Jak udało ci się od niego uwolnić?

zapytał.

Wbrew pozorom, nie było to takie trudne.

Chyba nudził się mną lub znalazł sobie jakąś inną kobietę.

Faktem jest jednak, że do dziś pozostał kawalerem.

Twój mąż nie wiedział, jak rozumiem, o niczym?

Wręcz przeciwnie!

zaprzeczyła gniewnie.

I tego nie potrafię mu wybaczyć!

Adam sprzedał mnie Kowadłowi, sprzedał jakieś tam korzyści związane z karierą, wyjazdami, nagraniami, i tak dalej!

Teraz rozumiem, wymknęło się kapitanowi.

Niczego nie rozumiesz!

krzyknęła i wybiegła z pokoju.

Zatrzasnęła drzwi sypialni, zza których usłyszała jej szloch.

276

Było mu przykro, choć nie czuł się winien łez Tatiany.

Upłynęło sporo czasu, nim zdołał ją uspokoić, sprawić, by zechciała coś jeszcze powiedzieć.

A powiedziała, już przy pożegnaniu, rzecz arcyważną, rzecz najwyższej rangi dla śledztwa, które prowadził:

To, co musisz jeszcze wiedzieć, było dotąd wielką tajemnicą!

Miałam ci to już wcześniej powiedzieć, ale bałam się, że źle mnie zrozumiesz, uznasz za mitomankę lub prowokatorkę.

Bałam się również samej tajemnicy, jej wagi i siły rażenia.

Otóż, Ryszardzie, major doskonale znał Bogusława Szczapę!

Domyślałam się, że początkowo go jedynie obserwował, gdyż dostał takie polecenie.

Później jednak, a stało się to nieomal w mojej obecności, wyszedł cienia.

Zbliżył się do Szczapy, zdobył jego zaufanie, w końcu całkowicie od siebie uzależnił.

Jak zapewne wiesz, Szczapa był narkomanem.

Kowadło dostarczał mu morfinę, eter i inne środki odurzające.

Bogusław cierpiał, a major wykorzystywał jego cierpienie.

Jak i pociągnął, tego oczywiście nie wiem, ale podejrzewam, że dla jakichś niecznych celów.

Gotowy akt oskarżenia złożony u stóp kapitana!

Akt jednak szczególnie, jako że bardziej niż dla oskarżonego niebezpieczny dla jego autorki.

Domyślałam się, Ryszardzie, że chronologia wydarzeń ma wielkie znaczenie dla twojego śledztwa.

Otóż mniej więcej rok temu, bo na początku kwietnia, major przypomniał sobie o moim istnieniu.

Korzystając z nieobecności męża, złożył mi niespodziewaną wizytę tutaj, na Partyzantów.

Nie muszę dodawać, jak bardzo przestraszyło mnie  
279.

to nagle, po trzech latach, pojawienie się Kowadły.

Nieprzekroczył jeszcze progu, kiedy oświadczyłam mu, że niegodzę się, aby znów został moim kochankiem.

Kowadło, jak to on, zdawał się niczego nie słyszeć i nie przyjmować wiadomości.

Wszakże, w dalszej rozmowie, która trwała za ledwie kilka minut, wyznał, że bardziej niż napożycie liczy na moją obecność w charakterze jego "damy do towarzystwa".

Takiego właśnie określenia użył, czym przestraszył mnie jeszcze bardziej.

Perspektywa publicznego pojawiania się u boku majora Kowadły wydała mi się jeszcze bardziej nieznośna niż to, że miałabym ponownie sprzedawać mu swoje ciało.

Określenie "sprzedawać swoje ciało" zraniło szczególnie dotkliwie zakochanego już w Tani Ryszarda.

Nie odezwał się przecież, wstrzymał oddecha i słuchał relacji, od której zależęć miało i jego, i Tani życie.

Co do tego zarówno spowiadająca się, jak i spowiednik nie mieli najmniejszej wątpliwości.

Major pospieszył jednakże z zapewnieniem, że wiedoskonale, iż jako mężatka nie będę chciała pokazywać się z nim w publicznych miejscach, takich jak teatr, kinoczy bal przodowników pracy.

Wyjaśnił, że miał na myśli prywatne spotkania w niewielkim gronie.

Z osobą bardzo wykształconą i kulturalną (tu użył jakichś innych określeń), na której mu zależy, a której tylko ja mogłabym dorównać intelektualnie.

Zachowałam tyle jeszcze przytomności, aby zapytać, kim jest ta osoba.

Nie odpowiedział.

Wyjaśnił, że jeśli się zgodzę, dowiem się zaraz wszystkiego.

"A więc mam jakiś wybór?"

"Zapytałam.

Zaśmiał się, znasz

260

ten jego nieprzyjemny śmiech.

Odpowiedział, że jeśli się zastanowię, będę wiedziała, że nie.

Zapanowała cisza.

Kapitan zapalił kolejnego belwedera, a niepaląca Tania odpędziła dym ruchem ręki.

Po raz pierwszy od chwili poznania Tani Wirski uzmysłowił sobie, że tytoniowe wyciechy muszą szkodzić komuś, kto ledwoco wykaraskał się z gruzlicy.

Skruszony przeprosił i zgasił papierosa; wybiegł do kuchni, by opróżnić popielniczkę.

Gdy wrócił, Tania spojrzała nań z wdzięcznością.

Nie tylko z powodu popielniczki.

Dał jej chwilę do namysłu opanowania nerwów.

Wiem, że popełniłam straszny błąd, godząc się na propozycję majora.

Słabość, za którą przyszło mi płacić teraz słońcem!

Ale też, Ryszardzie, wczuj się w moje położenie: na wsparcie ze strony męża liczyć nie mogłam.

Przyjąłby bez oporów nie tylko moje publiczne występy z Kowadłą.

Ciebie nie było jeszcze u mojego boku.

Więć kto?

Dwie lub trzy przyjaciółki, z którymi rozmawiać można tylko o modzie i dzieciach?

Zgodziłam się; postawiłam jakieś tam, śmieszne w gruncie rzeczy warunki.

Wówczas Kowadło wyjaśnił, że mam być w pogotowiu za dwa dni wieczorem (opieka nad Antosią!) i wyszedł równie nagle, jak się pojawił.

Zdumiało mnie przecież, że pamiętał o takim "drobiazgu" jak opieka nad moją córką.

Ale zostawmy ten wątek powiedziała.

Tajemniczą osobą, o której względu major zabiegał, okazał się Bogusław Szczapa.

Uroczy gospodarz, gawędziarz i czego by się nikt nie spodziewał po sekretarzu wojewódzkim

partii,znawca Szekspira i teatru w ogóle.  
261.

Wirski miał na końcu języka kilka ważnych pytań, ale wiedział, że nie wolno mu przerywać Tatianie.

Nie mógł zapalić, więc zaczął miąć, a potem prostować serwetkę porzuconą na stoliku.

Cóż, stałam się narzędziem Kowadły w stopniu o wiele większym niż wtedy, gdy byłam "tylko" jego kochanką!

Zresztą, wbrew umowie, major zaczął domagać się również tych dawnych z mojej strony świadczeń. W tym byłam nieubłagana, choć wiem, że w planie moralnym świata nie miało to żadnego znaczenia. Ale dla mnie i owszem, miało.

Ponieważ jednak dla majora najważniejsza była moja obecność w domu przy alei Róż, koniec końców ustąpił.

Major uwodził niejako Szczapę przy mojej pomocy ciągnęła.

Wkrótce zorientowałam się, że prócz mnie są jeszcze dwie osoby, którymi manipuluje, obie bardzo młode: chłopca i dziewczynę.

Oczywiście, słyszałam plotki, jakoby ten chłopiec, Michał Brocha, miał być kochankiem Bogusława. Są to, moim zdaniem, insynuacje i plotki, ktowie, czy nie produkowane właśnie przez Kowadłę? Tomajor w celu dowiedzenia, że Szczapa jest pederastą, wynalazł gdzieś Brochę, młodzieńca rzeczywiście bardzo przystojnego i utalentowanego, a przy okazji i tę jego "panienkę z dobrego domu", Brodzką.

A tu zaskoczenie!

W równym stopniu jak przystojnym i sympatycznym, ale bardzo jeszcze nieopierzonym Michałem, Szczapa zainteresował się Bożeną, dziewczyną wielkiej klasy, dojrzałą nad wiek i kondycję uczennicy liceum plastycznego.

W głowie kapitanahuczało: Bożenka, Michał, Tania.

Cała trójka w ręku majora!

Michał Brocha zlikwidowany

262

przez Kowadłę.

Dlaczego właśnie Brocha?

Kto następny?

Skoro popełniono już dwa morderstwa, może zdarzyć się i trzecie.

Odezwał się inny jeszcze demon, usytuowany gdzieś w okolicach żołądka: zapalić!

Koniecznieszapalić!

Tych młodych spotkałam u Szczapy dwa razy.

Ostatni raz mniej więcej trzy tygodnie temu.

Przyszli razem, ale pokłócili się.

Bożena wyszła sama.

O co się pokłócili?

Mogę się domyślać, że poszło im o Szczapę.

Michał był zazdrosny o awanse, jakie Bogusław robił jego dziewczynie.

W dodatku wszystko to kolidowało jakoś ze scenariuszem Kowadły, który zaplanował, że to ja, a nie jakaś młódka z Żoliborza, przyciągnę uwagę porzuconego przez żonę mężczyzny.

Do pewnego momentu mieszyła mnie cała sytuacja, tanie makiawelizmy Kowadły.

Gdzieś z początkiem bieżącego roku zorientowałam się, jak bardzo sytuacja ta jest dramatyczna. Zrozumiałam, że Bogusław jest człowiekiem ciężko chorym, być może śmiertelnie; w dodatku zaś narkomanem.

I tak, jak ci już powiedziałam, pojęłam, że Kowadło był tym kimś, kto podsycił zależność chorego.

Za wiele, by udawać, że jestem ślepa i głucha!

Zaczęłam buntować się; raz nawet zagroziłam Kowadłę, że pójdę do prokuratora i opiszę wszystko, co dzieje się w mieszkaniu przy alei Róż.

Oczywiście, wyśmiał mnie, ale stał się czujny.

To był kolejny błąd, jaki popełniłam.  
Niczemu nie zaradziłam, nikogo nie uratowałam.  
Szczapazginął w tajemniczychokolicznościach.  
Wiem to od ciebie.  
Ja zauważyłam natomiast, że od ostatniej niedzieli major  
283.

podwoił swoje wysiłki, jeśli idzie o moją osobę.

Wydzwania codziennie i codziennieskłada mi wizyty.

Po co?

I towszystko, co chciałam i mogłam powiedzieć!

Miał zapytać, ktojej zdaniem, jest sprawcą śmierciSzczapy, ale miast pytać, wykrzyknął:

Jeśli to wszystko prawda, totwojeżycie, Taniu, wisina włosku!

Kowadło zabije cię, bo wiesz o wiele za dużo!

Mam nadzieję, że nie zna całej sytuacji.

Nieorientujesz się, jak rozległa jest moja wiedza o nim.

Taniu, na litość boską!

Co ty jeszcze wiesz o tymKowadle?

I właściwie po co ci ta wiedza?

Po co?

Jak myślisz, Ryszardzie, po co?

powiedziałato tak, że poczuł mrowienie w plecach.

Taniu, w co tysię wplątałaś?

Dosyć, Ryszardzie oznajmiła twardo.

Więcej odemnie nie usłyszysz.

Nie, gdyż zaszkodzić możesz i mnie, i sobie.

Zaufaj mi, proszę!

zakończyła bardziejjuż pojednawczo.

Na odchodnymzapytał jeszcze o gospodynię Szczapy, Anielę Bryś; zapamiętał bowiem jej zeznanie o tajemniczejparze: mężczyźnie w średnim wieku i szykownej, pięknejkobiecie, po której na długo pozostawał w mieszkaniu zapach perfum.

Także Tania używała mocnych, francuskichperfum.

Chciał więc dowiedzieć się, czy Bryś mogła natknąć się kiedyśna nią i naKowadłę orazczy gospodyniSzczapy znała Bożenę Brodzką.

Tak, Bryś widywała Kowadłę, gdyż podawałanamkawę i koniak.

Ale nie mogła rozpoznać w nim oficera

284

bezpieczeństwa, Kowadło nigdy nie przychodził w mundurze.

Co się tyczy Bożenki, nie wiem.

Musiała ją spotykaćU Bogusława, ale czy dobrzeznała?

Chodzi mi tylko o to, czy mogłaznać imienia i nazwiska?

O ile wiem, Bogusław nie miał zwyczaju przedstawiania Anieli swychgości.

Więc jeśli Bożena sama tego niepowiedziała, to nie, Aniela nie mogła znać jej nazwiska.

Sprawa wiarygodności świadkaBryś pozostawaławięcnadal otwarta.

Jednak ze wskazaniem na "tak".

Ucałował obie dłonie Tani, ale ta nie pozwoliła, aby poprzestali na tymstaroświeckim pożegnaniu.

Kiedy taksiężegnali, kapitan całkiemserio pomyślał, że rozstają sięna długi czas.

Ale przecież nie na zawsze.

Kiedy stanął pod drzwiami mieszkania na Flory, usłyszałdzwonek telefonu.

Tylko on miał tu telefon, więc niemogło być wątpliwości, kogoprzyzywa.

Godzina była późna; telefon musiał postawić wszystkich na nogi.

Zapewnedzwonił teżod dłuższej chwili.

W drzwiach kuchniczyhała już wiedźma Międzyńska, a pod drzwiami jegopokoju jak wierny pies warowała Mirka Rohozińska.

Biegł, więc bez słowa przepuściła go i pozwoliła, by zatrzasnął jej drzwi przednosem.

Halo!

Tu Wirski!

Wirski, skurwysynie!  
Nie żyjesz już!  
odezwał się znajomy głos.  
To się jeszcze okaże!  
Dobrejnocy, majorze!  
odpowiedział i rzucił słuchawkę.  
Powinien był jeszcze dodać,  
285.



że spotkanie w alei Róż nie jest już aktualne, ale to nie miało teraz najmniejszego nawet znaczenia.

Nastąpiła cisza, od której brzęczało mi w uszach.

Wtedy przypomniał sobie o Rohozińskiej porzuconej poddrzwiami pokoju.

Stała na korytarzu, ocierając łzy ręką koszuliny, pokazując przy tym długie i zgrabne nogi. Naten fenomen natury, jakie stanowiły nogi współlokatorki, zwrócił uwagę już podczas ich wspólnej kolacji.

Tegoż piątkowego wieczoru zyskał powtórną i być możeż ostatnią, zważywszy nagroźby majoraszansę, aby poznać ich kształt i tajemniczy początek.

Przepraszam cię, Mirko!

Miałem dziś naprawdę trudny dzień i powiedziałem serdecznym gestem przygarnął ją do siebie.

Dzień siódmy - Wielka Sobota.

Sobotnia odprawa u generała Krochmalskiego zaczęła się z opóźnieniem, ponieważ wszyscy, to znaczy generał, jego adiutant w stopniu porucznika, protokolant w cywilu, kapitan Wirski i jego szef z Komendy Stołecznej, czyli major Rękawek, a także pułkownik Kłysiński wraz dwoma jeszcze wysokiej rangi ubekami wszyscy oni musieli czekać na Kowadłę.

Major już o ósmej meldował spóźnienie spowodowane "ważnymi czynnościami śledczymi" i prosiło godziną zwłokę.

Generał dał mu pół godziny i wyraźnym świątecznym nastrojem zarządził przerwę na "śledzika, kawę i coś do kawy".

Wrogo tego dnia do świata iluzji nastawieni pułkownicy z Ministerstwa Bezpieczeństwa odmówili, ale generał nalegał, tłumacząc, że nie ma tak poważnej sprawy, aby przed jej podjęciem nie można było wychylić kieliszka.

Ten styl, dobrze znany, bo zaimportowany od zaprzyjaźnionych służb radzieckich, obowiązywał przecież i tutaj, toteż pułkownicy niechętnie, ale propozycję przyjęli.

Wirski popijał serwowany przez generała koniak gruziński i z wisielczym humorem rozważał w duchu, czy aby nie jest to jego ostatni koniak.

Jeśli tak, to przynajmniej niewiele gorszy od francuskiego pierwowzoru, pomyślał.

Nadęte i ponure miny facetów z Koszykowej przestały już go deprimować; po drugim kieliszku wydały mu się nawet odrobinę komiczne.

Dosyć!

, nakazał sobie w połowie trzeciego.

W tym też momencie do sali wtoczył się, jak zawsze bez pozdrowienia, major Kowadło, dźwigając pod pachą ciężkie metalowe pudło.

Zhukiem rzucił je na stół i z równym hurgotem usiadł przysunął sobie krzesło.

Potem zaśniegnął po czekającą nań, zimną już kawę.

Dzieńdobry, obywatelu majorze!

przywitał go Krochmalski.

Czy obywatel major pozwoli już, że zaczniemy?

Jakby nie słysząc ironii w głosie generała, Kowadło machnął ręką.

Nawet Kłysiński i jego koledzy z bezpieczeństwa wydali się skonfundowani tym zachowaniem.

Ale wszyscy znali zwyczaj Kowadły i wiedzieli, że potrafił okazać zły humor nawet w obecności marszałka Rokossowskiego.

Jest wściekły, ocenił sytuację Wirski, więc raczej niewypaliła jego poranna akcja, przyczyna spóźnienia.

Porządek dzienny narady operacyjnej w dniu 17 kwietnia, sobota, godzina dziewiąta trzydzieści rano zawiera tylko trzy punkty oznajmił generał Krochmalski.

Pierwszy: raport kapitana Wirskiego z dochodzenia w sprawie okoliczności śmierci towarzysza Bogusława Szczapy; drugi: dyskusja nad tym raportem; na koniec zaś podsumowanie i wnioski dokonane przez przewodniczącego narady, czyli przeze mnie.

Tryb narady: "ściśle tajny", co oznacza, że jedyną drogę przekazywania informacji o przedmiocie i przebiegu narady stanowi protokół, opatrzony klauzulą najwyższej tajności.

290

Formalistyka narzucona przez generała zaskoczyła wszystkich, a niektórym dała powód do konstatacji, że to szykuje się coś nadzwyczajnego.

Domagam się uzupełnienia porządku dziennego o punkt czwarty oznajmił Kłysiński.

Wniosek o aresztowanie osoby podejrzanej o inspirowanie lub dokonanie zabójstwa!

Być może znajduje się wśród nas, tu na tej sali!

Wniosek o aresztowanie oficera?

Może jeszcze o zatrzymanie podejrzanego na oczach wszystkich?

Czegoś podobnego nigdy nie było.

Ludzie z bezpieczeństwa, nawet wysocy rangą, owszem, znikali ale po cichu, nie przy świadkach.

Towarzysz pułkownik jak zwykle dysponuje wiedzą, której my, skromni stróże porządku, nie posiadamy, bo nie pozwolono nam jej, jak widać, posiadać.

Padło tu bardzo poważne oskarżenie; jak bardzo, to dopiero czas i okoliczności pokażą.

Skoro ów sprawca ma być między nami, to wyrażam głębokie ubolewanie i choć niechętnie, zgadzam się.

Punkt proponowany przez pułkownika Kłysińskiego potraktujemy jednak jako fakultatywny.

Jak potraktujemy?

zaniepokoił się Kłysiński.

Najstarszy wiekiem z ubeków, dostojny, siwy podpułkownik siedzący obok wyszeptał mu coś do ucha i Kłysiński zrezygnował z dalszej indagacji.

Wirski domyślił się natychmiast bo trudno było się nie domyśleć że tym oskarżonym ma być on sam!

Nie przestraszył się, wiedział, że dopuszczony do głosu przekona, przynajmniej niektórych z obecnych, do swych racji.

291.

Adrenalina oraz koniak czyniły jednak swoje kapitanie mógł doczekać się, żeby wreszcie zacząć.

Proszę dopisać ten punkt do porządku dziennego Krochmalski rzucił w stronę protokolanta w cywilu.

Chwileczkę!

odezwał się nagle Kowadło.

Japroponuję, aby wykreślić punkt pierwszy i zastąpić go innym punktem.

Jakimż to punktem?

generał był zaskoczony.

Jesteśmy tu tylko i wyłącznie z powodu raportu Wirskiego.

A ja myślałem, że w celu ustalenia prawdy o zabójstwie Szczapy oświadczył Kowadło.

Ustalenie prawdy, a nie wysłuchiwanie bredni, jak te, które słyszeliśmy tu w środę!

Chyba się zapominacie, towarzyszu majorze!

usadził go Krochmalski.

Wirski przedstawi szczegółowo i wyczerpująco swój raport, a wy, towarzyszu majorze, będziecie mieli sposobność, tak jak my wszyscy tutaj, donieść się ustosunkować.

Ostrzegam, że nie pozwolę ani na przerywanie kapitanowi, ani na jakiegokolwiek insynuację pod adresem jego i Milicji Obywatelskiej!

Ton, jakim wypowiedział ostatnie zdanie, akcent położony na godność oraz honor całej milicji nie uszły, rzecz jasna, uwadze zebranych.

Kowadło i asystujący u boku pomyśleli, że przeciwne im wiatry, które zerwały się wraz z dymisją Fejgina, wieją nadal i spychają ich nawę Bóg jeden wie, w jakim kierunku.

Normalnie osobnicy tacy jak Wirski czy jego protektor Krochmalski zostaliby już dawno wyeliminowani i po sprawie!

292

W końcu dopuszczono do głosu kapitana.

Ten wyjął wypchanej teczkę i dwa papiery: wykres wykonany kolorowymi kredkami (oznaczony cyfrą dwa) oraz punktację z odsyłaczami, bądź to do konkretnych numerów akt, bądź do dowodów rzeczowych.

Od pierwszej naszej odprawy upłynęło zaledwie dwai pół dnia; ściślej: dwa i pół dnia oraz trzy noce.

Przez ten czas wiele się wydarzyło, a wydarzenia te skierowały śledztwo na nowe tory.

Sami ocenicie, towarzysze, znaczenie tych nowych kierunków działania oraz walory zgromadzonych w śledztwie dowodów.

Część z obecnych pamięta, być może, wykres, który zaprezentowałem czwartego dnia śledztwa, w środę, 14 kwietnia, oraz hipotezę, na razie tylko roboczą, związaną z sytuacją Bogusława Szczapy.

Towarzysz Szczapa cierpiał na różne choroby, w tym na jedną śmiertelną, w dodatku objawiającą się silnymi bólami.

Z zeznań świadków: gospodyni oraz osoby bywającej w domu przy alei Róż, notabene w towarzystwie jednego z obecnych, wynika niezbicie, że złoty stan zdrowia towarzysza Szczapy pogłębiały alkoholizm i nadużywanie środków odurzających, a zwłaszcza morfiny i eteru.

Wzmianka o "osobie obecnej na sali", która wcześniej bywała w domu towarzysza Szczapy, stanowiła w ocenie zebranych zrozumiałą odwet za wcześniejsze denuncjacje i oskarżenia pod adresem kapitana Wirskiego.

Dlatego też uczestnicy odprawy nie przypisali większego znaczenia temu stwierdzeniu.

Wszystkich i tych wrogich Wirskiemu, i tych mu życzliwych o wiele bardziej interesowało, czy jak wybrnął ze swej misji impossible jakby wy-

293.

raził się on sam.

Wszyscy, łącznie z Kowadłą, zastanawiali się, kogo kapitan z milicji wytypował na mordercę. Nikt najprawdopodobniej nie potraktował poważnie żądania Kłysińskiego, chcąc dodać do obrad punkt czwarty.

Oficerowie, zarówno przedstawiciele milicji, jak i bezpieczeństwa, skłonni byli uznać to wymaganie wyłącznie za element wojny nerwów, jaka toczyła się w sali konferencyjnej KGMO, a więc na terytorium tych pierwszych, w pomieszczeniu udekorowanym wielkimi portretami Stalina i Dzierżyńskiego, a także, nieco już skromniejszymi, Bierutai Rokossowskiego.

Jakie to były środki i jak towarzysz Szczapa je zdobywał? Ciągnął Wirski pozwalając stwierdzić, między innymi, zapiski w kwitariuszu doktora Letnickiego z komendy stołecznej, który wypisywał odpowiednie recepty, a niekiedy także osobiście dostarczał choremu owe deficytowe i dobrze chronione specyfiki.

Podczas pierwszej narady sugerowałem, że Szczapa musiał mieć problem ze zdobyciem coraz silniejszych dawek: bóle nasilały się, a narkotyki działały coraz słabiej.

Lecz oto pojawił się dobry, usłużny przyjaciel, osoba ustosunkowana i mająca doświadczenia, która zapewniać zaczęła potrzebne mu środki.

Osoba ta nie czyniła tego bezinteresownie, przeciwnie, usługi jej miały swoją, rosnącą nieubłaganie cenę.

Towarzysz Szczapa, być może nie do końca świadomie, przekazywał osobie tej cenne dla niej informacje.

Dotyczyły one, między innymi, działalności politycznej i prywatnego życia niektórych członków KPP, Bundu oraz innych organizacji komunistycznych funkcjonujących przed woj-

294

ną. Z racji swego żydowskiego pochodzenia towarzysz Szczapa miał wiedzę na temat osób aktywnych także w organizacjach syjonistycznych, oświatowo-kulturalnych Żydów czy nawet masonskich, takich jak B'nai B'rith, Zakon Synów Przymierza.

Sporo też wiedział o okresie okupacyjnym konspiracji oraz pierwszych latach powojennych, w których to na terenie naszego kraju aktywnych było, jak pamiętamy, jeszcze kilkaset różnych organizacji żydowskich.

Towarzysz Szczapa, wtedy jeszcze Szloma Grynberg, należał do niektórych z nich, z innymi związanymi byli jego przyjaciele i współpracownicy.

Krochmalcki spojrzął z aprobatą na Wirskiego.

"O tonam właśnie, kapitanie, chodziło!

O polityczne tło sprawy, a nie jakieś tam obyczajowe pierdoły!

", zdawał się mówić jego wzrok.

Można by uznać, że osoba, o której tu mowa, a jest nią wysoki rangą oficer służby bezpieczeństwa, miała prawo do takiego czy innego działania w celu pozyskania ważnych dla interesu państwa informacji.

Oczywiście, tak!

Szkopuł w tym jednak, że oficer ten czynił to oddłuższego czasu na własną rękę, a uzyskane informacje wykorzystywał dla pospolitego, chciałoby się rzec, ordynarnego, szantażu.

Są na to dowody, mam tu zeznania trzech różnych poszkodowanych!

Następnie trzy dojdą zaraz po świętach wielkanocnych!

Sięgnął do teczki i wyjął dość gruby plik, zapisany drobnym, równym pismem.

Są to, przede wszystkim, zeznania małżeństwa Ireny Tomasza Dankowskich alias Nowaków, osób pocho-

295.

dzenia żydowskiego, przed- i powojennych pracowników estrady, w czasie okupacji ukrywających się dzięki fałszywym, aryjskim papierom.

Swą nową tożsamość pragnęli zachować i po wojnie; ucieczką od przeszłości była zapewne ich decyzja wyjazdu do Szczecina.

Dzięki informacjom uzyskanym od Szczapy szantażysta dotarł do małżeństwa Dankowskich, teraz już Nowaków, oraz do kilku jeszcze osób w podobnej sytuacji.

W zamian znaczne kwoty, złoto i kosztowności obiecywał milczeniu w sprawie fałszywej tożsamości i związanej z nią domniemanej działalności dywersyjno-szpiegowskiej.

Małżonkowie Dankowscy przyjechali w tej sprawie do Warszawy.

Pragnęli szukać tu sprawiedliwości oraz ochrony przed oficerem szantażystą.

Szczęśliwym trafem dotarli właśnie do mnie.

Zgodzili się zeznawać.

Czy nie dosyć tej opowieści o żydkach z fałszywymi papierami?  
zamruczał Kłysiński.

Niespodziewanie w sukurs Wirskiemu przyszedł starszy z dwu oficerów towarzyszących Kłysińskiemu.

Podpułkownik o prezencji amerykańskiego kongresmena oznajmił:

Nasza partia i organa bezpieczeństwa stanowiąc potępiają antysemityzm, a zwłaszcza jego kryminalne przejawy, jak szmalcownictwo i delatorstwo.

Jeślikolwiek, a szczególnie oficer bezpieczeństwa, dopuścił się tak haniebnego postępu, jak ten opisany przez kapitana Wirskiego, zostanie surowo ukarany!

Zapadła cisza, z której skorzystał Krochmal, aby skierować dyskusję na inne tory.

296

Domyślam się powiedział że kapitan Wirski dobrze udokumentował kwestię szantażu wobec osób z kręgu towarzysza Szczapy.

Proponuję więc, aby kapitan zechciał przejść do meritum sprawy, to jest do okoliczności śmierci sekretarza.

Fracja ubecka pod wodzą Kłysińskiego głośno zaprotestowała, ale generał zignorował jej sprzeciw.

Analizując okoliczności śmierci towarzysza Szczapy włączył się energicznie Wirski nie sposób wykluczyć, że w końcu on sam padł ofiarą szantażysty.

To narazie za ledwie hipoteza.

Nie ulega jednak wątpliwości, że oficer szantażysta dobrze poznał wszystkie słabości swojej ofiary oraz znał różne sposoby starań się je wykorzystać.

Podejrzana wydawała mu się przeszłość Szczapy, w której pojawił się jakoby wątek masonski, podejrzane także teraz nijsze zainteresowania sekretarza, oscylujące wokół mistyki: żydowskiej i chrześcijańskiej.

Szybko też odkrył, że Szczapa jest homoseksualistą i że w jego przeszłości pojawiali się parokrotnie młodzi, uzdolnieni chłopcy, których otaczał opieką.

To oficer ów przyprowadził do domu sekretarza Michała Brochę, dwudziestoletniego studenta polonistyki, zarazem początkującego literata.

On też zaczął powszechnieć plotkę, iż związek Szczapy z Brochą ma naganny, bo homoseksualny charakter.

Wszakże podsuniecie schorowanemu, zależnemu od narkotyków młodego, ambitnego Brochy kontynuować kapitan już niedługo okazało się poważnym błędem.

Młodzi nie chciał być zabawką Szczapy.

Nie zamierzał też zostać narzędziem intryg oficera.

W dodatku nie

297.

był sam.

Wprowadził do domu przy alei Róż dziewczynę, młodszą o dwa lata, piękną i niezależną uczennicę liceum plastycznego!

W ślad za nią pojawiła się kolejną młodą kobietą: koleżanką z klasy i przyjaciółką, imieniem Wandzia.

Kontrola nad tą trójką młodych wymyka się szybko manipulatorowi.

Okazuje się, że dziewczyna Brochy zaczyna być zazdrosna o swego chłopca.

Podjeżdżewa, słusznie lub nie, żetę zdradzają ze Szczapą.

Zaczyna nienawidzić opiekuna Michała z całego młodego, dziewczęcęgo serca.

Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej.

Bożena Brodzka, bo o niej tu mowa, córka budowniczego polskiej telewizji, profesora Kamila Brodzkiego, wpada w oko naszemu oficerowi.

Próba uwiedzenia uczennicy kończy się klęską u wodziciela: dostaje po nosie, a właściwie po twarzy, od dumnej, niezależnej dziewczyny.

Sytuacja szybko teraz zmierza do tragicznego finału: Michał Brocha skarżysię na ciężacamu znajomość ze Szczapą, pisze o tym bez ogródek w opowiadaniu dedykowanym opiekunowi.

Bożena grozi zerwaniem z Michałem, czemu ten stara się zapobiec.

Na koniec dziewczyna ujawnia zamiar opisania rodzicom wszystkiego, co dzieje się przy alei Róż 6A.

Najgroźniejsze dla szantażysty okaże się jednak to, że w chwilach lepszego samopoczucia i tym samym pełniejszej oceny sytuacji Szczapa postanawia uwolnić się od swego prześladowcy.

Zapiski sekretarza na kartkach kalendarza ściennego wskazują, że tuż po świętach wielka nocnych zaplanował wizytę u znajomego prokuratora.

Ten krok miał definitywnie położyć kres panowaniu oficera w jego domu oraz eskalowaniu przemocy wobec niego i dwojga młodych.

Wirski przerwał, wypił łyk wody i przyjrzał się zgromadzonym.

Tylko twarz Kowadły wyrażała silne emocje:

wściekłość pomieszana z żądzą odwetu.

Oblicze pułkownika Kłysińskiego, głównego tak niedawno oponenta, pozostało obojętne, niemal martwe; miny pozostałych oficerów bezpieczeństwa znużone, podobnie jak twarze milicjantów.

Wyjątek stanowią generał Krochmański, którego cała postać zdawała się wołać do zebranych: "A niemówiłem, że będzie jeszcze ciekawie!"

Wydaje się kontynuować oskarżenie Wirski że szantażysta przejrzał zamiary Szczapy. Zważywszy wagę grzechów, jakie miał na sumieniu, usunięcie sekretarza wydawało się wyjściem najprostszym i najbezpieczniejszym.

Rzuciwszy zaś podejrzenie na jedno lub nawet obojętne młodych: Michała Brochę i Bożenę Brodzką, zyskiwał dodatkowe gwarancje bezkarności.

Szczapa przestał być zresztą potrzebny: wszystkie tajemnice, jak mniemał, zostały już wykradzione.

A więc decyzja o zabójstwie!

Najlepszym rozwiązaniem było sprowokowanie do działania Michała lub Bożenę, aby sami wykonali za niego mokrą robotę!

Pytanie tylko, czy mieliby wystarczającą motywację, by posunąć się aż do zbrodni?

Czy starczyłoby im determinacji?

Cóż to za brednie!

nie wytrzymał Kowadło.

Towarzysze, wyłączcie wreszcie tę szczekaczkę!

Ciszej, majorze!  
usadził go Kłysiński.

Zmiana frontu, dokonana przez dygnitarza, nie uszła uwadze zebranych poza coraz bardziej zacieklej majorem Kowadłą.

Inny problem dla planującego zabójstwo ciągnął niezrażony kapitan czyli ranga naukowa i polityczna dokonał profesora Brodzkiego, sprawił, że jego córka pozostawała trudno osiągalnym celem, nawet dla oficera bezpieczeństwa.

Policzek wymierzony przez dziewczynę piekł boleśnie, ale odwetu w stosunku do niej rozsądnie było zaniechać.

Jednak on nie chciał rezygnować.

Kapitan spojrzał na kartkę z punktacją i sięgnął doteczki, z której wyjął obatomy Czarnej pyjamy Renarda oraz trzy inne przedwojenne kryminały.

Na koniec dwiefiolki zawierające cyjankali: znalezioną w pojemniku aśmięci przy Śmiałej oraz tę pozostawioną przez Kowadłą Tatiany Rypnis.

W świetle wiedzy uzyskanej w tym krótkim, ale intensywnym śledztwie, przyczyną śmierci towarzysza Szczapy było zatrucie substancją z grupy cyjankali.

Śmierć nastąpiła natychmiast po zażyciu trucizny.

Wkrótce potem ktoś pociągnął za spust służbowej tetetki denatai dość starannie upozorował samobójstwo, pamiętając, że ofiara była leworęczna.

Równocześnie jednak sprawca pozostawił szereg zagadkowych śladów, mówiłem o tym podczas poprzedniej odprawy, śladów w rodzaju czarnej jedwabnej piżamy produkcji włoskiej, odcisków szminki nakieliszku czy w końcu drugiego tomu opowiadań erotycznych i sensacyjnych Czarna pyjama, wydanych w Warszawie w latach dwudziestych.

Nie mogliśmy

300

jednak ustalić, w jaki konkretnie sposób otruto sekretarza; czy użyto wobec niego przemocy, czy podstęp, na koniec zaś, co się stało z fiolką morfiny lub butelką koniaku, do której dosypano zapewne truciznę.

Podjęty przez bezpieczeństwo współdział w zabójstwie Michał Brocha zniknął w tajemniczy sposób, a pierwszy, najbardziej oczywisty trop prowadził do domu Brodzkich, na ulicę Śmiałą.

Dlatego też podjęliśmy dyskretną obserwację tego miejsca.

Rezultaty były natychmiastowe, zarazem spektakularne, jednak jak się zaraz przekonamy, zbyt spektakularne!

W środę 14 kwietnia odkryliśmy w mieszkaniu Brodzkich i w jego pobliżu dwa obiekty: fiolkę z resztkami cyjankali oraz pierwszy tom książki Czarna pyjama.

Udało się również sfotografować dwa listy Michała do Bożeny Brodzkiej, ale negatywy przechwycone zostały lub zniszczone przez agentów bezpieczeństwa!

Na szczęście, jeden z moich ludzi, fotografując listy, zapamiętał sporo z ich treści.

Autor pisał w nich o ciąży, o znajomości Szczapę, a także o tym, że nigdy jej nie zdradził, że chciałby, aby wszystko było znowu tak, jak dawniej.

Jak powiedziałem, kluczowe dla sprawy dowody zostały zniszczone.

Mam nadzieję, że w domu przy Śmiałej zachowały się oryginały i że zdążymy je poznać, zanim zostaną zniszczone przez adresatkę lub jakąś trzecią osobę.

Trzecią osobę?

Zniszczone przez nas dowody?

Toprowokacja i oszczerstwo!

warknął Kłysiński.

Towarzysze!

Komentarze i wyrazy oburzenia proszę później, po raporcie!  
upominał Krochmalski.





Zebrani doskonale wyczuli pewność u?

głosie generała oraz to, że Kowadło et consortes znaleźli się na straconych pozycjach.

Zabójstwo na tle zazdrości przedstawione w tytułowej noweli Czarnej pyjamy żywo przypominało to, którym się obecnie zajmujemy.

Inne okoliczności zdarzeń w alei Róż opisane zostały w tych przedwojennych powieściach kapitan wskazał na trzy zaczytane broszury z kolorowymi zakładkami w środku.

Naukowa, profesorska metoda pracy kapitana wywarła niejakie wrażenie na obecnych, szczególnie na szefie Wirskiego, majorze Rękawku.

Wszystko wskazywało na to mówił dalej kapitan że zabójca inspirował się tymi oto, bardzo naiwnymi opowieściami o zbrodniach, ich ofiarach, genialnych detektywach.

Nie kryję, że i jadałem się nabrać w pierwszej chwili.

Pomyślałem zrazu, że sprawcą, właściwie sprawczynią, jest młoda, afektowana kobieta ze środowiska inteligentnego.

Dlatego szybko wpadłem na ślad Bożeny Brodzkiej.

Nie wiem, jak potoczyłoby się śledztwo, gdyby zabójcy nie puściły nerwy.

I to już drugiego dnia śledztwa!

Pominę tu jego usiłowania, abym porzucił dochodzenie i czekał na dyspozycje zwierzchników, którzy mieliby wskazać mi "właściwego" mordercę.

Wspomnę natomiast jego nocną wizytę w mieszkaniu ofiary w poniedziałek, 12 kwietnia.

Czego szukał tam sprawca, jak w Zbrodni karze Dostojewskiego powracający na miejsce zbrodni?

Czy chciał podrzucić jakiś nowy "dowód"?

Czy może przez consortes łac.

: i współdziałający.

302

ciwnie, wynieść coś z domu Szczapy?

Sądę, że chodziło o pierwszą z tych możliwości, o dostarczenie butelki lub ampułki z trującą zawartością.

Ustalić to winno dalsze śledztwo.

Mam nadzieję, że prowadzone będzie już przez pełny zespół z strony sprawcy.

Oczywiście, sprawcy ujawnionego i skruszonego!

Tego już za wiele!

Wirski, co za bezczelność!

usłyszał głos z ławy oskarżonych.

Pomijam tu również problem obserwacji i inwigilacji ciągnął niewzruszony oskarżyciel dotyczącym mnie i moich podwładnych, współpracowników z milicji, a nawet moich przyjaciół! Przejdę do wskazania innych błędów popełnionych przez sprawcę, błędów, które pozwoliły go zamaskować.

Wirski zawiesił głos, przyzwyczajenie nabyte na studiach prawniczych, kiedy zanosilo się jeszcze na to, że podejmie pracę w sądownictwie.

Kątem oka spostrzegł, że Kowadło zapalił papierosa i jakby uspokoił się nieco.

Pułkownik Kłysiński pozornie obojętnie przysłuchiwał się relacji Wirskiego, ale czuł się, że jest spięty i w każdej chwili może wybuchnąć.

Jedynym spokojnie dopijał kawę, serwowaną na początek zebrania.

Raz nawet spojrzęła w stronę nim portret Feliksa Dzierżyńskiego, jakby chciał powiedzieć:

byłoby było, to Twoja robota!

Pierwszym i niewątpliwie największym błędem ze strony sprawcy bądź inspiratora zabójstwa Szczapy było zlecenie likwidacji Michała Brochy!

Młody człowiek został pojmany, niestety nie wiemy dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach, nafałszowany alkoholem, a następnie

303.

zawleczony przez dwóch agentów bezpieczeństwa na trzydzieste piętro Pałacu Kultury i zrzucony stamtąd głową  
w dół.

Co takiego!

krzyknął pułkownik Kłysiński.

Również dwaj pozostali pułkownicy wyrazili swoje zdumienie i dezaprobatę.

Nie muszę dodawać, że zbrodnia ta, której autorstwa nie starano się nawet specjalnie ukryć, zrobiła jak najgorsze wrażenie na naszych przyjaciółach z NKWD.

Pułkownik Łopuchin, z którym odbyłem wczoraj rozmowę, ocenił czwartkowe wydarzenia na terenie Pałacu jak czyn w najwyższym stopniu karygodny, gdyż godzący w przyjaźń radziecko-polską oraz związane z nią współdziałanie naszych służb!

Wrażenie, jakie wymarły słowa kapitana, było porażające.

Nikt spośród zebranych, poza generałem Krochmaliskim oraz rzecz jasna inicjatorami opisanej przez Wirskiego zbrodni, nie słyszał o śmierci Brochy.

Nikt nie wiedział o tym, że zginął w niezwyklej okolicznościach tuż pod bokiem służb radzieckich i że jego śmierć miała iść na ich konto.

Prowokacja o jakiej się dotąd nie śniło!

Najbardziej zaskoczony i zbulwersowany okazał się pułkownik Kłysiński.

To niemożliwe, niemożliwe!

powtarzał.

Sprawdzimy, towarzysze; musi to być jakaś pomyłka.

Michał Brocha zlikwidowany.

Jak to się stało?

A dlaczegoż to pomyłka?

zapytał szybko generał.

Czyżby zabito nie tego, co potrzeba?

Czy tak?

304

Towarzysz generał sobie żartuje, a sprawa jest poważna odparował pułkownik.

W to ostatnie akurat nie wątpię!

Kontynuujcie, Wirski, bardzo proszę!

Wirski rozłożył na stole odpowiednią dokumentację, głównie fotografie oraz zapisy rozmów z pracownikami Pałacu i zgodnie z poleceniem mówił dalej:

Zapyta ktoś zapewne, a będzie to uzasadnione pytanie, dlaczego akurat Pałac Kultury, trzydzieste piętro i jakby "malownicze" tło zbrodni?

Głowiłem się i ja nad tą zagadką;

pierwsza odpowiedź była taka, że zrzucając ofiarę z tak wielkiej wysokości, dokładnie stu metrów, sprawcy, mowa terazo wykonawcach mordu na zlecenie, w znacznym stopniu utrudnili identyfikację zwłok.

Drugi możliwy powód nasunął mi się w wyniku rozmowy z pułkownikiem Łopuchinem:

cały obszar budowy pomnika przyjaźni radziecko-polskiej, jakim jest Pałac Kultury, podlega jurysdykcji radzieckiej, a więc wyłączony jest z kompetencji naszego bezpieczeństwa.

Wiedział o tym dobrze zabójca.

Podejmując decyzję likwidacji Brochy, miał nadzieję, że NKWD "łyknie" ofiarę podniebnych lotów i że przynajmniej na długie tygodnie Michał Brocha oraz jego doczesne szczątki znikną z polawidzenia organów polskich.

I w tym miejscu przeliczył się!

Radzieccy towarzysze słusznie dojrzeli w tym incydencie intrygę szytą grubymi nićmi.

Wyraźne poruszenie na sali dowodziło powagi tego argumentu.

Zabójca, w konkretnym wypadku ktoś zlecający zabójstwo, popełnił jeszcze jeden błąd: po akcji w r. 305.



dzaju tej przeprowadzonej dwa dni temu, nie może niepozostać wielu śladów. Tak było tym razem: nietylko towarzysze radzieccy, ale także i ja z moim zwiadowcą bez trudu ustaliliśmy, jakie to siły, a nawet osoby stały za wypadnięciem młodego człowieka z trzydziestego piętra!

Tego już za wiele!  
krzyknął Kłysiński.  
Nie ma żadnych dowodów!  
Niczego nie ustalono!

Major Kowadło nie odezwał się już więcej, ani teraz, ani później, aż do końca raportu Wirskiego.

Radziłbym, towarzyszu pułkowniku, pomówić zestroną radziecką! Miałem dziś rano małą przyjemną rozmowę z wysokiej rangi oficerem NKWD; po południu zaś razem z ministrem idziemy tłumaczyć się do ambasadora surowo oświadczył Krochmalski.

Tym razem to my dowiadujemy się ostatni odezwał się kwaśno starszy z pułkowników. Ale trudności mieć, skoro tomy jesteśmy winni.

Też coś!  
zaprotestował Kłysiński.  
Powtarzam, na wszystkie wrogie insynuacje, które usłyszeliśmy z ust Wirskiego, nie ma, nie było i nie może być jakichkolwiek dowodów.

Nie ma i nie może być dowodów?  
Jakich dowodów trzeba by wam dostarczyć, żebyście uwierzyli, towarzyszu pułkowniku? ripostował Krochmalski.

Wy tam, na Koszykowej wolicie wierzyć, że nic się nie stało, że nikt nie został zrzucony z trzydziestego piętra, a my tu, na Puławskiej, nie dzielimy tej wiary!

306

Wymiana zdań, jaka się wywiązała, sprawiła, że Wirski mógł przejść do kolejnego, ostatniego już punktu oskarżenia, nie będąc zmuszonym do obrony słabych punktów przedstawionej już części raportu.

A byłoby sporo: choćby ów problem tożsamości ofiary spod Pałacu Kultury. Nie było wistocie (i tu miał rację Kłysiński) żadnych dowodów na to, że młody mężczyzna wyrzucony z tarasu widokowego PKiN oraz Michał Brocha to jedna i ta sama osoba. Przecież papiery znalezione przy zwłokach tożsame dowody!  
Mydlenie oczu towarzyszom z NKWD i tyle!

Po serii prób nakłonienia mnie do rezygnacji z prowadzenia śledztwa mówił kapitan lub przynajmniej do rezygnacji z nadania śledztwu charakteru autentycznego dochodzenia zabójca zmienił taktykę.

Powziął oto zamiar oskarżenia mnie: jeśli już nie o sprawstwo bezpośrednie śmierci Szczapy, to przynajmniej o zamierzanie śladów, mataczenie i tak dalej. Musiał się jednak spieszyć, bo nie bez podstaw obawiał się, że dzisiejsza odprawa ujawni wszystkie kompromitujące go fakty.

Po ostatniej, czwartkowej próbie nakłonienia mnie do rezygnacji z dochodzenia, a także po egzekucji na młodym mężczyźnie pozostawał mu, w zasadzie, tylko piątek, czyli dzień wczorajszy. Zaaranżował sytuację, w której miałem zostać zatrzymany przez służbę bezpieczeństwa wraz z podrzuconymi mi fałszywymi dowodami mojego współsprawstwa w zabójstwie oraz utrudniania śledztwa.

Ponieważ dużą część dnia spędziłem w komendzie stołecznej na, między innymi, dokumentowaniu użeznań małżeństwa Ireny

307.

i Tomasza Dankowskich-Nowaków, pozostały mu już tylko wczorajszy wieczór oraz noc z piątku na sobotę.

Nie wiedząc, co konkretnie planuje mój przeciwnik, postanowiłem sprowokować go dowydania bitwy na moim terytorium i na moich warunkach.

Posłużyłem się więc kilkoma małymi fortelami, a w celu zapewnienia sobie zarówno bezpieczeństwa, jak i koniecznych świadków, postanowiłem ubrać naszych zwiadowców w dreluchy pracowników warszawskiej sieci gazowniczej, a konkretnie rejonu Warszawa-Sródmieście, czyli PPPG OG 3 W-S.

Na hasła "gazownictwo" oraz "PPPGOG 3 W-S" pułkownicy z Ministerstwa Bezpieczeństwa ożywi się wyraźnie, ale żaden z nich się nie odezwał.

Ciekawe, co oni mają dotych cholernych gazowników?  
, zastanawiał się Wirski.

I dlaczego, na przykład, szefowie telewizji uparli się, by robić reportaż na tematich pracy?

W tym momencie wzrok kapitana padł na okrągłe metalowe pudło, które przytaszczył Kowadło.

Tajemnicze, bo zamazane nieco znaki ułożyły się wreszcie w czytelną całość: Telewizja Polska. Na miejscu z ludźmi.

Czyżby major przyniósł nagranie programu z monterami?  
Tylko po co?

Pojął, że bitwa trwa i daleko jeszcze do jej zakończenia.

Nieprzyjaciel w odwrocie, ale zaraz przegrupuje siły i przejdzie do kontrataku.

Pytanie jednak, z której strony nastąpi uderzenie?

Jakiej broni użyje?

I czy pudło na stole to rzeczywiście cudowna broń, wunderwaffe Kowadły

308

czy raczej efekt jakiegoś nieporozumienia lub, po prostu, ignorancji majora?

Rozważając przerwał gospodarz spotkania, nakazując Wirskiemu kontynuowanie relacji.

Przebieg wydarzeń w dniu wczorajszym w mieszkaniu obywatelki Tatiany Rypnis przy ulicy

Partyzantów trzy przez pięć opisałem dokładnie, minuta po minucie, w tym oto raporcie.

Kapitan wyciągnął teczkę sporej objętości rękopis i położył na stole.

To rezultat mojej pracy, którą zakończyłem dziś nad ranem.

W tej właśnie chwili starszy sierżant Paprotka, sierżant Walendziak oraz kapral Cegiełka podają wkomendzie do protokołu wszystko to, co wydarzyło się wczoraj w ich obecności.

Gdybyście jednak zechcieli opowiedzieć, tak w dużym skrócie, co właściwie stało się w mieszkaniu przy Partyzantów?  
poprosił generał.

Relacjonując, przyglądał się, w miarę możliwości, swojemu przeciwnikom.

Ich reakcje zmieniły się po raz kolejny.

Przestali słuchać; najwyraźniej ta część przygód Kowadły i Wirskiego była już im dobrze znana.

Niekiedy wymieniali półgłosem jakieś uwagi; najwyraźniej planowali ripostę.

Ciekawe, komu powierzą rolę obrońcy?

A może przestaną na oskarżycielskiej mowie Kowadły?

Twarde, mocne słowa byłego parobka Węgleńskich zrobią na pewno wrażenie.

Ale na kim?

Przecież nie na nimi nienagenerale.

Nie ma też bezstronnych sędziów.

Są tylko strony: milicja versus bezpieka.

Oskarżenie było mocne, podobnie jak dowody.

Zeznania sześciu milicjantów już złożone, w następnej kolejności

309.

także Tatiany Rypnis.

W przeciwnym Wirskiemu oboziewciąż trwały konsultacje, które przerwał Krochmalski:

Towarzysze!

Będziecie mieli sporoczasu na zapoznanie się i ustosunkowanie do materiału przedłożonego przez kapitana Wirskiego.

Nie mogę jednak, w zaistniałej sytuacji, nieudzielić głosu majorowi Kowadło.

W naszym socjalistycznym państwie obowiązują przecież zasady równości i sprawiedliwości!

Majorze, macie głos!

Czekaliście na pewno niecierpliwie na tę chwilę!

Wreszcie padło nazwisko Kowadły!

W swoim raporcie kapitan nie użył go ani razu.

Błąd z punktu widzenia sztuki prawniczej i konieczna asekuracja ze strony wykonawcy mission impossible.

Wirski pomyślał, że chyba po raz pierwszy w swojej policyjnej karierze spotyka się sytuację, w której rzymska zasada procesowa audiatur et altera pars nie wydaje się korzystna dla oskarżonego.

Kowadło spojrzawszy na Krochmalskiego, wzruszył ramionami i sięgnął po resztkę kawy w szklance.

Wyglądało na to, że nie wypowie już ani słowa.

Wtedy odezwał się Kłysiński:

To skandal, towarzysze!

Cyniczna prowokacja w wydaniu sanacyjnego policjanta, zapewne też imperialistycznego agenta!

Skandal, to prawda odparł spokojnie generał.

Skandal jako wynik prowokacji!

Pytanie, towarzyszu pułkowniku, audiatur et altera pars łac.

: [Przed wydaniem wyroku należy wysłuchać także drugiej strony.

310

pułkowniku: dlaczego akurat to major naszego bezpieczeństwa wpadł w pułapkę zastawioną przez sanacyjnego policjanta i wrogiemu agenta?

Ponieważ Kłysiński nie odpowiedział, generał ruszył do ataku:

Nic nie mówicie!

Ha! W takim razie ja odpowiem na to pytanie.

Wpadł nasz oficer w tę gównianą sanacyjną pułapkę, ponieważ utracił gdzieś swoją proletariacką czujność!

Utracił wzrok, węch i słuch, utracił też kręgosłup moralny.

Zdradził ideały partii i dał się złapać na lepprzyziemnej pokusy.

A cóż to, pytam się, za pokusa?

Dupy!

Towarzyszu pułkowniku!

Dwie młode, atrakcyjne dupy!

Jedna profesorska córka, druga żona artysty!

Podobnego ataku nikt się nie spodziewał.

Wszakże spowodowanie winy Kowadły do słabości do dwóch pań wrywało kły całej sprawie i stanowiło wyraźny sygnał ze strony generała (i stojących za nim sił): zawrzyjmy pokój panowie!

Poświęćmy tego durnia Kowadłę, a leżnie obcinajmy mu głowy.

Niech sobie żyje, alen niech nie zajmuje się już więcej poważnymi sprawami.

Wyglądało na to, że pułkownicy z bezpieczeństwa prawidłowo odczytali to przesłanie, bo odezwał się najstarszy z nich, teno aparycji amerykańskiego senatora:

Rozumiem zdenerwowanie towarzysza generała.

Doszło do rażącego przekroczenia uprawnień przez funkcjonariusza Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz do naruszenia procedur śledczych.

Funkcjonariusz ówwykorzystał swoje uprawnienia dla realizacji prywatnych, w dodatku nagannych celów.

Nie znaczy to jednak, że

311.



winni jest wszystkich zarzucanych mu czynów, a zwłaszcza zabójstwa!

Cóż powiedział generał -- i takie wnioski można wyciągnąć ze zgromadzonego materiału. Szczególnie niepokojąca jest część raportu, która dotyczy okoliczności śmierci Michała Brochy. Mamy tu problem nie tylko moralny, prawny, kompetencyjny, ale i polityczny! Reakcję, towarzyszyradzieckich!

i; Wydarzenia na terenie budowy Pałacu Kultury .

Oświadczył pojednawczo starszy z pułkowników będąc przedmiotem odrębnego śledztwa, które, jak się spodziewam, zarządzi minister Radkiewicz.

Nie muszę chyba zapewniać ani towarzysza generała, ani wszystkich obec'nych tu towarzyszy, że przeprowadzone zostanie z całą starannością.

Winni tej haniebnej zbrodni i politycznej prowokacji zostaną surowo ukarani!

Nie wątpię w to, towarzyszu pułkownika oznajmił Krochmalski i spojrzał pytająco na Kowadłę.

Major, któremu najwyraźniej nakazano siedzieć cicho i nie prowokować kolejnych oskarżeń, powiedział tylko:

W tym pudle wskazał na leżące przed nim materiały znajduje się zapis audycji telewizyjnej, zrobionej wczoraj pod dyktando pana Wirskiego.

Pokazuje, do jakich metod ucieka się przebrana w milicyjny mundur sanacyjna reakcja.

Reakcja wspierana przez amerykańskie ośrodki wojskowej i politycznej dywersji!

wyrecytował, budząc niejaki podziw starszych kolegów, znających jego prosty, niemal robociarski sposób wysławiania.

312

Zaznajomimy się z tymi materiałami, majorze zapewnił Krochmalski.

Znamy je z obszernego raportu kapitana Wirskiego.

Mamy tam niewątpliwie element przebrania, ale są to milicjanci przebrani za gazowników!

Towarzysze, dziękuję i zamykam odprawę po wyczerpaniu punktu trzeciego.

Punktu czwartego porządku dziennego nie będzie!

Zanim cokolwiek postanowimy, major Kowadło musi mieć szansę na wyjaśnienie wszystkich obciążających go faktów, ujawnionych w raporcie kapitana Wirskiego.

Tego ostatniego proszę zaś o zameldowanie się w moim gabinecie za kwadrans!

Kolejna runda została wygrana, ale Kowadło spadł jak zawsze na cztery łapy!

, pomyślał Wirski, zapalając papierosa przed gabinetem Krochmalskiego.

Zdążył już ochłoniąć po emocjach związanych z odprawą.

Na końcu korytarza dostrzegł wreszcie generała w towarzystwie Kłysińskiego i podpułkownika o senatorskim wyglądzie.

Kiedy wchodził do gabinetu, podpułkownik nachylił się na moment ku Wirskiemu wyszeptał:

Kapitanie, bądźcie ostrożni!

Możecie znaleźć się w poważnych opałach!

Kiwnął głową na znak, że przyjął do wiadomości to ostrzeżenie.

Zasiedli za nowym stołem złocistej politurze.

Generał napelniał kieliszki płynem obarwie równie pięknej jak mebel i powiedział:

Za szybkie zakończenie tej paskudnej sprawy!

313.

Wychylili.

Potem generał zwrócił się bezpośrednio do Wirskiego:

Dziękując wam, kapitanie, za niezwykle sprawnie i efektywnie przeprowadzone śledztwo, czuję się w obowiązku powiedzieć wam o czymś, o czym dowiedziałem się przed chwilą od obecnych tu towarzyszy pułkowników.

Pułkownicy zrobili kwaśne miny, co wskazywało na to, że informacja udzielona generałowi w żadnym wypadku nie była przeznaczona dla Wirskiego.

Otóż oznajmiono mi, że ponad wszelką wątpliwość major Kowadło nie może być zabójcą towarzysza Szczapy, jako że towarzysz Szczapa nie został zamordowany!

Towarzysz Szczapa popełnił samobójstwo, zażywając silną truciznę.

Wskazują na to niezbita dowody, gromadzone równolegle z nami przez pion bezpieczeństwa.

A więc mieliście rację, kapitanie!

Wersja przedstawiona w środowym raporcie, na waszym wykresie był to chyba kolor.

kolor.

Fioletowy.

Ciemnofioletowy, obywatelu generale.

Wirski zastanawiał się, czy jednak nie zapytać to, czy samobójca strzał w głowę miał miejsce przed zażyciem trucizny, czy raczej po nim, ale szczęśliwie ugryzł się w język.

Generałowi dalekobyło z resztą dożartów.

Dał znać, że audyencja skończona, a kiedy wszyscy podnieśli się, nakazał gestem kapitanowi, by pozostał.

Pułkownicy jakby ociągali się, ale w końcu wyszli.

Generał zaproponował kolejny kieliszek koniaku; Wirski odmówił.

Znakomicie spisaliście się, kapitanie!

Kowadło wyeliminowany.

Nasi koledzy z Koszykowej wodwrocicie.

314

Ku chwale ojczyzny, obywatelu generale!

Krochmański uśmiechnął się cierpko.

Chwilę ważył słowa, nim powiedział:

Wasza mowa przeciwko Kowadłu to był, ogólnie, majstersztyk.

Znalazły się w niej, co prawda, różneluki, ale nikt się nie zorientował.

Najsłabszy punkt waszego rozumowania to założenie, że Kowadło mógłby wymyślić wszystkie pułapki na Brodzką, a potem plan swój precyzyjnie realizować.

Nie wierzę w te gry z przedwojennymi kryminałami, z czarnymi desusami, szminkami, major zdecydowanie za głupi nanie!

Wszyscy o tym doskonale wiedzą.

Przykro mi, Wirski, nie sprzedamy tej wersji ministrowi Radkiewiczowi.

Ale pozostałe elementy waszego raportu, zwłaszcza ten zabawny finał w mieszkaniu tenora, to będzie prawdziwy przebój.

Jeszcze dziś nucić będzie cała Puławska, jutro zaś Koszykowa.

Będziecie sławni, kapitanie!

Wirski, któremu na wieść o czekającej go sławie ciarki przeszły po grzbiecie, ponownie odmówił przyjęcia koniaku.

Krochmański wypił więc sam.

Nie mogę jednak nie zapytać o wasze prywatne zdanie w tej sprawie.

Na pewno było tak, że Kowadło od samego początku utrudniał wam pracę, ukrywał wyniki badań laboratoryjnych, zacierał jedne ślady i tworzył nowe.

To, że natknął się na was nocą w mieszkaniu Szczapy, nie było przypadkiem.

Potem zaś, widząc, że nie ustępujecie, postanowił wyeliminować was ze śledztwa.

Zadanie wykonał, jak to on, bardzo nieudolnie.

To wszystko prawda.

Pozostaje jednak pytanie: kto zabił Szczapę?

Kto bardziej

315.

niż Kowadło nadaje się do roli zabójcy?

Czy może winniśmy zrezygnować z dalszego śledztwa i uznać, śladem naszych pułkowników z bezpieczeństwa, że schorowani zaszczytury towarzysz Grynberg popełnił samobójstwo?

Niema powodu, by zrezygnować!

wyrwało się kapitanowi.

Pozostaje przecież sprawa Brochy i jego śmierci w Pałacu Kultury!

Ktoś przecież zabił młodego człowieka, a w świetle zeznań windziarki i relacji pułkownika Łopuchina udział w tym brali ludzie z naszego bezpieczeństwa.

Akurat to ostatnie nie ulega wątpliwości.

Agenci bezpieczeństwa byli z ofiarą na platformie trzydziestego piętra.

Nie oznacza to przecież, że Kowadło zlecił im likwidację Brochy.

Więc kto i dlaczego?

Generał nie odpowiedział od razu.

Westchnął, pociągnął spory łyk złościstego płynu, nim odezwał się ponownie:

A skąd pewność, kapitanie, że ofiarą był Brocha.

A nie ktoś inny?

Oczywiście, pewności nie mamy żadnej.

Papiery przyzwłokach to jeszcze nie twarde dowody.

Jedynie lipnatożsamość na użytek towarzyszy z NKWD.

Otóż to, Wirski, otóż to!

Działanie niezwykle zuchwałe, obliczone na to, że uznamy, że to Brocha zabił Szczapę, później zaś popełnił samobójstwo.

Zupełnie nie w styl naszego poczciwego Kowadły.

Musimy, kapitanie, wiedzieć, kto się kryje za tym wszystkim i co naprawdę stało się z Michałem Brochą.

Wiem, że to nie łatwe zadanie i co

316

tu kryć, niebezpieczne.

Podpadliście bezpieczeństwo bez dwóch zdań!

Będą utrudniać wam pracę jeszcze bardziej niż dotąd, zastawiać pułapki skuteczniejsze niż ta zorganizowana przez majora.

W tej sytuacji nie mogę nie zapytać: kapitanie Wirski, czy podejmiecie się dalszego śledztwa?

Czy muszę, obywatelu generale, już w tej chwili dać odpowiedź?

Oczywiście, że nie!

Ale ja chcę to wiedzieć zaraz po świętach!

Najpóźniej rano we wtorek, 20 kwietnia.

Tegodnia mam spotkanie z ministrem Radkiewiczem.

Podali sobie dłonie.

Generał życzył Wirskiemu spokojnych i zdrowych świąt Wielkiej Nocy.

Wielkanoc!

Nazwa święta rezurekcji zniknęła już całkiem z życia publicznego, toteż życzenie generała milicji zabrzmieć musiało doświadczeniem.

Krochmal skazał jeszcze, czy kapitan chce, aby podrzucić go gdzieś służbowym samochodem; Wirskiemu przyjął tę uprzejmość, poprosił jednak o możliwość korzystania z telefonu.

Kapral Cegiełka czekał w umówionym miejscu; niedaleko, bo zjawił się po kwadransie.

Wirski wyjął z teczek wszystkie dokumenty śledztwa i kazał wiadomym wieźć je do komendy stołecznej i tam zabezpieczyć.

Najkrótszą drogą, a więc aleją Niepodległości.

Sam postanowił wrócić tramwajem lub autobusem.

Kilka minut później znalazł się na Puławskiej i rozglądał się jakimś środkiem lokomocji.

Z otwartego okna dochodził głos trąbki z wieży mariackiej w Krakowie.

Napięcie, w jakim żył przez ostatni tydzień, opadało.  
Kiedy wsiadł do pustego jeszcze tramwaju linii 4, zajął miejsce na końcu  
317.

wagonu, sprawdził, czy teczka, w której pozostały mudwie kanapki przygotowane rano przez Mirkę Rohozińską, została dobrze zamknięta, uśmiechnął się i natychmiast zasnął.

Ocknął się niemal w ostatnim momencie.

Ktoś potrącił go, botramwaj zdążył wypełnić się ludźmi.

Odruchowo zacisnął dłonie na teczce.

Była, na szczęście, na swoim miejscu.

Z trudem przedarł się do pobliskich drzwi; gdyby nie usiadł na końcu wagonu, nie zdążyłby wysiąść.

Przechodząc przez Marszałkowską, spojrzał na wyrastający ze środka placu smętny, pusty cokół.

Dźwiagał ongiś pomnik sanacyjnych lotników, Żwirki i Wigury.

Spiżowych lotników, za życia dobrze znanych i podziwianych także w Niemczech, okupanci zlikwidowali gdzieś między latem 1943 a wiosną następnego roku.

Wirski pamiętał, że stali tu, na granicy dzielnicy niemieckiej, jeszcze w lipcu czterdziestego trzeciego.

Wówczas to po raz ostatni odwiedził swoje zarekwirowane mieszkanie przy Flory.

Lotnicy zniknęli wkrótce bez śladu; ocalała natomiast nazwa placu: Unii Lubelskiej.

Jakim cudem?

, zastanawiał się od dawna.

Upamiętniał przecież "triumf szlacheckiego ekspansjonizmu i kolonializmu".

Dziś inne sprawy zaprzętały jego uwagę.

Ponieważ zapóźno już było najakieś świąteczne przygotowania, sobotnie popołudnie postanowił spędzić z kolegami z komendy w Kameralnej na Foksal, zaś wieczór z Tanią w jej domu przy Partyzantów.

Teraz marzył, by szybko znaleźć się siebie i zamienić mundur na świąteczny garnitur.

318

Inwalida z okrągłaka pod kamienicą Łaskiego zdążył już zamknąć interes, co oznaczało, że aż do poświęcenia go w torturach zostanie bez belwederów.

Chyba że zawróci i pójdzie do Rarytasu, gdzie pan Miecio (służbowo zaś agent o pseudonimie "Ramzes") raz w tygodniu odkładał dlań dwie paczki ulubionych papierosów.

Już miał ruszyć ku Marszałkowskiej, kiedy uwagę jego przykuło coś niezwykłego:

drzwi od PPPG OG 3 W-Spod trzynastym uchylili się i mężczyzna w jasnym płaszczu, identycznym jak ten, który nosił na co dzień Wirski, stanął na krawężniku chodnika.

Była to pierwsza oznaka życia w tym miejscu, jaką odnotował od chwili pojawienia się na ulicy Bagatela owej instytucji.

Czyli od dobrego roku!

Nie minęło pół minuty, kiedy podjechała lśniąca nowością kremowa warszawia zabrała gościa lub pracownika PPPG OG 3 W-S.

Tyleż ciekawość, co sentyment do gazowników kazały kapitanowi zmienić decyzję i miast ku Marszałkowskiej pójść w stronę ulicy Bagatela.

Miał szczęście, bo drzwi za mężczyzną w prochowcu niezamknęły się jeszcze.

Zapukał więc energicznie w blachę pokrywającą szklane, eleganckie ongiś drzwi do kawiarni Niespodzianka.

Blacha zadudniła nieprzyjemnie.

Ponieważ nikt nie odpowiedział, kapitan ponowił sygnał, po czym wkroczył zdecydowanie do środka.

Znalazł się w typowej powojennej poczekalni, z drzwiami odchodzącymi w trzy strony, zamkniętym teraz okienkiem z napisem KASA, ze spluwaczką w rogu oraz trzema zniszczonymi i zapewne kulawymi krzesłami.

Na ścianie naprzeciw drzwi naddarty plakat "Bądź czujny, wróg nie

319.

śpi".

Naga żarówka u sufitu, zdeptana podłoga oraz oknapomalowane olejną farbą dopełniały wystroju wnętrza.

Zniechęcony zamierzał odejść, kiedy drzwina lewo uchylły się wyjrzała z nich twarz mężczyznykoło czterdziestki, równie nieciekawa jak wnętrze, w którym się znalazł.

Wirski poznał tę twarz natychmiast!

Był to ów emeryt parku Ujazdowskiego, obsługujący wagę, tyle że ogolony i ostrzyżony, a tym samym odmłodzony o dobrych dwadzieścia lat!

Kapitan zwrócił teraz głowę w kierunku przeciwnym, gdyż tam również otworzyły się drzwi.

Wyszłyżnich, o zgrozo, dwie identyczne postacie, postacie, które również doskonale pamiętał.

Bliźniacy!

Upiorni bliźniacy!

Złodzieje metali kolorowych, których roku temu wsadziło do więzienia.

Tylko co oni tu robią?

Dostali przecież piątkę za czynną napaść na funkcjonariusza na służbie.

I oczywiście za kradzież klamek i poręczy.

Cofnął się o krok w stronę drzwi, namacał ręką kaburę pistoletu, chcąc zyskać na czasie, powiedział:

Czy my się przypadkiem nie znamy?

delikatnie odpiął kaburę i wymacał kolbę tetetki.

Oj, chyba się znamy, kapitanie Wirski!

usłyszał od strony trzecich drzwi.

W tym samym momencie silny cios, zadany w tył głowy, powalił go na ziemię.

Na kilka sekund utracił świadomość.

Pistolet kopnięty z całej siły wylądował stóp "emeryta" z lewej.

Ten podniósł go z ziemi, odbezpieczył i zarepetował.

Potem podniósł również teczkę, która wypadła z ręki napadniętego.

Podał bliźniakom, którzy natychmiast zajrzeli do jej wnętrza.

Zawinięte w pergamin

minowy papier kanapki zamiast dokumentów śledztwa nie tego się chyba spodziewali.

Wyrzucili kanapki dospluwaczki i po krótkich oględzinach zabrali teczkę.

Tymczasem "emeryt" z parku Ujazdowskiego przyglądał się z uwagą ogłuszonemu ciosem milicjantowi.

Czas pomyśleć o spoczynku, obywatelu kapitanie.

Lata lecą, refleks już nie ten, dowcip też jakby osłabł powiedział, mierząc w leżącego.

Wirski zbierał się nieporadnie.

No szybciej, gnojku warknął ten z pistoletem.

Szybciej, powiedziałem!

Udało się dopiero za drugim razem.

Wirski stał, chwiejąc się i rozglądając niepewnie.

Wtedy niewidoczny dlań, czwarty napastnik chwycił go z tyłu za ramiona, wygiął boleśnie i założył kajdanki na przeguby dłoni tak ciasne, że natychmiast wpiły się w skórę nadgarstka.

Cóż za niespodzianka!

zadrwił jeden z bliźniaków.

Nasz dzielny szeryf w roli jajeczka wielkanocnego!

Podskoczył do kapitana i zanim tamten zdążył się uchylić, kopnął go z całych sił w podbrzusze.

Poturlamy troszkę jajeczkiem, zanim oddamy do poświęceń!

Oj, poturlamy!

Wirski zwałił się z jękiem na podłogę.

Wówczas dostał kopniaka w twarz.

Potem jeszcze jednego, kolejne dwa, trzy, cztery.

Kopali wszyscy.

"Strzeż się bliźniaków, Ryszardzie!

", usłyszał jeszcze głos Mirki Rohozińskiej i poleciał w ciemność.

321.



Cudem tylko nie udusił się, połykając odłamki zębów.  
Wypluł zakrzepłą krew, która zapychała mu usta.  
Oczymiał otwarte, ale widział tylko ciemność.  
Nie wiedział jednak, czy jeszcze ma oczy, czy został oślepiiony.  
Miał wrazenie, że wyrwano mu lub wycięto genitalia tak bolało zmasakrowane podbrzusze.  
Tak samo, jak w czterdziestym dziewiątym, kiedy pierwszy raz wpadł w łapy bezpieki i poddany został "wstępnej obróbce".  
Modlił się wówczas, aby szybko umrzeć, ale wiedział, że przywilejszy bkiej śmiercinie będziemy dany.  
Wiedział również, że bilingo tylko "rutynowo", pro forma, że właściwie, jak mówił przesłuchującego go ubek, "nie mają jeszcze nic przeciwko niemu".  
Zapewne, nie mijają się wiele prawdą ów funkcjonariusz UB.  
Wirskiego aresztowano tylko dlatego, że należał do ekskluzywnego grona kilkuset zweryfikowanych po wojnie "państwowych" i później "granatowych" policjantów.  
Weryfikacja ta była polityczną pomyłką, twierdził tamten, i należało skutki tej pomyłki systematycznie, skutecznie usunąć.  
Dlatego bili bez złości:  
równo, właśnie "systematycznie".  
Nie za karę, lecz tylko "profilaktycznie".  
Teraz miało być inaczej.  
Naraził się największej potędzencej Rzeczypospolitej imusiał ponieść zasłużoną karę.  
Niepokoiło go również, że jak dotąd nie widział i nie słyszał Kowadły.  
Obecność zapalczego majora, osobistego wroga, być może przyniosłaby mu cień szansy.  
Szansy na jakiś pojedynek, na wymianę ciosów, w której mógłby okazać przewagę.  
322  
Dusząc się i krztusząc nie słyszał, że w ciemnościach tuż obok zmagają się z niemocą głosu ktoś jeszcze, inną jeszcze ofiarą.  
Poruszył nogą, najpierw jedną, potem drugą.  
Nie są złamane!  
, pomyślał i spróbował podnieść się.  
Wówczas odezwał się ból w wykręconych do tyłu, boleśnie skutych rękach.  
Już nigdy nie założę nikomu kajdanek w ten sposób, postanowił.  
Myśl ta rozbawiła go niemal, jako że szansę na spełnienie przyrzeczenia miał równiezeru.  
Przecież żył wciąż i być może miał jeszcze możliwość wylizania się z obrażeń.  
Jeśli tylko nie wylupano mu oczu.  
Co się tyczy zmasakrowanej męskości w jego wieku nie byłoby to taki wielki dramat.  
Dlaczego jednak sądzi, że wylupano mu oczy?  
Boli w pobliżu oczodołów, ale tylko złamany nos, rozwalony łuk brwiowy, naddartemalżowiny uszu.  
Trudno coś stwierdzić, niemogąc dotknąć zranionych miejsc.  
Poruszył ramionami, ale wywołał jedynie nowy atak bólu w przedramionach i skutych naścisk nadgarstkach.  
Poruszył więc nogą.  
Udało się!  
Pojął, że miękki, obły obiekt po jego prawej stronie nie jest ani siennikiem, ani workiem kartofli.  
Usłyszał bowiem jęk kogoś, kto został równie silnie jak on poraniony i reaguje bólem na najłżejsze nawet dotknięcie.  
Chciał wymówić słowo "kto", ale z jego ust wydobył się tylko charkot.  
Wystarczyło jednak, by ten ktoś obok odpowiedział: głosem cichym, w którym rozróżnić mógł jednak pojedyncze głoski:



Ooo-li.

ooo-li.

Kto?

zdołał wreszcie wyksztusić.

Świadomość, że jest w stanie mówić, podniosła go wyraźnie na duchu.

Non om.

nismońar', pomyślał.

Oooli!

wy jęczał tamten.

To wiem!

oświadczył Wirski.

Kim jesteś?

Ofiarą, nie.

nie.

niewinną odpowiedział.

Nazwisko, człowieku!

Jak się nazywasz?

niecierpliwiał się kapitan.

Wraz z życiem do jego znękanego ciała powracał również duch oficera śledczego.

Bro.

Brocha odpowiedział współtowarzysz niedoli.

Michał Brocha!

Czyż nie tak?

wykrztusił Wirski.

Tak potwierdził tamten.

Boguniech będą dzięki!

Ty żyjesz, człowieku!

Rozdzierający jęk służył za całą odpowiedź.

Chcesz powiedzieć: ale co to za życie?

Otóż, młody człowieku, niedostaniesz już innego, więc zrób wszystko, żeby je uratować! Skłonność do moralizowania dowodziła, że kapitan wraca, mimo wszystko, do formy.

Brocha, janazywam się Wirski powiedział pokrótce w przerwie.

Jestem kapitanem milicji i prowadzę śledztwo w sprawie twojej śmierci, to jest twojego zaginięcia.

Także w sprawie śmierci sekretarza Szczapy te dwa długie zdania wyczerpały bardzo kapitana.

Osunął się na ziemię.

Dopiero teraz zauważył, że lepka odbrudu

-t non omnis moriar tac.

, tu ironicznie: niewszystek umrę [gdyż żyć będę w swej twórczości].

324

posadzka z lokalu przy Bagatela 13 zamieniła się w zimny, wilgotny beton.

Piwniczna atmosfera dowodziła, że po utracie przytomności zmienił miejsce pobytu.

Brocha!

Gdzie jesteście?

wydusił po chwili niemocy.

Na Koszykowej"?

Nie na Koszykowej.

Najpierw w jakimś biurze, potem w sztolni, jakby w kopalni.

Co ty wygadujesz!

W jakiej znowu kopalni?

Zjeżdżaliśmy windą w dół, dość długo.

Nagle olśnienie: skwer Skolimowski!

Jacyś ludzie kręcący się przy szybie metra.

Uruchamianie windy, światła, tajniacy legitymujący go na skwerze.

Wszystko to za ledwieście metrów od kamienicy Łaskiego i tego piornego PPPG OG 3 W-S.

Od tajnego lokalu bezpieki!

Brocha usiłował wstać, ale nie udało mu się.

Osunął się z powrotem na betonową podłogę.

To bardzo dobrze, że stara się poruszyć, pochwalił go w myślach kapitan.

Dobrze, że nie poddaje się, że nie leży jak kłoda.

Ja też spróbuję się podnieść.

Nogi mam przeciwzwole!

We dwóch może uda się coś zrobić.

Na razie znajdowali się pod ziemią, gdzieś w tunelu przyszłego metra.

W miejscu, w którym jeśli ich zabijają na to się zanosilo nikt nigdy nie znajdzie ich szczątków.

Zbrodnia doskonała!

Miał poszybować z trzydziestego piętra, Brocha miał dokonać żywota kilkadziesiąt metrów pod ziemią.

Razem z Wirskim.

Jeśli takie okażą się okoliczności nowej zbrodni, będzie to znaczyło, że kierują nim ktoś niebo zmyślniejszy, o wiele przebieglejszy od Kowadły.

Ciekawe przecież, kto?

Może Kłysiński?

Ktoś

325.

stojący jeszcze wyżej?

Musiałby to być sam minister lub ktoś z jego zastępców.

Nie, tak wysoko siebie Wirskinięceniał.

Kiedy cię.

porwali?

chciał zapytać "posadzili", alezreflektował się.

Określenie to nie miałoby sensu w sytuacji zarówno Brochy, jak i jego samego.

Dawno.

Była sobota.

Sobota wieczór.

Chyba 10 kwietnia.

Gdyby kapitan miał całe zęby z przodu, zagwizdałbyzwrażenia.

Jesteś pewien, żebyło to w sobotę 10 kwietnia?

Jestempewien.

Nie wiem jednak, jakidzieńjestdzisiaj.

Trzymajammnie w ciemnościach, straciłem rachubęczasu.

Sobota, WielkaSobota 17 kwietnia.

Tak mi się przynajmniejwydaje.

Niemogę stwierdzić, na jak długo utraciłem przytomność.

Jeśli to były godziny, a wiele natowskazuje, to mamy wciąż sobotę.

To znaczy, zespędziłeśwzamknięciu tydzień i jeden dzień.

Pan leżał tu bardzo krótko.

Potworny, tętniący ból w podbrzuszu nie ustawał.

Kapitan musiał odpocząć, ale nie chciał marnowaćcennogoczasu, być może ostatnich chwil życia.

Pragnał, mimowszystko, na przekór swoimwrogom, zakończyć śledztwo.

Ustalić definitywnie przebieg wydarzeń, wskazaćwinnnych, oczyścić niesłusznie podejrzanych.

Poprosiłwięc Brochę, aby ten opowiedziałmu wszystko, co wiena temat śmierci Szczapy.

Także wydarzeń związanych

326

z majorem Kowadłą, Bożeną Brodzką, jej przyjaciółką Wandzią.

Już drugi raz wspomina pan o śmierci Bogusława, a ja o niczym nie wiem!

poskarżył się Brocha.

Tostraszne, jeśli rzeczywiście nie żyje!

Widziałem go w piątek wieczorem, kiedy poszliśmyna pożegnalną kolacjędo Cristalu.

Ja następnego dnia, a więc w sobotę rano, wybierałemsię do Wrocławia na zjazd młodych pisarzy, Bogusław zaś do szpitala.

Oczywiście, nie w sobotę, alew poniedziałek lub wtorek.

Mówił mi o tym; umówił sięjuż ze znajomym lekarzem.

Czy ten lekarz nazywał się możeWięckowski?

Wirskinię miał zamiaru przerywać młodemu człowiekowi, ale wciąż odzywała się w nim policyjna natura.

Nie, jakośna "B" lub "P"; Paleta, na przykład.

Więckowski to jest prokurator, znajomy Bogusława od lat.

Dużo wieszo Bogusławie Szczapie zauważył kapitan.

Dzięki tej wiedzy miałteraz swoją, drobnąco prawda, satysfakcję: trafnie spekulował, że ów Więckowski z notatki Szczapy w kalendarzu mógł być prokuratorem.

Tak teżprzedstawił sprawę na odprawie kilkagodzin temu.

Ale to już była historia, wydaje się teraz, że bardzo odległa.

Odczekał, aż przejdzie kolejna fala bólu w podbrzuszu.

Spróbuj teraz opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Obiecuję, że nie będę ci przerywał.

Relacja Brochy nie była zbyt składowa, ale Wirski słowadotrzymał.  
Także dlatego że upiorny ból powracał, a on nie miał siły, aby zadawać pytania.  
Mimo to, i pomimo  
327.

marnych perspektyw na przeżycie, otrzymał kolejną satysfakcję, gdy wysłuchał opowieści Brochy.

Młody człowiek potwierdził jego hipotezę śledczą o podporządkowaniu sobie przez Kowadłę chorego i próbującego różnych używek Szczapy.

Podał kilka drastycznych przykładów; własny związek ze starszym odeń o ćwierćwieku mężczyzną nazwał przyjacielskim, choć niedokońca partnerskim, jako że jak przyznał szczerze sekretarz był jego opiekunem i mentorem.

To opiekuństwo, nie zawsze pożądane, zaczęło mu ciążyć w ostatnim czasie, fakt, ale ciążyło nie do tego jednak stopnia, aby zerwać znajomość.

Relacje z Bożeną określił za to jako prawdziwą miłość, którą zwieńczyć miało małżeństwo.

Wirski pomyślał, że trudno wierzyć, aby rodzice Bożenki zechcieli zaakceptować związek córki z początkującym nikomu nieznanym literatem.

Z drugiej jednak strony, znając dumną niezależną naturę panny Brodzkiej, można było przewidzieć, że to ona, a nie rodzice, miałaby w tej sprawie ostatnie słowo.

Kto wie, czego nie dowiedziałyby się jeszcze od spowiadającego się przed nim skazańca.

Michał Brocha wydawał się szczerzy i prawdziwy; mówił szybko i z przejęciem, jakby bał się, że niezdąży zrzucić z siebie całego ciężaru win prawdziwych i urojonych.

Właśnie wrócił do spraw majora Kowadły, wspomniawszy o jego zakusach na Bożenę, kiedy rozbłysk światła, oślepiającego i obezwładniającego, przerwał ich rozmowę.

Gdzieś z tyłu, zza ródlatej wrogiej im mocy, usłyszeli głos.

Głos ten należał do majora Kowadły:

326

Spójrzcie na nich, braciszku!

zwracał się do niewidocznych jak i on asystentów z lokalu przy ulicy Bagatela.

Michał Brocha, student, oraz Ryszard Maria Wirski, kapitan milicji.

Dopiero co byli tacy ważni i tacy wspaniali!

Marzyli im się najlepsze cizie w tym mieście, damulki z wyższych sfer, jakieś artystki!

A teraz, proszę:

jedna kupa gnoju!

Nawet splunąć nie warto!

Są teraz wasi, możecie zrobić z nimi, co chcecie.

Pod jednym warunkiem:

że nie wyjdą stąd żywi.

Dość już miałem kłopotów z tym Wirskim.

A Brocha, cóż!

Chciał mnie zabić ten mały bandyta, więc musi zostać ukarany!

Sądy teraz nierychliwe, wołam wymierzyć mu sprawiedliwość!

Słyszysz mnie, Brocha?

Zostałeś skazany na śmierć za próbę zabójstwa funkcjonariusza Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, majora Mikołaja Kowadły!

Dotarło to wreszcie do ciebie?

Odpowiedział mu głuchy jęk.

No, może i dotarło!

Sporo mnie pracy kosztowało, zanim przyznał się do winy!

Zaczerpnął powietrza i kontynuował swój akt oskarżenia: A teraz Wirski, mówię do ciebie, ty zafajdany inteligencie, sanacyjna wywłoko!

Będiesz za chwilę wisieć, wisieć zajaja, bo taki tu mamy wielkanocny obyczaj!

A dlaczegoż to?

, pewnie zapytasz.

O, nazbierało się przewin, nazbierało, kapitanie Wirski.

Sami wiecie najlepiej, ile tych przewin, ale najgorsza to taka, żeś nie słuchając dobrych rad, nie słuchając koleżeńskich napomnień, brnął w to śledztwo i brnął.

Głupstwżeśnarobił, cogorsza, ośmielił się oskarżyć mnie.  
Mnie, słyszycie, oskarżył o sprzątnięcie tego żydowskiego śmiecia!  
A wszyscy przecież wiedzieli, więc i on powinien wiedzieć,  
329.



że to Brocha przez pomyłkę, zamiast mnie, załatwił tego Szczapę!

Mimo tragizmu sytuacji i wstrętnej parodii sądu kapitanie mógł powstrzymać się, by nie zapytać Brochy, cicho, tak by Kowadło go nie słyszało:

Prawdę mówi ten ubek?

Zabiłeś Szczapę?

Ponowny jęk miał służyć za odpowiedź, ale kapitan okazał się nieustępliwy:

Chciałeś zabić Kowadłę, a zabiłeś Szczapę?

Tak!

Nie!

Jęczał Brocha.

Kowadłę chciałem, a lenie Szczapę.

Wielkie nieba!

zawołał kapitan.

Co ty tam mamroczesz, Wirski?

zainteresował się Kowadło.

Błagasz o litość, żeby ratować swe małżonki?

Czy tak?

Wirski zdołał wreszcie się podnieść, by chociaż w ten symboliczny sposób poprawić swoją pozycję względem niewidocznego, gdyż ukrytego za reflektorem, oprawcy:

Daleki jestem od błagania o litość czy też okazywania skruchy.

Chciałem tylko zauważyć, że przyznanie się oskarżonego do winy, w naszym przypadku oskarżonego Michała Brochy, nie może być podstawą wyroku skazującego.

Odpowiedział murechot Kowadły i podwójny jakiś krzyk, zapewne owych bliźniaków degeneratów.

Wirski, zakuta pała, rozmawialiśmy już o tym!

Ładnie byśmy wyglądali, posługując się taką zasadą!

Nie mielibyśmy wówczas winnych.

330

A więc nie macie, majorze, żadnych dowodów na winę Brochy!

Wręcz przeciwnie, kapitanie, wręcz przeciwnie.

Dowodów nam nie brak.

Nie brak nam świadków.

Alenajważniejsze jest dla nas, by oskarżony sam się przyznał, wyraził należytą skruchę i dopiero skruszony poniósł karę, surową, rzecz jasna.

Ponieważ jednak natura ludzka przewrotna jest i obłudna, zamiast fałszywego żalu za grzechy wolimy połamane kości, wybite zęby i oberwane uszy.

Kapitan musiał przyznać, że nigdy nie spodziewał się podobnej elokwencji u Kowadły.

No, może wyjątkiem było to jego końcowe wystąpienie w gabinecie generała.

Zaskoczyło go zwłaszcza ironiczny ton, samokrytyczna nutka.

Może jednak nie jest takim idiotą, za którego go uważałem, pomyślał, a myśl ta natchnęła go niejaką otuchą.

Nie wszystko tracone, póki tli się jakiś dialog.

Niełatwo będzie mi coś ugrać z tym aniołem zła ubogich, ocenił, ale muszę się przecież starać.

Majorze Kowadło, apeluję do waszego rozumu, rozumu oficera bezpieczeństwa!

Apeluję jako oficer śledczy, milicjant i skazaniec, który ma prawo mieć życzenie.

Nim zgine, chcę wiedzieć, jakie to dowody macie przeciwko Brosze.

Kim są ci "wszyscy", którzy wiedzieli, co wydarzyło się w alei Róż 6A?

Chcę wiedzieć, bo jestem diabelnie ciekaw.

To po pierwsze.

Podrugie zaś, co robią tutaj te dwiepokraki, ci bliźniacy z piekła rodem?

Wojna jest między nami, oficerami.

Ja przegrałem, trudno.  
Wywygraliście, majorze.  
Pewnie zostaniecie odznaczeni i awansujecie.  
331.

Tak to już jest na wojnie:  
zwycięzcy są nagradzani.  
Ależaco ci dwaj?  
Dlaczego te dwie hieny mają się żywić moim truchłem?  
Musiało się to spodobać Kowadło, bo zarechotał wesoło:  
Jak wycoś powiecie, Wirski, toboki zrywać!  
Oni jednak też mają coś do was.  
Właśnie mijarok, jak chcieliście zrobić im krzywdę; za zbieranie złomu na metro mieliście ich posłać, całkiem niewinnych, za kratki.  
Nieładnie z nimi postąpiliście, nieładnie.  
Majorze Kowadło, może i nieładnie, ale na nic lepszego nie zasłużyli!  
Pożałuj się Boże specjaliści od klamek i poręczy!  
Drobne złodziejaszki.  
Niedoszli zabójcy.  
W dodatku dali się pojmać jak dzieci, mnie jednemu, starszemu panu.  
Topatałachy i nieudacznicy.  
Kretyni bez mózgów!  
Ulżył sobie, to fakt.  
Po stronie reflektora usłyszeli teraz strzępy gwałtownej wymiany zdań.  
Wirski postanowił kuć żelazo, póki gorące.  
Majorze Kowadło!  
zawołał.  
Przegrałem i wpadłem wraz z Brochą w wasze ręce!  
Dajcie jednak kopaw dupętem jednojajowypokrakom!  
Major chyba usłuchał tego apelu, bo dobiegły ich przekleństwa, protesty bliźniaków, a potem jakiś łoskot.  
Zza reflektora wychynął kwadratowy sylwetkami majora:  
Wirski, czy ja się przesłyszałem, czy też wy rzeczywiście uznaliście swoją przegraną?  
Majorze, a jak nazwać moją sytuację?  
Przyzna tokażdy, że przegrałem z kretesem!  
332  
A powtórzycie to, Wirski, gdzie trzeba?  
Powtórzę zapewnił kapitan i zabrzmiało to całkiem szczerze.  
Skoro tak, to możemy odłożyć waszą egzekucję.  
Ale warunek: żadnych numerów i tego tam waszego przemądrzania się!  
Zgoda!  
Będę trzymał mordę na kłódkę.  
Wirski, nie o to chodzi, żebyście nic nie mówili.  
Macie odpowiadać na moje pytania inie prawie kazań!  
Dobrze, majorze, ale jeśli mam skupić się nad waszymi pytaniami, to muszę usiąść.  
Mogę zrobić to na betonie, ale wolałbym najakiejś ławce lub krześle.  
Kowadło wydał polecenie i zza reflektora wychynął czwarty oprawca, którego kapitan ochrzcił "emerytem".  
Postąpił ostrożnie w stronę Wirskiego i Brochy; postawił przed nimi sporą drewnianą skrzynię.  
Siadajcie!  
rozkazał major.  
Obaj!  
Kapitan pomógł Brosze usadowić się na zaimprovizowanej ławie oskarżonych.  
Osiągnął więc to, że pomimo wydanych, jak usłyszeli, wyroków, proces miał zostać wznowiony.  
Przy okazji przyjrzał się chłopcu: wyglądała najwyżej osiemnaście, dziewiętnaście lat;  
wychudzony, z maltretowanymi i przestraszonymi, z podbitym okiem, chyba też złamanym nosem, ale

przecież żywy.

Los dajemy jeszcze jedną szansę, pomyślał kapitan, właśnie zewzględu na Michała Brochę!

Będziemy więc walczyć doostatka.

Major zmienił nieco miejsce, z którego kierował akcją.

Usiadł na zaimprovizowanym taborecie obok reflektora

333.

i rozpoczął poszukiwanie papierosów i zapalniczki pokieszeniach marynarki, dając Wirskiemu szansę na szybkie rzenie się dookoła.

Znajdowali się w obszernym i wysokim pomieszczeniu betonowym zapewne stropie w kształcie koleby.

Mógł to być fragment tunelu.

Przestrzeń przed nimi, za reflektoremi plecami Kowadły była niewidoczna, tonęła w ciemnościach. Poprawiając się na skrzyni, tak aby możliwie minimalizować ból, dyskretnie spojrział na lewo, a potem za siebie.

Wydawało mu się, że ma zanadto ścian i kraty.

Zapewne ciągnął się tam tunel przyszłego metra.

Jak długi i w którą stronę, tego, oczywiście, wiedzieć nie mógł.

Trudno zresztą byłoby wyobrazić sobie ich ucieczkę.

Zanim wykonaliby krok, major zastrzeliłby obydwu.

Kowadło znalazł wreszcie papierosy i zapalniczkę.

Zapalił, wypuścił kłęb dymu, który malowniczo oświetlił reflektor.

Tak, Wirski, macie rację.

Jesteśmy w tunelu metra zaczął.

Nie ma stąd ucieczki, bo w obie strony tunel prowadzi donikąd.

Jest przy tym głęboki; znajdujemy się do dobrych kilka pięter pod ziemią.

Na powierzchnię wydostać się można tylko tym szybem wskazał ręką naciemność za sobą i tylko za pomocą dźwigu, którego obsługa znajduje się na powierzchni.

Tak więc, majorze przerwał mu Wirski wszyscy jesteśmy więźniami.

Nie tylko ja i Brocha.

A czemuż to, kapitanie, tak myślicie?

334

Bo czy wy, majorze, czy ktokolwiek, kto znajduje się pod ziemią, będzie chciał wydostać się, zdany jest na łaskę i niełaskę tych na górze.

Major zarechotał:

Ale to są, Wirski, moi ludzie!

A oni nie robią mi żadnej łaski, tylko wykonują moje rozkazy!

Dobrze, majorze.

Ale niech im się coś stanie?

Niech ktoś ich spłoszy lub po prostu przegoni?

Przecież jesteście tu potajemnie, bez czyjejkolwiek wiedzy i zgody.

Argument trafił, być może, do Kowadły, bo na chwilę zamilkł, kontentując się efektami powodowanymi przez światło reflektora i dym z jego papierosów.

Defetyzm się jecie, Wirski, i wrogą propagandę!

Nikt nie przyjdzie i nie wykurzy moich ludzi.

A skąd wiecie, że nie?

Myślicie, że tam nikt mnie nie szuka?

Koledzy?

Przyjaciele?

Kobiety, na koniec?

Myślicie, że moje porwanie ujdzie wam na sucho?

Oj, Wirski, Wirski!

zachnął się major.

Macie mnie za idiotę!

Już raz przez to wpadliście.

Przez to wasze poczucie wyższości.

Strzał był celny.

Wirski nie miał, jak dotąd, ani czasu, ani sposobności, aby zrobić rachunek sumienia i zastanowić się

nad przyczynami klęski.

Zdanie wypowiedziane przez majora miało rachunek ten rozpocząć.

Brocha, który dotąd biernie przysłuchiwał się i przyglądał rozwojowi wydarzeń, chwycił dyskretnie kapitana za rękę, silnie uściskał i wyszeptał, nie obracając się jednakku niemu:

335.

Jest stąd jednak inne wyjście niż szybem na Skolimowskiej.

Wiemto odSzczyby.

Gdzie jest?

Chybaż nami, jakieś kilkadziesiąt metrów.

Prowadzi

do kamienicy przy Klonowej.

Majorze oświadczył uroczyście Wirski to był błąd, który już się nigdy nie powtórzy.

Proszę o wybaczenie i o papierosa!

Co, już lepiej się poczuliście, Wirski?

Znajcie jednak

pana!

to mówiąc, podszedł w stronę skrzyni.

W tym momencie zza reflektora wychynął "emeryt", mierząc w milicjanta z jego własnej tetetki.

Major włożył dukat do ust Wirskiego, uruchomił zapalniczkę i podsunął ogień.

Potem zapytał Brochę:

Nie palicie, prawda?

Nie odpowiedział młodzieniec.

To, dobrze, Brocha.

Umrzecie zdrowi.

Szansę zaatakowania Kowadły kapitan ocenił jako zerową.

Major odwrócił się i ruszył niespiesznie do swego miejsca obok reflektora.

I w tym właśnie momencie stał się cud przynajmniej tak to wydarzenie ocenił później

Wirski.

Zgasło światło reflektora.

Co jest!

wrzasnął major.

Miast odpowiedzi usłyszeli wystrzał z pistoletu.

Kula

świsnęła koło ucha Wirskiego.

We mnie mierzył czy w Kowadłę?

, zastanawiał się Wirski.

A jeśli nawet we mnie, to mógł postrzelić majora!

336

Fraczek, do kurwy nędzy!

Co wy wyprawiacie?

krzyknął major.

I włączcie natychmiast to światło!

Miast odpowiedzi usłyszeli rumor przewracanych narzędzi z metalowych konstrukcji.

Potem przekleństwa rzucone przez "emeryta".

Odpowiedział mu wrzask bliźniaków:

To nie my, Fraczek, nie my!

Ktoś wyłączył światło.

wyłączył!

Padły kolejne razy.

Debile!

Idioci!

Usłyszeli, że repetuje broń.

Znowu, w kompletnych ciemnościach, rozległ się wystrzał.

"Emeryt" mierzył bardziej w lewo, sądząc, że z tej strony dosięgnie swój cel.

Kula odbiła się od betonowej ściany i wbiła w skrzynię tuż obok Wirskiego, który zdążył już rzucić się na ziemię, pociągając za sobą Brochę.

Major uczynił najwyraźniej to samo, bo moment później znalazł się obok kapitana, chroniąc się przed strzałami zamachowca.

Obłąkany snajper wystrzelał już cały magazynek, ładując kule w poblizę skrzyni, nie dosięgając jednak nikogo.

Jakby zapalił światło, jużby nas miał!

powiedział major i spokojnie wychylił się zza drewnianej osłony.

Wymierzył w ciemność, celnie przecież, gdyż usłyszeli huk pękającego reflektora.

Potem oddał jeszcze dwa strzały, ale prawdopodobnie bez rezultatu.

Kilka sekund później sytuacja zmieniła się raz jeszcze.

Usłyszeli skrzek jednego z bliźniaków:

Mamy wasobu, panowie oficerowie!

Nie ruszać się, bo ustrzelimy jak wściekłe psy.

337.



A to zmije!

syknał Kowadło.

Mieliście rację, Wirski.

To padlina, a nie ludzie.

Dłapoparcia swojejgroźby bliźniacy wystrzelili.

Niemaljednocześnie.

Kule dzwoniły przez chwilę rykoszetami, a na głowy ostrzeliwanych posypały się spore kawałkibetonu.

Jakiś grubszykaliber zawyrokował major i oddałstrzał w stronę napastników.

Chyba 8,62!

Skąd oniwytrzasnęli taką armatę?

Nie ma co, wycofujemy się, majorze powiedziałWirski.

Tylko dokąd, Wirski, dokąd?

Za nami ślepaściana.

Niekoniecznie, majorze!

Brocha twierdzi, że kilkadziesiąt metrów stąd jest jakieś dodatkowe wyjście.

Dokamienicy przyKlonowej.

Tak, Brocha?

Młodzieniec przytaknął.

Ponowna kanonada, niebezpiecznieogniskująca się jakiś metr od nich, spowodowała, że gdytylko skończyły się rykoszety, podnieśli się i ruszyli w głąbtunelu.

Major musiał ich znacznie wyprzedzić; kapitan niemógłbiec, podobnie jak mocno kulejący Brocha.

Jednak, ku zaskoczeniu kapitana, Kowadło zatrzymał sięniecałe sto kroków od miejsca, zktórego ruszyli.

Prawiewpadli na niego, gdy usłyszeli jego ciężki oddech.

Wówczas major zapalił zapalniczkę i rozkazał Wirskiemu, abyodwrócił siędońplecami.

Błyskawicznierozkuł kapitana, a pochwili uczynił to samoz Brochą.

336

Może nie powinienem, boście oczajdusze, ale teraznajednymwózku jedziemy.

Okrzyki ścigających, błysk latarek i kolejna kanonadanadały tym słowom dodatkowej mocy.

Dostałem rykoszetemw ramię oświadczył bezemocji Kowadło.

No, gdzie to wyjście?

Kilka metrów nad poziomem tunelu.

Musimy znaleźćrusztowaniena końcu odcinka i wspiąć się na nie!

A potem szukać drewnianych drzwi.

Nie metalowych, tylkodrewnianych wyjaśnił Brocha.

Zuch pomyślał Wirski a nie wyglądał natakiego!

Dotarli do końca odcinka.

Kowadło poświecił znowuzapalniczką.

W istocie, tunel zamykało wysokie rusztowanie.

Metro skręcało tutaj w lewo, w stronę placu UniiLubelskiej i lekko biegło w górę.

Wdrapanie się na rusztowanie poprowizorycznych schodach i drabinachnie było łatwe.

Major wystrzelił jeshcedwarazy, zabezpieczając ich odwrót.

Klął przy tym z powodu odłamka wlewym ramieniu, a kapitan poczuł ponownie skutki zetknięcia zbciorami bliźniaków i "emeryta".

Ścigający, widać dobrze zaopatrzeni w amunicję, oddawaliw ich stronę kolejne salwy z karabinów.

W najlepszejformie okazał się Brocha; bez jego pomocy nigdyby niewdrapali się nawysokość dobrego przedwojennego piętra.

Napodeście znaleźlikarbidową lampę, którą majoruruchomił za pomocą zapalniczki.

Teraz w jej żółtym świetlemogli dokładnie przyjrzyć sięścianie poprawej stronie.

339.



Są! wykrzyknął Brocha.

Są metalowe, a potem drewniane drzwi!

Były, oczywiście zamknięte, ale major przestrzelił zamek jednym strzałem z pistoletu.

Drzwi odskoczyły ze zgrzytem, odsłaniając wysoki na dwa metry korytarz.

To był ostatni pocisk w magazynku oznajmił Kowadło.

Zyskał teraz dodatkową przewagę nadpościgiem, którą powiększyli jeszcze, tarasując drzwi od wewnątrz jakimiś skrzyniami i workami.

Te ostatnie wyglądały na skamieniałe od wilgoci zapasy cementu.

Pod ścianę takich, kapitanie, i kula wleń za niechlujstwo!

skomentował Kowadło, a Wirski pomyślał, że poraz pierwszy całkowicie zgadza się z majorem.

Ruszyli w głąb korytarza, który zaprowadził ich do prowizorycznych schodów, trzydziestu, jak policzył kapitan, a potem do kolejnych drzwi.

Te, choć wykonane z solidnego materiału, ustąpiły bez trudu, ponieważ nie wmontowano w nie jeszcze zamka.

Znaleźli się w niewielkiej sieni, po sforsowaniu jeszcze jednej przeszkody oraz kolejnych schodów, wypadli wprost na dziedziniec szkoły.

Nie było wątpliwości, że trafili na teren żeńskiego liceum ogólnokształcącego imienia Narcyzy Żmichowskiej.

Tylko brakuje, abyś mynatknęli się teraz na grzeczną pensjonarkę, spiesząc na południowe zajęcia muzyczne, pomyślał kapitan.

Ale raczej nic z tego, zaczęły się już ferie wielkanocne.

W świetle dnia spojrzała Kowadło, który prezentował się nieszczerze w potarganym i zaplamionym krwią

340

garniturze.

Spod rozdartej marynarki wychynał pistolet na szelkach.

Ja sam, z rozwaloną twarzą i zakrwawionym mundurem wyglądać muszę jeszcze gorzej, ocenił realistycznie.

Na wszelki wypadek, gdyby pościgowi udało się dotrzeć aż tutaj, stanęli pod ścianą budynku, usuwając się z linii strzału od drzwi na podwórko.

Uczennic nie było, ale zato pojawił się, widać czujny, pedel, podobny trochę do tego, którego Wirski widywał przed wojną.

Na widok trzech intruzów w zakrwawionych i postrzępionych ubiorach zamierzał rzucić się do ucieczki.

Stać!

Służba bezpieczeństwa!

krzyknął Kowadło, który pomimo odniesionej rany pełen był animuszu.

Poparł swój rozkaz czynem: wyciągnął z kabury pistolet i wymierzył w pedla.

A kiedy ten zatrzymał się i uniósł rękę nad głowę, rozkazał: Prowadźcie nas do telefonu!

Wykonać, natychmiast!

Ruszyli za przerażonym pedlem.

Wprowadził ich, wciąż uniesionymi rękoma, do gabinetu dyrektora szkoły.

Major chwycił za telefon, czekając na połączenie, rzucił ku dozorczy, starszemu już mężczyźnie przed wojenną zapewne służbową maciejówce:

Możecie już opuścić ręce!

A teraz tylko spokojnie!

Jeden gwałtowny ruch i łeb rozwale.

Halo!

Halo!

Major Kowadło z tej strony.

Wirski z Brochą poszli do szkolnej toalety, by zmyć sobie krew i doprowadzić się choć

trochę do porządku.

Kapitan zostawił drzwi uchylone, gdyż chciał słyszeć  
341.

rozmowę swojego śmiertelnego jeszcze przed chwiląwroga.

Major ryczał swoim zwyczajem,miotającoskarżeniapod adresem trzech agentów: Fraczka i dwóch jeszcze pseudonimach "Kozak" i "Gąska", zarzucając im spisekzbrojny przeciwko sobie oraz bezpieczeństwu państwa.

Na koniec powiedział coś, co zaskoczyło kapitana:

...I gdyby nie ten Wirski zkomendy stołecznej, tobym,towarzyszu,ziemię już gryzł.

tak, Wirski, mówię.

tensam.

tak, sytuacja zmieniła się, jak tona wojnie.

tak.

nie..

zobaczmy.

Niebywałe!

, kapitan pokręcił głową.

Wie chyba, że gosłyszę, więc mówi tak dla uspienia mojej czujności.

A janie chcę być tą żabą z opowieści o złym skorpionie.

Jakiekolwiek by byłyintencje majora Kowadły,i bezwzględna na to, jak oceniałje Wirski, musieli zawrzeć rozejm.

Co do tego niebyło wątpliwości.

Nie podalijednaksobie rąk.

Po tym, co się wydarzyło, nie byłoto możliwe.

Kapitan zaproponował majorowi,że opatrzy jego ranę, aleten tylko machnął prawą, zdrową kończyną.

Gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta powiedział.

Na całejawanturze zyskałtylko Brocha,dwukrotny morderca,niedoszły mój i całkiem skutecznytowarzyszaSzczapy.

Nieprawda, majorzebronił się młodzieniec nikogo nie zamordowałem!

Ale chciałeś, Brocha!

Ty i Szczapa,obaj na spółkę!

Uznajmy, na razie,że to nie mój problem!

Więc niechsięWirskimartwi,co ztobą zrobić!

342

Kapitan chciał o coś zapytać,ale major, jak to miałw zwyczaju, obrócił się na pięcie i wyszedł bez pożegnania.

Zostalisami z oniemiałym z wrażenia pedlem.

Ja też muszęzadzwoić oświadczył Wirski i wykręciłnumer TaniRypnis.

W słuchawce odezwał sięsilny, męski głos:

Tu Adam Rypnis.

Słucham?

Nie wiedział, jak zareagować,więc odłożył słuchawkę.

Niby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło: po dwóchtygodniach nieobecnościpowrócił do domu mążTani, tenor, ulubieniec warszawskiej publiczności.

Pozostał jednakciern wsercu, kolejny już,po rewelacjach Tanina tematjej romansu zmajorem.

W czasie ucieczki zgubił gdzieś zegarek, zabytkowegoschaffhausena, albo też, co bardziej prawdopodobne, obrabowany został przez "emeryta" Fraczkalub upiornychbliźniaków.

Swoją drogą, nietylko awarii światła, ale takżeich nieudanemu zamachowi na majora Kowadłę zawdzięczał życie.

O co tu chodzi?

, zastanawiał się.

Wewnętrzneporachunki?

Przecież to nie chicagowska mafia, tylko solidny kontrwywiad,policja polityczna na miarę

gestapoczy NKWD.

Bez względu na to wszystko, co sam przeżył, wiedział o zbrodniach bezpieki, trudno mu było uwierzyć w wydarzenia ostatnich godzin.

A jednak wypadki układały się w logiczną całość.

Szefowie Kowadły nie byli, zapewne, zachwyceni tym, że major przeżył.

Przecież to oni musieli zlecić jego likwidację, konstatawał.

Trudno wyobrazić sobie, że degenerat Fraczek oraz tych dwóch

imbecyli strzelało do majora z własnej inicjatywy.

W sumieniuły plan: najpierw my, potem major.

Ikonic sprawysekretarza Szczapy!

Spojrzała ścienny zegar: dochodziła siódma wieczorem.

Tak więc upłynęło ponad sześć godzin od chwili, gdy wiedziony ciekawością przekroczył próg lokalu przy Bagatela 13.

Sześć godzin, z których za ledwie dwie zapisał się jego świadomości.

Co z pozostałymi czterema?

Czy to możliwe, aby tak długo pozostawał nieprzytomny?

Gdzie był przez te cztery godziny?

Brocha powiedział mu, że odchwili, gdy wrzucono go do tunelu metra, do ocknięcia się, minęło "niewiele czasu".

Zatelefonował do doktora Kierszmana, prosząc, by ten zechciał go przyjąć.

Anatomopatolog z Dworkowej nie pytało nic; zachęcał, by kapitan przybył natychmiast.

Umówił się z doktorem za godzinę, w jego mieszkaniu przy ulicy Szustra.

Miał nadzieję, że w międzyczasie doładoprowadzić się w dom jako takiego porządku.

Został mu jeszcze Michał Brocha.

Na coty czekasz?

zwrócił się do młodzieńca.

Dzwoń szybko do swojej damy!

Przecież ona myśli, że nie żyjesz albo że ją opuściłeś!

Nie trzeba było specjalnie zachęcać Brochy, aby wykręcił do brzesobieżny numer, zaczynający się na cyfrę trzy.

Wirski wyniósł się dyskretnie do łazienki.

Na ulicy Flory na szczęście nie było nikogo, poza trzema urwisami konspiracyjnymi w bramie podpiątką.

Kapitan rozpoznał od razu platynowego Włodzia oraz starszego

344

odeń o rok, dwa, znanego w okolicy Łobuziaka.

Trzeci uczestnik zgromadzenia okazał się dziewczynką, może dlatego wydawał się zrazu niecomłodszy od tamtych.

Nawidok Wirskiego, miast schować się, jak to mieli dotąd zwyczaj, rzucili się ku niemu.

Nieźle pana urządzili stwierdził najstarszy.

A co tobie do tego?

obruszył się Wirski.

Zmykajcie do domów, i to już.

Cała trójka!

Panie oficerze odezwał się jasnowłosa ja widziałem, jak to było!

Co widziałeś, Włodziu?

zainteresował się kapitan.

Stałem tam na ulicy, gdy wchodził pando biura podtrzynastym.

Zajrzałem przez uchylone drzwi i zobaczyłem, jak bandyta uderzył panaczymś ciężkim w głowę.

Bardzo się przestraszyłem i uciekłem!

Wielkie nieba!

teraz to kapitan przestraszył się niena żarty.

Mam nadzieję, że nikt cię nie zobaczył!

Nikt, jak mamę kocham!

I że nie mówiłeś o tym nikomu?

To byli bardzo niebezpieczni bandyci; gdyby dowiedział się, że ich widziałeś.

Lepiej nie mówić!

Powiedziałem tylko Staszce, że chłopiec wskazał na przywódcę trójki.

Ale widzisz,ona też wie!  
wskazał teraz na dziewczynkę.  
I może ktoś jeszcze.  
Może jej matka?  
Umiemy trzymać język za zębami stwierdził Staszek.  
Ja, Włodzio, anawet Grażynka.  
Mamy swoje tajemnice,o którychnie mówimy dorosłym.  
345.



I niech tak zostanie!

Bardzo was proszę, nie mówcie nikomu!

To dla waszego bezpieczeństwa.

A teraz nie proszę, ale rozkazuję: marsz do domów!

Wykonać!

Usłuchali, chociaż niechętnie.

Wirski skierował właśnie Brochę w stronę bramy swej kamienicy, kiedy jasnowłosość odłączył się od reszty i podbiegł do kapitana.

Panie oficerze, jest jeszcze taka sprawa.

wykrztusił.

Boże wielki, co ty zmalowałeś?

Niczego nie zmalowałem, ale widziałem jeszcze coś.

jak ładują wielki worek, worek z panem w środku do furgonu, a potem wywożą w stronę budowy metra na Skolimowskiej.

Coraz lepiej, pomyślał spanikowany kapitan.

Emili detektywi} To dobre było w Republice Weimarskiej, ale nietutaj!

Co jeszcze wiedzą te smarkacze?

Skąd wiesz, że właśnie do metra na Skolimowskiej?

zapytał.

Bo zawsze tak robią.

Wywożą trupy do metra na Skolimowskiej!

Zawsze?

Włodziu, poniosła cię fantazja!

Co ty wygadujesz?

Niezauważył, kiedy powróciło tamtych dwoje, Staszki i Grażynka.

Powiedziałeś?

zapytał Staszek.

Właśnie mówię wyjaśnił.

Nie mogliśmy nic dla pana zrobić, więc tylko przyszliśmy tam wieczorem.

Staszek zakradł się z łomem pod transformator.

i raz,

346

dwa, trzy.

transformator przestał działać!

Zgasło światło, wysiadła winda!

Uszkodziłeś, Staszku, transformator?

To bardzo niebezpieczne!

Przecież mógł cię prąd porazić i zabić!

Nie takie rzeczy się robiło!

oświadczył Staszek dla podkreślenia swej dorosłej sprawności, a zarazem pełnej suwerenności, wyjął z kieszeni nadpalonego mazurka i włożył do ust.

Wyglądało na to, że oczekuje, iż Wirski poda mu ogień.

Wyrzuć to świństwo!

rozkazał kapitan.

A o tych waszych wyczynach pogadamy jeszcze!

Ale spokojnie chłopców to będzie tylko nasza tajemnica.

Przyrzekam!

Słowo oficera.

Staszek schował petardo z kieszeni.

Kiedy już Wirski wchodził do windy, usłyszał huk od strony ulicy.

To Staszek, Włodziu i Grażynka, którzy uratowali dziś życie osobom, strzelali z kalibru.

Najwyraźniej była to próba generalna przed wielkanocnym porankiem.

Nie udało się, jak miał nadzieję Wirski, przemknąć niepostrzeżenie do swojego pokoju. W korytarzu było jednak ciemno, spaliła się żarówka i nie było komu poświęć niczego, więc czyhająca pod drzwiami "wiedźma" Międzyńska nie dostrzegła ich opłakanego stanu. Kapitan najbardziej bał się spotkania z Mirką Rohozińską, ale to zostało mu oszczędzone.

Wirski przyniósł w dzbankach ciepłą wodę do mycia i wyciągnął z kredensu pełniącego rolę szafy swoje za 347.

pasowe ubranie.

Stary garnitur okazał się sporo za dużym dla szczupłego młodzieńca, podobnie jak koszula i inne dodatki, ale Brocha, szczęśliwy, że może zrzucić sztywny odbrudzony łachy, nie zważał na takie szczegóły.

Umyli się, przebrali i usiedli przy stole; Wirski w swoim odświętym garniturze, w którego kieszeni odkrył napoczęte pudełko belwederów.

Ucieszony tym znaleziskiem zapalił.

Zrobiłom się słabo, w uszach zadzwoniło głośniejsze niż dotąd, ale nie poddawał się.

Kiedy organizm uspokoił się nieco, poczuł silny głód.

Przypomniały mu się dwie kanapki wyrzucone do słuźwaczki w lokalu przy Bagatela 13.

Szczęśliwie na dnie szuflady odkrył starannie zapakowane w papier resztki uczyty spożytej przed trzema dniami z Mirką Rohozińską.

Pokancerowane przednie zęby psuły mu przyjemność jedzenia.

Przełknął kilka kęsów chleba z kielbasą; również Brocha, pomimo wygłodzenia, jadł powoli z trudem.

Jak powiedział, w ciemnicy pod Skolimowską dostał tylko kilka sucharów i trochę kawy zbożowej.

Brocha, wiem, w jak marnym jesteś stanie, ale musisz mówić dalej.

Jeśli mam ci pomóc, powinienem znać prawdę.

Całą prawdę, choćby i bolesną dla ciebie!

Zrozumiałeś, chłopcze?

Przytaknął.

Tak więc karty na stół!

Aleco mam jeszcze powiedzieć?

Jak to co?

zachnął się Wirski.

Powiedzieć, dlaczego chciałeś zabić Kowadłę i dlaczego zabiłeś nie jego, ale Szczapę.

348

Brocha jęknął.

Przełknął kęs chleba, popił kawą, którą właśnie zaparzył kapitan, i powiedział:

Więc dobrze!

Rzeczywiście, planowałem zamach na majora.

Dlaczego?

Wie pan, kapitanie, doskonale!

To kanalia!

Wszystko, co zrobił Bogusławowi, mnie i Bożenie mogłoujść mu bezkarnie.

Nie tylko to.

Byłgroźny, wiedział wiele o Bogusławie; dobierał się także do Bożenki, do jej rodziców, do profesora Brodzkiego.

Niestety, sami mu to z początku ułatwiliśmy.

Bożena wygadała się z pewną sprawą, którą mogła zaszkodzić jej ojcu.

Chodziło o telewizję.

Wirskiego, od kilku dni entuzjastę telewizji, korciło, aby zapytać, co to za sprawa związana z nowym wynalazkiem, a lenie chciał przerywać.

Kowadło szantażował Bogusława; groził, że ujawni jego związki z masonerią, z lożami okultystycznymiprzed wojną i dzisiejszymi organizacjami o podobnym charakterze.

Z lożami?

Dzisiaj?

Brocha, co ty wygadujesz?

I ja uważałem, że to jakieś brednie, ale w końcu małem wiem o stołecznym życiu, o masonerii, o takim czynnym podziemiu.

Małowiesz, bo i nie ma czego wiedzieć.

Nie ma już żadnej masonerii, nie ma łóż iokultystów, zrozumiałeś?

Mamyza to motyw planowanego przez ciebie zabójstwa.

A teraz powiedz, jak chciałeś pozbyć się majora?

Za pomocą trucizny, pistoletu?

Nie jestem, tak jak Bożena, czytelnikiem kryminałów.

Niczego konkretnie nie planowałem, szukałem raczej okazji, czekałem na sprzyjający moment.

349.

I tak właśnie należy działać!

wyrwało się Wirskiemu.

Czekać na odpowiedni moment.

Mam nadzieję, że nieaprobuje pan zbrodni.

Brochawydał się bulwersowany taniem zwykłą pochwałą.

Ależ uchowaj Boże!

Choć przyznaję, Kowadło to wyjątkowy drań.

Sam miałem ochotę go uśmiercić, posyłając na szubienicę.

Jako mordercę Szczapy i szantażystę.

Czy major zamordował Bogusława?

Tego nie wiem.

Jeśli jest prawdą, że Bogusław nie żyje, to major walczył do tego przyczynił!

Ale ja też tego nie zrobiłem, nie zabiłem Bogusława!

O śmierci Szczapy za chwilę.

Jesteśmy teraz przy zamachu na majora.

W sprzyjającym, jak powiadasz, momencie.

Taki właśnie moment pojawił się przedostatni piątek, na dzień przed planowanym przeze mnie wyjazdem do Wrocławia.

Wracaliśmy wieczorem z pożegnalnej kolacji w Cristalu, wspominałem już o tym kapitanowi.

Nagle, już w bramie domu przy alei Róż, pojawił się major.

Chybanas śledził albo czekał w pobliżu.

Był mocnypijany; oczywiście nie tak, aby nie wiedział, co się wokół niego dzieje, ale chwiał się mocno na nogach.

Chciałem, by zostawił nas w spokoju; on jednak odepchnął mnie i wtedy się przewrócił.

Upadł, boleśnie uderzył głową o lastrykową posadzkę.

Wówczas pomyślałem, że gdybyśmy weszli na podest pierwszego piętra.

barierka jest niska, wystarczyłoby tylko lekko pchnąć pijanego majora, żeby poleciał głową w dół.

350

Więc jednak!

Tę właśnie śmierć zadał ci symbolicznie, wyrzucając twojego sobowtóra z trzydziestego piętra Pałacu Kultury!

Zanim go jednak zabił, upił do nieprzytomności.

Co to, Brocha, co ci jest?

zaniepokoił się.

Ciałem Michała Brochy wstrząsnęły konwulsje: reakcja organizmu na stresy ostatnich dni, oczywiście, na rewelację kapitana.

Dowiedział się właśnie, że ktoś do niego podobny zgładzony został w ostatni czwartek przez wypchnięcie za balustradę tarasu widokowego najwyższego w Europie budynku.

Przepraszam, Brocha, nie chciałem cię przestraszyć!

Musisz jednak wiedzieć, że prowadzę śledztwo nie tylko w sprawie śmierci Bogusława Szczapy, ale także i twojej, to znaczy kogoś o twoich personaliach.

Kiedy porwali cię sobotę, miałeś przy sobie dokumenty: legitymację ZMP, kartę biblioteczną.

Miałem, kapitanie młody człowiek wracał już do siebie.

Wykorzystali je dla sfingowania twojej śmierci.

Samobójczej śmierci.

Scenariusz był prosty: targany wyrzutami sumienia po zabójstwie Szczapy, porzucony przez narzeczoną zardrosną o twój związek z sekretarzem, targnąłeś się skutecznie na życie.

Sprawa zostaje tym samym zamknięta; wszyscy rozchodzą się spokojnie do domów, by tam,

przyświeconym i suto zastawionych stołach, nowiesz, szynka z kością, cielęcina na zimno, grzybki i baby drożdżowe, oddać się radościom życia rodzinnego.

Kowadło jest kawalerem zauważył Brocha, który potraktował serio tyradę kapitana.  
351.

Ale i jemu nieobce są zwykle marzenia o święconymna Wielkanoc albo choince na Boże Narodzenie.

Aledorzeczy!

Dlaczego jednak nie zabiłeś?

Uratowałgo Bogusław!

Może przypadkiem, a możeprzejrzał mójzamiar.

Dośćże odepchnął mnie w decydującym momencie.

Chociaż zamach okazałsię nieskuteczny, to przecież niedoszła ofiara widziała,co się święci.

A mogło być i tak, że Bogusław opowiedziałmu o wszystkim następnego dnia.

Nienawidził majora, ale był muposłuszny.

Tak bez reszty zależny od niego?

zapytał Wirski.

Nie podjął jakiegó próby,żeby uwolnić się od prześladowcy?

Fakt, że czasami starał się walczyć; ostatnio próbował się od niego uwolnić.

Chybajednak za późno, skoronie żyje.

Nie żyje, bo go zamordowano.

A to, co teraz mówisz,dawalo wystarczający powód, żebyusunąć Szczapę jakoniewygodnego świadka prowokował kapitan.

Brochaskrzywił się.

Eee tam, chyba tylko w tych powieściach Bożenki.

Za bardzolutubiłmy Bogusława, żeby zrobić mu choćbynajmniejszą krzywdę.

Owszem, irytował nas, mieliśmymu za złe uległość wobec Kowadły, zakusy na Bożenkę,alezabić?

Wykluczone!

Powiedzmy, Brocha, zeci wierzę.

Tylko i wyłącznieteoretycznie, dla skonstruowania nowej hipotezy.

To jeszcze nie uniewinnienie, to zawieszenie zarzutu.

Rozumiemy się?

352

Młodzieniec przytaknął; czy miał jakieś inne wyjście?

Co dalej?

Doszło do gwałtownej sprzeczki między mną i Bogusławem.

Przysłuchiwała się temu Bożenka.

Usłyszawszy, że chciałemzabić majora, nazwała mnie mordercą i zbiegłanadółz płaczem.

Od tego momentu nie widziałem jejwięcej.

Coz majorem Kowadłą?

Tenzachowywał się tak, jakby nie wiedział, co sięwydarzyłolub też wydarzyćmiało.

Dziś wiem, jak bardzosię myliłem.

Stary lis nie dał niczego po sobie poznać,bo bał się, że możepróbuję jeszcze raz.

A byłtak zalany,że nie mógłby wyciągnąć pistoletu z kabury.

Skorzystałz mojej kłótni z Bogusławem iszybko wycofał się z domupod szóstym.

Chyba nie doceniasz umiejętności, siły i odpornościmajora.

Jestem pewien, że dałby sobie radę z pięciomatakimi jak ty czy Szczapa.

Nawet pijany wtrupa.

To twardyfacet, chociażkanalia, jak powiadasz.

Zapewne ma pan rację.

Wtedy jednak myślałeminaczej.

Tak więc pokłóciłeś się ze Szczapą z powoduKowadły.

I nie tylko z jego powodu.

Tych spraw,które naspodzieliły, uzbierało się kilka.

Wystarczyło, żeby siępokłócić.

Ale tylko pokłócić!

Wierzę ci, jak już powiedziałem, ale nie dokońca.

353.



Bożenka wybiegła z płaczem, major zsunął się poschodach w dół.  
W końcu ją zostawiłem Szczapę.  
Był w podłym nastroju, podobnie jak ja.

I to wszystko?

Nie starałeś się spotkać z Bożenką, porozmawiać z nią?  
Tak ją sobie odpuściłeś?

Skądże znowu, kapitanie!

Wydzwaniałem do niej jakszalony, ale wie pan, jakie to trudne, kiedy nie ma się własnego telefonu, a automat przy placu Trzech Krzyży wszystkie inne w pobliżu zniszczone przez chuliganów.  
Dość że rozmawiałem tylko z jej matką.  
A ta mnie spławiła.

Wirski przypomniał sobie zeznanie gospodyni Szczapy, która wspomniała o nieczynnym telefonie naprzeciw Instytutu Głuchoniemych.

Zniszczony?

Czy tylko zepsuty?  
zapytał podstępnie.

Właściwie to ani zepsuty, ani zniszczony; okradziony.  
pozbawiony słuchawki.  
reszta została na miejscu.

Była to prawda.

Wirski sprawdził ten szczegół jeszcze w poniedziałek, wychodząc z knajpy przy Mokotowskiej.  
I Bryś, i Brocha nie kłamali, przynajmniej jeśli idzie o telefon.  
Ale Bryś wspominała coś o czwartej osobie, jaka miała brać udział w piątkowej kolacji, o przyjaciółce Bożenki, Wandzi, jasnowłosej dziewczynie zdługim warkoczem, równie jak ta elegancko ubranej.

Czy w poźegnalnym spotkaniu brał udział ktoś jeszcze poza wami i Szczapą?

Po raz pierwszy od początku zeznania Brocha sprawił wrażenie skonsternowanego.

354

Prawda, nie wspominałem o Wandzi, koleżance Bożeny z liceum Batorego.  
To szkoła koło liceum plastycznego.

Towiem, młody człowieku; nie rozumiem jednak, dlaczego pominąłeś Wandę w swej relacji?

Głupia sprawa, kapitanie.

Byłem, jak pan już wie, zazdrosny o Bożenę.

Bogusław jej nadskakiwał, czynił różne propozycje.

Pomyślałem sobie, że kiedy pozna przyjaciółkę Bożeny, bardzo atrakcyjną dziewczynę, to może zainteresuje się nią i pozostawi Bożenę w spokoju.

To niemoralne!

oburzył się Wirski.

Nazywa się stręczycielstwem!

Brocha pochylił głowę, zawstydzony.

Bogusław znał Wandę już wcześniej i rzeczywiście, spodobała mu się.

To on zaproponował, żeby na piątkowy wypad do miasta zaprosić też Wandzię.

Zgodziliśmy się Bożeną bez wahania, a Wanda przyjęła zaproszenie.

I co?

Wandzia była także świadkiem sceny na schodach i późniejszej awantury?  
drażył kapitan.

Nie, bo pożegnała się z nami pod domem Szczapy.

Nie przyjęła jego zaproszenia, żeby pójść jeszcze na górę.

Wydawała się skonfundowana tą całą sytuacją.

I chwała Bogu!

Przynajmniej ją mamy, narazie, zgłowy.

Co stało się później, po tej awanturze?

Czy starałeś się skontaktować ze Szczapą?

Przeprosić, jakoś wyjaśnić załagodzić sprawę?

Nie miałem zamiaru go przeproszać ani tym bardziej udawać, żenic się nie stało odparł hardo Brocha.

355.

Dalszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu.

To zaniepokojony Kierszman pytał, kiedy wreszcie zjawi się mówiony pacjent.

Wirski, tłumacząc się złym stanem swoim i drugiego jeszcze pacjenta, ubłagał doktora, by ten zechciał pofatygować się na Flory, oczywiście z torbą wypełnioną stosownymi narzędziami i lekami.

Nie było to proste zadanie, jako że anatomopatolog stanowił typ domatora, człowieka niechętnego spacerom i lekarskim wizytom.

Może właśnie dlatego obrał specjalizację, w której nie trzeba było chodzić po domach pacjentów, jako że oni sami cisi już i pokorni zjawiali się w jego pracowni przy Dworkowej.

I co dalej, Brocha?

dopytywał się Wirski.

Zanim młodzieniec zdążył cokolwiek odpowiedzieć, telefon odezwał się po raz wtóry.

Tym razem była to Tania.

Usłyszał w słuchawce jej szloch; przemawiał do niej długo i czule, zanim się nieco uspokoiła i mogła powiedzieć:

Nie mów nic, Ryszardzie!

Wiem już wszystko lub prawie wszystko!

Co takiego wiesz, Taniu?

Zadzwonił do mnie Kowadło i przez pół godziny opowiadał mi o wszystkich drastycznych szczegółach tego, co wydarzyło się przy ulicy Bagatela, później zaś w tunelu metra.

To straszne, to, co oni ci zrobili, i to, że chcieli cię zabić!

A czy powiedział ci ów czarujący informator, że głownie to ja wraz z młodą Brochą mieliśmy iść narozwagę?

Wszystko mi powiedział!

Nawet to, że chciał cię

356

zlikwidować!

Że pozwolił, by cię biły tych trzech bandytów.

I to, że teraz bardzo tego żałuje i że ma nadzieję, że kiedyś mu wybaczysz.

Wybacz raczej ty, Taniu, że nie mogę słuchać tych głupstw.

Może jeszcze obiecał, że ofiaruje wota Najjaśniejszej Pani i cel lub jakiegoś świętemu, patronowi morderców?

Po raz pierwszy od chwili zawarcia znajomości z Tanią okazał się dla niej niemiły.

Tania rozplakała się po raz wtóry.

Domyślam się, co czujesz, i nie mam pretensji.

szlochała.

Martwię się twoim stanem.

Kowadło był oględny tylko w tej jednej sprawie: stanu twojego zdrowia.

Taniu, mam uszkodzone przednie zęby, złamany nos, zraniony łuk brwiowy, naderwane lewe ucho, odbite nerki i zmiażdżone genitalia!

wyliczał rozżalony.

Po raz pierwszy odczuł, że pomiędzy nim i Tanią otworzyła się jakaś przepaść.

Może nie wielka, ale wystarczająco szeroka, bywnią wpaść.

By on sam w nią wpadł.

Melodramatyczny ton udzielił się więc obu stronom.

Ułożyli im trochę, umówili się w końcu spacer na święteczny poniedziałek, oczywiście pod warunkiem że kapitan będzie miał siłę ruszyć się z domu.

Jeśli nie, to Tania zapowiedziała swą wizytę na Flory.

Jeszcze tego brakowało!

Tania na Flory!

, zaniepokojony odłożył słuchawkę.

Tania wraz z Mirką u jego łoża boleści, podające mu leki, pokarm oraz basen.  
No, niedoczekanie wasze, drogie samarytanki!

357.

Chyba przywołał myślami tę drugą, miejscową samarytanę, bo ktoś delikatnie zapukał do drzwi pokoju.

Nie było wątpliwości, że to Mirka Rohozińska.

Dobrze więc, niech wejdzie i niech zobaczy, w jakim jest stanie!

Otwarte, proszę!

zawołał.

Najpierw wizyta Mirki, później zaś doktora Kierszmana sprawiły, że inwestycja Brochy odłożona została na później.

Młodzienczek zadzwonił raz jeszcze do narzeczonej, aby zapewnić ją o swym uczuciu i o tym, że jego sprawy mają się lepiej niż kiedykolwiek.

Nie było to do końca prawdą, jako że Brocha znalazł się, sam jeszcze tymnie wiedząc, w sytuacji, którą można by nazwać aresztem domowym, nałożonym nań przez Wirskiego.

Ten postanowił, że nie zwolni Brochy, dopóki młody człowiek nie złoży wyczerpujących zeznań.

Brał także pod uwagę bezpieczeństwo aresztanta: mieszkani strzegły jak sądził, dość skutecznie trzy energiczne kobiety, oddane jeśli już nie samemu Wirskiemu, to przynajmniej nietykalności i spokojowi apartamentów na czwartym piętrze.

Kapitan nie mógł bowiem wykluczyć, że jakaś ciemna siła nie zagrozi ponownie życiu bądź to Brochy, bądź jego samego.

Nie wierzyli ani trochę w skruchę Kowadły, ani też w trwałość zawartego z nim rozejmu.

Tym bardziej nie sądził, aby ci, którzy wydali wyrok na szalonego majora, nie mieli ochoty rozprawić się także z niepokornym kapitanem milicji.

Ponieważ Brocha rwał się do spotkania z Bożenką, Wirski był zmuszony naświetlić mu ich sytuację oraz prosić, by

358

spotkanie z narzeczoną odłożyć do stosowniejszej chwili.

Miał, owszem, ochotę, żeby i Brodzką ściągnąć na Flory, ale uznał ten pomysł za chybotliwy.

Był więc zadowolony, że dziewczyna poznała jego, Wirskiego, prawdziwą tożsamość.

Należało wprzód wyjaśnić do końca jej udział w tajemniczym śmierci sekretarza Szczapy.

Hipoteza, iż to Bożenka jest zabójczynią Szczapy, pozostawała, niezależnie od wszystkich zawirowań związanych z majorem, wciąż aktualna.

Wizyta Mirki przyniosła, mimo spowodowanej przez nią zwłoki w przesłuchaniu Brochy, tę przecież korzyść, że nazasłanym papierami stole pojawiły się liczne świąteczne makołyki, dwóch butelek złocistego płynu nie wyłączając.

Tak zaopatrzeni, mogli przeżyć nawet dłuższe obłędzenie.

Z kolei korzyścią dla śledztwa, wynikłą z wizyty doktora Kierszmana, było to, że Wirski dowiedział się, iż zwłoki znalezione pod tarasem widokowym na trzydziestym piętrze, zidentyfikowane zostały

jako szczątki poszukiwanego przez milicję młodego przestępcy nazwiskiem Rzeżucha, lepiej zaś znanego pod pseudonimem "Kosa", a to z racji narzędzia, jakim się za życia posługiwał.

Była to kolejna wskazówka, że bezpieka dysponowała całym zastępem kryminalistów, z gatunku "emeryta" Fraczkę i bliźniaków debili, których używała jak w przypadku zamachu na majora do mokrej roboty, a czasami też jak w sytuacji tego Rzeżuchy jako rezerwę ludzkich ciał, z którymi można było zrobić, co się tylko chciało: pokroić, wyrzucić z tarasu, podrzucić komuś, kogo należało oskarżyć o morderstwo, i tak dalej.

Myślą podobnej "rezerwy", przechowywanej w tunelach metra, przyprawiała o dreszcze, toteż Wirski

359.

starał się ją niezbyt jednak skutecznie odpędzić.

Na tletakich praktyk eleganckie morderstwo za pomocą trucizny pistoletu, dokonane w apartamencie przy alei Róż, jawiło się nadal jako sprawa z innego, lepszego świata.

Jednakże i ona miała swoje drugie, odrażające dno.

Kapitan, teraz już mistrzowsko pocerowany i posklejany przez doktora Kierszmana, z uśmierzającym ból kompresem poniżej brzucha, otworzył notes i zaostrzył ołówek, szykując się do nowej rundy przesłuchań.

Kiedy jednak już wszystko było gotowe, telefon zadzwonił po raz trzeci.

Jakiemiał wyjście odłożył notes i podniósł słuchawkę.

Tym razem był to sam Zenon Krochmalski.

Bardzo mi przykro, kapitanie, z powodu zamachu na wasze życie!

Nic, proszę, nic nie mówcie!

Jesteściana pewno bardzo wyczerpani, aja i tak wiem już wszystko.

Tak, Wirski, ta zbrodnianie ujdzie na sucho jej mocodawcom.

Rozmawiałem już tym z ministrem.

głos generała wyrażał bynajmniej nie żal z powodu cierpień kapitana, lecz wyraźną satysfakcję z korzystnego dla Komendy Głównej MO obrotu spraw.

Minister wydał już stosowne rozkazy w sprawie Kowadły i Kłysińskiego.

Tak, oczywiście, major to pionek w tej partii, ale cieszymy się, że mamy i jego z głowy.

A on niech cieszy się, że uszedł z życiem.

Tak, posiedzi trochę, porozmyśla o tym, co się wydarzyło, atakże otym, co się wydarzyć mogło.

Pokrótkiej przerwie, przeznaczonej najpewniej na przełknięcie zawartości kieliszka, generał ciągnął swą kwestię: Mamy też trzech gagatków, niedoszłych zabójców i was, i Kowadły: Fraczka i tych bliźniaków.

Przy okazji dździ360

skaliśmy zabraną wam broń i wasz, jak sądzę, zegarek.

Tak, piękny i zabytkowy, marki Schaffhausen.

A teraz, kapitanie, najważniejsze dla was wiadomości: po pierwsze, zamykam śledztwo w sprawie towarzysza Szczapy.

Tak, tak, wersja o jego samobójstwie, wasza w końcu wersja, wydaje się całkiem sensowna i możliwa do przyjęcia przez wszystkich.

Dalsze rozgrzebywanie tej sprawy pozbawione jest sensu, a może też okazać się niebezpieczne.

Macie więc z głowy to cholerne śledztwo i związane z nim problemy.

Generał nie dał Wirskiemu dojść do słowa.

Podrugie, Wirski, awansujemy wasz dniem dzisiejszym na majora, a zważywszy na ciężką kontuzję, jakiej doznaliście, udzielamy wam miesięcznego urlopu, zdrowotnego, masię rozumieć.

A po urlopie do pracy, obywatelu majorze, do pracy!

Gratuluje z całego serca i życzę, raz jeszcze, spokojnych i pogodnych świąt!

Mimo wszystko.

Dziękuję, obywatelu generale!

wykrztusił zdumiony kapitan, teraz już, jak się dowiedział, major.

Zanim jednak generał zdążył się rozłączyć, zapytał o swych pomocników: Paprotkę i Cegielkę.

To już major Rękawek, nie ja, ale dobrze, że o nich pamiętacie.

Formalny wniosek musi wyjść od Rękawka.

Czołem, obywatelu majorze!

zakończył generał.

Zapadła cisza, którą przerwał w końcu sam Wirski.

Generał Krochmalski zamknął śledztwo w sprawie Szczapy wyjaśnił.

Przyjęta została wersja o samobójstwie; to jedna z moich hipotez, a lenie najważniejsza.

Jakieś wysokie instancje, chyba te najwyższe, zadecydowały, że sprawa nie powinna być dalej rozgrzebywana.

To

361.

bardzo dobra wiadomość dla ciebie i dla Bożeny.

I chyba dobra także dla mnie, bo teraz nie muszę się spieszyć.

Będę miał możliwość starannie rozważyć wszystkie okoliczności tej sprawy; rozważyć prywatnie, dla własnej satysfakcji.

Czy to będzie aby bezpieczne?

zaniepokoił się wieźień Wirskiego.

Sprawę Bogusława zamknięto zapewne dlatego, że bardzo śmierdzi.

Nie tylko z powodu Kowadły, jak wynika z pańskich słów, kapitanie.

Majorze, oddzisiaj majorze!

Wyobraź sobie, że zostałem awansowany: otrzymałem stopień majora milicji!

Mam za to siedzieć cicho i leczyć rany.

Nawylizanie się nich dostałem cały miesiąc.

Całe trzydzieści dni, rozumiesz?

Ta wiadomość cieszy mnie najbardziej.

Wypijmy za ten urlop, młodzieńcze!

Także za pański awans, panie majorze.

U nas mowi się, obywatelu majorze.

Unas w milicji.

Za twoje bezpieczeństwo obowiązkowo: towarzyszu majorze.

Bez względu na to, czy ktoś jest partyjny, czy nie.

To u nich są jacyś bezpartyjni?

zdziwił się Brocha.

Pewnie unich nie zgodził się Wirski.

Ja, w każdym razie, jestem bezpartyjny.

Podobnie moi asystenci, starszy sierżant Paprotka i kapral Cegielka.

A co z moim przesłuchaniem?

Powiedział pan, że mnie nie wypuści, dopóki nie przesłuchana okoliczność śmierci Bogusława.

Wirski roześmiał się.

Pod tym względem zdania nie zmieniłem, ale że wiele wskazuje na to, że możemy odłożyć je do jutra.

362

Co ja mówię!

Jutro mamy Wielkanoc, Święto Złoty Rezurekcji i Regeneracji.

Jutro będziemy świętować, jak Pan Bóg przykazał.

Do sprawy wrócimy w poniedziałek.

Japrzeż ten czas uporządkuję myśli oraz te oto notatki wskazał na papierze rozrzucone na stole i przykryte talerzami Mirki Rohozińskiej.

Teraz zaśudam się na zasłużony odpoczynek.

Tak, Brocha, pościelę ci tu, na podłodze, chyba że wolisz spać w fotelu.

Ja w każdym razie łóżka nie odstąpię.

Wybacz mi to, proszę.

Co tam, łóżko!

Kiedy zobaczę się z Bożenką?

aresztant nie ustępował.

Choćby i jutro!

Dochodzi północ, więc chyba za późno na składanie wizyt w eleganckim domu na Żoliborzu.

Jutro zadzwonisz do Brodzkiej i umówisz się na spotkanie.

Gdzie konkretnie, o tym później.

Wirski miał po stokroć rację.

Nie tylko on, ale i Brocha ślał się ze zmęczenia.

Usługa jak zawsze Mirka przyniosła siennik, na którym położyli młodzieńca.



Ten zaś, nierozebrawszy się, zasnął w ciągu sekundy.

Wirski natomiast złamał żelazne zasady savoir-vivre'u i pomimo że Mirka niewyszła jeszcze z pokoju, pozbył się garnituru, koszuli i bielizny, założył piżamę i rzucił się na łóżko, które zdążyła muw międzyczasie posłać.

Zasypiając, widział, dłuższe jeszcze piękniejsze z tej perspektywy, nogi panny Rohozińskiej. Na ten widok, budząc metafizyczny dreszcz, nałożył się łoś dzwonów bijących z oddali na rezurekcję.

Było już rano.

Wielka Niedziela, 18 kwietnia 1954 roku.

Dzień ósmy - wielka Niedziela.

Przebudzenie majora Wirskiego nie było zbyt radosne, jako że rany i stłuczenia doznane poprzedniego dnia odezwały się z nową siłą.

Wirski miał na tę okazję przepisane przez Kierszmana pigułki przeciwbólowe, ale medykamenty niewiele pomogły.

Brochaspal nadal głębokim snem, pomimo że za oknem rozległa się poranna kanonada.

To zapewne Staszek et consortes przypominali śpiącym jeszcze mieszczuchom, że czas na powstanie i uczczenie cudu Zmartwychwstania.

Świeżo wyświęcony major milicjista daleki był od religijnych uniesień, ale dzisiejsze święto, bardziej jeszcze niż dzień Bożego Narodzenia, skłaniało go do myśli o sprawach ostatecznych, a zwłaszcza o jego własnej, skromnej roli w kosmicznym dramacie śmierci i odrodzenia.

Ryszard Maria Wirski nie żywił jakichkolwiek złudzeń co do własnego zmartwychwstania; rozumiał jednak, że nadchodzący nieuchronnie koniec ma pewnie głębszy sens z punktu widzenia dziejów kosmosu, który też w świetle najnowszych teorii nauki wyłonił się nicości po wielkim prawybuchu, aby też po miliardach lat wniwecz się obrócić.

Wielkanocne rozważania, a nawet przykry ból w podbrzuszu, odeszły w niepamięć wobec zaskakującego i nadwyraz miłego odkrycia.

Na taborecie obok łóżka jakaś dobra dusza postawiła filiżankę z kawą, jeszcze parującą, dzbanuszek z mlekiem i trzy słodkie, pachnące konfitury bułeczki.

Podobny prezent czekał też u wezłowania młodości.

dego literata, toteż Wirski uznał za stosowne obudzić Michała, aby ten wypił kawę, póki jeszcze była ciepła.

Młodzieniec bronił się, jak mógł, przed przerwaniem snu, ale w końcu otworzył oczy i opróżnił podsuniętą mu przez gospodarza filiżankę.

Dopiero teraz Wirski spostrzegł, że oba porcelanowe cackastanowią pozostałość po serwisie jego drugiej żony.

Przetrwały wojnę i powojenne rabunki, i choć w swoim czasie stały w kredensie kuchennym, zniknęły podczas jego pobytu w więzieniu.

Wirskinie przywiązywał wagi do podobnych strat, ale z powrotu filiżanek Marii ucieszył się niezmiernie.

Święto Rezurekcji zyskało oto swój wymiar materialny, przekonywający dla niedowiarków, takich jak on sam.

Podniosły nastrój, jaki go ogarnął, sprawił, że postanowił zrobić użytek z łazienki znajdującej się w niej wanny, do których miał przecież prawo nie mniejsze niż pozostali współlokatorzy.

Było zimno, więc zarzucił płaszcz na piżamę, odnalazł pantofle porzucone gdzieś pod łóżkiem, potem zaś mydło oraz czysty ręcznik.

Począł, sycząc z bólu, jaki sprawiał mu każdy krok, w stronę łazienki.

Tu oczekiwał na kolejny cudowny przypadek łazienkanej zająta, w dodatku czysta, sucha, wysprzątana!

Kiedy zaglądał tu ostatni raz, dobre pół roku temu, brud i bałagan sprawiły, że odechciało mu się kąpieli.

Teraz, odwrotnie, lśniąca wanna i umywalka zapraszały wręcz, by z nich skorzystać.

Zaczął się spieszyć, jakby w obawie, że cud zakończysz się szybko i powróci prząsna rzeczywistość.

Uruchomił starego junkersa, chyba w gorszym jeszcze stanie od tego,

366

który jego ludzianaprawili w mieszkaniu na Partyzantów.

Wspomnienie łazienki Tani oraz kąpieli, jakiej zażywał w domu kochanki, spowodowały silny ucisk w okolicach serca.

Przypomniał mu się również ów bajeczny wprost płaszcz kąpielowy, który dostał w prezencie od gospodyni, a który pozostać musiał w jej domu.

Pewnie używa go teraz mąż Tani, pomyślał zazdrośnie, ale radość związana z ciepłą kąpielą przesłoniła niegodne dżentelmena uczucia.

Kazała też zapomnieć o bólu, o zszytych przez Kierszmana ranach na głowie.

Kiedy opuszczał łazienkę, możliwie cicho, by nie przywołać kogoś domowników, uderzył go niezwykle spokojny panujący w całym mieszkaniu.

Wszyscy poszli do kościoła, zawyrokował.

Chyba jednak niewszyscy, bo drzwidawnej sypialni Marii uchylły się i wyjrzała z nich jasną główką Mirki Rohozińskiej.

Za głową cała postać, ubrana tylko w koszulę nocną.

Mirka podbiegła do Ryszarda i przywarła doń całym ciałem, tak jednak niezgrabnie, że koszula uniosła się niemal do połowy ciała, odsłaniając brzuch i to, co panna Rohozińska miała najpiękniejszego smukłe, niewiarygodnie kształtne i długie nogi.

Mirko droga, co ty wyprawiasz!

Zaraz zleca się tudomownicy!

Nie ma tu nikogo poza nami.

I tym młodym człowiekiem wyszeptwała.

Jestem prawdziwym kaleką, cały obolały i opuchnięty bronił się Ryszard.

Wyleczę cię, zobaczysz.

A kurację zaczniemy już teraz.

Wracamy do łazienki!  
369.

Nie opierał się już dłużej, bo byłoby to nie tylko pozbawione sensu, ale i nieeleganckie wobec młodej damy, której tak wiele zawdzięczał.

Korzystając z nieobecności pozostałych domowników przygotowali w kuchni świąteczne śniadanie dla siebie Michała.

Młodyzieniec, dziś w kondycji już o niebo lepszej, zjadał się faszerowanymi jajkami, szynką w sosie tartarskim, korniszonami oraz marynowanymi rydzami, przekąszając bułeczką z masłem koperkowym.

Wirski jadł niewiele, wołał jedynie próbować i delektować się dawno już zapomnianymi smakami i zapachami.

Gdyby nie lekkie, ale nieustępliwe, ukłucie niepokoju, które odczuwał gdzieś na dnie duszy, uznałby, że to jeden z piękniejszych dni w jego życiu.

Spojrzał na Mirkę, promienną, ujmującą wdziękiem.

Jakoż możliwe, że chociaż już trzeci rok mieszkali pod jednym dachem, dopiero teraz dostrzegł jej niebanalną urodę?

Albo też to, że farbowane, krótko obcięte włosy Mirkinie muszą być oznaką złego gustu lub ekstrawagancji, podobnie jak zwyczaj przechadzania się po mieszkaniu w wojskowym szynelu, narzuconym wprost na nocną koszulę?

Styl toczłowiek, więc intrygować zaczęło go pytanie, kim jest ta młoda, ładna kobieta o niekonwencjonalnym zachowaniu?

Rozumiał przecież, że odpowiedzi na owe pytania przyniesie w naturalny sposób najbliższa przyszłość.

Tego świątecznego poranka najważniejszą sprawą pozostawało uporządkowanie wiedzy na temat wydarzeń tak poprzedzających

niego dnia, jak i całej, formalnie już zamkniętej, ale dla niego wciąż otwartej "sprawy towarzysza Szczapy".

Korzystając z tego, że szafarka wielkanocnego stołu oddaliła się na chwilę do swego pokoju, zapytał Michała Brochę, w jaki sposób i z jakiego właściwie powodu nabył wiedzę o sekretnym wyjściu z tunelu metra, a więc wiedzę, która uratowała życie całej trójce ściganej przez ubeckich zabójców. Powodowała nim nie tylko ciekawość, lecz także przekonanie, że w tajemniczenie, udzielone młodemu literatowi przez Szczapę, zawierał klucz do sprawy samego Szczapy, jego poplątanych relacji ze światem władzy, z majorem Kowadłą włącznie.

To, co zdążył powiedzieć mu Brocha, utwierdziło Wirskiego w tym właśnie przekonaniu.

Młody człowiek wyjaśnił, że wykorzystanie tuneli i różnych pomieszczeń związanych ze wstrzymaną budową metra stanowiło ważną "tajemnicę stanu", jak się wyraził, oraz że w kręgach partyjnych panowała opinia, iż służby bezpieczeństwa i wojsko postanowiły zawładnąć kilkoma kilometrami tuneli, wielkim nakładem kosztów wydrążonych pod miastem w roku poprzednim.

Najważniejszy z nich, wykonany niemal w całości, prowadził pod korytem Wisły, ze Śródmieścia na Pragę.

Stanowić miał awaryjną przeprawę na drugi brzeg rzeki, zarazem tak jak i pozostałe odcinki tuneli schron atomowy.

Ponieważ niemożliwość było mowy o pomieszczeniu w nich choćby małej części ludności Warszawy, zdecydowano w Ministerstwie Bezpieczeństwa, że służby będące celem tego resortu, i to niekoniecznie podczas wojny.

W związku z tym utajniono

plany już wykonanej budowy, a inżynierów znających je w części lub w całości zobowiązano do bezwzględного zachowania tajemnicy.

Od ubiegłej zimy trwała walka o te plany wyjaśnił Brocha.

Bezpieczeństwo zamknęło je na klucz, alebyłowiele roboczych kopii, szczególnie pojedynczych odcinków.

Bogusław należał do grupy funkcjonariuszy, którym udało się zdobyć takie cząstkowe plany.

Gromadzili je przechowywali tak "na wszelki wypadek".

Jeden z planów, a był to właśnie projekt "rządowego odcinka" metra, przebiegającego od skweru przy Skolimowskiej w stronę placu Unii Lubelskiej, oglądałem wspólnie z Bogusławem.

Bogusław powiedział mi, że miał okazję zwiedzać w pięćdziesiątym trzecim roku ten fragment budowy i że poprzęściuokoło stu metrów wydostał się wraz z grupą wizytującą tą drogą, którą i my wyszliśmy.

Powiadasz, że gromadzili te plany "na wszelki wypadek".

Domyślam się, że chodziło o rodzaj politycznej gry tymi planami.

Kto ma wiedzę, ten ma władzę!

Zapewne zgodził się Brocha.

A nie sądzisz, że właśnie zdobycie planów metra mogło stanowić cel zabiegów Kowadły?

A jeśli tak, to pytanie, gdzie Szczapa ukrył te plany.

I czy dostały się już wręce naszego majora, czy też nadal ich szuka?

Tego nie wiem.

Nie mam też pojęcia, gdzie Bogusław mógł je przechowywać.

Być może w gabinecie, wśród innych papierów i książek.

Nie miał żadnej szafy lub sejfu, ale może ukrywał je w jakimś sekretnym miejscu.

372

A może nie przechowywał ich w ogóle w domu?

Może trzymał je.

powiedzmy, u mniej eksponowanych politycznie przyjaciół?

Na pewno nie w swym biurze w Komitecie.

urwał, gdyż do kuchni wkroczyła Mirka, niosąc na tacy wielkanocną babę.

Droga Mirosław zapytał Wirski a co będzie, jak pani Rohozińska spostrzeże brak tych wszystkich smakołyków?

Zrobiłam awanturę, a ja będę musiał wyprowadzić się z domu.

Zaśmiała się:

Wróci do domu już niedługo i zaprosi nas wszystkich na wielkanocne śniadanie, ponieważ jest osobą gościnną i przyjazną ludziom.

Wirski pomyślał, że pomimo wspólnego bytowania z paniami Rohozińskimi nie miał, jak dotąd, żadnego wyobrażenia o takich, czy innych ich charakterach lub zwyczajach.

Jakby na potwierdzenie słów Mirki usłyszeli odgłos otwierania zamka przy drzwiach wejściowych.

Po chwili do kuchni wkroczyła starsza pani Rohozińska, jednaknie sama, bo w towarzystwie trojga Miączyńskich: ojca, matki i dwudziestoletniego syna.

O dziwo, ani ona, ani "wiedźma Miączyńska" nie zrobiły awantury lub choćby jakiejś aluzji do sytuacji.

Rohozińska, podobnie jak pozostali, przestraszyła się szwami i strupami na twarzy i głowie Wirskiego.

Panie kapitanie, na miłość boską!

Kto pana tak urządził?

Czy jest pan poważnie ranny?

Może trzeba lekarza?

373.

Mamo, od wczoraj pan kapitan jest już majorem!

pospieszyła z wyjaśnieniem Mirka.

Wczoraj także opatrzył go doktor Kierszman, który przybył tu osobiście.

Tę przyjazną konwersację przerwał Michał, który zapytał, czy może już zadzwonić do Brodzkich.

Major zgodził się; zaprowadził młodzieńca do swego pokoju i zostawił samego.

Brocha wrócił po chwili rozpromieniony i zapytał, czy dostanie od majora pozwolenie na widzenie się z Bożenką oraz czy ta będzie mogła przyjść w towarzystwie swojej przyjaciółki, Tosi.

Oczywiście, ale ze względów bezpieczeństwa spotkanie tylko w tym domu, a ze względu na dobro śledztwa nie w mojej obecności.

Bożena nie ma, z istotnych powodów, prawa mnie zobaczyć.

A co się tyczy Tosi, to proszę bardzo, niech przyjdzie i ona.

Michał Brocha był zaskoczony podobnym zarządzeniem.

Wiedział jednak doskonale, że nie ma sensu dyskutować z Wirskim.

Ustalili, że na czas wizyty Brodzkiej major pójdzie na spacer do Łazienek.

Na spacer, w takim stanie!

zaniepokoiły się wszystkie trzy panie.

To niemożliwe!

A jednak!

uciał dyskusję Wirski.

Założę kapeluszyki słoneczne, więc nie będzie tak widac twoich zmarszczek na moim obliczu.

A jeśli panna Mirosława zechce mi towarzyszyć, nikt nie będzie patrzył na mnie, bo wszystkie oczy skierują się na nią.

Mirka spojrzała z wdzięcznością na majora i zaproponowała kawę.

374

Do wizyty Bożenki i Tosi, zaplanowanej na dwunastą, zostało jeszcze trochę czasu.

Wirski przeprosił panie Rohozińskie iabrał Brochę do swego pokoju.

Czas uciekał; tropy śledztwa były jeszcze świeże, ale w każdej chwili mogły ulec zatarciu.

Major usadowił młodzieńca w swoim fotelu, wyjął notes, ołówek i przystąpił do przesłuchania.

Powróćmy, Michale, do wydarzeń z feralnego piątku 9 kwietnia.

Postanowiłem wówczas zabić majora Kowadłę, rzucając go ze schodów.

Mimo całej dysproporcji sił między mną a tobą?

Mimo tego, że on był uzbrojony, a ty nie?

niepostrzeżenie dla siebie samego, Wirski zaczął zwracać się do Brochy po imieniu.

Powiedziałem już, że major był mocno stawiony, a sytuacja na schodach wprost wymarzona do zamachu.

Nie udało się, a Bogusław i Bożenka byli bardzo poruszeni, co zaszło.

Bogusław bał się teraz zemsty majora, bał się o moje, a także i swoje życie, wypomnił mi to podczas wymiany zdań na schodach.

Bożenka wstrząśnięta tym, że jestem mordercą, coś z tego że niedosłyszę, uciekła do domu.

Tak.

Jej zachowanie wydaje się zrozumiałe.

A ty co zrobiłaś później?

Również do mnie dotarła świadomość powagi sytuacji.

Miałem jednak nadzieję, że pijany major nie zorientował się, jakie miałem względem niego zamiary.

Jak wiemy, twoje nadzieje były raczej płonne.

Tak, pani majorze.

Po wieczornym zajściu przyalei Róż pobiegłem do tramwaju i wróciłem nocną linią

375.



do akademika na Kickiego, gdzie mieszkam.

Postanowiłem, zgodnie z wcześniejszym planem, pojechać do Wrocławia, na zjazd młodych pisarzy. Spakowałem walizkę.

I wróciłem rankiem do Szczapy, aby go przeprosić za awanturę zrobioną poprzedniego dnia.

Czy tak?

Brocha spojrział zdziwiony na Wirskiego.

Skądże znowu.

Skąd taki pomysł?

Gospodyni Szczapy, znana ci dobrze Aniela Bryś, zeznała, że w sobotę rano spotkała cię w okolicy ulic Koszykowej i Mokotowskiej, jak maszerowałeś z walizką na dworzec!

W takim razie kłamie, majorze!

Nie wróciłem w aleję Róż.

Prosto z Kickiego pojechałem na Dworzec Wschodni.

Tam zaś.

Kłamie, Michale, jedno z was.

Albo ty, albo ona!

Nierozumiem przy tym, dlaczego Bryś miałaby wymyślić tę historię zspotkaniem z tobą w sobotę.

A po co ja miałbym zmyślać?

Żeby odwrócić podejrzenie, że byłeś w sobotę w domu Szczapy i że tym samym miałeś coś wspólnego z jego śmiercią wyjaśnił uprzejmie Wirski.

Nie wiem nawet, kiedy on zginął!

wybuchnął Brocha.

Rzeczywiście, tego możesz nie wiedzieć.

Pod warunkiem że wcześniej niż on zginął, ty zostałeś porwany przez ludzi Kowadły.

Zwinęli mnie nadwornu, tuż pod kasą biletową.

Była szósta trzydzieściorano.

376

To byłoby twoje alibi, Michale.

Może je potwierdzić.

tylko major.

Chyba że masz jakichś świadków.

Kolegę z pokoju, kogoś, kto był na dworcu i tak dalej.

Więc może?

Kolegów z pokojunie było, bo wyjechali już w piątek do domów.

Wyjechała i święta.

Ale spotkałem rano nakorytarzu znajomego zroku, Cichego.

Bronka Cichego, takiego blondynka?

Przecież on niemieszka w akademiku, ale u swej ciotki.

Michał Brocha był zaskoczony tą wiedzą majora oswoich kolegach z polonistyki.

Wszakże miast się zmieszać, wyjaśnił spokojnie:

Cichy faktycznie mieszka u ciotki, ale ma dziewczynę w akademiku.

Kickito akademiko edukacyjny, więc widocznie skorzystali z tego, że miała wolny pokój, i spędzili w nim noc.

Czy ową dziewczyną nie jest przypadkiem Tosia, przyjaciółka Bożenki?

Wykluczone, pani majorze!

Tosia nie jest studentką, to po pierwsze.

Po drugie.

Wystarczy to "po pierwsze".

Spotkałeś więc Cichego rankiem na korytarzu akademika, ale nie towarzyszył ci chyba w drodze na dworzec?

Oczywiście, że nie.

Spieszył się do domu, bo miał nadzieję, że ciotka nie spostrzeże jego nieobecności zaśmiała się Brocha.  
Powiedziałem mu, żeby na to nie liczył.

Pewnie dostał burę od ciotki, tym bardziej że zdążył już to i owo przeskrobać.  
Na przykład, zwinąć butelkę wódki z kredensu czy coś w tym rodzaju.

377.

Brocha znów spojrzął z podziwem na Wirskiego.

Najwidoczniej i jemu znana była ta historia z wykradzionym ciotce alkoholem.

Więc dobrze, Michale.

Pojechałeś na dworzec, podszedłeś do kasy, by kupić bilet do Wrocławia.

Czy kupiłeś?

Nie zdążyłem!

Stałem na końcu kilometrowej kolejki.

Po paru minutach podeszło do mnie dwóch tajniaków, żeby mnie wylegitymować.

Podaliśmy jakąś legitymację, nie studencką, lecz ZMP.

Obejrzeliją i kazali mi iść z osobą.

Nie protestowałem, bo wiedziałem, że to bezcelowe.

Poprowadzili mnie do pobiedy, tam skuli kajdankami.

Widział to ktoś?

Pewnie tak, ale ani w kolejce do kasy, ani przed dworcem, gdzie parkowała pobieda, nie było nikogo znajomego.

Przynajmniej ja nikogo nie zauważyłem.

Jakżeby inaczej skwitował Wirski.

Co było dalej?

A ja chcę zapytać, kiedy i jak zginął Bogusław?

wgłosie przesłuchiwanego zabrzmiała tak dramatyczna, a zarazem stanowcza nuta, że Wirski ustąpił i opowiedział pokrótce o tym, co wydarzyło się w mieszkaniu Szczapy w nocy z soboty na niedzielę.

Major doszedł do wniosku, że wiedza, choć zapewne bolesna dla Brochy, pozwoli mu być może lepiej zrozumieć pewne fakty i tym samym wyjaśnić śledczemu takie czynne zachowania Bożenki, nadal podejrzanej w sprawie śmierci Szczapy.

Nie mylił się.

Gdy już zakończył relację, w której nie pominął owych tajemniczych śladów

376

w mieszkaniu .

sekretarza, czarnych piżami erotycznych kryminałów, młodzieniec stracił dotychczasową pewność siebie.

Na pewno nie zrobiła tego, majorze powiedział ci.

Nie on i nie w taki sposób.

Ale mogłoby być tak, że odwiedziła Bogusława w sobotę wieczorem.

Weszła do jego mieszkania, otwierając drzwi kluczem, który dał nam Bogusław.

Więc mieliście klucz od mieszkania Szczapy?

Ty czy Bożena?

Właściwie to ja miałem, ale w piątek, zanim doszło do owej próby zabójstwa Kowadły, dałem klucz Bożence.

Dlaczego?

Prosił mnie o to Bogusław, byna czas mojego pobytu we Wrocławiu Bożenka dysponowała kluczem.

Dysponowała kluczem?

Po co?

Wiem, że to pytanie wiąże się z bolesną dla ciebie sprawą.

Byłeś zazdrosny o Bożenę.

Podejrzewałeś, że romansuje z Bogusławem, czyż nie tak?

Byłem zazdrosny, to fakt.

Ale sprawa klucza nie miała z tym nic wspólnego.

Chodziło o gospozię, o panią Anielę.

Bogusław nie miał doniej zaufania.

Podejrzewał, że nie tylko, jak wszystkie gospodynie, myszkujej grzebie w jego rzeczach, a miał tu

sporo do ukrycia, choćby te leki narkotyki, lecz także donosi na niego do bezpieki.

Miał na to jakieś dowody?

Na to, że donosi, oczywiście nie.

Ale codo grzebaniaw jego biurku, jak najbardziej!

powiedział z naciskiem

379.

na ostatnią kwestię.

Bryś robiła wrażenie zatroskanej o Bogusława, ale wiem, że w głębi duszy nienawidziła go!

Aż tak!

Nienawidziła?

Z jakiego powodu?

To raczej prosta kobieta, religijna; co ona mogła mieć do Szczapy?

Miała aż nadto!

Robiła mu często wymówki za znajomość ze mną i z Bożenką.

Wiedziała, kim jest Bożenka?

Znała jej nazwisko?

pytał Wirski, czując, że oto niespodziewanie zbliża się do upragnionego celu.

Aniela Bryś!

Nie brał jej dotąd w ogóle pod uwagę jako potencjalnej podejrzanej lub osoby choćby tylko pośrednio zamieszanej w sprawę swojego pracodawcy.

Oczywiście, że wiedziała, choć Bożenka nigdy nie podała jej swojego nazwiska.

Coś tam, dość zabawnie resztą, opowiadała, że pracuje w sklepie jako sprzedawczyni.

Bryś udawała, że w to wierzy, ale kiedyś wygadała się z tym, że wie, kim jest Bożenka.

Powiedziała coś takiego z przekąsem: "bogata pani z Żoliborza".

Zapytałem, skąd taki epitet, skoro Bożenka to dziewczyna, która ciężką pracą musi zarabiać na życie.

Bryś się zmieszała i wyjaśniła, że to tylko żart, ale widać było, że jest zła na siebie z powodu nieostrożności.

Szybko jednak zapomniałem o sprawie, bo sądziłem, że nie ma ona większego znaczenia, a konspirację Bożenki traktowałem, podobnie jak Bogusław, z przymrużeniem oka.

Rozumiem.

Nie rozumiem jednak, dlaczego Bryś mogła mieć jakieś złe zamiary względem Szczapy?

380

Nie powiedziałem, majorze, że miałam konkretne "złe zamiary".

Podtrzymuję jednak to, że skrycie go nienawidziła.

Dlaczego, z jakiego powodu?

To niezmiernie ważne dla śledztwa, dla wyjaśnienia tego, co się wydarzyło w nocy z soboty na niedzielę!

Także i później, kiedy Bryś przysłała rano do mieszkania sekretarza.

Problem w tym, że nie wiem dlaczego.

Ale coś podejrzewasz, masz jakieś przecucia!

naciskał śledczy.

Obserwując Bogusława i Anielę, można było sądzić, że coś łączy tych dwoje i że napewno nie jest to ani przywiązanie, ani sympatia, lecz coś wręcz przeciwnego.

Bogusław zachowywał się wobec gospodyni niezmiernie poprawnie, czego nie da się powiedzieć o stosunku Anieli do niego.

Dziwna była ta poprawność Bogusława, równie dziwna arogancja drugiej strony.

Wiem, że to bardzo literackie, co chcę teraz powiedzieć, ale Bryś robiła wrażenie kogoś bliskiego Bogusławowi, kto granie zbyt chętnie rolę gospodyni.

W rzeczywistości jest jego współniczką, może dawną kochanką albo na przykład żoną, która ukrywa się u boku męża, udając gospodynię.

Wistocie to dość literackie, co powiedziałeś.

Ale też inspirujące, jeśli, rzecz jasna, nie jest całkowitą fantazją!

Brocha, może ty zmyślasz, a robisz to po to, żeby odwrócić naszą uwagę od Bożenki?

Brocha energicznie zaprzeczył.

381.

Zostawmy na razie tę kwestię i wróćmy do sprawy klucza, który dostała Bożenka.

Jaki mogła zrobić niegoużytek?

Właśnie w sobotę 10 kwietnia?

To, co robi się z kluczem od mieszkania przyjaciela.

Zapukała do drzwi, Bożena nigdy nie dzwoniła, tylko pukała, to kolejny element konspiracji, w jaką się bawiła.

Kiedy Bogusław nie odpowiedział, otworzyła, być może zaniepokojona, drzwi kluczem i weszła do mieszkania.

Zastała tam przerażający widok, o którym opowiedział mi pan, majorze.

I doszła, na przykład, do wniosku, że to ja zabiłem Szczapę!

Nie wiedziała przecież, że od ranajestem więźniem bezpieki.

Brawo, Michale!

Jakbyś był przy tym!

I znacznie to ciekawsze niż opowiadanie, które niedyskretnie przeczytałem, a w którym dałeś wyraz niejakiemu rozczarowaniu swoim mistrzem.

Opisałeś też źródło napięcia pomiędzy tobą i Szczapą.

Michał Brocha sprawił wrażenie mocno zakłopotanego.

Nie powinien pan być, majorze!

To jest złe opowiadanie.

I nie do końca szczere.

Głupio mi.

Wybacz, Michale!

To mój obowiązek: niczego nieprzegapić, poznać i brać wszystko pod rozwagę.

Twoje niezbyt udane opowiadanie, przyjdzie mi zgodzić się z tą oceną, odegrało poważną i pozytywną rolę w śledztwie.

Pozwoliło mi wyeliminować cię, choć tylko wstępnie, z kręgu podejrzanych.

By pozostawić w nim moją Bożenkę, prawda?

Michał Brocha powoli odzyskiwał pewność siebie.

382

Znów nie mogę zaprzeczyć.

Ale wiedz, że uczyniłem naprawdę wiele, by uchronić twoją dziewczynę i ją także wyeliminować z tego kręgu.

Teraz jednak twoja kolej, teraz ty musisz mi pomóc, bym mógł definitywnie

wyjaśnić sprawę śmierci Szczapy i odsunąć podejrzenia od Bożenki.

Wszystko lub prawie wszystko zależy od ciebie.

Ode mnie, majorze?

Tak, ponieważ powiedziałaś coś niezmiernie ważnego, co może tłumaczyć rolę Bożeny Brodzkiej w wydarzeniach owej nocy, podczas której zginął Szczapa.

Stwierdziłaś, że kiedy weszła, jeśli rzeczywiście była tam w sobotę wieczorem, do mieszkania waszego przyjaciela, mogło się zdarzyć tak, że on już nie żył z głową zmasakrowaną strzałem z pistoletu, a wtedy Bożenka pomyślała, że właśnie ty go zabiłaś.

Na czym opierasz to przypuszczenie?

Brocha zamyślił się.

Bo wiem, że nie byłaby zdolna do zabójstwa; wszystko jedno czy za pomocą trucizny, czy tym bardziej pistoletu, strzelając w głowę z bliskiej odległości.

Zabójstwa wafekcie albo z premedytacją.

Powiedzmy, że to prawda.

Delikatna, wrażliwa dziewczyna nie mogłaby tego uczynić.

Dlaczego jednak miałyby przypisać ów zbrodniczy czyn tobie, a nie, powiedzmy, cynicznemu intrygantowi, jakim jest niewątpliwie major

Kowadło?

To on powinien być głównym podejrzanym, nie ty!

To prawda!

Może jednak zabójca pozostawił jakiś ślad, wyraźny znak, który miał skierować podejrzenia na mnie?

odpowiedział Brocha po chwili wahania.

383.

Zabójca pozostawił liczne ślady mające doprowadzić śledczego nie do ciebie, ale do osoby takiej jak Bożenka:

czytelniczki kryminalnych romansów.

Pozostawił kilkadziesiąt przedmiotów, jednoznacznie kojarzących się z literacką intrygą, a z konkretną intrygą opisaną w opowiadaniu Czarna pyjama niejakiego Renarda, przedwojennego autora powieści detektywistycznych.

Na koniec, aby już nie mogło być najmniejszych wątpliwości co do osoby sprawcy, podrzucił fiolkę po cyjankali w pobliżu domu Brodzkich.

Dałem się z początkuabrać na owe "literackie" ślady; dopiero odkryty w pojemniku na śmieci przy Śmiałej rzekomy dowód w postaci fiolki sprawił, że zacząłem mieć poważne wątpliwości. Sprawczyni, jeśli była nią panna Bożena, musiałaby być nie tylko szalona, ale i ograniczona umysłowo.

Taką możliwość odrzuciłem, rzecz jasna.

Któż w takim razie byłby zdolny do podobnej intrygi?

Chyba nie Kowadło?

Otóżto, przyjacielu!

Major miał powody, aby obciążyć bądź to ciebie, bądź Bożenę, jednak trudno wyobrazić go sobie w roli autora owego cokolwiek romantycznego czy literackiego planu!

Któż więc, panie majorze?

Jeśli wykluczyciebie, Michale, a muszę to uczynić, zewzględu na twoje alibi, jaki może ewentualnie potwierdzić Kowadło lub któryś z jego upiornych pomocników, zostaję nam już tylko Aniela Bryś.

Pod warunkiem wszakże, że twoja intuicja z nią związana ma jakieś oparcie w faktach.

Musimy dowiedzieć się, czy rzeczywiście Aniela Bryś to,

384

jak sugerujesz, ktoś więcej niż tylko niewykształcona, za to oddana swemu chlebodawcy gospodyni.

To, co powiedziałem na temat tajemnej więzi łączącej Bogusława z Anielą, nie dowodzi przecież, że to ona była zabójczynią.

oświadczył stanowczo Brocha.

Brawo, chłopcze!

Nie mamy w tej chwili jakiegokolwiek powodu, aby kojarzyć Anielę z zabójstwem twojego protektora.

Możemy sobie jedynie wyobrazić, że zastawszy w niedzielę rano ciało Szczapy z przestrzeloną głową, postanowiła wykorzystać okazję dorozprawienia się z tobą panną Brodzką!

I na tej konstatacji zakończymy, narazie, śledztwo.

Mówiąc to, Wirski wyrażał przekonanie, że sporo jeszcze czasu upłynie, zanim będzie mógł zweryfikować nową hipotezę.

Sprawa śmierci Szczapy została zamknięta przez generała, tym samym kończyły się możliwości formalnego działania.

Prywatne śledztwo nie wchodziło w obecnej sytuacji w rachubę.

Zostały już tylko rozmowy.

Czekałogo, na przykład, spotkanie z dziećmi spodpiątki, a więc ze Staszkiem, Włodkiem i Grażynką, łobuziakami, które jak wynikało z sobotniej rozmowy, uratowały życie jego, Michała Brochy i majora Kowadły; że spotkanie będzie możliwe już za chwilę, dowodziła kanonada, która rozległa się ponownie pod oknami Wirskiego.

Pukanie do drzwi i pojawienie się jasnowłosej, krótko ostrzyżonej głowy panny Rohozińskiej przypomniało, że pora na obiecany spacer do Łazienek.

Masz najwyżej półtorej godziny na rendez-vous narzeczoną powiedział surowo, zakładając kapelusz

385.





i sprawdzając w lustrze, czy produkt firmy Cieszkowski choć trochę skrywa ślady wczorajszych potyczek.

Ponieważ efekt okazał się w najwyższym stopniu niezadowolający, sięgnął po okulary słoneczne. Było jeszcze gorzej.

Stanowcza interwencja Mirki, która z korytarza przyglądała się próbom majora, spowodowała, że pozostawił wreszcie Brochę samego.

Zbliżało się południe i panna Brodzka mogła w każdej chwili pojawić się pod drzwiami mieszkania na czwartym piętrze.

Dopuszczyć do swobodnej konfrontacji dwojga podejrzanych: ciężki grzech z punktu widzenia sztuki policyjnej zamruczał jeszcze na odchodnym.

Ciekawe, co powiedziałby na to nieoceniony inspektor Łukomski?

Trzydzieści dni później - 16 maja.

Koniec urlopu, którym tak hojnie obdarował go generał Krochmalski, upływał w poniedziałek 17 maja.

W niedzielę Wirski postanowił zorganizować spotkanie ze wszystkimi bohaterami wydarzeń z Wielkiego Tygodnia.

Projekt był o tyle trudny w realizacji, że Tatiana, przywróconą teraz na łono rodziny, wyraźnie unikała z nim kontaktów, Kowadło zapadł się pod ziemię, Bożena poświęciła się zdawaniu egzaminów maturalnych, zaś Michał nadrabianiu zaległości na uniwersytecie.

Ten stan rzeczy cieszył, rzecz jasna, starego policjanta.

Z jednej strony, powracała z wolna równowaga, zakłócona śmiercią Bogusława Szczapy i wszystkimi jej dramatycznym konsekwencjami.

Z drugiej jednak strony, miesiąc, który upłynął mu nie tylko na romansowaniu z Mirką Rohozińską, lecz także na porządkowaniu materiałów ze śledztwa, sprawdzeniu żeznań świadków, wciąż budzących różną wątpliwość, sprawił, że zrodziła się w nim potrzeba jakiejś dodatkowej konfrontacji i dzięki niej na co miał nadzieję ostatecznego, przynajmniej dla niego, zamknięcia sprawy.

Nekrologi Szczapy i pośmiertne wspomnienia, jakie ukazały się w prasie po świętach wielkanocnych, wzmiankowały o nieuleczalnej chorobie, jaka trawiła sekretarza wojewódzkiego, sugerując naturalny charakter jego zgonu.

Co mówiło się na temat "na mieście" i nakorytarzach komendy stołecznej, tego Wirski nie wiedział i wiedzieć nie chciał.

Doszły go natomiast słuchy,

że szczęśliwe dla niego zakończenie mission impossible oraz awans na majora połączone z miesięcznym urlopem wzbudziły powszechne zdumienie i poruszenie.

Zazdroszczono Wirskiemu tego wyróżnienia, równocześnie szeptało się, że najwyraźniej coś niezwykłego dzieje się w reście bezpieczeństwa, skoro tak spektakularnie wyróżniono sanacyjnego oficera.

Ponieważ próba zaproszenia na kawę i koniak któregoś z świadków spaliła się, Wirski zabrał niedzielny spacer, jak to miał ostatnio w zwyczaju, Mirkę Rohozińską. Panna Rohozińska, której miesięczna obecność u boku rekonwalescenta przydała jeszcze urody i wdzięku, a wraz z nimi pewność siebie, wyglądała tej niedzieli wyjątkowo wspaniale: w nowym tenczu i kapeluszu który zdobyła gdzieś na praskich ciuchach.

Wędrowali niespiesznie alejami parku Łazienkowskiego pełnego ludzi, jako że dzień, choć chłodny, okazał się wyjątkowo słoneczny.

Dziwne, ale powszechna radość powrotu wiosny nie udzieliła się majorowi Wirskiemu.

Może sprawiło to odnowienie się pewnej starej kontuzji (z tej najnowszej szczęśliwie się wylizał), może też poczucie, że kolejne wiosny i lata, jakie miały jeszcze nadejść, przybliżają go nieuchronnie ku starości, dzieląc od młodej promiennej kobiety u jego boku.

Mirka wyczuła ten nastrój i upatrzawszy zaciszne miejsce w zapuszczonej, wschodniej części parku, zaproponowała, by usiedli na ławce.

Wirski pomyślał, że to dobry moment, aby oznajmić Mirce, że nie widzi przyszłości dla ich związku albo prze-

390

ciwnie, egoistycznie oświadczyć się pani Rohozińskiej.

Zanim jednak podjął decyzję, Mirka przyłożyła wskazujący palec do jego ust.

Nic więc nie powiedział, tym bardziej że ciemna kwadratowa plama, jaka ukazała się nakońcu alejki, zaczęła nieuchronnie przybierać dobrze mu znany kształt.

W ciągu kilku sekund przed ich ławką pojawił się major Kowadło:

w czarnym płaszczu, nowym kapeluszu i skórzanych rękawiczkach w dłoniach, o uśmiechniętym i wypoczętym obliczu.

Cóż za niezwykle spotkanie, majorze Wirski!

zawołał, a potem lekko uchylił kapelusza zwracając się do Mirce.

Podpułkownik Kowadło, do usług szanownej pani!

Mirosława Rohozińska, bezstoppnia przedstawiła się nie wstając, podała Kowadło dłoń do ucałowania.

Szczęściarz z pana, majorze Wirski.

Zawsze w towarzystwie pięknych kobiet!

komplementował Kowadło.

Wirski podniósł się i po raz pierwszy w ich wieloletniej znajomości wyciągnął rękę na przywitanie.

Rozumiem, że powinienem pogratulować panu awansu, pułkownikowi Kowadło!

Miesiąc temu wiadomość o awansie swego prześladowcy, zarazem niedoszłego zabójcy, sprawiłaby go w stan wzburzenia.

Teraz jednak przyjął ją zupełnie spokojnie, niemalże jako fakt oczywisty.

I owszem, majorze!

Widać tak już musi być, że zawsze przedzam was o tę jedną długość.

Ale bez żartów:

należało się i mnie, i wam.

W końcu rozpracowaliśmy

391.

wspólnie niebezpieczny spisek, stawiliśmy czoła groźnym bandytom.

Zdziwiłby się nasz dzielny Kowadło, gdyby dowiedział się, że pokonanie owych bandytów zawdzięczali dziewięcioletniemu Stasiowi, który zniszczył transformator na budowie metra przy Skolimowskiej, pomyślał Wirski.

Powiedział zaś zaczepnie:

Domyślam się, pułkowniku, że nasze dzisiejsze spotkanie ma równie przypadkowy charakter jak wszystkie dotychczasowe?

A tu się, jak zawsze, mylicie, majorze Wirski!  
oznajmił Kowadło.

Szukam was od dobrej godziny.

Byłem u was na Flory, gdzie powiedziano mi, że poszedł pan z młodą panią na niedzielny spacer.

Wykwintny sposób wyrażania się, jaki zaprezentował Kowadło, nie mógł ujść uwadze majora.

On chyba nie jest rzeczywiście tym kimś, za kogo go zawsze uważałem, pomyślał Wirski.

Obecność pani Rohozińskiej nie pozwala mi dokładniej wyłuszczyć sprawy, z którą przyszedłem.

Powiem krótko: macie rozkaz niezwłocznego stawienia się w znanym wam miejscu przy alei Róż. Mój samochód czeka przy wyjściu z parku przy Szwoleżerów.

Rozkaz, pułkowniku?

Czyj rozkaz?

Mam jeszcze urlop.

Wirski nie krył zaskoczenia i niezadowolenia.

Podobno kończy się wam właśnie dzisiaj!

Nie ma to zresztą znaczenia.

Zabierzemy się teraz wszyscy troje, podwieziemy panią do domu na Flory, a potem gazem w aleję Róż.

392

Niezwykłe: Mikołaj Kowadło dzentelmenem!

Wybacz, Mirko.

Taki los policjanta!

usprawiedliwił się.

Milicjanta, Wirski poprawił uprzejmie Kowadło.

Tylko milicjanta!

Taki już los kobiety u boku milicjanta odparła Mirka, obdarzając obu najpromienniejszym ze swych uśmiechów.

W chwili, w której na span tu zastał, pułkowniku, major Wirski zastanawiał się, czy nie poprosić mnie o rękę.

A ja zamierzałam wyrazić zgodę.

Jeśli to prawda, to gratuluję wam, majorze!

Zdobyć serce takiej kobiety!

W alei Róż czekała na majora nowa niespodzianka.

Tak jak w Niedzielę Palmową, kiedy ściągnięto go tuż obiadu Rarytasie, przed domem czekał generał Krochmalski.

Uścisnął dłonie obu oficerów i oświadczył:

Majorze Wirski, nadzwyczajnej okoliczności, ujawnione dziś przez pułkownika Kowadłę, zmuszają mnie do wznowienia śledztwa w sprawie Bogusława Szczapy.

Mam jednak nadzieję, że tylko po to, aby je jeszcze dziś definitywnie zamknąć.

Weszli na piętro.

Drzwi do mieszkania Szczapy miały zerwane pieczęcie; Krochmalski otworzył je i odsunął się, by przepuścić Kowadłę i Wirskiego.

W przedpokoju poderwał się z krzesła Paprotka, awansowany niedawno na chorążego.

Wirski przywitał się ze swoim asystentem, ale kątemoka zarejestrował już przyczynę, dla której tu przybyli.

Na

393.

lewo, przez otwarte drzwi sypialni widać było bezwładny ludzki kształt na podłodze, tuż obok łóżka. Podszedł bliżej i rozpoznał Anielę Bryś, gospodynię Szczapy.

W ślad za oficerami do sypialni wkroczył doktor Kierszman.

Prawdopodobnie cyjankali, tak jak w przypadku sekretarza oznajmił.

Śmierć nastąpiła stosunkowo niedawno: pięć, sześć godzin temu.

Aniela Bryś!

Czyżby również samobójstwo?

zapytał Wirski, a ironiczna nuta w jego głosie zwróciła uwagę generała.

Tym razem prawie na pewno, Wirski.

Jest list pożegnalny denatki.

Oczywiście, o jego autorstwie rozstrzygnie analiza grafologiczna.

List podpisany przez Helenę Grynberg?

zapytał Wirski, wiedząc doskonale, jakie wrażenie wywrze tym pytaniem.

A wy, Wirski, skąd o tym wiecie!

wyrwało się Kowadło.

Wirski nie odpowiedział.

Wyrezył go, wyraźnie zadowolony z podobnego obrotu sprawy, generał Krochmalcki:

Brawo, majorze!

Wiedziałem, że mogę na was liczyć!

Ale pytanie pułkownika Kowadły wydaje się w pełni zasadne.

Więc jak do tego doszliście?

Wirski nie mógł, rzecz jasna, powiedzieć, że "literacka" sugestia Michała Brochy, iż gospodyni Szczapy to ktoś bliski zmarłemu, kochanka lub żona zmuszona do ukrywania się przed światem, zaprzętała jego myśl przez ostatni miesiąc.

W celu zweryfikowania, a właściwie

394

tylko wyeliminowania owej hipotezy, zasięgnął dyskretnie języka w wydziale paszportowym.

Chciał wiedzieć, czyżona sekretarza rzeczywiście opuściła kraj przed dwoma laty.

Dowiedział się, że nigdy nie starała się o wyjazd i nic nie wskazuje na to, aby przekroczyć miała kiedykolwiek granice państwa polskiego.

To oznaczało, że stugębna plotka na temat porzucenia przez nią Szczapy nie musiała być całkiem prawdziwa.

Jeśli nie wyjechała z Polski, mogła pozostać w Warszawie i odwiedzać, choćby i w przebraniu, swojego męża.

Zastanawiał się, jak zdobyła ów dowód osobisty na nazwisko Bryś i kto mógł jej w tym pomóc.

Oczywiście, ludzie z bezpieczeństwa, a może i obecny pułkownik Kowadło, musieli nie tylko wiedzieć, że Aniela Bryś i Helena Grynberg to jedna i ta sama osoba, ale też pomóc jej w uzyskaniu nowej tożsamości.

Jako były funkcjonariusz granatowej policji, twórca kilkunastu przynajmniej aryjskich poddanych Trzeciej Rzeszy, znał doskonale podobne sprawy.

Zastanawiał się, co było przyczyną trwającą dwa lata maskarady, jednak brak pełnej wiedzy na temat powikłanej biografii Szczapy uniemożliwił mu konstruowanie jakiegoś sensownego wytłumaczenia.

Ustalenie prawdziwej tożsamości gospodyni Bogusława Szczapy nie było specjalnie trudne, a sprawdzenie Anieli Bryś mieściło się w zakresie moich obowiązków.

Zeznania świadków, sąsiadów denatki, zawierały pewien szczegół, który odnotowałem, ale jego weryfikację zmuszony byłem zostawić na później.

Otóż mieszkańcy kamienicy przy alei Róż słabo kojarzyli żonę sekretarza, a jej wyjazd i zniknięcie odnotował jedynie dozorca; nie został jedyny

nak upoważniony do jakiejś obserwacji w tym kierunku.

Pamiętał, owszem, pojawienie się Anieli Bryś, którą też Szczapa przedstawił mu jako swoją gospodynię, prosząc zarazem dozorcę o wszelką możliwą pomoc w sprawach gospodarskich w związku z dłuższą nieobecnością żony.

Prawdopodobnie tak właśnie rozmawiała się źródłem powszechnego przekonania o rzekomym wyjeździe pani Heleny do Palestyny.

Dozorca złożył bowiem stosowny meldunek.

Ciągu dalszego można się domyślać.

Niestety, zamknięcie śledztwa sprawiło, że musiałem porzucić ten, obiecujący, jak się miało okazać, wątek śledztwa skłamał na koniec Wirski.

Szkoda jednak, że nie ujawniliście go podczas ostatniej odprawy powiedział, wyraźnie niezadowolony, generał.

W Wielką Sobotę, podczas spotkania w komendzie głównej, musiałem skoncentrować się na roli obecnego pułkownika Kowadło.

W sprawie komej gospodyni nie miałem jeszcze żadnych dowodów; zdobyłem je, prywatnie, już po tej dacie prostował teraz major.

Sądzę zresztą, że w sprawę Heleny Grynberg wtajemniczony mógł być jedynie pułkownik Kowadło.

On zaś nie ujawnił nam swojej wiedzy.

Jeśli ją oczywiście posiadał.

Znowu chcecie mnie w coś wrobić!

Oburzył się Kowadło.

Uchowaj Boże, pułkowniku!

Ja się tylko bronię przed zarzutem niedzielenia się wiedzą na temat Heleny Grynberg.

396

Nikt was, majorze nie atakuje oświadczył pojednawczo generał.

A wy, panowie zwrócił się do oficerów mogliście darować już sobie tę nieustanną wojnę podjazdową i zawrzeć pokój.

O co proszę również ja, drogi Ryszardzie dorzucił milczący dotąd doktor Kierszman.

Skoro tak odparł po krótkim namyśle to i ja proponuję pokój.

Na warunkach rozejmu z Wielkiej Soboty, 17 kwietnia, pokój bez zmiany stanu posiadania i bez reparacji wojennych, ale z zachowaniem zasady: karty nastół.

Ujawniamy wszystko, co wiemy na temat dwóch już trupów w alei Róż.

Co wy na to, pułkowniku Kowadło?

Co jednak znaczy to "bez zmiany stanu posiadania"?

Czy dotyczy to również sfery prywatnej?

Zapytał filuternie Kowadło.

Czuło się jednak, że propozycję dotychczasowego przeciwnika przyjął z należytą powagą.

Pozostawiam to waszej domyślności uciał Wirski, ponieważ mimo upływu czasu, każda myśl o Kowadło jak o kochanku Tatiany budziła w nim atak zazdrości i nawrót uczucia, które mógłby nazwać "niezdrowym afektem" docudzej żony i cudzej kochanki.

Cieszę się z zawartego pokoju, którego wraz z doktorem Kierszmanem zamierzam być wiecznym gwarantem oświadczył generał.

A teraz ad rem, panowie oficerowie.

Wirski pomyślał, że historia nie zna sytuacji równie nietrwałych jak pokoje wieczyste.

Wolał przecież wrócić do śledztwa i kuć żelazo póki gorące, tym bardziej że Kowadło miał już pod ręką.

397.



Teraz zaś pytanie do pułkownika.

Rzetelna odpowiedź ułatwi nam śledztwo i pozwoli zarazem przekuć pokój w spiszowy pomnik trwałości.

Jeśli dobrze zrozumiałem towarzysza generała.

Wirski, dajcie sobie pokój z tym towarzyszem!

Mówcie do mnie zwyczajnie: panie generale.

Jeśli więc dobrze zrozumiałem pana generała, to pułkownik Kowadło był tym, który odkrył dziś zwłoki Anieli Bryś alias Heleny Grynberg?

Raczej Heleny Grynberg alias Anieli Bryś poprawił go Krochmalski.

A może się mylę?

Odpowiedź na wasze pytanie, majorze, jest oczywiście twierdząca.

Nie mogę więc nie zapytać.

zaczął, ale Kowadło przerwał mu gestem nakazującym wyjście z sypialni.

Zrobił, jak nakazał mu pułkownik.

Coś wam pokażę, majorze Kowadło wskazał na stos broszurowych, sfatygowanych książek porzucony na oścież podłogą.

Wirski nie zauważył ich wcześniej, całkowicie pochłonięty dramatem, który rozegrał się w sypialni. Zobaczcie, co to jest powiedział z wyraźną dumą.

Wirski wziął do ręki pierwszy z przeczytanych zeszytów.

Sobowtór maharadży przeczytał tytuł dzieła.

Zanim, znana i jemu, Niezwykła historia doktora Marbuta.

Kolejne tomiiki miały równie intrygujące tytuły: Nagaprawda, ciemne tajemnice.

Z kistoryji londyńskiego przedmieścia, dalej zaś Hrabina Cagliostro, córka Józefa Balsamo, Sztylet i maska oraz kilka innych, znanych lub niemajorowi.

396

Pułkowniku, co to ma być!

Czy i wy czytacie te brednie?

Darujcie sobie ten ton, Ryszardzie powiedział cicho Kowadło obłudny protekcjonalny.

Przecież wszyscy kochamy te książki!

To zresztą dzięki panu mojemu pasja.

Tytuły, które pokazał pan u generała, wzbudziły moją ciekawość.

Zwrócił się do niego pan i po imieniu, skonstatował zdumiony major.

Przepraszam, panie pułkowniku, za tę uwagę powiedział.

Fakt, mało kto przyznaje się do słabości dopodobnej literatury.

Ale jaki jest związek z.

Chce pan, Ryszardzie, zapytać, jaki jest związek z moją bytnością?

Zaraz wszystko wytłumaczę!

W Wielką Sobotę doprowadził mnie pan do prawdziwej furii, i przyznaję, chciałem w pierwszym odruchu pana zlikwidować: tam, w tunelu metra!

Nie mogłem więc zapytać, jak zdobył pan wszystkie tytuły.

Przypomniałem jednak sobie, że okazany nam dowód w postaci Czarny pyjamy znalazł pan w bibliotece Szczapy.

A może by tak samemu poszukać?

, pomyślałem sobie.

Może znajdę książki, które przegapił ten zarozumialec Wirski?

Niech mi pan nie wmawia, panie Mikołaju, że wszystkie pańskie wizyty miały równie niewinny charakter!

Spowodowane głodem literatury detektywnej i gotyckiej!

A jednak!

Czytanie tych książek stało się moim nałogiem.

Przetrząsnąłem od góry do dołu mieszkanie Szczapy, przy okazji wyszło na jaw to i owo, znalazłem

pół setki podobnych książek.  
Nieboszczyk trzymał je w magazynku.

za kuchnią, tam je znalazłem.

Dzisiaj przyszedłem, żeby oddać ostatnią partię: jutro mieszkanie miało iść do likwidacji.

Mikołaj Kowadło grzecznie oddający książki wypożyczone podczas nieobecności gospodarza.

Obrazek jak z czytanki dla młodzieży!

komentował na swój użytek Wirski.

Czy chce pan powiedzieć, że także nocna poniedziałkowa wizyta miała bibliofilski charakter?

Wtedy, kiedy nakrył mnie pan wieczorem?

Ta wizyta jeszcze nie, ale niech pan przyjmie do wiadomości, że nie miałem wówczas żadnego konkretnego planu; przyszedłem, żeby się rozejrzeć i zastanowić nad tym, co się wydarzyło.

Bez względu na to, co sądzi pan o mojej roli w sprawie Szczapy, nie ja go zabiłem.

Zresztą, o jego śmierci coś nieco znajdziemy w liście Anieli Bryś, to nazczy Heleny Grynberg.

Z przyjemnością przyjmuję do wiadomości pańskie zapewnienie co do własnej słowo "niewinności" zrymowałyby się z "wiadomości", więc Wirski, zawsze dbający o formę, zawiesił głos.

Swoją drogą, językowi metamorfoza Kowadły zdumiewała w najwyższym stopniu.

Czy mam uwierzyć, że lektura brukowych powieści tak dalece wpłynęła na poziom wypowiedzi Kowadły?

, pomyślał.

Wrócili do generała i do doktora pochylonych teraz nad kartkami papieru.

Jeśli denatka jest autorką tej epistoły, to zagadka śmierci Bogumiła Szczapy została wyjaśniona powiedział

400

generał, wręczając Wirskiemu kartki obustronnie zapisane drobnym, dość równym pismem.

"?

Narzędzie pisarskie znaleźliśmy w gabinecie Szczapy --;; dorzucił, jak zawsze skrupulatny, doktor Kierszman.

Chyba niewieczne pióro zmarłego?

zapytał Wirski.

To zostało przecież zabrane do analizy daktyloskopijnej.

Macie, majorze, dobrą pamięć zauważył generał.

Denatka pisała je zwykłym piórem, które znalazła nabiurku; stąd liczne zamazania i kleksy.

Wirski usiadł w fotelu pod oknem, tak aby przykryć widok ciała nie zakłócałmu lektury:

"Warszawa, 16 maja 1954", czytał.

"Oświadczenie Anieli Heleny Grynberg, z domu Bryś.

"

A więc nazwisko Bryś było panieńskim nazwiskiem pani Grynberg! skonstatował Wirski.

Zaś imię Heleny po prostu jej drugim imieniem!

Z dalszej lektury wynika, że z formalnego punktu widzenia nadal nosiła nazwisko Bryś.

Nie musiała posługiwać się jakimś fałszywym dowodem.

zauważył generał.

Tak więc to moja wina!

Oglądając jej dowód osobisty, nie zwróciłem uwagi na drugie imię, Helena!

Major był wyraźnie zakłopotany.

Pociescie się, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

Także panowie z bezpieczeństwa, którzy przesłuchiwali ją tuż przed nami!

Zdarza się uspokajał Krochmalcki.

Niżej podpisana oświadcza, że była towarzyszką życia zmarłego w nocy 11 kwietnia bieżącego roku ob.

Szlomy Grynberga, od czasu okupacji posługującego się imieniem

401.

i nazwiskiem Bogusław Szczapa.

Nasza znajomość sięgała połowy lat trzydziestych, kiedy to spotkałam młodego Szłomę Grynberga podczas wiecu robotniczego w Warszawie, w zakładach piwnych Haberbusch i Schiele.

Byłam wówczas członkinią organizacji młodzieżowej PPS, a więc pod względem ideowym daleka od rewolucyjnych poglądów Grynberga, aktywisty Bunda oraz sympatyka KPP.

Przypadkowe spotkanie zaowocowało trwałym związkiem, który przybrał formę małżeństwa, zawartego 12 lutego 1942 roku w kościele parafialnym rzymskokatolickim w Nieborowie pod Łowiczem.

Nie byłoby to możliwe bez fałszywej karty świadectwa chrztu, wystawionej na Bogusława Szczapę; oba dokumenty mój przyszły mąż zdobył dzięki swojej podziemnej organizacji.

Pomimo małżeństwa z Bogusławem Szczapą, wbrew tradycji i mojemu przywiązaniu do zasad wiary katolickiej, a jedynie z względów bezpieczeństwa (działałam w podziemnych strukturach PPS), zachowałam swoje nazwisko panieńskie.

Dwa lata później urodziłam syna, który na chrzcie udzielonym w tejże parafii otrzymał imię Bogumił.

Syn nasz żyje; wychowuje się w rodzinie Brochów w okolicach Nieborowa.

Od rodziny tej otrzymałam nazwisko Brocha i jestem samym przybranym bratem Michała Brochy, urodzonego w 1934 roku, obecnie studenta Uniwersytetu Warszawskiego.

Wielkie nieba!

wykrzyknął major.

Michał Brocha jest przybranym bratem Bogumiła, naturalnego syna Szczapy!

Czytajcie dalej, majorze!

zachęcał Krochmalski.

402

Sytuacja ta, wielce dla nas bolesna, powstała z konieczności nieustannego ukrywania się przed okupantem.

Tak przez mnie, jak i przez ojca Bogumiła, który był aktywny w różnych strukturach politycznych i zbrojnych polskiego ruchu robotniczego.

Sama nie utraciłam kontaktu z synem, ale kiedy spostrzegłam, że w rodzinie Brochów Bogumił zyskał prawdziwy dom, a przybranych rodziców uznała swych własnych, musiałam zaakceptować ten stan rzeczy i jako rzekoma ciotka Bogumiła usunąć się w cień.

Mój mąż nie pogodził się jednak z sytuacją po wojnie i chciał odebrać Brochom małego Bogumiła. Pojawienie się, sędzę żenie przypadkowe, Michała Brochy w naszym domu w Warszawie, pogmatwało jeszcze sprawę.

Mąż gotów był, po kilku miesiącach znajomości z Michałem, uznać go za swego prawdziwego syna tym bardziej jednak zapragnął odzyskać władzę rodzicielską nad jego przybranym bratem.

Po wojnie nasze życie małżeńskie nie układało się dobrze.

Mąż piastował odpowiedzialne funkcje w PPR, do której wstąpił już w 1944 roku, a od czasu zjednoczenia ruchu robotniczego także w PZPR.

Nie tłumaczy to tego, że poświęcał mi coraz mniej serca i uwagi.

Być może przyczyna leżała w tym, że nie byłam w stanie podzielać jego wielkich pasji: do teatru i literatury.

Nawet w najtrudniejszym okresie konspiracji mój mąż wiele czytał; próbował też sił na polu poezji.

Zaraz po zakończeniu wojny założył w Łodzi, później zaś w Zgierzu amatorski teatr robotniczy, który wystawił agitacyjną sztukę jego autorstwa.

Awans w partii i przeniesienie do Warszawy

403.

położyło kres tej aktywności, ale zamiłowanie do sztuki pozostało.

Sądzę, że w głębi duszy był bardziej artystą niż działaczem partyjnym, że zawsze żałował swojego wyboru.

W Warszawie, niezależnie od nowych i trudnych obowiązków, w życiu mojego męża pojawili się różni młodzi ludzie związani ze sztuką: aktorki i aktorzy, filmowcy, plastycy.

W naszym otoczeniu zaczęto po cichu mówić o romansach męża, a to z pewną aktorką dramatyczną, a to czemu niedawałam jednak nigdy wiary zeznanym poetą.

Zaniedbywana przez męża, niechętna światu ludziom, których nie rozumiałam, znalazłam życiowego partnera, mężczyznę podobnie jak ja sama religijnego stosunek do wiary katolickiej stał się z czasem kolejną przyczyną rozstania między mną i mężem rozdzwieku.

Bogusław nie krył krytycznego stosunku do Kościoła rzymskiego, którego członkiem formalnie pozostawał z racji nowożytności i przyjętych w czasie okupacji sakramentów.

Uważał również, że praktyki religijne, w których brałam niekiedy udział, kompromitują go jako działacza partyjnego.

Przyczyną dodatkowej komplikacji stał się fakt, że w zeszłym roku odziedziczyłam po moim ojcu Tadeuszu gospodarstwo rolne pod Skierniewicami, gdzie się urodziłam.

Mąż stał twardo na stanowisku, że powinnam oddać ojcowiznę powstającą we wsi spółdzielni produkcyjnej, czemu ja byłam przeciwna.

Coraz gwałtowniejsze między nami konflikty sprawiły, że poprosiłam Bogusława, aktualnie awansowanego na stanowisko sekretarza wojewódzkiego, o rozwód.

Mąż zde-

404

cydowanie sprzeciwił się.

Argumentował, że rozwód nie tylko zaszkodzi jego karierze, ale też pozbawi go wsparcia, jakie otrzymywał zawsze z mojej strony.

Długo deliberowałam nad istotną rolę, jaką to miało odegrać w jego życiu.

Podczas jednej z małżeńskich kłótni wypomniałam mu, że oczekuje ode mnie nie tyle wsparcia czy rady, jako że zawsze postępował wedle własnych zasad i racji, lecz co najwyżej bezpłatnej pomocy w prowadzeniu nowego domu przy alei Róż.

Odpowiedział wówczas, że jeśli tak stawiam sprawę, to gotów jest mi płacić za pracę w charakterze gospodyni domowej.

Sprawił mi tym niewątpliwą przykrość i utwierdził tylko w zamiarze opuszczenia go z rozwodem lub bez.

Kiedy w końcu znalazłam sobie własny kąt na ulicy Mokotowskiej i postanowiłam się wyprowadzić, nieoczekiwanie nie sprzeciwił się moim planom.

Poprosił tylko, żebym zaglądała od czasu do czasu do naszego mieszkania, za co gotów był płacić mi stałą pensję.

Pomysł Bogusława, by nadal prowadziła jego dom, uznałam za głupi i niegodziwy.

Wyprowadziłam się;

starłam się przekonać tak siebie, jak i jego, że nasz rozstanie jest ostateczne, a dzięki temu umożliwi nam uporządkowanie życia i podjęcie go na nowo, znowy mi partnerami.

W tym czasie nie wiedziałam jeszcze ani o jego chorobach, ani tym bardziej o uzależnieniu od morfiny i alkoholu.

Mąż dał mi na odchodnym klucz do mieszkania w alei Róż.

Nie powinnam była go przyjąć; nie miałam zamiaru wracać tam w charakterze służącej.

Rychło też okazało się, jak poważny błąd popełniłam.

Dysponując kluczem,

405.

postanowiłam pewnego dnia, wbrew wcześniejszemu postanowieniu, odwiedzić nasz dom. Oczywiście, tak nawszelki wypadek i podczas nieobecności męża. Widocznie poczucie obowiązku wobec byłego partnera wzięło górę nad rozsądkiem i zwykłym instynktem samozachowawczym.

Poszłam więc w aleję Róż; to, co zobaczyłam, przstraszyło mnie.

W mieszkaniu panował nie tylko brud i bałagan.

Resztki alkoholu i ampułki po morfinie dowodziły, że Bogusław znalazł się w pozałowania godnej sytuacji, że potrzebuje pomocy, także i mojej!

Mieszkanie doprowadziłam szybko do porządku, a kiedy wrócił do pracy i ucieszył się na mój widok, zламаłam się sama i proponowałam układ, który wcześniej odrzuciłam z takim oburzeniem.

Powiedziałam jednak, że nie zamierzam pojawiać się w naszym dawnym domu jako żona sekretarza. Ta już odeszła; mogę to robić jako jego gospodyni, Aniela Bryś.

O tym, że zachowałam swoje panięńskie nazwisko, nie wiedział nikt, poza Bogusławem; dla świata byłam po prostu Heleną Szczapą, dla znajomych nasoddawna, Heleną Grynberg.

Niepostrzeżenie utożsamiałam się z moją rolą dla mnie wygodną, gdyż niezależnie od wizyt przy alei Róż pozwalała mi podtrzymać związek z nowym partnerem - nikomu nieznanym, skromnej gospodyni domowej.

Wiemy już niemal wszystko powiedział do siebie Wirski.

Pozajednym: jak zginął Bogusław Szczapa.

Komedia trwała od wielu miesięcy mój mąż zdążył przedstawić mnie różnym osobom jako swoją gospodynię, Anielę Bryś jednak niezłałatwione przez nas sprawy

406

z przeszłości dawały znać o sobie.

Dość regularnie odwiedzałam naszego syna żyjącego pod Nieborowem; wyrósł na sporego już chłopca i chyba zaczął domyślać się, że niejestem jego ciotką.

Pocziwi Brochowie dochowali tajemnicy; problemem stało się to, że sama przestałam wierzyć w sens jej podtrzymywania.

Postanowiłam sprowadzić Bogumiła do Warszawy; obawiałam się jednak, że odzyskanie syna zbliży mnie ponownie do jego prawdziwego ojca.

Tego ostatniego nie chciałam już choćby ze względu na mojego nowego partnera (myślę, że mogę ujawniać tu jego personaliów).

Tymczasem i z jego strony pojawiły się problemy.

Nie znając mojej prawdziwej sytuacji, zaczął nalegać, abyśmy wzięli ślub ślubkościelny, ponieważ był wierzącym i praktykującym katolikiem.

Tymczasem rozwódz Bogusławem, tym bardziej zaś kościelne unieważnienie małżeństwa nie były, rzecz jasna, możliwe.

Znalazłam się w potrzasku, z którego uwolnić mnie mogło jedynie wyznanie prawdy mojemu partnerowi.

Uczyniłam to z ciężkim sercem, wiedząc, że bardzo go zranię.

Nie sądziłam jednak, że jego reakcja będzie tak gwałtowna i że biedak opuści mnie i zniknie bez śladu.

Do dziś nie wiem, co się z nim stało!

Krzywdą, jaką mu wyrządziłam, a zarazem stratą tak ważną dla mnie osoby to pierwszy powód, dla których moje życie zaczęło tracić jakikolwiek sens.

Kolejną przyczyną mojego osobistego dramatu stała się sytuacja w domu przy alei Róż.

Choroba mojego męża i uzależnienie od narkotyków pogłębiały się zastraszającym tempie.

W jego życiu pojawiły się nowe osoby,

407.

wydawało mi się, że mało mu przyjazne, za to kierując się sobie tylko wiadomymi motywami czy interesami: tajemniczy pan Kowadło z piękną kobietą, podobno żoną artysty, tenora Adama Rypnisa; wraz z nimi Michał Brocha, przybrany brat naszego syna, na którego mąż skierował teraz ojcowskie uczucie, zapominając z czasem prawdziwym dziecku.

W jego ogarniętym chorobą umyśle Michał utożsamiał się stopniowo z Bogumiłem, wypierając drugiego.

Teraz nie ja, lecz Bogusław nie chciał słyszeć o sprowadzeniu naszego syna do Warszawy. Zrozumiałam, że pozbawieniemałego Bogumiła przybranych, ale kochających rodziców na rzecz rozbitego, chorego domu, w którym niemiałby ojca byłoby niewybaczalnym okrucieństwem; dla mnie też grzechem śmiertelnym.

Z ciężkim sercem zrezygnowałam w końcu z planu odzyskania syna dla jego dobra.

Bezsilna, obserwowałam już tylko rozwój sytuacji w domu przy alei Róż.

W życiu mojego męża pojawiła się nowa kobieta: Bożena Brodzka, nastoletnia córka profesora politechniki oraz narzeczona Michała.

Kim jest ta nowa w alei Róż osoba, odkryłam bez trudu, choć z niewiadomychmi przyczyn panna Brodzka ukrywała swoje pochodzenie; grała rolę skromnej panienki pracującej w charakterze ekspedientki jeszcze jedna, prócz mnie, kobieta udająca w tym domu, że jest kimś innym, niż była w rzeczywistości.

Trzecią aktorką stała się owa żona śpiewaka, pojawiająca się u boku pana Kowadły; ta udawała, że sprawia jej przyjemność towarzystwo obu panów, mojego męża i Kowadły, podczas gdy zainteresowana była wyłącznie Michałem.

406

Wirski westchnął, czytając ostatnie zdanie.

Kolejny, niestety, dowód na to, że Tania nie była z nim nigdy szczerą.

Swoją drogą, co one wszystkim widzą w tym młokosie?

Chłopię z niego, owszem, sympatyczne; sam polubił go w ciągu wspólnie

spędzonej, dramatycznej doby w tunelu metra, a potem na Flory, ale żeby tak wariować z jego powodu?

Czyżby dostrzegały w nim przyszłego pisarza, następcę Żeromskiego, Andrzejewskiego lub Iwaszkiewicza?

Powrócił do lektury.

Nie mogłam nie spostrzec, że mój schorowany i starzejący się mąż zakochał się w pannie Brodzkiej, rzeczywiście pięknej i atrakcyjnej dziewczynie.

Początkowo krył się z swym uczuciem, później zaczął czynić jej niedwuznaczne awanse także w mojej obecności!

Panna Brodzka przyjmowała je z chłodnym dystansem, jaki cechuje na codzień jej zachowanie, ale też nie odrzucała zalotów Bogusława.

Wywoływało to ataki zazdrości ze strony Michała;

stało się przyczyną napięcia w jego stosunkach z moim mężem i doprowadziło w konsekwencji do zerwania z nim znajomości.

Dochodzę w tym miejscu do wydarzeń feralnej nocy z soboty na niedzielę 11 kwietnia.

Nie byłam świadkiem wszystkiego, co się wydarzyło w naszym dawnym mieszkaniu przy alei Róż; niektóre okoliczności śmierci mojego męża, które przywołam, stanowią wyłącznie rezultat moich domysłów.

W piątek 9 kwietnia Michał pożegnał się z Bogusławem; wyjeżdżał na kilka dni do Wrocławia na zjazd młodych pisarzy nagroda, jaką załatwił chłopcu mój

409.



mąż, patronujący jego karierze literackiej.

Domyślałam się, że chodziło turaczej ze strony Michała przynajmniej o prawdziwe rozstanie.

Bogusław zaprosił oboje młodych, Michała i pannę Brodzką, do pobliskiej restauracji; ci zabrali ze sobą przyjaciółkę Brodzkiej, Wandzię.

O roli tej ostatniej w dramacie wspomnę poniżej.

Jakaś sprzeczka udziałem Michała miała miejsce na schodach; przez drzwi słyszałam kilka zbyt głośno wypowiedzianych zdań.

Musieli rozstać się w gniewie; w każdym razie mąż powrócił sam, w fatalnym nastroju, i nie chciał zemną rozmawiać.

Na resztę nocy, zamiast położyć się do łóżka, zamknął się w swoim gabinecie.

W tej sytuacji zostawiłam go i wróciłam do mojego pokoju na Mokotowskiej.

W sobotę, jak zresztą zeznałam milicji, miałam robić pranie dla sąsiadki; bardziej przysługaniż źródło zarobku, jako że zmęczona i przybita nie miałam ochoty na tę pracę.

Przerwałam ją zresztą po kilku godzinach; tknięta silnym niepokojem pobiegłam do Bogusława.

Fakt ten zataiłam już przed śledczymi, jako że wiązał się bezpośrednio z tym, co się stało się później. A o przebiegu zdarzeń tamtej nocy nie rozmawiałam już z nikim!

Wirski zaczerpnął powietrza; chciał zapalić, ale przypomniał sobie reprimendę, jaką udzielił Kowadło równomiesiąc temu w tym samym miejscu.

Gdy weszłam, bez pukania i uprzedzenia do mieszkania Bogusława było trochę po drugiej po południu zastałam Bogusława w towarzystwie panny Brodzkiej.

Zaskoczyło mnie to, gdyż sądziłam wcześniej, że Brodzka nie jest zbyt przychylna zalotom mojego męża; szybko jed-

410

nak pojęłam, iż kwestia ta nie ma już żadnego znaczenia.

Mój mąż leżał na łóżku w sypialni; był nieprzytomny przynajmniej tak mi się wydawało.

Obok na krześle siedziała nieruchoma, otępiała Brodzka.

Nie zareagowała z początku na moje pojawienie się.

Kiedy jednak krzyknęłam, że muszę zawezwać pogotowie, ocknęła się i wskazała ręką na poniewierające się na nocnym stoliku ampułki i fiolki, także strzykawkę i pokrwawione waciki.

Zrozumiałam, że nie tylko Bogusław, ale także i Brodzka znajdowali się w narkotycznym letargu.

Przyjrzałam się porzuconym ampułkom; rzeczywiście były to ampułki pomorfinie!

Zdenerwowana nie zauważyłam, czy tylko po morfinie.

Odtwarzając sobie później przebieg wydarzeń, zrozumiałam, że na stoliku mogła znajdować się również fiolka z trucizną.

Tą samą trucizną, którą zamierzam teraz zażyć sama, po zakończeniu niniejszego listu.

Ta część wyznania Anieli Bryś, skonstruował Wirski, pisana była pośpiesznie, coraz mniej starannie.

Zadziwiało przecież to, że autorka dramatycznej relacji zachowywała wciąż trzeźwość sądu i niezłe panowanie nad językiem.

Moja desperacja i zamiar zawezwania pomocy spowodowały, że Bogusław ocknął się z letargu.

Wyszeptał, że pomoc nie jest potrzebna, bo on, jak już to bywało, zażył dawkę morfiny i tyle.

Jego życiu nic nie zagraża.

Zamierzałam pomimo to zadzwonić po pogotowie.

Wybiegłam z sypialni (telefon znajduje się w gabinecie Bogusława) i wtedy w holu natknęłam się na ową Wandzię, przyjaciółkę Brodzkiej.

Widocznie, jak miały w zwyczaj, u,

411.

przyszły tu razem.

Wandzianiewyglądała na kogoś, kto wziął, jak tamci, narkotyki.

Ostro natarła na mnie, wołając, że pod żadnym pozorem nie wolno mi wzywać lekarzy!

Szczapie niewiele to pomoże, krzyczała, bywał już w gorszym stanie, ale jej przyjaciółce, która wkrótce mazała matkę, wyście na jaw udziału w morfinicznej sesji zrujnuje życie i tak dalej.

Odparłam, że Bożenapowinna w tej sytuacji szybko zniknąć zanim przybędzie pogotowie.

Zniknąć, jak?

Przecież jest nieprzytomna, odparła Wandzia i popchnęła mnie z powrotem do sypialni.

Starcie z Wandzią powtórzyło się jeszcze dwukrotnie.

Młodsza, silniejsza i bardzo zwinna była zawsze górą;

nie mogłam dostać się do telefonu.

Kiedy postanowiłam iść i szukać pomocy u sąsiadów, unieruchomiła mnie bójką jakimś chwytem i wręcz wrzuciła do sypialni.

Tak minęły dobre dwie godziny; Bogusław zasnął, usnęła też, opierając głowę o łóżko, Brodzka.

Jej przyjaciółka warknęła nieustannie w holu; właściwie to bardziej już podziwiałam jej determinację, niż chciałam postawić naswoim.

Okolo wpół do szóstej ocknęła się Brodzka.

Zlustrowała szybko pokój, spostrzegłszy, że czuję przy łóżku Bogusława, dała znak Wandzi, że chce wracać do domu.

Nareszcie, pomyślałam, będę mogła zająć się Bogusławem.

Rzeczywiście, obie panny zaczęły się zbierać, chociaż Brodzka czyniła to nieporadnie i jakby niechętnie.

Zacząła malować sobie usta szminką, którą podała jej Wandzia, mówiąc, że wygląda jak trup i powinna zrobić

412

coś ze sobą.

Umalowawszy się, Brodzka nalała sobie koniaku z butelki na stole, wypiła odrobinę, zostawiając wyraźny ślad szminki na kieliszku.

Z kolei Wandzia szukała czegoś tam w torebce, wyrzucając z niej czarny, lekko połyskujący strój.

Nie włożyła go jednak z powrotem, tylko podała Bożence, mówiąc, że to zamówiony wcześniej ciuch dla niej.

Brodzka obejrzała ów prezent, była to chyba piżama, uśmiechnęła się, po raz pierwszy, ale miast schować do swojej torebki, położyła na krześle.

Potem zapomniała zabrać ze sobą.

Wspominam tu wszystkie, nieistotne w rzeczywistości szczegóły, tylko dlatego że podczas przesłuchań w UB pytano mnie o nie wielokrotnie.

Domyśliłam się, że mogłyby one wskazać na obie panny jako sprawczynie śmierci Bogusława, a tego jednak chciałam umknąć.

Jestem bowiem przekonana, że jeśli zgrzeszyły cokolwiek, to conajwyżej naiwnością i głupotą, tym, że dały się wciągnąć Bogusławowi w jego grę z narkotykami i ze śmiercią.

Śmierć tego dnia chodziła, w istocie, za moim mężem.

W końcu dopadła go.

Zanim to jednak nastąpiło, Bogusław ocknął się, podniósł z łóżka i stwierdziwszy, że zamiast dwóch pań ma mnie u swego boku, zaczął mi robić wyrzuty, że wtrącam się w nie swoje sprawy.

Odwzajemniłam się mu, zarzucając deprawowanie młodych ludzi; oświadczyłam też, że nie zamierzam pozostawić tej sprawy.

Nie odpowiedział, powłókł się do łazienki, prosząc, bym zrobiła porządek w sypialni.

Comiałam uczynić?

Powróciłam do mej roli służącej; zaczęłam od łóżka, wymieniłam bieliznę na czystą, tę brudną,

413.

ze śladami krwi, spakowałam do prania.

Zamierzałam jeszcze uprzątnąć przykre ślady po narkotykach i lekach, walające się po nocnym stoliku, kiedy powrócił Bogusław: ubrany w garnitur i nieco odświeżony.

Wyjął mi z ręki dwie nieopóźnione dokońca fiołki, resztę pozwolił usunąć.

Wrzuciłam pustą ampułkę, strzykawkę i co tam jeszcze było do papierowej torby.

W ostatniej chwili spostrzegłam, że była tam również kartka zapisana ręką Bogusława.

Zachowałam ją, a później położyłam na biurku w gabinecie.

Resztę wyrzuciłam wieczorem do kubłów na Mokotowskiej.

Nie chciałam bowiem, żeby ktoś odkrył je w śmietniku na tyłach naszego domu.

Tym sposobem usunęłam ślady, które jak zbyt późno pojęłam, mogłyby mieć znaczenie dla śledztwa.

Ponieważ bardzo chciałam porozmawiać z moim nieszczęsnym mężem, przeszliśmy do salonu.

W sypialni pozostały więc różne przedmioty, które tak zainteresowały później milicję: czarna pizama, koniaki kieliszek z odciskiem szminki panny Brodzkiej.

W salonie usiedliśmy w fotelach Bogusław naprzeciw mnie.

Rozmowa nie kleiła się, ale też nie była bezowocna.

Bogusław sprawiał wrażenie człowieka, który zamierzał walczyć z nałogiem.

Powiedział mi, że tuż po świętach ma już umówioną wizytę u lekarza, a także czym mnie zaskoczył uprzedzając.

Nie chciałam jednak wyjawić, dlaczego właśnie u prokuratora; mogłam się tylko domyślać, że popadł w jakieś tarapaty.

Czy jednak on sam zrobił coś złego, czy przeciwnie, ktoś czy coś mu zagrażało tego, niestety, nie dowiedziałam się.

Zapewne podobna

414

wiedza miałyby dziś wielkie znaczenie dla wyjaśnienia wszystkich okoliczności jego śmierci.

Poprosił, bym zrobiła herbatę, gdyż musiał zażyć lekarstwo.

Sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyjął fiołkę.

Zapytałam, oczywiście, co to za leki; odpowiedział, że nasercowe.

Faktycznie, od dawna już miał kłopoty z sercem.

Nie zdążyłam z herbatą.

Kiedy wyszłam do kuchni, usłyszałam jego głośny krzyk.

Przerażona wbiegłam do salonu.

Bogusław miał zmienioną twarz, wykrzywioną bólem.

Żył przecież; najwidoczniej dopadł go atak serca.

W rękę trzymał tę nieszczęsną fiołkę, nie wiedziałam, czy zdążył zażyć lek, czy nie.

Wtedy wyjął z kieszeni drugą fiołkę i połknął jakąś pastylkę.

Chyba niewiele pomogła, bo nadal cierpiał.

Skąd mogłam wiedzieć, że zażył właśnie truciznę?

Odruchowo, sama nie wiem dlaczego, chwyciłam tę fiołkę i pobiegłam do telefonu, by wezwać pogotowie.

Kiedy znalazłam się w gabinecie i starałam przypomnieć sobie, jaki jest numer do pogotowia, usłyszałam wystrzał od strony salonu.

Był bardzo głośny;

wydawało mi się, że cała kamienica musiała go usłyszeć i natychmiast przybiegną zaalarmowani sąsiedzi.

Nic jednak podobnego się nie wydarzyło; nikt nie załomotał do drzwi.

Stałam więc jak skamieniała w środku gabinetu Bogusława, ze słuchawką w rękę.

Byłam przekonana, że

mój mąż popełnił samobójstwo.

Dlaczego?

Dlaczego to zrobił?

, zastanawiałam się.

Przecież tak niedawno jeszcze dawał dowody, że zamierza żyć, leczyć się.

    Nie wiem, nie pamiętam, jak długo tak stałam.

Odłożyłam w końcu słuchawkę i spojrzałam na zegarek.

Była

    415.

prawie ósma wieczorem.

Zdobyłam się na odwagę i wybiegłam z gabinetu.

Wtedy dopiero zobaczyłam, że ktoś wszedł do mieszkania.

Jak ikiedy, nie miałam pojęcia.

W drzwiach salonu stał, tyłem do mnie, jakiś mężczyzna; spoglądał w głąb pokoju.

Wydałam okrzyk przerażenia; on odwrócił wtedy głowę: nieznana mi zupełnie, nieprzyjemna, nieogolona twarz kogoś koło pięćdziesiątki.

Pokazał mi puste dłonie i powiedział:

"Jestem z bezpieczeństwa, przybiegłem by ratować towarzysza Szczapę, jednak widzę, że się spóźniłem".

Krzyknęłam, że jest mordercą, że zabił właśnie Bogusława.

Przytomnie jednak nie użyłam słowa "mąż".

Niezmieszany, spokojnie odparł, że się mylę, ponieważ przyszedł tu chwilę powystrzale, który usłyszał z ulicy.

Odsunął się tak, abym mogła zobaczyć, co wydarzyło się w salonie.

Bogusław zwisał z fotela, przechylony w prawą stronę, kuścianie.

W lewej ręce trzymał pistolet;

wiem, że był leworęczny.

Dopiero pochwili spostrzegłam, co stało się z jego głową!

To był tak straszny, że zemdlałam.

Ocucił mnie ten nieznajomy zrobił to silnym uderzeniem w twarz.

Wstałam z podłogi, rozcierając policzki.

Wtedy on wskazał na dwie torby, które miałam przygotowane i powiedział: "A teraz zabieraj swoje kłopoty i znikaj".

Nie widziałem cię tutaj, a ty nie widziałam mnie, jeśli ciżycie miłe".

Tak powiedział; potem dodał, że muszę wrócić w niedzielę rano, jakby się nic nie stało.

Ciała Szczapy już nie będzie zapewnił.

Cóż miałam zrobić?

Uczyłam, jak kazał.

Kiedy wychodziłam, spostrzegłam,

416

że drzwi wejściowe zamknięte są na łańcuch i zasuwę.

Musiał więc wejść, kuchennymi drzwiami; zaczął się w służbówce i czekać na stosowną chwilę.

Już w domu spostrzegłam, że mam w kieszeni fiolkę, zabraną Bogusławowi.

Nadal myślałam, że to lekarstwo, więc położyłam ją na kredensie.

Dopiero kilka dni później mogłam stwierdzić, że nie jest to żaden lek, tylko silna trucizna.

Zawartość fiołki wysypała się; kot gospodarzy przyplącił życiem wizytę w moim pokoju.

Zachowałam jednak tę fiolkę, chyba już wówczas dojrzywał we mnie zamiar wykorzystania jej śmiertelnej siły.

Po bezsennej nocy wróciłam do mieszkania Bogusława.

Otworzyłam drzwi moim kluczem, pewna że zastanę ludzi z milicji.

W holu nie było nikogo; zajrzałam najpierw do sypialni, gdzie znów zapanował bałagan:

pościel skotłowana, czarna piżama porzucona na łóżku i gdzieś tam jeszcze.

Widać morderca był tutaj po moim wyjściu.

Czegoś szukał lub starał się upozorować, że ktoś spędził noc w łóżku Bogusława.

Nadal jednak butelka z koniakiem stała na stole, obok kieliszek z odciskami szminki Brodzkiej.

Zdenerwowana wypila resztę alko-

holu, który pozostał w butelce; poszłam potem do kuchni, żeby wyrzucić butelkę do kosza.

Zdobyłam się wreszcie na to, by podejść pod otwarte drzwi salonu.

Ciało Bogusława wisiało z fotela, tak jak widziałam je w sobotę wieczorem!

W zaciśniętej lewej dłoni pistolet, naścianie te straszne ślady po jego głowie!

Porażająca historia powiedział Wirski, przerywając lekturę.  
Nieszczęsna kobieta.  
Pomyślałbym, że ów  
417.

ciemny typek, spoglądający spokojnie na trupa Szczapy, tozwyczajnie wytwór znękaney wyobraźni pani Anieli, gdyby tak bardzo nie przypominał naszego, jak mu tam, Fraczka!

Czyżbymorderca rzeczywiście czekał gdzieś w ukryciu, naprzykład w służbówce obok kuchni? Czekał, aż zadziała trucizna, na którą podmienił lek nasercowy lub którą podzucił wraz z narkotykami, w nadziei, że prędzej czy później Szczapa pomyli ją z lekiem w identycznej fiolece?

Tak to, w istocie, mogło przebiegać zgodził się generał.

A kiedy trucizna nie zadziałała natychmiast, ponieważ była już mocno zwietrzała, a to, że utraciła już część swojej mocy, wiemy dziś na pewno, puściły munerwy i krótko mówiąc, dobił ofiarę strzałem w głowę, pozorując samobójstwo!

Wirski dopiero teraz zauważył, że Kowadło zdążył się ulotnić.

W sypialni pozostał generał, który czekał dotąd cierpliwie, aż skończył lekturę listu, a także pochylony nad ciałem Anieli Bryś doktor Kierszman.

Jeśli to Fraczek lub ktokolwiek z resortu bezpieczeństwa, to sprawa ukazuje nam swoje polityczne dno powiedział Krochmalski.

Staje się zbyt poważna, abyśmy mogli się nią nadal zajmować.

Mord popełniony nasekretarzu naszej partii, w dodatku na zamówienie organów bezpieczeństwa, nic tu ponas!

Musimy uznać, że Szczapa, wbrew sugestiom tej kobiety, popełnił samobójstwo, i definitywnie zamknąć śledztwo.

Jeśli bezpieczeństwo, prokuratura lub sąd uznają jednak, że było inaczej, cóż, wtedy dostarczymy im nowego mordercę!

Tym razem prawdziwego.

no, powiedzmy, lepszego mordercę!

416

Chociaż ta konkluzja generała zabrzmiała dość cynicznie, trudno było się z nią nie zgodzić. Krochmalski pożegnał się z Wirskim i Kierszmanem, prosząc, by major spokojnie dokończył lekturę wyznań denatki.

Po kilku formalnościach, których dokonał doktor, ciało samobójczyni pojechało karetką do prosektoriumna Dworkowej.

Teraz także Kierszman pożegnał się, gratulując na odchodnym Wirskiemu niezwykle szybkiego powrotu do zdrowia:

Wyglądało to wszystko paskudnie, szczególnie owewybroczyzny na podbrzuszu.

Masz chłopieszczęście, niema co!

Cześć pracy i do zobaczenia w przyjemniejszych już okolicznościach!

Major zostałam, jeśli nie liczyć chorążego Paprotki, który zabrać miał go do komendy, a wraz z przełożonym materiały dowodowe.

Jednym słowem, dwa słowa powiedział znacząco, ściskając dłoń swojego zastępcy.

Ooo!

Miał mi obywatel kapitan, przepraszam, obywatel major, powiedzieć zaraz po zakończeniu śledztwa, co znaczą te "dwa słowa" i z jakiej powieści pochodzą!

Wirski rozejrzał się, by upewnić się, że nikt ich nie słyszy.

Znaczą tyle, co "kurwa mać".

A pochodzą z Izaaka Babla Armii konnej.

Książkę, zbiór opowiadań tegosowieckiego pisarza, wydany w latach trzydziestych, pożyczę wam jutro.

Ale tylko na tydzień, zrozumiano?

Paprotka wyprężył się i zsalutował.

419.

Opuszczając, późnym już wieczorem, gmach komendy stołecznej, major Wirski postanowił zapomnieć o wszystkim, czego dowiedział się z listu Anieli Bryś.

Nie wątpił w jego autentyczność, tym bardziej pragnął wytrzeć jego treść z pamięci.

Pozostawały różne wątpliwości, które to generał Krochmalcki uznał za podstawę ponownego zamknięcia śledztwa.

In dubio pro reo wątpliwości należało spisać na korzyść oskarżonego, czyli aparatu bezpieczeństwa!

A jednak list zawierał ważne informacje: pozwalał oczyścić z podejrzeń całą trójkę młodych ludzi, Michała Brochę, Bożenę Brodzką i ową Wandzię, wiernie sekundującą Bożenie tamtej krytycznej soboty.

Co także przyznać musiał major z innej perspektywy ukazywał rolę Mikołaja Kowadły.

Nie potwierdzał większości przewin, o które oskarżył go Wirski, a podejrzewał również Brochę, ale też niczego niewykluczał.

W relacji Anieli Bryś ówczesny major UB stanowiąc postacią wyraźnie drugoplanową.

Bywał, owszem, u Szczapy, nie miał też jak sądziła autorka dobrych intencji, ale też niczego złego konkretnie nie uczynił.

Ona przynajmniej o niczym nie wiedziała.

W takim razie, w jakim celu Szczapa miał spotkać się z prokuratorem, tym Więckowskim?

Warto by było porozmawiać z Więckowskim, ale teraz to niemożliwe.

Śledztwo zostało zakończone.

Niech będzie i tak, pomyślał Wirski.

Odpuszczam Kowadłę do czasu, kiedy znajdzie się nań coś nowego!

Gorzej, jeśli idzie o Tatianę.

Właśnie o jej relacjach z Kowadłą należało raz na zawsze zapomnieć.

I być może także o niej samej.

420

Staną na placu przed Pałacem Mostowskich, zastanawiając się, czy szukać taksówki, czy raczej czekać na tramwaj.

Z kłopotu wybawił go właściciel zdezelowanej skody z numerem bocznym 031.

Wąsaty Lwówianin najwyraźniej czekał na Wirskiego.

Na jego widok wyskoczył z wozu i otworzył drzwi; uczynił to zapewne nie tylko z właściwej dla swej nacji uprzejmości, lecz także dlatego, że drzwi mocno się zacinały.

Dziękując za tę przysługę, major zapytał, co przydarzyło się taksówkarzowi, który głowę obwiązaną miał bandażami.

Stary zasepił się wyjaśnić:

To wciąż pamiętka po tej sobocie, kiedy nie upilnowała pana majora!

Opowiedział zaskoczonemu pasażerowi, że ponad miesiąc temu otrzymał od swych zwierzchników rozkaz, aby roztoczyć nad nim dyskretną opiekę i towarzyszyć mu podczas wędrówek po mieście.

Luzować go miał i obserwować Wirskiego na "drugą zmianę" kierowca "demokratki" na prywatnych znakach.

(Oczywiście, kapitan przypomniał sobie miłego kierowcę, który wiozł go do komendy w poniedziałek i grosza odeń nie przyjął.

Dobrodusznie sądził, że kierowca odmówił zwyczajowego wynagrodzenia, ponieważ domyślił się bez trudu, że jego przypadkowy pasażer jest funkcjonariuszem milicji.

Teraz już Wirski wiedział, że nie musiał się niczego domyślać, a jego rzekoma uprzejmość stanowiła w istocie wygodnictwo: zamiast śledzić kapitana, wiozł go na miejsce przeznaczenia).

Zadanie dyskretnej obserwacji i asekuracji Wirskiego nie zawsze było wykonalne.

W Wielką Sobotę właściwie 421.



ciel skody za późno dowiedział się, że kapitan opuszczamach komendy głównej i że potrzebował będzie asekuracji w drodze do domu.

Zobaczył, jak kapitan wsiada do "czwórki"; jechał więc za tramwajem.

Zatrzymał się przy placu Unii, u wylotu Szucha, czekając, aż Wirski wysiądzie z tramwaju i ruszy w stronę Flory.

Wówczas, jak powiedział, jakieś dwa "baciary" wskoczyły do taksówki.

Zawołał, że nie może ich zabrać, gdyż czeka pasażera;

oni zdzielili go z tylnego siedzenia ciężkim narzędziem, tak że na długo stracił przytomność.

Wirski nie zapytał, kim są owi zwierchnicy Lwowianina.

Uściskał mu dłoń i oświadczył sentencjonalnie:

Cóż, panie Ludwiku, na jednym wozie jedziemy!

Dosłownie i w przenośni.

Na przyszłośćtrzymał się będą pana, tak że ani mnie, ani panu nic złego się nie stanie!

A co się tyczy ran napańskiej głowie, to skoro się niechcą zagoić, musimy zaraz do doktora Kierszmana.

Imimo protestów starego kazałmu pojechać na ulicę Szustra.

Było już dobrzepo jedenastej w nocy, kiedy wrócił do domu.

Najciszej jak potrafił otworzył drzwi wejściowe i przemknął na palcach do swego pokoju.

Środki ostrożności nie zdały się wiele, gdyż osoba, której nie chciał budzić, czekała nań przy stole pod oknem; w szynelunaruconym na nocną koszulę, pochylona nad talią karttarota.

Pocałował Mirkę w sam czubek jej tlenionej główki, starając się nie widzieć nagich, cudownie długich nóg,

422

wychylających się, jak zawsze w podobnej sytuacji, spod suknowojskowego płaszcza.

Czas, Ryszardzie, abyśmy postawili nową kabałę i sprawdzili, co robią dwie kobiety krążące wokół ciebie, powiedziała poważnie.

Roześmiał się i przygarnął ją do siebie.

Po co sprawdzać, skoro wszystko już wiadomo.

Tadrużę jest tu ze mną bez kart, wiem, że tak łatwo się jej nie pozbędę!

A chcesz się jej pozbyć?

Czy ja wyglądam na durnia, który chciałby się pozbyć kogoś takiego jak ty?

odpowiedział pytaniem na pytanie i zamknął pocałunkiem dalszą dyskusję.

Wyłuskanie jej ciała zszynela i nocnej koszuli zajęło mu trzy sekundy.

Gorzej poszło z odświeżnym garniturem Ryszarda; tu pomoc Mirki okazała się równie nieodzowna, co końcuskuteczna.

Kochali się na stole, nie zdążywszy ogouprzątać, co spowodowało, że spod białego uda

Mirki wychynęła kluczowa dla całej kabały karta z numerem VI: Kochankowie.

Kiedy już Mirka poszła do siebie, a Wirski wypalił ostatniego belwedera, jaki został w pudełku z obrazkiem sali kominkowej pałacu powewnętrznej stronie sięgnął po stos starych gazet piętrzących się między łóżkiem a oknem, tym wychodzącym na ulicę Klonową.

Szczyście nie opuszczał go dziś nawet w tej sprawie.

Bez trudu wyłuskał numer "Wiadomości Literackich" z wiosny 1938

423.

roku.

Tu, w słynnej rubryce, od której zaczynał zawsze lekturę, Kronice tygodniowej Słonimskiego, znalazł fragment, o którym przypominał sobie już dawno, ale wreszcie nadszedł stosowny moment, by po niego sięgnąć:

"Tylko nędzny tchórz pisłmistrz Antoni mówi 'biorę możliwie najgłępszą sensacyjną powieść, kładę sięna leżakui wtedy naprawdę odpoczywam'.

Cóż to za odpoczynek?

To wspaniała zabawa, przyjemność, emocja, niepokój i zadowolenie.

Wcale nie chodzi o to, żeby powieść była głupia.

Przeciwnie.

Od autorów powieści detektywnej wymagamy logiki i precyzji.

Żadnych ingerencji duchów, żadnych telepatii.

Musi być czysta robota".

Koniec cytatu.

Jeśli żałował czegoś w tej chwili, to tylko tego, że dwatomy Czarnej pyjamy wraz z Tajemnicą pokoju, numer 13 zostały w charakterze dowodów w aktach zamkniętej już sprawy. Zatrzasnęły się też zawsze drzwi sezamu, jakim była wypełniona kryminałami posufit służbówkaw mieszkaniu denata.

Tego skarbcza, którego istnienia niewykorzystał.

Odkrył go dla siebie, no proszę, właśnie Kowadło i czerpał zeń nieskrępowanie aż do dnia śmierci nieszczęsnej Anieli Bryś alias Heleny Grynberg.

Zresztą, mógł robić to także i później, bo jakaż siła mogłaby sprzeciwić się potężnemu podpułkownikowi bezpieczeństwa?

Nie ma co, postanowił, sadowiać się z tygodnikiem włożku, zadzwonię do Kowadły i zapytam, czy nie zostało mu coś z tych przedwojennych czytań.

Posłowie.

Zamiar uśmiercenia sekretarza wojewódzkiego Bogusława Szczapy oraz powierzenia śledztwa w tej sprawie dzielnemu kapitanowi Wirskiemu zrodził się pewnego letniego wieczoru 2007 roku, w domu mojego przyjaciela, profesora Włodzimierza Lengauera.

Przyjacieliem jest nie tylko wybitnym uczonym, ale i znakomitym kucharzem, a co za tym idzie, osobą gościnną; na kolację zaprosił prócz mnie także fascynującą Damę, której incognito chciałbym tu jednak zachować.

W takim otoskładzie, w drugiej części niezwykłej "kolacji, wymyśliliśmy wspólnie zarys intrygi związanej z tajemniczą śmiercią sekretarza.

Twórcami planu powieści są więc aż trzy osoby.

Dwóm z nich, Damie i Profesorowi, należą się moje serdeczne podziękowania.

Podziękowania za to, że zechcieli podzielić się ze mną swymi prawami do pomysłu postaci występujących w Morderstwie w alei Róż, a także za zaufanie, jakie mi okazali, powierzając spisanie przygód kapitana Wirskiego i majora Kowadły.

Damie zaś obiecuję ujawnić jej incognito przy okazji drugiej, zaplanowanej już, części cyklu.

Jest przecież rzeczą dobrze znaną, że literackie postaci zaczynają w miarę postępu prac nad tekstem żyć własnym życiem.

Także stało się i tym razem: pierwszo- i drugoplanowi bohaterowie Morderstwa dość szybko pozbyli się więzów narzuconych im podczas narodzin w obszernej kuchni Profesora.

Ich losy potoczyły

427.

się niekoniecznie zgodnie z pierwotnym scenariuszem.

Za to chciałbym tu gorąco przeprosić zarówno Damę, jak i Profesora.

Ponieważ Morderstwo w alei Róż stanowi mój (mocno spóźniony) debiut w dziedzinie powieści kryminalnej, postanowiłem przed złożeniem tekstu u Wydawcy wszechstronnie go przetestować.

W tym celu zwróciłem się do kilku zaprzyjaźnionych osób będących miłośnikami i znawcami gatunku, a także do kolegów historyków z Uniwersytetu Warszawskiego, posiadających naukową wiedzę na temat czasów, w których rozgrywa się akcja powieści.

Do pierwszej grupy należeli członkowie mojej rodziny, od Matki, Brata oraz Żony poczynając, na moich studentach z wtorkowego seminarium kończąc.

W pobliżu tego kręgu znaleźli się mieszkańcy ulicy Floryw w Warszawie, osoby, które lepiej niż ja zapamiętały realia tego niezwykłego miejsca.

Tekst powieści dotarł również do Krakowa, do mojego rodzinnego miasta.

W Krakowie pochylił się nad książką tamtejsi przyjaciele, profesor Stanisław Wejman i dr Anna Kargol (ta ostatnia wraz z Rodziną).

Anna Kargol zechciała przy tym nie tylko podzielić się swoim doświadczeniem w dziedzinie tarotowej kabały, ale i postawić kabałę kapitanowi Wirskiemu.

Właściwie to jej zawdzięcza Wirski takie, a nie inne zakończenie miłosnej intrygi.

Na Uniwersytecie Warszawskim lektury pierwszej wersji Morderstwa podjął się profesor Andrzej Garlicki oraz dr Błażej Brzostek, którzy pomimo różnic wieku oraz związanych z tym różnicami doświadczeń z oddaniem

428

służą tej samej Muzie.

Im to wszystkim, moim pierwszym czytelnikom, winien jestem gorące podziękowania za cierpliwą lekturę i poczynione podczas niej światło uwagi.

Uwagi starałem się wypełnić uwzględnąć; proszę przecież, by zechcieli być wyrozumiali.

Tadeusz Cegielski Warszawa, w Wielki Czwartek 2010 roku.

## Spis rzeczy

Dzień pierwszy (Niedziela Palmowa)	7
Dzień drugi (poniedziałek Wielkiego Tygodnia)	53
Dzień trzeci (wtorek Wielkiego Tygodnia)	107
Dzień czwarty (środa Wielkiego Tygodnia)	149
Dzień piąty (Wielki Czwartek)	185
Dzień szósty (Wielki Piątek)	213
Dzień siódmy (Wielka Sobota)	287
Dzień ósmy (Wielka Niedziela)	365
Trzydzieści dni później (niedziela 16 maja)	387
Posłowie	425.

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Małgorzata Denys

Korekta: Małgorzata Reszewska-Kuśnierz, Agata RzemkomskaRedakcja techniczna:

Izabela Gołaszewska

Projekt okładki, stron tytułowych i przedrozdziałowych:

Szymon WójciakLogo serii: Marek GoebelFotografie na okładce:

PAP; Dmitri Brechalov - Fotolia.

comFotografia autora: Krzysztof Żuczkowski / ForumFotografie w tekście: Filip Modrzejewski ,

Wydawnictwo W.

A.B.02-386 Warszawa, ul.

Usypiskowa 5tel.

/fax (22) 646 01 74,646 01 75, 646 05 10, 646 05 11wabwab.

com.plwww.

wab.com.

pl

Skład i łamanie:Tekst -Małgorzata KrzywickaPiaseczno, Żółkiewskiego 7ADruk i oprawa:

ABEDIKS.

A" Poznań

ISBN 978-83-7414-815-3.